twórczość

LIPIEC 1959

sław Iwaszkiewicz ·
isław Zieliński · Z po-
murzyńskiej ·· Listy
zowskiego · Paweł
z ·· Andrzej Kijowski

twórczość

CZERWIEC 1959 ROK

7

twórczość

ROK XV LIPIEC 1959 NR 7

SPIS TREŚCI

Jarosław Iwaszkiewicz

22 LIPCA
str. 5

Stanisław Grochowiak

ROZSTANIE ROZBIERANIE DO SNU CZYŚCI
str. 7

Jarosław Iwaszkiewicz

JADWINIA
str. 10

Arnold Słucki

TRAGEDIA SOWIZDRZALSKA CIERPIENIA HOCHSZTAPLERA
str. 27

Stanisław Zieliński

CIASTKO Z KREMEM
str. 28

Andrzej Piotrowski

ULLULAI KRZYK OTWARTY
str. 47

Hanna Mortkowicz Olczakowa

WSPOMNIENIE O MARKU EIGERZE-NAPIERSKIM
str. 49

Z POEZJI MURZYŃSKIEJ

(wstęp i przekłady *Zbigniewa Stolarka*)
str. 55

Archiwum

Mieczysław Sroka

LISTY — DZIENNIK MYŚLI BRZOZOWSKIEGO
str. 63

Paweł Hertz

ROZWAŻANIA NA MARGINESIE LEKTURY MAŁYCH POETÓW POLSKICH PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA
str. 90

Książka miesiąca
Andrzej Kijowski
GROTESKA TOTALNA
str. 99

Wśród książek
ROZDZIAŁ DRUGI — *Jan Józef Lipski*
str. 105

NOWA MIŁOŚĆ — *Jerzy Kwiatkowski*
str. 108

MŁODZI 1959 — *Michał Głowiński*
str. 110

POWIEŚĆ NIEWYKORZYSTANEJ SZANSY — *Ryszard Zengel*
str. 113

FIAT VOLUNTAS — *Paweł Jasienica*
str. 116

PRZEPOWIEDNIE LEMA — *Tomasz Łubieński*
str. 121

„ŚWIAT BYŁ W PORZĄDKU" — *Henryk Bereza*
str. 123

KSIĄŻKA O STAROŚCI I PRACY — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 128

ZAPOLSKA I PARYŻ — *Włodzimierz Maciąg*
str. 130

Z MIŁOŚCIĄ DO HELLADY — *Wojciech Natanson*
str. 133

Na widnokręgu
PRZEMÓWIENIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA NA III ZJEŹDZIE PISARZY RADZIECKICH
str. 136

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 137

ŚWIADOMOŚĆ ZREIFIKOWANA — *Krzysztof Pomian*
str. 139

PRZYGODA ARCHIWALNA — *Leon Gomolicki*
str. 144

ODYSEJA NASZYCH CZASÓW — *Stefan Lichański*
str. 151

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 155

Noty
str. 164

Korespondencja
str. 172

Książki nadesłane
str. 174

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

22 LIPCA

Ostatnie piętnaście lat historii polskiej to morze doświadczeń, utrapień i osiągnięć. Tworzą one tę wzorzystą i zaplątaną mozaikę naszych dni, którym równych nie było w naszych dziejach. Może jeszcze na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku przebijanie się poprzez sobkostwo i anarchię świadomości krzepnącego narodu da się z naszą epoką porównać.

Płynące wiecznie fale historii zdążają do jakichś celów, które nasi romantycy nazywali „finalnymi". Romantycy uważali, że cele te są wyznaczone z góry przez jakieś czynniki nadrzędne — przez Boga czy też przez Ducha Dziejów. Dziś wiemy, że cele te wyznacza sobie sam człowiek i że człowiek trudzi się i w trudzie tym buduje — dla człowieka.

W ustroju naszym, który powołuje się na szczytne hasło „wszystko dla człowieka", wiemy dobrze, jak niedoskonałe są niektóre realizacje. Ale z drugiej strony jakże często nie dostrzegamy tego, cośmy dla człowieka zdobyli, cośmy dla człowieka stworzyli — w krótkim przeciągu lat piętnastu.

Po przykład daleko sięgać nie trzeba. To, cośmy zrobili w Warszawie, tworząc z gruzów piękne, wieńczone lipami — jak Ateny fiołkami — miasto, jest bezsprzecznym, wielkim osiągnięciem narodu. Budową dla przyszłych pokoleń.

Mniej efektowne, a jakże przecie ważne dla całokształtu naszej kultury jest to, cośmy stworzyli w dziedzinie wydawniczej. Dzieła klasyków polskich i największych pisarzy całego świata w milionach egzemplarzy dostały się do rąk naszych obywateli. A jeżeli czasami wydaje się nam, że literatura nasza współczesna nie dorosła do zadań dzisiejszego dnia — to dlatego, że spoza drzew nie dostrzegamy lasu.

Mimo woli w tym momencie, kiedy zamyślamy się nad przeszłością,

sięgamy wzrokiem w przyszłość. Oczywiście serce pisarza przejmuje się sprawami pisarskimi, serce humanisty — dziełami człowieczymi.

Tutaj też chciałbym ogłosić — i jakby to było dobrze, gdybym miał po temu możliwości — manifest w obronie naszej młodzieży literackiej i humanistycznej. Jak świętowaliśmy dzień 22 lipca sadząc dęby i lipy — tak moglibyśmy czcić ten dzień historyczny wznosząc okrzyk na cześć naszych młodych dziewcząt i chłopców.

Bardzo niesprawiedliwie i pochopnie sądzimy naszą młodzież; uogólnienia robimy zbyt powierzchowne. Młodzież nasza jest bardzo wartościowa. W jej ręce możemy śmiało składać przyszłość naszych osiągnięć i urzeczywistnienie naszych marzeń.

Budowa przyszłości męczy czasem starych i przyprawia ich o rozczarowania. Nie martwmy się, naprawdę istnieje pokolenie, które nasze dążenia pchnie dalej i dalej na drodze historycznych rozwojów, na drodze udoskonalenia wszystkich możliwości człowieka.

W cieniu sadzonych świeżo i starych drzew Warszawy i tysiąca miast polskich przechadza się to pokolenie, które przejmie „oświaty kaganiec" i wiele innych kaduceuszy z naszych rąk. Nie krzywdźmy tej młodzieży, nie krzywdźmy nas samych widząc w nich tylko rozczarowanie czy cynizm.

„Uśmiechnięta twarz młodzieży" niech nam w piętnastą rocznicę manifestu lipcowego powie, że wzrastają w narodzie naszym nie byle jakie zadatki przyszłego życia. Chyba o przyszłość naszej literatury nie potrzebujemy się zbytnio troszczyć. Może zbywa nam na pracowitości, talentów mamy wiele.

Zarówno w dziedzinie nauk technicznych, ścisłych, czy też w dziedzinie humanizmu napotykamy coraz to nowe talenty. Ileż nowych nazwisk młodych pisarzy pojawiło się chociażby na łamach naszego pisma.

Kwitną teraz pachnące miodem lipy, żniwa „toczą kołem" po polach, jest wesoły miesiąc, który przynosi wielką rocznicę. Spójrzmy z większą ufnością na wzrastający „młody las". On nas nie zawiedzie.

Jarosław Iwaszkiewicz

Stanisław Grochowiak

ROZSTANIE

Jest gdzieś północ której nie zobaczę
Północ świata
I północ doby
Czas i przestrzeń spięte jedną gwiazdą
Pod którą tylko
Śmierć się urodziła

Zapach północy leży w uszach zmarłych
W nozdrzach psów pokostniałych
Na bezkresnym śniegu
W porcelanowych medalionach dzieci
Co wreszcie są cicho

A smak północy
Był na tamtej ręce
Której dotknąłem jak żelaza w mróz
Odtąd unosząc tylko pół języka
Bełkocząc odtąd

ROZBIERANIE DO SNU

Swenowi Czachorowskiemu

Chodzimy razem
Po tym wielkim wnętrzu
Ona w smołowej
Ja w błękitnej sukni
Ona z zaledwie
Zieloną łysiną

I tu
Powiada
Będzie gwóźdź najpierwszy
Tutaj powiesisz
Cytrę obu rąk

A czy ten szczygieł
Może w nich?
Ja pytam

Ona jest głucha w obu czarnych gwiazdach

I tu
Powiada
Będzie gwóźdź następny
Tutaj powiesisz
Srebrny woal płuc

A czy ta róża
Może w nich?
Ja pytam

Ona jest ślepa w obu ostrych uszach

I tu
Powiada
Będzie gwóźdź na głowę
Wieszaj ją lekko
Dziobem w strop podłogi

A ja
Nie pytam
Ja stoję tak biały
Z kręgiem jak Chrzciciel
Nad drucianą szyją

CZYŚCI

Wolę brzydotę
Jest bliżej krwiobiegu
Słów gdy prześwietlać
Je i udręczać

Ona ukleja najbogatsze formy
Ratuje kopciem
Ściany kostnicowe
W zziębłość posągów
Wkłada zapach mysi

Są bo na świecie ludzie tak wymyci
Że gdy przechodzą
Nawet pies nie warknie
Choć ani święci
Ani są też cisi

Stanisław Grochowiak

Jarosław Iwaszkiewicz

JADWINIA
(DZIEŃ KWIETNIOWY)

Julianowi Stryjkowskiemu

Dnia czwartego kwietnia, punktualnie o godzinie dziesiątej inżynier Pancyr otworzył posiedzenie połączonych komisji budownictwa i komunikacji. Posiedzenie było ważne, poświęcone zagadnieniu połączenia kolejowo-miejskiego Dworca Zachodniego z Dworcem Gdańskim w Warszawie, i zgromadziło wokół przykrytego zielonym suknem wielkiego stołu prawie komplet posłów.

Gdy referent monotonnym głosem począł czytać swój elaborat, wokół stołu zapanowała cisza. Taka sama cisza zalegała śnieżne korytarze marmurowej Rady Państwa i nic nie zdawało się przeszkadzać wybrańcom ludu w ich pożytecznej pracy.

Toteż Pancyr podniósł brwi ze zdziwieniem, kiedy nagle otworzyły się drzwi sali i wszedł woźny Teofil. Wszyscy spojrzeli ku drzwiom, a przekonawszy się, że to jest Teofil, pośpiesznie przenieśli wzrok na referenta. Pancyr jednak odczuł jakiś niepokój i zgubił wątek myśli przedstawianych w referacie. Woźny na dobitek miał potwornie skrzypiące buty i dźwięk jego stąpania zdawał się być wręcz nieznośny. Trwało to bardzo długo (Teofil stawał na palcach i starał się iść cicho i wolno), zanim woźny doszedł do przewodniczącego i, nachylając się lekko, położył na białym papierze przed nim depeszę.

Pancyr pokwitował depeszę niejasnym zygzakiem i dyskretnie otworzył telegram. Spodziewał się tego, czuł coś niedobrego w powietrzu.

Telegram brzmiał następująco:

„Jadwinia znacznie gorzej. Profesor Pyra przyjeżdża Gdańska niedziela zamówiłam konsultację czwarta hotelu proszę przyjechać Kot”

Pancyr poczuł to samo ściśnięcie serca, jakie zawsze zjawiało się u niego, kiedy otrzymywał wiadomości od chorej córki. Nachylił się do sekretarza, który siedział obok niego pilnie notując przemówienie referenta, i spytał:

— Czy pan nie wie, kiedy odchodzi popołudniowy pociąg do Radogoszczy?

Sekretarz się jakby zawstydził.

— Zaraz się dowiem, panie prezesie — powiedział.

Wstał i wyszedł. Przybycie depeszy, wyjście sekretarza, wszystko to zamąciło

posiedzenie komisji. Już nie z takim namaszczeniem słuchano głosu czytającego. I w samym przewodniczącym upadło zainteresowanie dla sprawy.

Wpatrzył się w wielki obraz Rapackiego wiszący naprzeciw. Przedstawiał on polankę w lesie, zieleniejące brzózki i kaczeńce rozkwitające na mokradłach. Pancyr pomyślał, że za parę dni będą kwitły takie kaczeńce w lasach pod Radogoszczą i że Jadwinia ich nie będzie widziała.

Ale po chwili połapał się.

„Bój się Boga, Henryku — pomyślał — to ważna sprawa i publiczna. Dziesiątki lat ludzie będą jeździć koleją z Dworca Zachodniego do Gdańskiego... a ty? Na prywatne sprawy nie ma tutaj miejsca."

A potem domyślał do końca:

„A Jadwinia nigdy nie pojedzie tym połączeniem."

Sekretarz wrócił i powiedział szeptem, że pociąg odchodzi o szesnastej dziesięć i jest w Radogoszczy zaraz po dwudziestej trzeciej.

„No, to jeszcze mam czas" — powiedział do siebie Pancyr, a jednocześnie poczuł, że już nie ma czasu. Że posiedzenie dla niego przepadło, że teraz będzie myślał tylko o podróży i o tym, co zastanie na jej końcu, i że nie ma mowy teraz o prowadzeniu posiedzenia.

Referent dalej czytał o tej sprawie. Trwało to jeszcze półtorej godziny. Pancyr mężnie walczył o zrozumienie referatu, ale wreszcie poddał się. Patrzył albo na krajobraz Rapackiego, albo widział przed oczami schorowaną twarzyczkę córki. Nie był u niej w Radogoszczy od trzech miesięcy. To niedobrze, ale był taki zalatany...

Nareszcie skończyło się czytanie uczonego elaboratu, pełnego cyfr. Parę rąk wyciągnęło się z prośbą o głos. Ale inżynier zarządził dziesięciominutową przerwę i wszyscy wyszli na papierosa do szklistego, wspaniałego hallu, którego kararyjską biel przerywał tylko wielki bukiet czerwonych róż stojący w niszy.

Pancyr podszedł do swego zastępcy, ludowego posła Kłosa. Wiedział, że to, o co go poprosi, sprawi mu szaloną przyjemność.

— Wiecie, kolego — powiedział — dostałem niedobrą depeszę. Muszę zaraz jechać do chorej córki. Musicie mnie zastąpić po pauzie.

Kłos, gruby blondyn z małymi, czarnymi oczkami, ucieszył się z tej wiadomości i nie bardzo mógł ukryć swą radość pod poważnymi słowami:

— Ja zaraz wiedziałem, że to coś złego, ten telegram.

— Zastąpicie mnie?

— Ależ oczywiście.

Pancyr nie czekając zbiegł z marmurowych schodów, włożył szybko palto i wyszedł przed Radę. Pod nawisłym sufitem nie było jego samochodu, przecież zamówił szofera na drugą. Musiał poszukać taksówki, taksówki nie było — poszedł więc piechotą, alejami.

— Mam czas — mruknął.

Było ciepłe kwietniowe południe. Ludzie tłoczyli się w alejach, a w Parku Ujazdowskim trudno było przecisnąć się przez tłum dzieci i przez gąszcz eleganckich dziecinnych wózków. Pancyr z czułością spojrzał na dzieci karmiące nad stawem łabędzie. Tak niedawno — zdawało mu się — sam oddawał się tej czynności. I Jadwinia...

Znowu przypomniał sobie wąską, mysią twarzyczkę swej córki. Ale słońce

świeciło tak pięknie, tłum wydał mu się świetnie ubrany, wesoły i taki bardzo warszawski. Pancyr ubóstwiał stolicę, w której odbudowie brał udział całą duszą i o którą walczył jak lew. Przeszedł z przyjemnością alejami aż do ulicy, przy której mieszkał. W lepszym nieco nastroju wszedł do siebie.

Były jeszcze ferie uniwersyteckie, żona jego, surowa polonistka, nie wychodziła z mieszkania. Zjawiła się przed nim godna, wychodząc z gabinetu załadowanego po sufit grubymi książkami.

— Co się stało? — spytała.

— Kot mnie wzywa do Jadwini. Muszę zaraz jechać. Dajcie mi coś zjeść.

— Jej zawsze się coś zdaje.

— No, wiesz. Jadwinia jest poważnie chora.

— Nieraz się nad tym zastanawiam — powiedziała Pancyrowa, gdy siedzieli przy stole w pokoju mieszkalnym — ile w tej chorobie jest histerii, a ile naprawdę.

— Wiesz dobrze. Lekarze nie żartują.

— Tak, ale Jadwinia to skończona histeryczka.

— Wiesz dobrze, że nie lubię, kiedy tak mówisz.

Pancyrowa wyciskała mężowi sok pomarańczowy na wyciskaczce. Spojrzała na niego spode łba.

— Wiem, wiem. Ale po matce nie mogła odziedziczyć zdrowych nerwów.

Pancyr nie chciał się spierać.

— Tak, masz rację. Ale lekarze mówią, że to bardzo poważne. Jest to forma cukrzycy, na którą insulina ma minimalne działanie.

— Są teraz inne lekarstwa — powiedziała tamta.

— Właśnie dlatego Kot mnie wzywa. Zamówiła konsultację u profesora Pyry.

— Aha. No, on to przynajmniej coś będzie wiedział.

— Ty myślisz, że nawet Pyra będzie coś wiedział konkretnego?

— Przyznam się, że, moim zdaniem, Halina sama mogła była o tym pomyśleć. Nie żeby jakaś niańka.

— Kot nie jest „jakąś nianką" — powiedział Pancyr — chyba już o tym wiesz, Beato.

— Wiem, wiem. Ale też wiem, że Jadwini byłoby lepiej pod naszą opieką.

— Nie jestem tego pewien — powiedział inżynier.

Naturalnie na dworzec przyjechał bardzo wcześnie, pociąg jeszcze nie był podstawiony. Napił się kawy w barze dworcowym. Musiał być roztargniony, bo kawiarka przypatrzyła mu się uważnie, a potem przy wydawaniu była bardzo uprzejma. Miała wielkie, czarne oczy. W barze było brudno, mnóstwo ludzi stało przy wysokich, zachlapanych stołach. Z radia słychać było dźwięki koncertu d-moll Brahmsa. Co chwila przerywano dźwięki koncertu, aby wygłosić zapowiedź: „Pociąg pośpieszny do Przasnysza odchodzi z toru trzeciego przy peronie piątym. Proszę wsiadać, drzwi zamykać". Po czym znowu rozlegały się tony koncertu. Jakichś dwóch panów naprzeciwko Pancyra przysłuchiwało się uważnie. Obok smutny staruszek, pochylony boleśnie, zajadał bigos.

„Źle ze mną — powiedział sobie Pancyr — rozczulam się."

Czym prędzej wyszedł na peron i kiedy pociąg zajechał, zajął miejsce w pustym przedziale pierwszej klasy. Na chwilę przed ruszeniem do przedziału

weszły trzy miłe panie w średnim wieku. Towarzyszył im mężczyzna o bardzo skromnym wyglądzie.

Gdy pociąg ruszył, Pancyr zorientował się z rozmowy, że owe trzy panie są nauczycielkami w liceum krawieckim w Radogoszczy. Nie trudno to było wywnioskować, gdyż damy mówiły bez przerwy i bardzo głośno. Opowiadały o swoich mężach, dzieciach, wymieniały cyfry zarobków rodzinnych. Wreszcie zaczęły pokazywać sukienki, jakie kupiły dla swoich córek w Domu Dziecka w Warszawie. Towarzyszący im pan, również zapewne nauczyciel, począł rozpytywać, gdzie Dom Dziecka się znajduje. Panie tłumaczyły mu to w sposób dość skomplikowany.

„Widać, że nie znają przedwojennej Warszawy — pomyślał inżynier — przecież najprościej byłoby powiedzieć: tam, gdzie byli »Bracia Jabłkowscy«."

I począł obliczać wiek znajdujących się w wagonie osób.

Była sobota. Miał przy sobie ostatnie numery *Nowej Kultury* i *Przeglądu Kulturalnego*. Próbował czytać, ale głośna rozmowa w wagonie przeszkadzała mu bardzo, przysłuchiwał się mimo woli, trzymając przed oczami olbrzymie płachty, zadrukowane długimi, trudnymi do przełknięcia artykułami.

Panie mówiły o Dniu Kobiet. Dwie z nauczycielek opowiadały trzeciej, jaką niespodziankę zrobili im ich mężowie.

— Niech pani sobie wyobrazi, urządzili kolację, było nas cztery pary, a po kolacji była loteria. Każda z nas wygrała jakiś prezent.

— No i co pani wygrała?

— Ja wygrałam taki duży rozpylacz, z wodą kolońską. Taką świetną „Przemysławkę".

— A ja zagraniczny przyrząd do bicia śmietany, do kręcenia jajek...

— A mnie mój mąż ofiarował prócz tego broszkę. Śmiać mi się chciało, bo spotkałam go na ulicy, widziałam, jak wchodził do jubilera. A miała to być wielka tajemnica...

— A pralkę pani ma?

— O, jeszcześmy na to nie uciułali. Ale moja kuzynka zawsze mi pożycza...

— Tak bym chciała uciułać na telewizor.

— Ach, tak. Muszę sobie zebrać na telewizor. To moje marzenie.

Tu odezwał się cichym głosem nauczyciel:

— A ja muszę sobie wszystkie meble kupić. Moja mamusia wyszła mi za mąż i wszystkie meble mi zabiera...

— Mama pana? A ile ma lat.

— Sześćdziesiąt siedem. I to jeszcze jakiego chłopa sobie wzięła.

Panie się zaśmiały.

I tak było przez całą drogę.

Pancyr wciągnął się w tę rozmowę. Brał w niej udział nie otwierając ust. Wchodził w jakieś obce, zwyczajne życie, poznawał je, zaznajamiał się ze szczegółami. Widział ludzi prostych, szczęśliwych, zwyczajnych — zajętych swoimi sprawami, ale nie ślepych na sprawy ogólne. Panie mówiły o wychowaniu młodzieży językiem fachowym, zupełnie nie sentymentalnym — ale Henryk czuł, że powierzyłby im swoje dzieci. Gdyby je miał... Bo Jadwinia...

Pod koniec podróży, gdy już znał osoby siedzące w wagonie i całą rodzinę każdej z nich, poczuł gwałtowną zazdrość. Zazdrościł zebranym tutaj ich zwyczajnego, mrówczego żywota. Porównał swoje zajęcia: uciążliwe prowadzenie

jednego z przedsiębiorstw budowlanych, przewodniczenie na komisji sejmowej, tłuczenie się samochodem z końca na koniec miasta, ścieranie się z urzędasami. Wszystko to byłoby do zniesienia, gdyby miał inne życie prywatne. Ale to życie skomplikowało mu się bardzo. Druga jego żona, polonistka, zajęta była za bardzo klasyfikowaniem dzieł literackich, całe dnie była pogrążona w książkach, w wykładach, w zagadnieniach, które mu się wydawały jałowe i utworzone z czystego papieru. Pierwsza żona, malarka, mieszkała w Radogoszczy. Zatrzymała przy sobie Kota, dla pilnowania Jadwini. A jedyną istotą, w której wyczuwał przywiązanie, jedyną na świecie, była właśnie Kot, dawna jego wychowawczyni, bona czy po prostu powiedziawszy niańka. Ale Kot mieszkała w Radogoszczy i zbyt rzadko ją widywał.

Niewątpliwie kochał Jadwinię. Ale co znaczy kochać swoje dziecko, gdy jest ono daleko, gdy się je tak rzadko widuje. Dzieci w ogóle tak wymykają się z rąk. Westchnął i ostatecznie przezwyciężając się począł czytać olbrzymi tasiemiec na temat literatury dla mas. Trudno mu było pokonać subiektywne znużenie, ale wreszcie to, co Francuzi nazywają *les phrases ronronantes,* przemogło jego opory, wciągnął się w czytanie, a potem zasnął.

Pociąg się spóźnił o pół godziny, Pancyr nie mógł znaleźć taksówki przed dworcem, musiał iść piechotą, a mieszkanie jego byłej żony położone było w odległej willowej dzielnicy Radogoszczy, tak że kiedy zadzwonił i Kot mu otworzyła, było już późno. Jadwinia oczywiście spała, mówił więc ze starą piastunką szeptem. Mieszkanie było prawie nieoświetlone i zimne. Kaloryfery były chłodne, a po pogodnym dniu przychodził nocny przymrozek.

Haliny oczywiście nie było w domu. W tych dniach otwarta została w Radogoszczy wystawa jej obrazów. Kot mówiła, że przyjechał jakiś cudzoziemiec, kupił jeden obraz pani i teraz pojechali do dancingu „Pierścień Saturna". Radogoszcz szczyciła się tym nocnym lokalem, sławnym na całą Polskę.

Kot, wysoka, chuda, z kędzierzawą grzywą mlecznych włosów nad czołem, usadowiła Pancyra w malutkim stołowym pokoju przy nakryciu i poiła go mocną, nie bardzo gorącą herbatą. Była z pochodzenia Pomorzanką — nieżyczliwi twierdzili, że Niemką — i mówiła z mocnym miejscowym akcentem, który dzisiaj inżyniera, przyzwyczajonego do Warszawy, bardzo raził.

— No i co tam? Dlaczego mnie wezwałaś? Co z Jadwinią?

— Ach, Henryk! — wzdychała szeptem Kot — coś okropnego, coś okropnego. Jezu, Maria! Jak okropnie...

— Co, gorzej? Na czym polega gorzej?

— Straciła trzy kilo.

— Od kiedy?

— Od dwóch tygodni.

— O, to niedobrze. I jak się czuje w ogóle?

— Nie wstaje. Źle śpi.

— Bierze jakieś środki nasenne?

— Za dużo bierze. Ja mówiłam Halinie: nie daj dziecku brać te proszki. Jezu, Maria — ile ona bierze te proszki.

Kot była bardzo zdenerwowana przyjazdem Henryka i popełniała więcej niż zazwyczaj błędów gramatycznych.

Pancyr rozglądał się. Dawno tu nie był i drażniła go przesadna estetyka pokoju. Wszystko na ścianach wisiało tak nisko, na wysokości krzeseł. Obrazy,

czarne talerze malowane na wzór Picassa, czarniawy autoportret Haliny, stylizowany na ikonę, obok którego nie wiadomo dlaczego wisiały na gwoździach trzy srebrne, mocno wyczyszczone kubeczki. Kolacja za to była prosta i smaczna, herbata doskonała.

— I proszę ciebie, Henryku, ona jeszcze nigdy tak nie kłamała jak teraz.

— Przecie to nie są kłamstwa, Kocie drogi — uspokajał staruszkę Pancyr — po prostu ma wyobraźnię.

— Wyobraźnia to wyobraźnia. Ale ona dla mnie po prostu kłamie. Wygaduje, wymyśla niestworzone rzeczy. Ty jutro uważaj u doktora.

— A ty nie pójdziesz?

— No, ja nie. Już prędzej Halina.

— Halina nie będzie miała czasu.

— Nie, nie, najlepiej ty sam... Ona i ty.

— A co doktor?

— Przysłał swojego asystenta. Jutro przyjmuje od rana. Ja zamówiłam na czwartą.

— Przygotowałaś mi tu spanie?

— Tak, w moim pokoju. Ja będę spała z Jadwinią.

— No to chodźmy.

Przeszli cichutko przez mieszkanie. Wszędzie te stylowe meble, srebra, obrazy przeważnie samej Haliny. Henryk ich nie lubił, choć wiedział, że są dobre.

Musieli przejść przez mały pokoik, gdzie spała Jadwinia.

W białym łóżku, pod pretensjonalnymi muślinowymi firankami, spało to dziecko. Pancyr przestraszył się lekko ujrzawszy jej sen, wyglądała bardzo niedobrze. Była tak chuda, że ledwie coś widniało pod bielą koców i prześcieradeł. Chuda, żółta twarzyczka tonęła w śniegu poduszki. Usta miała otwarte i podbródek obwisły jak mają umarli. Powieki były tak ciemne, że Henryk po chwili dopiero spostrzegł, że podniosły się one i dwoje czarnych źrenic wpatrzyło się w niego uważnie, ale nieprzytomnie.

— Tatek — wyszeptała Jadwinia cichutko i zacisnęła usta.

Nachylił się nad nią. Od szczupłego ciałka biło gorąco i szedł niemiły, choć owocowy zapach. Oddech był krótki.

— Śpij — powiedział ojciec.

— Tatek — szeptała Jadwinia — ja napisałam wierszyk.

— Śpij — nalegał Pancyr — jutro mi opowiesz.

— Napisałam wierszyk o umierającym dziecku.

— Ależ to wiersz Andersena. — Inżynier wyprostował się.

— Ja go przetłumaczyłam.

— Z duńskiego?

— Tak. Przez te trzy miesiące nauczyłam się po duńsku.

Tu zainterweniowała Kot.

— Ot, pleciesz — powiedziała. — Śpij, jutro będziesz gadała.

Jadwinia zamknęła czarne powieki, trwała nieruchomo, tylko ten krótki, męczący oddech wznosił jej chude piersi.

Inżynier przeszedł do drugiego pokoju.

Stała tam przy łóżku mała lampka, która słabo oświetlała pościel i niebieski dywanik przed łóżkiem. Białe ściany pokoju tonęły w mroku. Tu także nisko

nad ziemią wisiały jakieś ciemne obrazy w białych ramach. Stara piastunka wyszła.

Henryk usiadł na łóżku, ale się nie rozebrał. Trudno mu było. Widok chorej córki poruszył w nim wszystko, przypomniał sobie całe swoje życie, zewnętrznie tak świetne, a w gruncie rzeczy nieudane.

W mieszkaniu rozległy się jakieś kroki. Spojrzał na zegarek, było już po pierwszej. Drzwi otworzyły się i z cichym szelestem weszła Halina. Nie witając się stanęła przed nim.

Podniósł oczy. Miała na sobie wspaniałą suknię z białej lamy, szyję okrywał szal z przejrzystego malinowego jedwabiu. Gdy tak stała oświetlona z dołu nikłą lampką, wydawała się jeszcze bardzo piękna. Była wysoka, jej długie obnażone ramiona zwisały bezwładnie. Spojrzał na jej przepiękne niegdyś dłonie, które tak ongi kochał. Zawęźliły się nieco, postarzały.

— Przyjechałeś — skonstatowała obojętnie.

Jej niski głos przeniknął go jak prąd. Nie odpowiedział.

— Po co? — dodała.

— Jak to po co?

— Ta stara wariatka wezwała cię depeszą.

— Jadwinia czuje się gorzej — wyjaśnił.

— Nikt nie wie, ile w tej chorobie jest udawania. Skończona mitomanka.

— Kiedy kto śpi, to nie udaje.

— Ona nawet we śnie nakłada maskę.

— Maskę śmierci — uśmiechnął się słabo Pancyr.

— Idziesz z nią do Pyry?

— Tak, idę.

— To znaczy, że ja nie mogę. Że się źle opiekuję twoją córką.

— Gdzie byłaś? — Zmierzył okiem jej przesadną toaletę.

— W knajpie. Przyjechał ten Belg, który kupił mój obraz.

— Jaki obraz?

— Martwą naturę z kwiatami. Do muzeum w Antwerpii.

— No, no...

— A co? Nie podoba ci się ta suknia?

— Wspaniała. Za wielka jak na Radogoszcz.

— Gdzieś przecie muszę chodzić, coś muszę nosić. Skazałeś mnie na to wygnanie.

— Ja? Ciebie? Skądże...

— Gdybym była twoją żoną, mieszkałabym w Warszawie.

— Nie mogłabyś mi powiedzieć tego jutro?

— Nie wiem, czy się jutro zobaczymy. Jedziemy z Belgiem za miasto.

— Ładny przynajmniej ten Belg?

— Okropny.

Po chwili Halina dodała:

— Ale ładniejszy od ciebie.

Pancyr uśmiechnął się.

— Znowu taka sama — powiedział.

— A co? Chciałbyś, abym się zmieniła?

— Nie, nie to...

— Zawsze masz jakieś nieokreślone powiedzenia.

Zawróciła do drzwi.

— A o Jadwinię nie niepokój się, ja się nią opiekuję.

— Rzeczywiście.

— Tak jak trzeba. Bez przesady. Na jej nerwy trzeba twardej ręki. Dobranoc.

Wyszła. Cała ta rozmowa, prowadzona szeptem w przyćmionym świetle, zmęczyła go. Chciał się wyciągnąć.

Ale jeszcze przyszła stara domownica. Przyniosła „dla Henryczka" filiżankę mocnej herbaty na noc.

— Tyle palisz — powiedziała stawiając granatową filiżankę w świetle lampki.

— Teraz mniej.

— Co ci powiedziała Halina? — spytała Kot.

Henryk zrozumiał, że herbata była tylko pretekstem.

— Nic. Powiedziała, że jej opieka wystarczy Jadwini.

— To prawda. Widziałeś. Żeby nie ja, to dziecko byłoby zawsze samo.

— No, wiem, wiem — z wysiłkiem powiedział Pancyr i ściągnął buty. — Po cóż ty to mówisz — dodał — jakbym ja nie wiedział.

— No, to śpij — szepnęła stara.

— Jeżeli będę mógł.

Pogłaskała go po głowie. Poczuł się nagle bezradny i samotny. Wziął Kota za rękę i pocałował. Stara się rozczuliła i mocniej przycisnęła dłoń do czoła.

— Tylko nic nie mów, tylko nic nie mów — z wysiłkiem powiedział Henryk.

Ręka z czoła zniknęła, Kot jak to kot — może dlatego ją tak dzieci przezwały — odeszła bezszelestnie.

Henryk rozebrał się szybko, wyciągnął się na twardym łóżku i zgasił lampkę. W ciemności nie zamykał oczu. Nasłuchiwał, czy z przyległego pokoju nie doleci go krótki, ciężki oddech, ale nic nie słyszał.

Zbudził go jasny blask, jaki przebijał się przez firanki w oknie. Wstał i rozpakowując neseser spostrzegł, że nie zabrał żyletki.

„Psiakrew! — powiedział sobie. — Muszę skoczyć do fryzjera."

Ubrał się i na palcach przeszedł przez pokój Jadwini. Było tam zupełnie ciemno. Gdy zatrzymał się przy drzwiach od przedpokoju, odwrócił się w stronę łóżka. Teraz doleciał go dopiero ten oddech, który urywał się co chwila. Jadwinia jak gdyby przez sen wzdychała.

Wyszedł. W przedpokoju złapała go piastunka.

— Gdzie idziesz?

— Zaraz wrócę, zaraz wrócę.

Na ulicy oślepił go blask wiosennego słońca. Był cudowny ranek, niebo szafirowe ciemniało nad kantami dachów, ku wierzchołkowi rozjarzało się w promiennym mżeniu. Na ulicach świątecznie postrojone tłumy przechadzały się w tę lub tamtą stronę. Nie patrzył na zegarek, ale po tych tłumach spacerujących pomiarkował, że już jest późno.

Mieszkańcy Radogoszczy ubierali się porządnie, jak na solidnych mieszczan przystało. Od czasu do czasu tylko trafiał się jakiś przystrzyżony wyrostek w pajacowato wąskich spodniach lub dziewczyna ze zwisającymi na oczy włosami. Młodzież wydawała się Henrykowi nad podziw ładna i zdrowa, ale może to dlatego, że bez przerwy teraz myślał o Jadwini.

„Tyle zdrowych ludzi jest na świecie" — powiedział sobie.

U fryzjera zastał ożywioną dyskusję. Mistrzowie brzytwy niewiele zwracali uwagi na swoich klientów i pełnym głosem kłócili się z sobą. W dyspucie brał udział niski, ale przystojny milicjant, który zjawił się tutaj w charakterze bezinteresownego gościa.

Henryk usiadł na wolnym fotelu, a facet, który mu mydlił policzki, wołał głośniej od innych:

— No, przecie, co ja poradzę — nasza Polonia ich nie wytrzymie...

Pancyr zrozumiał, że przed lustrem obok niego siedział jakiś gracz, a cała dyskusja dotyczyła meczu piłki nożnej Górnik — Polonia. Milicjant chciał iść o zakład z owym graczem, że rezultat będzie 5 : 0 dla Górnika. Henryk spojrzał z ukosa na swojego sąsiada. Zdrowy, jasny byczek łysiał już nieco na czubku głowy. Trochę dalej siedział młody Maryś, znajomy Jadwini, także mocny i jasny, jakby cały nalany różową cieczą. Ukłonił się Pancyrowi.

— Jak zdrowie panny Jadwini? — zapytał spod brzytwy.

— Dziękuję — bąknął, a w myśli dodał: „Co on tam sobie goli?".

Dyskusja trwała. Fryzjer, który go golił, porzucił jego namydloną twarz i z pędzlem w ręce wyszedł na środek razury. Perorował wciąż głośno, nie wymawiając „r".

— Niech pan trzymie zakład, pobiją tych naszych mahudehów, haz — dwa...

— No, golisz pan czy nie? — powiedział Henryk zniecierpliwiony.

Maryś widocznie szepnął coś swojemu oprawcy, bo ten zwrócił się do stojącego z pędzlem w środku salonu.

— Kolego, kolego, nie zaniedbujcie tam pana posła.

— Poseł nie poseł, dla mnie każdy klient jednakowy — powiedział ten od Pancyra.

— No, to kończ pan — wzruszył ramionami „pan poseł".

Gdy wyszedł od fryzjera, zaraz natknął się na trotuarze na swoją znajomą, przyjaciółkę Haliny, sprzedawczynię ze sklepu położonego przy pryncypalnej ulicy. Ładna, hoża, duża dziewczyna, ubrana ze swoistym szykiem, tak zwana „lady Gallux", obdarzyła go powłóczystym spojrzeniem i mocnym uściskiem dłoni. W myśl instrukcji *Przekroju* nie dała się Pancyrowi pocałować w rękę, choć widać było, że sprawiłoby to jej pewną przyjemność. Miała jakąś paczkę w ręku.

— Właśnie byłam u Haliny — powiedziała lady Gallux — i dowiedziałam się, że pan przyjechał.

— Jak zdrowie? — spytał Henryk nie mogąc się zdobyć na istotniejsze pytanie.

— Wyśmienicie — odpowiedziała dziewczyna. I rzeczywiście wyglądała wspaniale, gdy odchodziła w słońcu w ciasno opiętej spódnicy, mocno stawiając ładne, choć duże nogi.

Pancyr kupił miejscową gazetę i zaszedł do baru mlecznego. Panował tam jakiś rozgardiasz, choć ludzi było niewiele. Kasjerka kłóciła się z dziewczyną wydającą posiłki.

— No, co ja pani zrobię — mówiła ta ostatnia — nie ma bułek z dżemem. Nie zrobili.

— Ale tu klienci żądają, muszą być!

— Już trzy razy mówiłam, żeby zrobili. Dżemu podobno nie mają.

— Jak to nie mają? Wczoraj przywieźli trzy baryłki.

— Pewnie kierownik zamknął pod klucz.

Stojąca w kolejce przed Henrykiem pani w kapeluszu z zielonym piórkiem zniecierpliwiła się.

— Panie, porozmawiacie potem — powiedziała — my tu czekamy.

Dziewczyna w okienku też się zniecierpliwiła.

— Pani myśli, że jak pani włożyła kapelusz, to zaraz wszyscy będą na usługi.

Pani w zielonym piórku zamilkła. Kasjerka, która stała przy okienku od kuchni, jakoś dziwnie przelazła pod ladą do kasy i rozpoczęła przyjmowanie zamówień.

Pancyr wziął duże mleko i bułkę z masłem i usiadł przy stoliku. Nie było tu bardzo czysto.

Otworzył gazetę, przemknął oczami po stronach, znalazł już wzmiankę o posiedzeniu komisji, którą otworzył. Widać reporter przyszedł później, bo jako przewodniczącego wymieniono w gazecie posła Kłosa. Na ostatniej stronie zuważył nekrologi. Nazwiska miejscowych nieboszczyków nic mu nie mówiły. Wszędzie ktoś swój umiera. Popatrzył na lata: 63, 75 i nawet 90. Liczby te sprawiły mu pewną ulgę.

Wypił mleko i poszedł do domu.

Jadwinia się obudziła. Kot zaproponowała, żeby zjadł śniadanie przy jej łóżku. Przywitał się z córką. Dopiero teraz zauważył, gdy wydobyła ręce spod kołdry, jak bardzo schudła. Ramiona były jak kości obciągnięte skórą. Przypominała mu ofiary Oświęcimia. Starał się nie patrzeć na nią. Siedziała w łóżku w jakimś kaftaniczku pełnym szlarek, wśród których ginęła jej mysia twarzyczka. Paliły się tylko wielkie, czarne oczy. Miała szesnaście lat, a wyglądała na czternaście. Małe piersi podnosił krótki, urywany oddech.

— Tatek — zapytała przy herbacie — dlaczego ty porzuciłeś mamę?

Pancyr był zaskoczony tym pytaniem.

— Mama zawsze mówi, że ty ją porzuciłeś.

— Nie, kochanie, ja nie porzuciłem mamy. Rozstaliśmy się po prostu. Nie pasowaliśmy do siebie.

— Jak mężczyzna nie pasuje do kobiety — to co?

— Mieliśmy niezgodne charaktery.

— A ja z Marysiem będę pasowała. Na pewno.

— Nie zdaje się — zwątpił Pancyr. — Maryś to taki zdrowy byczek.

— A ja co? Ja jestem chora cieliczka. Ale pewnie nie zawsze będę chora.

— Oczywiście. Dzisiaj pojedziemy do profesora Pyry. On cię postawi na nogi.

— A potem pójdziemy na dancing?

— Na dancing, a po co?

— Pójdziemy na popołudniowy dancing do „Mlecznej Drogi". Ja co tydzień chodzę do „Mlecznej Drogi".

— Co tydzień chodzisz? Z kim?

— No, może nie co tydzień, ale chodzę. Z mamą, z Marysiem...

Kot wniosła gorące bułeczki.

— Nianiu — spytał inżynier — czy Jadwinia chodzi co tydzień na dancing?

Niania spojrzała uważnie na Henryka.

— Na tańce? Ale ona przecież prawie nie wychodzi. Ledwie na nogach się trzyma.

— Dlaczego mówisz takie rzeczy, Jadwiniu?

Jadwinia poczerwieniała gwałtownie i oczy miała pełne łez.

— No, bo chodzę, bo chodzę — powtarzała uparcie. — Kot o tym nic nie wie. Ja chodzę w tajemnicy, z Marysiem. Maryś tak ślicznie tańczy. I dzisiaj umówiłam się z Marysiem.

— Umówiłaś się z Marysiem. Kiedy? — nalegała okrutna piastunka.

— Telefonował wczoraj do mnie.

— Żadnych telefonów wczoraj nie było.

— A właśnie, że były. Proszę do mnie tak nie mówić. I proszę nie mówić, że ja się ledwo na nogach trzymam.

— Nikt tak nie mówi — wtrącił Pancyr.

— A właśnie, że mówi, ten przebrzydły Kot mówi. A jak ja będę dzisiaj tańczyła z Marysiem!

— Ale, będzie tańczyła — irytowała się Kot — od tygodnia z łóżka nie wstałaś.

Inżyniera gniewało to, że niańka brała na serio wszystko, co Jadwinia mówiła.

— Nianiu Walu — Kot nosił wspaniałe imię Walpurgi, ale nikt prócz Henryka tak jej nie nazywał — proszę nie dokuczać Jadwini. Niech sobie plecie.

— Wcale nie plotę — zamiotała się w łóżku dziewczynka — zaraz wstanę, ubiorę się i pójdę z Marysiem na dancing. Włożę mój nowy różowy kapelusik!

Kot zaniepokoiła się.

— Nie, nie. Dzisiaj jest chłodny wiatr. Włożysz swój biały kapturek albo najlepiej chusteczkę. W niebieskiej chusteczce jest tobie najbardziej twarzowo.

— Najbardziej twarzowo! — zmarszczyła usta dziewczynka. — Jak ona mówi, tatusiu. Tatek, zabierz mnie do Warszawy, ja tu zapomnę mówić po polsku. A przecie literatka musi mówić poprawnie.

— Ty moja literatka. — Pancyr nachylił się i pocałował córkę w czoło.

Znowu obleciał go ten przykry owocowy zapach. Chciał się wyprostować, ale Jadwinia jakimś małpim ruchem swej chudej ręki uchwyciła go za szyję. Spojrzał na nią z niepokojem.

W czarnych oczach małej zapalił się nagle dziki lęk. Z tym strachem w oczach wyglądała przerażająco. Zrobił jeszcze jeden wysiłek, aby się wyrwać, ale Jadwinia przyciągnęła jego ucho do swoich warg i szepnęła:

— Ale ja jeszcze nie zaraz umrę? Prawda, tatek?

Henryk usunął się wreszcie i po chwili odpowiedział:

— Jakie głupie myśli przychodzą ci do głowy. A niby to jesteś dorosła dziewczyna.

Profesor Pyra raz na miesiąc przyjeżdżał do Radogoszczy i przyjmował pacjentów w hotelu „Orbis". Urzędował w olbrzymim pokoju na pierwszym piętrze, w pokoju, o którym zawsze mówiono, że tu mieszkał Paderewski. Był to wysoki kolos, prawdziwa „komnata", o ośmiu olbrzymich oknach, wielkich jak wrota, z oszklonym, wychodzącym na główną ulicę wykuszem, w którym tkwiła dłoniasta, wielka palma w potężnej donicy. Stało tu pianino, wszędzie ustawione były hortensje i ogromne paprocie, podłogę przykrywał wielki,

czerwony dywan, a przy ścianie widniała malutka umywalka, w której zapewne z trudnością mieściły się olbrzymie ręce i olbrzymia twarz profesora Pyry. Profesor z punktualnością chronometru przyjmował zapisanych pacjentów o oznaczonej godzinie.

Pancyr z Jadwinią, która z trudnością dała się namówić na włożenie niebieskiej chusteczki, na kwadrans przed konsultacją stanęli w korytarzu przed potężnym pokojem. W korytarzu ustawiono krzesła, na których oczekiwali swej kolei pacjenci. Pancyr z Jadzią usiedli na razie w małym holiku, w dwóch obszernych fotelach. Jadwinia przycichła już od obiadu. Teraz siedząc na fotelu przechylała głowę niby ptak na gałęzi. Pancyr miał wrażenie, że przysłuchuje się ona jakiemuś wewnętrznemu głosowi. Miała poważny i skupiony wyraz twarzy.

Pancyr zastanawiał się nad tą zmianą, ale ukradkiem tylko łapał wyraz twarzy swej córki, bo wiedział, że to ją drażni. Za każdym razem jednak, gdy spozierał na nią, odczuwał ukłucie w sercu. Jadwinia ubrana wyglądała jeszcze gorzej niż w łóżku. Jej przezroczysta, woskowa cera zdawała się być papierowym abażurem, przez który przeświecało wątłe światło. Przy ustach pojawiły się duże, głębokie bruzdy, czoło zmarszczyło się w poprzeczne fałdy. Ale najgorszy był wyraz oczu. Trochę nieprzytomny i stale pełen lęku. Twarz Jadwini zawsze wyglądała tak, jakby się budziła ze strasznego snu. Przez cały dzień Henryk chciał jej powiedzieć jakieś dobre słowo i nie mógł znaleźć. Męczyło go to bardzo i odczuwał po raz pierwszy w życiu w stosunku do córki nieśmiałość, jak gdyby Jadwinia była jakąś wielką damą, wobec której nie wiedział, jak ma się zachować.

I teraz chciał dotknąć jej ręki, chciał do niej przemówić, gdy tak siedziała skurczona i cicha jak zasmucone zwierzątko, ale nie wiedział, jak to ma zrobić.

Niedługo miał czas nad tym się zastanawiać. Zegar gdzieś uderzył czwartą i profesor wyjrzał z drzwi zapraszając Jadwinię do środka. Inżynier poruszył się, ale profesor machnął na niego ręką. Więc został.

— To córeczka pana? — spytał siedzący za nim pacjent. — Ładna!

— Ładna — dodała z przekonaniem następna pacjentka. — Na co słabuje?

Ale Henryk udał, że nie słyszy pytań, i zamyślił się.

Córka. Co to znaczy? Co to znaczy w ogóle dziecko? Istota, którą powołało się do życia, to znaczy do cierpienia. Czy ma się prawo skazywać kogokolwiek — własne dziecko — na cierpienie i śmierć? Dlaczego koniecznie na cierpienie? Czy ten kopaniec z zakładu fryzjerskiego, czy hoża lady Gallux cierpi? Czy te nauczycielki z telefonami i telewizjami cierpią? Dlaczego Jadwinia musi się męczyć? Jakiś zaczątek buntu powstawał w nim, ale cóż ten bunt pomoże? Chora, cierpi, umrze — a on zdrów, cierpi, będzie żył. Tak się to tłamsi to życie.

Oględziny Jadwini trwały krótko. Wyszła przepłoszona z gabinetu, jakby skradającym się krokiem. I zaraz Henryk musiał wstać i iść do profesora na rozmowę. Tych parę kroków od fotela do drzwi było najdłuższą na świecie drogą, a przynajmniej najcięższą.

Dziwaczność wielkiego hotelowego pokoju uderzyła Henryka. Profesor przyjmował przy okrągłym, brzydkim, niby to współczesnym stoliku. Usiedli w olbrzymich fotelach naprzeciwko siebie. Przez chwilę trwało milczenie.

— Ja już ją znam — powiedział Pyra — poza tym znam ten przypadek, opisany był w naszym piśmie. Zupełnie niewytłumaczalna sprawa.

— Jaka? — uprzejmym tonem spytał Pancyr.

Profesor siedział w fotelu, jak wielka góra. W ogromnej twarzy świeciły jego małe, czarne oczki. W tej chwili przemknęło przez nie coś w rodzaju zniecierpliwienia. Pomilczał jeszcze, jakby jeszcze czekał na jakie słowo inżyniera. Potem skonstatował niechętnie:

— Organizm nie reaguje na insulinę.

— Czym to profesor może wytłumaczyć? — w dalszym ciągu z uprzejmością pytał Pancyr.

Profesor wzruszył ramionami.

— Nauka jest bezsilna — powiedział za niego Henryk.

— Pozostają te środki, które istniały przed wynalazkiem insuliny — wyrzekł profesor i zamyślił się. Nie patrzył na swojego rozmówcę, spoglądał ku oknu, za którym rozciągał się nad szarym domem PDT-u niepokalany lazur wiosennego nieba.

— To znaczy żadne — nagle zmienił ton Henryk.

— Żadne? Nie, trzeba ją dobrze odżywiać, dużo powietrza...

— Czy sądzi pan profesor, że jakaś kuracja klimatyczna?

— Ja nic nie sądzę. Jest jakiś nowy lek... Ale to końska kuracja.

— Nie da się tu zastosować?

— Może przyspieszyć proces...

— Jaki proces?

— Proces odkładania cukru.

Znowu milczeli przez chwilę.

— Więc moja córka musi umrzeć? — spytał półgłosem Henryk czując, że głos mu się łamie.

— Wszystkich nas to czeka — zauważył profesor.

— Ale nie w tym wieku.

— Później, wcześniej.

Profesor Pyra zrobił taki ruch, jakby się chciał podnieść. Henryk poczuł coś w rodzaju rozpaczy.

— Ta córka, profesorze, to wszystko, co mam.

Stary lekarz rozłożył ręce. Wyrażał tym bezradność.

— Mojego syna Niemcy zabili — zauważył cicho, znowu nie patrząc na Pancyra.

Henryk wstał.

— To trudno — powiedział. — Ile jestem panu dłużny?

— Dwieście złotych — odparł profesor.

Pancyr wyjął dwa banknoty z portfelu. Profesor wprawnym ruchem schował je do małej kasetki stojącej przy nim na stole.

— Dziękuję panu profesorowi — powiedział Pancyr.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Do widzenia, panie pośle — powiedział stary tonem ulgi.

Gdy Henryk wyszedł za drzwi, poszukał wzrokiem córki. Nie poznał jej w pierwszej chwili. Zrzuciła chusteczkę i włosy otoczyły w nieładzie jej twarz i głowę. Gorączka zaczynała widocznie występować wypiekami na jej policzki. A oczy miały gniewny i oczekujący wyraz. Potrząsnęła głową.

— No, chodź — powiedziała, gdy podszedł do niej — idziemy na dancing. Mama powiedziała, że będzie o piątej. Zaraz jest piąta.

Pancyr był tak speszony faktem, że przed chwilą nie poznał Jadwini, iż nie umiał znaleźć słów. Mała zniecierpliwiła się.

— No, chodź — powiedziała i wstała z fotela gwałtownie. Zachwiała się przy tym na słabych nogach.

Podał jej rękę i zeszli schodami na dół. Dancing znajdował się w tym samym gmachu, ale trzeba było wejść od ulicy. Dzień był przepiękny i na brzydkiej, kolorowej sali było względnie mało ludzi. Halina i lady Gallux siedziały już przy stoliku na samym brzegu parkietu.

Gdy usiedli przy stoliku, Henryk zapytał:

— Gdzież jest Maryś? Podobno się z nim umówiłaś?

— A, widziałam go nawet wchodząc — powiedziała Halina — ale jakoś do nas nie podszedł. Całe to umówienie się z Marysiem to po prostu wybieg.

— Nieprawda — twardo odpowiedziała Jadwinia — co ja jestem winna, że Maryś jest po prostu świnia? Umawia się i nie przychodzi.

— Jak ty się wyrażasz! — z oburzeniem powiedziała Halina.

— Ta dzisiejsza młodzież! — lady Gallux dolała oliwy do ognia.

Henryk zobaczył, że Jadwinia ma łzy w oczach. Zamówił kawę i ciastka, ale długo im ich nie przynosili. Orkiestra zagrała raz i drugi. Do stolika nikt nie podchodził. Pancyr widział, że dla Haliny jest to równie przykre, jak i dla Jadwini. Żal mu się zrobiło córki. Poszedł poszukać Marysia.

Zobaczył go przy barze. Siedział na wysokim stołku, obok niego jakichś dwóch jego kolegów. Zbliżył się do niego.

— Podobno umówiłeś się z Jadwinią — powiedział — dlaczego nie podejdziesz do naszego stolika?

— Nie umawiałem się z Jadwinią. — Maryś zaczerwienił się po czubki włosów. — Jadwini znowu się coś wydało.

Pancyrowi zrobiło się niewyraźnie.

— No, dobrze już, dobrze — pośpieszył załagodzić sprawę — zatańcz z nią choć raz, bo zaraz pójdziemy do domu. Ona nie czuje się dobrze.

Maryś poszedł za nim. Pancyr miał wrażenie, że prowadzi jakiegoś przestępcę. Ale orkiestra właśnie przestała grać. Maryś usiadł na piątego przy stoliku, było mu niewygodnie.

— Nauczyłaś się tańczyć? — spytał Jadwini.

— Zawsze umiałam — odpowiedziała przekornie.

Lady Gallux chciała zmienić temat rozmowy.

— Strasznie mi przykro, Jadwiniu, że musiałam zabrać ten różowy kapelusik, który ci wczoraj przyniosłam. Ale okazało się, że był odłożony dla żony dyrektora Galluxu. Miałam straszne o to piekło.

Jadwinia pobladła.

— Jak to? Zabrała pani różowy kapelusik?

— Ty jeszcze spałaś. Mama mi go dała. Musiałam go zaraz oddać dyrektorowej, bo jechała do Warszawy samochodem.

— Mama oddała mój różowy kapelusik? — zawołała histerycznie Jadwinia.— Jak mama mogła!

— Dlaczego oddałaś ten kapelusz? — spytał zirytowany Pancyr.

— Przecież słyszysz — odgryzła mu się Halina — był odłożony dla dyrektorowej.

— Ale przecie nasze dziecko ważniejsze — powiedział Pancyr.

— Ty ją zawsze demoralizujesz — mentorskim tonem wyrzekła Halina. — Jak można przy dziecku mówić, że ona jest ważniejsza.

Jadwinia miała pełne oczy łez. Siedzący przy sąsiednich stolikach patrzyli na nich z ciekawością. Maryś kręcił się na krześle.

— Chodźmy już — poprosiła Jadwinia — chodźmy zaraz. Zaraz do domu.

Dopiero teraz przyniesiono kawę, inżynier zaraz zapłacił. Jadwinia wstała pierwsza. Halina i lady Gallux nie ruszyły się. Pancyr zrozumiał.

— Ja odwiozę Jadwinię do domu i tam już z nią zostanę — powiedział — a ty pewnie jeszcze tu posiedzisz. Prawda?

Halina zgodziła się chętnie. W momencie kiedy Henryk z Jadwinią opuszczali salę, orkiestra zagrała tango. Widzieli jeszcze, jak Maryś ukłonił się Halinie i jak ona wstając majestatycznie położyła mu rękę na ramieniu.

Dostali zaraz taksówkę. Jadwinia milczała cały czas, nerwowo poprawiając pod brodą źle zawiązaną niebieską chusteczkę. Kiedy już skręcali w ulicę prowadzącą do ich domu, Jadwinia dotknęła kolana ojca.

— Tatek — powiedziała cichutko — zabierz mnie do Warszawy.

— Nie mogę — odpowiedział poważnie. — Musisz być z mamą.

— Kiedy mama jest taka zdrowa — westchnęła dziewczyna.

Kot otworzyła im drzwi i powiedziała, że przed chwilą dzwoniła sekretarka z Warszawy, że pan minister Dietrich prosi całe prezydium komisji budowlanej do siebie na dziewiątą rano. Pociąg z Radogoszczy przychodził do Warszawy o ósmej, wprost z kolei zatem musiał jechać do ministerstwa. Samochód urzędowy będzie czekał na dworcu.

Henryk poruszył się niecierpliwie.

— Trzeba było powiedzieć, że ja nie przyjadę.

— Nie myślałam — powiedziała Walpurga — myślałam, że ty pojedziesz.

— No, więc pojadę — zirytował się Pancyr. — Daj mi szklankę herbaty.

— Ale — zaprotestowała stara — muszę Jadwinię położyć do łóżka. Popatrz, jaka ona zgorączkowana.

— Trzeba jej zmierzyć gorączkę.

— Sama wiem bez ciebie, ale to niewiele pomoże. Zaczekaj chwilę.

Pancyr poszedł do stołowego i usiadł tam na kanapie. Potem przyłożył się na chwilę i zasnął. Gdy zbudził się, było ciemno. Przyszła Kot i zapaliła ciemnawe kinkiety.

— Co zjesz na kolację? — spytała.

— A jak Jadwinia? — odpowiedział pytaniem.

— Śpi teraz. Miała 38 i cztery. Bardzo zdenerwowana, wymyślała jakieś niestworzone rzeczy. Gadała na matkę.

— A co masz na kolację?

— Kwaśne mleko, ziemniaki, rzodkiewki...

— O, to świetnie. Jestem głodny. W domu nigdy nie dają mi kwaśnego mleka.

— W jakim domu? — spytała Kot.

— U mnie — odpowiedział.

— A, u ciebie — z ironią jęknęła stara niańka. — To pewno nie jesteś u siebie, jeżeli ci nie dają tego, co lubisz.

— Co ty tam wiesz — powiedział Pancyr i machnął ręką.

Po kolacji poszedł do pokoju śpiącej Jadwini i przesiedział tam ze dwie godziny. Mała nie budziła się, ale Henryk odsunął się od łóżka, aby nie słyszeć jej krótkiego oddechu. Wyglądała znowu okropnie, jak umarła. Trudno powtórzyć, co przez ten czas myślał Henryk. W głowie miał pewien chaos, jak zawsze, kiedy wyrywał się z określonych ram swej ożywionej działalności. Bez tych ram myśli jego rozpływały się w bezkształtną mgłę. Przypomniał sobie swoje dzieciństwo i młodość. Te lata, które miała teraz Jadwinia, były zupełnie inne niż u niej. To były jego najszczęśliwsze lata.

Pociąg odchodził o czwartej. Nie warto się było rozbierać. Henryk koło jedenastej poszedł do stołowego i znowu się przyłożył na kanapce. Kot zbudziła przedtem Jadwinię i dała jej herbaty i kawałek gotowanej kury. Ale Jadwinia ledwie jadła i potem znowu popadła w niezdrowy, gorączkowy sen.

Późno w nocy zjawiła się Halina. Usiadła przy stole i piła zimną herbatę. Z pewnego rodzaju pogardą patrzyła na eks-męża, leżącego na kanapie po drugiej stronie stołu. Miała skupiony wyraz i kamienne rysy zdawały się zastygać w martwocie. Znowu wydała mu się bardzo piękna.

— Widziałem twoje ostatnie obrazy — powiedział Pancyr — klasa.

— Tu można malować — z ironią powiedziała Halina.

— Widocznie można, skoro ci tak dobrze idzie.

— Zmarnowałeś mi życie — powiedziała ona pomiędzy jednym łykiem herbaty a drugim.

— Mogę tobie powiedzieć to samo.

A po chwili dodał:

— Mój zarzut jest bardziej uzasadniony od twego.

— Nie wiadomo.

— To dziecko umrze — szepnął Pancyr.

— Wiem — twardo powiedziała Halina.

— Jesteś obojętną matką.

— Od ciebie się nauczyłam. Cóż ja na to poradzę?

— A co niby ja?

— Zawsze byłeś taki zimny, taki obłudny.

— A ty?

— Nie zaczynajmy zresztą. To odwieczne żale.

— Co malujesz teraz?

— Akt.

— Marysia?

— Tak, akt Marysia. On dobrze pozuje.

— To szczęśliwie, że znalazłaś dobry model.

Milczeli przez chwilę.

— Jakby było gorzej, to daj mi znać.

— Jest gorzej.

— Ale ja muszę jechać.

— Skoro musisz.

— Jutro muszę być u Dietricha. To wciąż ta sprawa węzła warszawskiego.

— Budujecie Dworzec Główny?

— Do dworca jeszcze daleko.
— Kot ci da znać. Ona lubi depeszować. Wyżywa się w cichych dramatach.
— Miała puste życie.
— Jak wszyscy.
— Wszyscy?
— Wszyscy koło ciebie. Zamrażasz cudze życia.
— Muszę już jechać. Nie wiem, czy dostanę taksę.
— Jeszcze wcześnie.

Wstał z kanapki i wyniósł do przedpokoju zapakowany neseser. Kot wyszła z kuchni z paczką „zapasów" na drogę.

— Kochana — powiedział Pancyr — przecież ja w nocy nie będę jadł.
— A rano? — zaargumentowała Walpurga.

Pancyr z westchnieniem przyjął papierową torbę, starannie owiniętą szpagatem. Wszedł jeszcze do Jadwini.

Światło padało z sąsiedniego pokoju, blask był słaby i wszystkie kolory blakły. Może dlatego kolor twarzy Jadwini wydał mu się naturalniejszy. A może dlatego, że spała w naturalniejszej pozie, na boku, z nogami lekko podkurczonymi i z dłońmi podłożonymi pod policzek. W tym skrócie twarz jej nie miała tego przykrego, chorobliwego, mysiego wyrazu. Pukle włosów rozrzuciły się harmonijnie i wydawała się prawie ładna. Oddychała także nieco równiej.

„Może to nam się tylko tak wszystko wydaje" — z ulgą pomyślał inżynier.

Ale w tej chwili Jadwinia poruszyła się, jak pływak w wodzie, ręce wyciągnęła spod policzka, zmarszczyła brwi i twarz jej nabrała bolesnego i okrutnego wyrazu. Widać było, że cierpi we śnie. Jednak zaraz się uspokoiła. Spała dalej.

Henryk wyszedł. Gdy otwierał drzwi na klatkę schodową, poczuł na szyi czyjeś ręce. Stara niańka objęła go za szyję i przytuliła się do jego ramienia.

— Henryk, co to będzie? — szepnęła.
— Nic nie będzie — powiedział — wszystko przejdzie.

I zatrzasnął drzwi za sobą.

Taksówkę znalazł od razu. Wiózł go młody, raźny, gadatliwy szofer. Widać znał go z widzenia, bo tytułował go panem posłem i zaniechał szoferskich wydziwiań pod adresem reżimu.

— Cóż, panie pośle, krótko pan bawił w Radogoszczy?
— A krótko.
— W Warszawie to można się zabawić. Co?
— Inne rzeczy mam w głowie.
— Pewnie. Ale zabawić się też czasem warto, nie?

Na dworcu było sennie i brudno. Pociąg już stał przy peronie. Henryk usiadł w przedziale i zgasił światło. Za oknem ukazała się ciemna, ciepła, granatowa noc wiosenna. Niebo pokryte białymi chmurami od czasu do czasu ukazywało w przerwach między nimi bukiety złotych gwiazd. Było bardzo pięknie na dworze.

W sąsiednim przedziale dwóch starych kolejarzy grało w tysiąca. Trzeci im towarzyszył i przygadywał wesoło. Starzy się śmieli.

Ale w wagonie było zimno. Pancyr przykrył nogi płaszczem, oparł głowę o oparcie i usiłował zasnąć. Nie udawało mu się to, dopóki pociąg nie ruszył i nie nabrał biegu.

Jarosław Iwaszkiewicz

Arnold Słucki

TRAGEDIA SOWIZDRZALSKA

Chodził z pękiem kluczyków zawieszonym u szyi,
a kluczyki dzwoniły głosem niczyim,
szedł poprzez hardy swój śmiech —
ni to kanclerz czarnego, niedostępnego świata,
ni to sędzia ulepiony z gliny i światła: —
książę na poetyckiej Złotoryi.

A rzecz była jak w teatrze italska,
a rzecz była do łez sowizdrzalska
i był rygor
w wesołym płaczu kluczyków
na wietrze.

Szedł przez świat, jak idzie światło przez powietrze,
i tylko oglądał się, gdzie obłok, gdzie ślad - - - -

CIERPIENIA HOCHSZTAPLERA

Rano słyszeli przez ścianę, jak śpiewał arie — sąsiedzi,
w południe widziało go słońce na bruku w środku miasta,
pod wieczór goniły go sny niczym jaskry z zielonej miedzi,
w nocy pękał jak łąka na wiosnę i tonął jak gwiazda.

Została po nim legenda nie zweryfikowana nigdzie —
dzwon zatopiony ojcostwa i płaczu zerwane segmenty.
Czasem go pokazują ludzie palcami, że idzie:
jest blady, dziewczęta się śmieją, jak butle wesołej lawendy.

Arnold Słucki

Stanisław Zieliński

CIASTKO Z KREMEM

Ponad drogą Irpień płynie,
Za Irpieniem wał wzniesiony,
A za wałem oko ginie
I kijowskie słychać dzwony.
(Stara piosenka)

Pewnego dnia zamiast krzyknąć: „Już jestem, czy to mama wołała na obiad?", kichnąłem przeraźliwie głośno. Babunia poruszyła się w fotelu. Spojrzawszy znad okularów powiedziała surowo:

— Co za okropne dziecko, znowu kicha... W Kijowie o tej porze roku na pewno nie miałby kataru.

O Kijowie mówiło się ciągle. Dorośli wracali tam przy każdej okazji. Kijowski miraż unosił się nad równinnym krajobrazem Warszawy. Wszystko dawało powód do porównań i do wspomnień.

Kijowianie odwiedzali nas często. Ich rozmowy kończyły się zwykle westchnieniem pełnym sentymentu. Przysłuchiwałem się nie odczuwając ani tęsknoty, ani wzruszenia. Byłem mały. Kijowskie dzieciństwo wydawało mi się równie odległe, jak czasy, w których rzeka Irpień wytyczała granicę Rzeczypospolitej. Kresowym przyjaźniom muszę oddać sprawiedliwość: trwały aż do śmierci.

Puszczałem mimo uszu nazwy dzielnic, ulic, zaułków. Mówiąc o Kijowie dorośli mrużyli oczy. Próbowałem ich naśladować, lecz nic z tego nie wychodziło. A tak chciałem zobaczyć choć raz to, co z całą pewnością dostrzegali starsi.

Po południu słońce chyląc się za kijowskie wzgórza rozpalało zielone i złote kopuły. Cienie wież zsuwały się na Padół i na Dniepr, a piaski Truchanowskiej Wyspy nabierały złocistego blasku. O tej porze, gdzieś koło piątej, zaczynał się ruch na przystaniach. Jeden za drugim odzywały się parostatki zapowiadając rychły odjazd. Oto już rusza ogromny, biały „Sławianin". Odpływa do Ekaterynosławia z tysiącem pątników wracających z Ławry. W chwilę później odbija „Nikołaj", też biały i też bardzo duży. Mniejsze statki zwracają się dziobem w górę rzeki. Płyną do Czernihowa nad Desną, do Orszy, do Czarnobyla nad Prypecią.

Parowce zaorały Dniepr. Strome fale kołyszą łodziami, potrząsają bajdar-

kami, syczą na piaskach, uderzają w przycumowane u brzegu berlinki, pełne kawonów i smoleńskich antonówek. Na galarach targ trwa do zmroku. Wybredne gospodynie przebierają w jabłkach, próbują kawony. „Dobry kawon po naciśnięciu powinien zatrzeszczeć. Antonówki kupowało się na pudy, kawony na setki"...

To było dla mnie prawdziwe niemieckie kazanie. Pudy, wiorsty, dziesięciny i wiadra myliły mi się ciągle. Nie mogłem zrozumieć, po co tak dawniej komplikowano życie?

— Od tego przeliczania mogła głowa pęknąć... — powiedziałem kiedyś. — Z kilogramów na pudy, z kilometrów na wiorsty i mile. A jeszcze te arszyny i te jakieś wiadra...

— Co ty pleciesz? Nic nie pamiętasz? Nic a nic?

Braku zainteresowania nie brano mi za złe. Czułem jednak, że moja obojętność wobec „spraw kijowskich" sprawia rodzicom przykrość. Nic na to nie mogłem poradzić. Oni byli jeszcze z Kijowa, a ja już z Warszawy. Spod kijowskiej panoramy, spod cebulastych kopuł i znad obcej rzeki — uciekałem na róg, do budki po lizaki i na kwas. Kupowałem tylko zielone. Zresztą za zielonymi przepadali wszyscy. Zieloną farbę robiono podobno na arszeniku i dlatego o zielone cukierki zawsze wybuchała awantura w domu. Z tego samego powodu nie malowano u nas na zielono wielkanocnych jajek.

— Proszę o zielony, o bardzo zielony — mówiłem grubym głosem do pani Brykowej z budki.

Ale potem, przy rozwijaniu lizaka z papierka, pociły się palce i mróz właził za koszulę. Trzeba było nadrabiać miną.

— A jak się otruję? Ale będzie heca, o rany...

— Phi, oblizałem raz całego muchomora i nic mi nie było.

Stłumiwszy niepokój, lizaliśmy na wyścigi. Dziewczynki cmokały cytrynowe, a lizaki czerwone cieszyły się powodzeniem wśród jędzowatych nianiek. Złe kobiety podtykały malinowe świństwo tupiącym ze złości berbeciom.

— Liźnij, Lolunia, bo czerwone dobre.

Obrzydzenie brało. Każdy wiedział, że malinowe są z buraków i na sacharynie. Zielony lizak popijało się kwasem. Warszawski kwas chlebny, „choć nie umywał się nawet do kijowskiego", smakował wyśmienicie. Po pierwszym łyku zapominałem o Kijowie. Wracałem do domu z pustą głową i mogłem słuchać od początku.

Jedynym punktem zaczepienia dla moich uczuć, niestałych i chwiejnych, była forteca na Peczersku. Moja ścieżka w przeszłość prowadziła przez most nad fosą. W fortecznym gmachu, zwanym Mikołajowską Bramą, przesiedział pięć lat mój dziadek za udział w Powstaniu. Peczersk wbił się w pamięć. Wiele lat później, kiedy po raz drugi znalazłem się w Kijowie (Kijów wydał mi się wtedy znajomy, przypominał Lwów), próbowałem odszukać ślady wiekowej warowni. Wszystko się jednak zmieniło. Nie było już ani kijowskiej cytadeli, ani mostu łańcuchowego na Dnieprze.

Most łańcuchowy, nawet przez Europę uznany za „jeden z najładniejszych" (model posłano do Londynu i wystawiono w Pałacu Kryształowym), zbudował Anglik. Włoch zaprojektował najpiękniejszy zabytek architektoniczny miasta — cerkiew św. Andrzeja (podczas remontu, gdy przyszło do wymiany spróchniałych belek na żelazo, spartolono główną kopułę i włoską

cerkiew ubrano w ruską rzepę. Mimo licznych poprawek i gorliwej dłubaniny, nie udało się nadać kopule dawnej smukłości i strzelistych kształtów). Z polskich pieniędzy, z Krzemieńca i wileńskiej akademii, powstał kijowski uniwersytet. A cytadelę zafundował miastu car Mikołaj Pierwszy. Car własnoręcznie kreślił plany fortów i kazamat. Osobiście doglądał robót i dyrygował budowniczymi.

Czas pewien zaliczano Peczersk do pierwszorzędnych twierdz Rosji, lecz groźne fortece starzeją się również i prędko schodzą na psy. Zdziadziała więc i kijowska. W latach dziewięćdziesiątych zeszła do roli „składu fortecznego". W budynkach ulokowano fabrykę armat oraz oddziały artylerii i saperów. Przy bramie, zgodnie z carską modą, wystawiono na widok publiczny „zasłużone pontony". Na tych pontonach wojska rosyjskie, idąc przeciw Turkom, pokonywały Dunaj w roku 1877. Z obronnej świetności pozostały cytadeli fosa zarośnięta trawą i zwodzony most.

Może istniały jeszcze inne drogi z fortecy do miasta. Byłem jednak pewien, że dziadek opuścił cytadelę przez zwodzony most. Uwolnienie nastąpiło w okolicznościach dopasowanych ściśle do miejsca i zgodnych z duchem czasów. Niespodziewanie przybył na Peczersk brat cesarza. Podczas inspekcji lochów i kazamat natrafił wielki książę na „kamienny worek". Tak nazywano celę bez okna, ciasną, z sufitem na wysokości ramion dorosłego mężczyzny. W kamiennym worku spędził dziad osiemnaście miesięcy. Była to dodatkowa kara za próbę buntu.

Dostojny gość przekreślił wszystko jednym słowem. Kazał wypuścić. Rozkaz spełniono natychmiast. Nieprzytomnego więźnia wypchnięto poza mury. Oślepiony słońcem, ścięty z nóg powiewem świeżego powietrza, więzień zatoczył się i upadł. Wielki książę kazał zwolnić, nie kazał czynić nic więcej. Gdy wartownicy zatrzasnęli bramę, nad leżącym zebrali się przechodnie. Potem nadjechał furgon z chlebem. Piekarz wziął dziadka na wóz i zawiózł do miasta.

Dalej potoczyło się wszystko normalnym trybem. Paszport ze stemplem *„bywszij miatieżnik"* wytyczał kierunek na wschód. Kiedy stał się możliwy powrót do „zachodnich prowincji", wrócił dziad na Ukrainę. Nad Salichą, pod Borodianką, Koszowatą, w okolicach Berdyczowa kryły się po lasach samotne kurhany, mogiły powstańców z roku 1863. Na trakcie pomiędzy Płoskirowem a Kamieńcem sterczały jeszcze opłotki osad, których mieszkańców wysiedlono na Sybir ukazem carskim, wymierzającym kary za Powstanie. Przez kraj pełen wspomnień ciągnęła rodzina dziadka w okolice Kijowa. Po trzech latach progimnazjum w Głuchowie i po roku w Sumach trzeba było pomyśleć o jakiejś porządnej szkole dla mego ojca. Wybrano kijowskie Pierwsze Gimnazjum.

W tych ciągłych przeprowadzkach, wśród codziennych kłopotów zagubiła się cała powstańcza historia. Co było przed Peczerskiem? — pytałem często. Spodziewałem się opisów bitew i potyczek. Chciałem usłyszeć tętent idących cwałem koni. Chciałem zobaczyć błysk powstańczej szabli. Każdy miał chyba taki okres w życiu, że blask dobytej szabli uznawał za blask najbardziej jasny.

Opowiadano mi bardzo nudne rzeczy. Z zawiedzioną miną słuchałem o jazdach z powiatu do powiatu, o łączności, jaką „partia" Popowskiego (pod Popowskim służył dziadek), działająca w berdyczowskim powiecie, utrzymy-

wała z oddziałami w innych okolicach. W połowie 1863, zdaje się, że w czerwcu, partię rozbito. Jak tam było naprawdę, nikt mi już opowiedzieć nie umiał. Z pewnością wiedziała kiedyś babunia, lecz wiek zrobił swoje, zdążyła zapomnieć i ona. Dziadek spisał wspomnienia. Papier był dobry i schowanie pewne, a mimo to diabli pamiętniki wzięli. Zabrała je carska żandarmeria podczas rewizji w 1912 roku.

Dziadek doczekał się obalenia caratu. Szedł w pierwszym szeregu rewolucyjnego pochodu wiosną 1917. Doczekał się również wolnej Polski, ale do Polski już nie dojechał. Wśród nielicznych pamiątek, jakie z Kijowa przywieźliśmy do Warszawy, na pierwszym miejscu figurował szeroki pas z prostą, ręcznie kutą klamrą. Uznałem z miejsca, że jest to pas powstańczy najprawdziwszy w świecie.

— Patrzcie — mówiłem kolegom wpatrzonym w pamiątkę — tu ślady po capciach, a tam, z drugiej strony, ślad po rewolwerze.

Pas robił wrażenie. Pokazywałem go od wielkiego święta. Za każdym razem powstawał spór, czy szablę nosi się przy prawym, czy przy lewym boku. Z tego powodu wszyscy po kolei okręcali się rzemieniem, żeby przekonać się namacalnie, gdzie szabli właściwe miejsce. Którejś niedzieli, kiedy bawiliśmy się w ogródku, przyszedł mały Kuna. Wytrzeszczył oczy i powiedział z głupawym uśmiechem:

— Tu plama i tam plama.

Poczułem, że to się źle skończy. Mały Kuna miał tego dnia wyjątkowo bezczelną gębę.

— To jest pas z Powstania! — krzyknął Tadzik drżącym głosem.

— Na teczce tatusia też są tłuste plamy z masła.

Tego mieli już wszyscy dosyć. Mały Kuna dostał w ucho i nic mu się nie pokazywało więcej. Wkrótce pokazywanie pasa skończyło się w ogóle. Straciłem serce do pamiątki. Na pytania kolegów odpowiadałem tajemniczo:

— Oddało się do muzeum, bo będzie wielka wystawa.

W rzeczywistości sprawa wyglądała znacznie smutniej. Po awanturze, jaką wywołał mały Kuna (wrzeszczał pod oknem, jakby mu ktoś nasikał do ucha), zabroniono mi „kłamstw i cygaństw kosztem dziadka". Musiałem pogodzić się z faktem, że pas pochodzi z czasów późniejszych i z przeszłością powstańczą nic nie ma wspólnego. Cała wartość pamiątki sprowadzała się do klamry wykonanej własnoręcznie przez dziadka. „Powstańczy pas" powędrował do szuflady i przeleżał w niej aż do następnego powstania, Powstania Warszawskiego.

Pozbawiony oparcia, bo zarówno rzeczy, jak opisów, zostałem skazany na własną wyobraźnię. Brak wiadomości o działaniach partii Popowskiego psuł mi szyki, a służba łączności dawała kiepskie pole do popisu. Jak wyglądało „jeżdżenie z powiatu do powiatu"? Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Ale bardzo lubiłem dziadka. Nie mogłem zostawić staruszka, ot tak, bez niczego...

— Galopuje dziadek z powiatu do powiatu w bardzo ważnej sprawie, aż tu nagle rosyjski generał nadjeżdża z przeciwka. Dziadek nic, ani słówka. Pamięta, że ma do spełnienia tajne polecenie. Ale generał pcha szkapę na wierzchowca dziadka i woła: „Z drogi, widzisz ty, kto jedzie?" W dziadka jakby piorun strzelił. Dał koniowi ostrogę, a generałowi w pysk. Generał jęknął: „Hospody!...", upuścił nahajkę i fajt z konia w piach. Nadleciał ordynans, wziął pana za cholewy i pociągnął po trakcie do żydowskiej karczmy.

Tam, z onucy namoczonej w kwaśnym mleku, zrobiono generałowi okład i dano do picia lipowy kwiat na poty. A tymczasem dziadek, przez pola i lasy, galopował z powiatu do powiatu w ważnej, tajnej misji. Naturalnie, ścigali dziadka dragoni, huzarzy i sfora kozaków.

— I co, złapali?

— Innym razem. A generał, choć się spodziewał medalu i nagrody w rublach, poszedł na emeryturę. Podczas parady car zobaczywszy napuchniętą gębę krzyknął: *„Paszoł won”*, i przez fligiel-adiutanta posłał generalinie kopniaka. Generał zawył i na zawsze znikł sprzed Najwyższych Oczu.

Scena generalska cieszyła się wielkim powodzeniem wśród moich kolegów. Często wołali pod oknem:

— Chodź się bawić... Opowiedz o tym generale, co dostał po mordzie. Weź wszystkie pułki i dużą armatkę.

— Ciszej... — upominałem dając ostrzegawcze znaki. — U nas w domu nie lubią się chwalić.

Pakowałem do kieszeni ołowiane wojsko i z przyjacielem od serca biegłem do ogródka pod czarne porzeczki. Krzaki pachniały pluskwami.

— Ale fajnie śmierdzi! Czujesz?

— Klawy smród. W żadnym ogródku takiego nie ma!

— Pewnie! Czarne porzeczki to smrodynie.

Ustawialiśmy piechurów i jazdę, sypaliśmy szańce, ryliśmy okopy. A potem strzelaliśmy na zmianę z armatki, do której były tekturowe ładunki z odrobiną prochu i króciutkim lontem. Scena z generałem i pościg kozaków za dziadkiem zamieniały się w wielką bitwę z udziałem artylerii i wojsk kolonialnych. Mam nadzieję, że staruszek oglądając z nieba ogródkowe wojny uśmiechał się pobłażliwie i wybaczał drobne nieścisłości. Gdy zwycięstwo zaczynało się chylić na stronę rosyjską, sięgałem po ostatnią rezerwę.

— Bardzo dziadka przepraszam — mówiłem cicho — ale muszę Indian wyjąć z pudełka.

Indianie wypadali z zasadzki i na drobną kaszkę rąbali huzarów razem z kozakami. Wszystko kończyło się dobrze. Na listę powstańczych sukcesów wpisywało się jeszcze jedno, ciężko wywalczone zwycięstwo. Indianie, jako przyzwoici ludzie, trzymali zawsze z powstańcami.

Znudziły się bitwy pod czarnymi porzeczkami. Przyszła moda na strzelanie z łuku. A w domu kijowskie wspomnienia bębniły w moją łepetynę z uporem jesiennego deszczu. Uwierzyłem w końcu, że pamiętam, że widziałem na własne oczy. Obudziłem się z tym, tak jak dorośli budzą się z bólem głowy. Bez mrużenia oczu dostrzegłem to, co widzieli dawniej tylko starsi. Razem z rodzicami wchodziłem na Włodzimierską Górkę i patrzyłem na wezbrany Dniepr. Wiosenne wody sięgały aż po atramentową smugę czernihowskich lasów. Przybór pochłaniał równiny. Rzeka płynęła szeroko jak morze. Nad wodę wystawały tylko wzniesienia i budynki Truchanowskiej Wyspy.

Uwierzywszy, zacząłem się wtrącać. Kiedy w rozmowie padało słowo „kontrakty”, paplałem bez namysłu:

— Wiem, wiem, pamiętam. To taki wielki jarmark. Odbywał się w Kijowie raz do roku, w lutym. Na kontrakty zjeżdżali się ziemianie i kupcy, a dorośli kupowali w „domu kontraktowym” słynne pierniki tulskie albo wiaziemskie, bardzo lubiane przez dzieci. Pierniki tulskie wcale nie były

z Tuły ani wiaziemskie z Wiaźmy. Jedne i drugie wyrabiano na przedmieściach Kijowa. A w ogóle pierniki nie były piernikami, bo kijowskie pierniki to suche ciasteczka przekładane konfiturami lub marmoladą...

— Okazuje się, że z jego pamięcią nie jest aż tak źle... — powiedział na to mój cioteczny brat. — Słyszy ciocia, co on plecie? Ani się zająknie.

— A pewnie! Tylko tobie się zdaje, że w domu rośnie skończona jołopa! Wiem, pamiętam! Wszystko pamiętam, nawet słynne kijowskie „suche konfitury" wyrabiane przez firmę Bałabuchów. Smakowały wyśmienicie, ale były piekielnie drogie. Słone konfitury, tak je nazywano, bo funt kosztował...

— Bezczelność — mruknął cioteczny brat.

— Buba, nie kop! — krzyknąłem na wszelki wypadek i obrażony wyszedłem z domu.

Na końcu naszej uliczki, za pudłem „nowego śmietnika", zastałem całą paczkę. Chłopcy siedzieli w kucki i słuchali grubasa, na którego wołało się Bułka. Bułka opowiadał, że widział straż jadącą do wielkiego pożaru po drugiej stronie lotniska. Gadał, gadał, nie mogłem doczekać się końca. Kiedy Bułkę na chwilę zatkało, wyrzuciłem jednym tchem:

— Phi, w Kijowie, to była dopiero straż! Każdy cyrkuł miał konie innej maści. Najszybsze konie miała ochotnicza straż. Mówię wam, jak ochotnicza jechała do pożaru, to ogień leciał spod kopyt, przechodniom fruwały kapelusze i dudniła ziemia. Taki wiatr robiła ochotnicza, tak prędko jechała!... A za strażą biegli ludzie, wołali: *„Dawaj, dawaj!..."*.

Bułka strzyknął przez zęby. Celował w moje buciki, ale coś mu nie wyszło i opluł sobie brodę. Zacząłem się śmiać, bo to wstyd, żeby taki duży chłopiec nie potrafił komuś opluć butów. Buła rozzłościł się i do mnie:

— Gdzie to było? Gdzieś ty widział to fruwanie kapeluszy i te śmigłe konie?

— Jak to gdzie? U nas, w Kijowie.

— Ty, nie bądź taki ataman, bo się obudzisz z ręką w nocniku.

— Bułka srułka! Wszystko kłamstwo! Cały dzień patrzyłem na samoloty, za lotniskiem nic się nie dymiło!

Wróciłem do domu z rozbitym nosem i oberwanym kołnierzem. W drzwiach spotkałem się z mamą. Na odwrót i włażenie oknem było już za późno. Mama załamała ręce.

— Znowu? Z kim?

— Z nikim. Szedłem spokojnie uliczką, aż tu raptem zza śmietnika wyskoczył jakiś obcy, duży chłopiec i popchnął mnie obcasem w nos.

— Popchnął w nos? Obcasem?

— Mówiłem mamie, że to był bardzo duży chłopiec.

— O co poszło?

Najgorsze są te tłumaczenia. Wolę dwa rozbite nosy niż jedno opowiadanie o jednym lekko uszkodzonym nosie. Trzeba na poczekaniu, kiedy wszystko boli i bardzo chce się płakać, wymyślić bajdę dla dorosłych z początkiem i końcem. Nos piekł. Czułem się tak, jakbym zamiast chustki użył rozpalonej fajerki. Wysiliłem się jednak na uśmiech i odpowiedziałem krótko, że poszło o Kijów.

Mama machnęła ręką i znowu westchnęła.

— O Kijów, mój Boże... Co wam przychodzi do głowy? Kijów tak daleko...

Z początku mieszkaliśmy na Proreznej, w wysokim domu tuż przy Kreszczatyku, obok poczty głównej. Tam nas złapało styczniowe bombardowanie miasta w roku 1918. Wojska „samostijnej" Ukrainy poniosły klęskę pod Krutami na Czernihowszczyźnie. Bolszewicy podeszli od strony Darnicy i zza Dniepru walnęli po Kijowie ze swoich baterii. Pojedynek artyleryjski trwał trzy dni. Dygotały mury, drżała ziemia. Wibrowało powietrze, wstrząsane podmuchem wystrzałów i wybuchów. Podczas największego nasilenia ognia, kiedy świst przelatujących nad domem pocisków stawał się już nie do wytrzymania, znoszono mnie do „podwałów" pod sklepem Gerszmana. Razem z innymi mieszkańcami kamienicy przeczekiwaliśmy huraganowy ogień czerwonej artylerii.

Podobno zachowywałem się spokojnie. Uśmiechałem się do otaczających mnie ludzi i beztrosko bawiłem się rudą brodą starego Żyda.

— Na „bombardirowkę" bardzo dobre dziecko. Ono się śmieje, choć tutaj nie ma nic śmiesznego. Nie płacze, to także bardzo dobrze. Ja nie mam nic przeciwko temu, że jemu podoba się moja broda. Niech się bawi.

Pociski padały gęsto. Żaden nie trafił w dom. Wyszła cało także główna poczta. Tylko jeden pocisk pacnął tuż przy okienku naszej sutereny. Bluznęło śniegem, błotem. W piwnicy pociemniało. Ktoś krzyknął: „Niewybuch!", i ludzie odetchnęli.

— Ja czuję, że to się wszystko dobrze skończy — powiedział właściciel pięknej brody.

Na ulicy hurkotały armaty i jaszczyki. Ukraińskie baterie, uciekając spod bolszewickich salw, zmieniały co chwila stanowiska.

Trzeciego dnia nad hukiem dział wziął górę jazgot kulomiotów. Czerwona piechota ruszyła przez zamarznięty Dniepr. Pod ogniem ukraińskich maszynek oddziały pułkownika Murawiewa sforsowały rzekę i wdarły się do miasta. Centralna Rada dała drapaka gdzieś pod Korosteń i Żytomierz. Skończyła się *„samostijnost'"*. Flagi niebiesko-żółte znikły z domów. Na Placu Kreszczatyckim, nad ratuszem, w podmuchach lodowatego wiatru łopotał czerwony sztandar bolszewików.

W wysokim domu zostaliśmy do lata. Nowe mieszkanie mieściło się na Łukjanówce. Ulica nazywała się Dorohożycka i tuż za naszym domkiem przechodziła w drogę biegnącą polami do Syrca. Oficynę od podwórza zajmował piekarz. Okna pokoju wychodziły na dziedziniec Koszar Tyraspolskich. Z przeciwnej strony widać było Lasek Kiryłowski otaczający zabudowania szpitala wariatów. Daleko do miasta, blisko na cmentarz, ale na cmentarz żydowski, więc wygoda żadna. Może tam, na Dorohożyckiej, było coś jeszcze godnego uwagi, ale — albo zapomniano mi o tym opowiedzieć, albo ja zapomniałem zapamiętać. Szczerze mówiąc, nawet tego piekarza nie mogę sobie przypomnieć. Kiedy teraz o latach tych myślę, nabieram pewności, że bliskie sąsiedztwo koszar i kijowskich „czubków" musiało wywrzeć jakiś wpływ. Jaki? Nie wiem. Przekonałem się jednak, że odciski na mózgu przypominają się w odpowiednim momencie równie natrętnie, jak zwykłe odciski podczas forsownego marszu.

To, co się działo w Kijowie, mogło zaprowadzić do „czubków" normalnego człowieka. Robiły się ludziom takie odciski na mózgu, że kapelusz nie wchodził na głowę. Coraz to nowa władza sięgała po miasto. Przy akompaniamencie dział i kulomiotów zmieniały się flagi nad ratuszem. Zmieniały się

pieniądze i coraz innych ludzi wieziono na śledztwo. Nowa władza od razu brała się za przeciwników.

Po bolszewikach wróciła Ukraina, ale już trochę inna, z hetmanem Skoropadskim i z Niemcami. Na ulicach pojawiły się kolumny piechoty w stalowych hełmach. Niemcy maszerowali jak maszyna. Pod ich ciężkim krokiem uginał się kijowski bruk. Pocieszano się, że to bawarskie pułki, a Bawarczycy, jak wiadomo, lubią dzieci i bardzo grzeczni są dla kobiet. Okazało się, że Niemcy lubili wszystko. Ładowali na wagony pszenicę, bydło i nawet czarnoziem. Transport za transportem odjeżdżał do Niemiec. Karne ekspedycje krążyły po wsiach. Wreszcie bolszewik Doncew zabił generała Eichhorna, dowódcę armii niemieckiej. Alianci kazali Niemcom opuścić „spichlerz Europy". Karne pułki zaczęły ładować się na eszelony.

Odeszli Niemcy, zabierając swego hetmana. Przyszli do Kijowa „hałyczanie" i „siczowi strilci" atamana Petlury. Stara Francuzka, którą rewolucja pozbawiła posady nauczycielki we dworze, nabawiła się wiecznej migreny z powodu tych ciągłych zmian.

— *Je me couche — les bolcheviques. Je me lève — Petroulala. Je me couche — Petroulala, je me lève — les bolcheviques!*

Francuzica trzęsła głową i uparcie nazywała Petlurę po swojemu Petrulalą. Starała się zrozumieć, ale połapanie się w kijowskich wydarzeniach przekraczało jej zachodnio-europejskie możliwości. Narzekała więc coraz częściej na ból głowy i wkrótce dostała zupełnego kręćka.

Mama i ja mieliśmy poważniejsze zmartwienie. Ojciec w „sprawach polskich" wyjechał do Odessy. Działania wojenne odcięły Kijów od południa. Przestały kursować pociągi, urwała się korespondencja. Siedzieliśmy w Kijowie nie mając żadnej wiadomości. W okresie niepokoju jedyną pociechę stanowiły listy nadchodzące we śnie. Przychodziły rzadko. Ich odczytanie pochłaniało wiele energii i rujnowało nerwy mamy. Każdy, kto choć raz otrzymał list we śnie, wie doskonale, ile nad takim listem trzeba się namęczyć!... Ile wysiłku trzeba włożyć w odcyfrowanie kilku słów z gęsto zapisanej kartki!... Wiadomości sennej poczty brzmiały uspokajająco. Potwierdziły się w parę miesięcy później, kiedy pociotek mamy przedostał się z Odessy do Kijowa.

— Wyjechał...

— Do Paryża — dopowiedziała mama.

Krewniak uniósł brwi. Chciał pewnie spytać, skąd już o tym wiemy, ale po krótkim wahaniu dał spokój i tylko pokiwał głową. Ludzie przestali bawić się w zdziwionych. Wszystko było możliwe. Wszystko mogło się zdarzyć. Daleki krewny opowiedział o spotkaniu z ojcem, opisał okoliczności towarzyszące wyjazdowi ojca z Odessy, powtórzył, co miał do powtórzenia, i wyniósł się przed zapadnięciem zmroku. O szarówce życie przechodnia kalkulowało się w granicach wartości jego butów. Ale i w podartych kapciach można się było przejechać do Bozi.

Zniechęceni do świata szukali ratunku w „konkrecie". Zabicie nieznajomego przechodnia, pozbawienie go życia bez przetrząsania kieszeni lub obdarcia z ubrania — było z pewnością konkretem. Konkret wypełniał pustkę i nieszczęśliwców zmęczonych poszukiwaniem „prawdy" wciągał znów w ludzkie, powszednie sprawy. O tym pamiętając, krewny mamy biegł do miasta. Oglądał się na wszystkie strony i ostrożnie obchodził każde skrzyżowanie.

Kiedy znikł z oczu, wróciliśmy do naszego zmartwienia nie wiedząc, czy cieszyć się, czy płakać. Słaba pociecha z ojca bawiącego w dalekim Paryżu, lecz z drugiej strony czasy z dnia na dzień stawały się coraz bardziej wariackie. Wariackie i niebezpieczne.

Głuche dudnienie armat grających pod Kijowem poprzedziło wkroczenie atamana Petlury. Hetmańskie odezwy wzywały pod broń młodych i starych. Zanosiło się na zacięty opór hetmańskiej załogi i długie oblężenie. I oto całkiem nagle zobaczono automobil z białą flagą. Samochód przemknął ulicami i popędził w kierunku, z którego nadchodził ataman. Miasto skapitulowało bez jednego strzału.

Petlura wszedł z cudownym obrazem Matki Boskiej. Odświętnie ubrane Ukrainki niosły ikony i śpiewały pieśni. Za babami człapała kawaleria, za jazdą wlokła się piechota, na końcu jechały małe, lecz hałaśliwe armatki. Wkroczenie przypominało trochę procesję, trochę jarmark.

W kilka tygodni później petlurowcy rzucili się do ucieczki. Obrabowawszy banki i sklepy jubilerskie wynieśli się z Kijowa. Ogłosili, że nie chcą „Złotego Kijowa" narażać na bombardowanie. Piątego lutego 1919, o piątej po południu wkroczyli znowu bolszewicy. Pół roku Kijów był w ich rękach, ale wojennych zmian nie przyszedł jeszcze kres. W sierpniu, pod naciskiem denikinowskiej ofensywy, armia czerwona oddała Kijów w ręce „białych".

Razem z denikinowską „Ochotniczą Armią" zjawili się petlurowcy. „Dobrowolcy" szli od strony Peczerska. W tym samym czasie Petlura zajmował stację kolejową. Ukraińcy uwinęli się prędzej, pierwsi wpadli na ratusz i pod złoconą figurą Michała Archanioła zatknęli swoją flagę. W kilka minut później przybiegli „dobrowolcy" i obok dwubarwnej zawiesili trójkolorową flagę carską. Przykładna zgoda trwała parę godzin. „Biali" rzucili się na petlurowców, zerwali flagę i przepędzili z miasta ukraińskie wojska. Rozżalony Petlura walnął na odchodnym ze wszystkich dział. Salwa, choć nie wyrządziła szkody, napędziła porządnego stracha, bo huk był silny.

W Kijowie pozostali „biali". Od razu zaczęło się wesołe życie. Ochotnicza armia pieniędzy miała w bród i znała się na spekulacji. Oficerowie handlowali czym się tylko dało. Otwierano lokal za lokalem. Zawodziły cygańskie kapele, z rozkosznym brzękiem pryskały rozbijane lustra, szampan i wódka płynęły strugą szeroką niby Dniepr. Bawili się denikinowcy jak za najlepszych czasów. A nawet lepiej, bo tylu café-chantanów nie było w Kijowie nigdy. Jednocześnie działała „kontr-razwiedka". Specjaliści w tropieniu wrogów „dawnego porządku" brali pod śledztwo każdego, kogo podejrzewali o pieniądze. Na życiu ludzkim dorabiali się tak, jak inni robili fortuny na „zarekwirowanym" cukrze lub w podobny sposób zdobytym spirytusie.

A bolszewicy zapadli w błotniste brzegi Irpienia. Czekali na sposobność, czekali zimy. Wisieli nad rozbawionym miastem zbierając siły do natarcia.

U nas, na Dorohożyckiej, działo się po staremu. Wieczorem przy „kopciłce" haftowanie modnych kolorowych kwiatów na pociętych obrusach i prześcieradłach. Rano zbieranie chrustu w Lasku Kiryłowskim. Potem wędrówka na targ, na który zjeżdżali się okoliczni chłopi na zamienny handel. Jesień 1919 roku była wyjątkowo ładna i długa. Prawie do zmroku bawiłem się w ogródku.

„Dobrowolcy" siedzieli w Kijowie jak pies na płocie. W pierwszych dniach

października bolszewicy zajęli letnisko Światoszyn. Czerwona bateria zaczęła ostrzeliwać miasto. Natarcie szło przez Łukjanówkę. Przed naszym domem denikinowcy ustawili kulomiot i bili wzdłuż ulicy. Postrzelawszy trochę, cofnęli się do miasta. O zmroku uzbrojone postacie zjawiły się w mieszkaniu. Byli to już bolszewicy. Zapaliwszy świece starannie oglądali ściany: szukali „carskich portretów". Nie znaleźli, zaczęli się więc zbierać do dalszego marszu. Raptem któremuś z krasnoarmiejców wpadła w oko podbita futrem kurta naszego sąsiada. Zima na karku, noce chłodne... Żołnierz nie namyślając się wiele wziął kurtę pod pachę i wyszedł bez słowa. Sąsiad, człowiek starszy i dobroduszny, lecz mocno uparty, pobiegł za żołnierzem. Nic z targów ani z prób „zamiany" (sąsiad, żeby odzyskać kurtę, oddawał palto i coś jeszcze). Wtedy sąsiad zwrócił się do dowódcy. Czerwony oficer spojrzał na sąsiada, obejrzał kurtę i kazał przyodziewek zwrócić. To było coś całkiem nowego. Żadne wojsko nikomu dotąd nic nie oddało. Oddziałek bolszewicki poszedł w kierunku śródmieścia. Karabinowa stukanina trwała aż do rana. Milczały jednak armaty i tylko z rzadka odzywał się gdzieś samotny kulomiot. „Dobrowolcy" uciekli! Liczna i dobrze uzbrojona załoga opuściła miasto na samą wiadomość o zbliżaniu się „czerwonych". Bolszewicy trzymali się trzy dni. Wyparł ich równie słaby oddział „wołczańskich", jak mówiono, białych partyzantów. Za partyzantami ściągnęła do Kijowa reszta wojsk „kijowskiej grupy" pod generałem Bredowem. Trójkolorowa flaga wróciła na ratusz, na Kreszczatyku grzmiały dawne, carskie marsze, lecz w trwałość denikinowskiej władzy nie wierzył już nikt, ani oficerowie „Ochotniczej Armii", ani mieszkańcy Kijowa.

Naprzeciw nas, w pogimnazjalnym budynku, zakwaterował się jakiś nowy denikinowski oddziałek. Mówiono, że to „partyzanci Strukowa". O wszystkich i o wszystkim „mówiono", bo na pewno nikt nic nie wiedział. „Strukowcy" dali się wkrótce poznać jako bezwzględni wrogowie Żydów. Zaciągali Żydów do koszar i tam, nie bawiąc się w żadne śledztwa, rozstrzeliwali na podwórzu. Prawdziwy „pogrom" zobaczyliśmy w kilka dni później, kiedy Dorohożycką, kierując się w stronę Irpienia, przeciągała denikinowska bateria. Artylerzyści zatrzymali się o parę domów od nas, aby napoić konie. Wtedy podeszła do żołnierzy „żona muzykanta wojskowego" i doniosła:

— O, tam mieszkają Żydzi... — powiedziała wskazując okna 1-go piętra.

O tych Żydach wiedzieli wszyscy dokoła. Uciekli oni z Płoskirowa przed wielkim pogromem, urządzonym przez petlurowców. Na Dorohożyckiej zajęli się wypiekiem chleba, który, choć trochę droższy, cieszył się dużym powodzeniem, bo był z lepszej mąki.

Oficer krzyknął na żołnierzy. Ospali, o śmiertelnie znużonych twarzach artylerzyści powlekli się na piętro. Otworzyli okna i zaczęli wyrzucać wszystko, co tylko znaleźli w mieszkaniu. Żydów ktoś ostrzegł w porę. Zbiegli do sąsiadów i ukryli się w piwnicy. Zwabieni hałasem, powychodzili z domów okoliczni mieszkańcy. Naprzeciw „żydowskich" okien zebrał się spory tłum, milczący, obojętny. Patrzono apatycznie na połamane meble, rozbite naczynia i zniszczoną żywność. Biała mąka sypała się w błoto, cukier mieszał się z końskim nawozem, na bezcenny smalec lała się nafta.

— Prawdziwy sklep kolonialny... Mieli nawet konfitury.

— Mieli, ale już mieć nie będą.

Na tych uwagach skończyły się komentarze. Tłum, napatrzywszy się do

syta, rozchodził się w milczeniu. Do końca wytrwali tylko Cyganie. Niestrudzenie przetrząsali żydowski dobytek wyszukując wszystko, co zachowało jeszcze jaką taką wartość. O zmroku bateria poczłapała na wyznaczone stanowisko. Pogrom unieruchomił armaty na cały dzień. Nie śpieszyło się „dobrowolcom" ani pod Irpień, ani na żaden inny front.

Tam, od Irpienia, coraz gęściej postukiwały bolszewickie maszynki i karabiny. Coraz bliżej podchodziły patrole czerwonej kawalerii. Postacie jeźdźców w spiczastych czapkach wynurzały się ze śnieżnej zamieci i przepłoszywszy „dobrowolców" znikały znów w zadymce. Zima była tuż, tuż. Dnieprem płynęła gęsta kra. Przez miasto ku stacji kolejowej ciągnęły „gruzowiki" i wojskowe wozy, pełne tobołów, skrzyń i mebli. Mówiono, że eszelony sztabowe Bredowa stoją pod parą całą dobę, gotowe każdej chwili odjechać na południe. Droga na Odessę, podobno, była jeszcze wolna.

W tym czasie zawiodła nasza poczta senna. Nie przyszedł ani jeden list. Nic nie wiedzieliśmy, że od Odessy przez Birzułę, Winnicę, Koziatyn zbliża się do Kijowa specjalny pociąg misji Polskiego Czerwonego Krzyża. Pociąg z żywnością i lekarstwami, pociąg, którym można pojechać do Polski!

W Koziatynie pociąg utknął. Denikinowski komendant stacji bezradnie rozkładał ręce.

— Nie ma połączenia z Kijowem. Jakaś banda, zdaje się „zielona", zerwała tory pod Kożanką.

Postawa szefa misji podziałała na zapitego komendanta. Zgodził się puścić pociąg pod eskortą. Dał parę kulomiotów i setkę sennych „dobrowolców". Za tyralierą przeczesującą laski i zarośla pociąg dojechał do Kożanki. Późnym wieczorem dotoczył się do Kijowa. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego: cicho, ciemno, nieliczne światła tylko koło dworca. Tory stacyjne zapchane pociągami sztabowymi.

W dwa dni po przybyciu misji do Kijowa zerwała się nagle artyleryjska kanonada. Huk dział przybliżał się z niepokojącą prędkością. Przechodnie, posłuchawszy chwilę, zawracali do domu. Z koszar na Dorohożyckiej żołnierze ładowali na wozy ostatnie graty.

— Dokąd?

— Na front... — odpowiadali i śmieli się z dowcipu.

Tego samego dnia, o drugiej po południu, generał Bredow oświadczył szefowi polskiej misji:

— Wszystko w porządku. Nie ma powodów do niepokoju. Pod Kijów podeszła jakaś „banda". Zostanie zlikwidowana lada moment.

W pięć godzin później pociągi sztabowe zaczęły wymykać się z dworca. Pociski artyleryjskie padały już na przedmieścia. W bębnienie armat wplatał się terkot kulomiotów. Strzelanina opasywała Kijów z kilku stron.

— Denikinowcy opuszczają miasto na dzień lub dwa. Pociąg misji musi wycofać się do Fastowa, poza teren walki.

Wiadomość dotarła do matki o zmroku. Czasu zostało już niewiele. Przejechaliśmy tramwajem kilka przystanków, gdy nagle zgasło światło. Elektrownia wyłączyła prąd. Wędrówka na piechotę okropnie wydłużyła drogę. Byłem za mały na to wszystko i — za ciepło ubrany. Strzelanina ogarniała już rejon dworca. Ktoś przebiegając koło nas zawołał, że przy moście łańcuchowym trwa pojedynek pociągów pancernych i że czerwona piechota obchodzi miasto od zachodu. Pociągi pancerne zawzięcie okładały się seriami z kulo-

miotów. Zgodnie z niepisaną umową działa pancerek milczały. Celny strzał mógł rozwalić pociąg wraz z załogą. W obawie przed utratą kosztownego sprzętu ograniczano walkę do walenia z kulomiotów.

Przegapiłem moment, w którym matka zdecydowała się zawrócić. Pamiętam jedno, szliśmy i szliśmy. Nie było wprost końca tej drogi przez śnieg i noc huczącą wystrzałami. Nie rozumiałem płaczu matki ani jej bezgranicznej rozpaczy. Dziwił mnie tylko męczący spacer w zupełnej ciemności, rzecz przedtem nigdy nie praktykowana.

— Już nocka, tu górka, a tu jamka — mówiłem więc do matki.

Późną nocą dowlekliśmy się na Dorohożycką. Następnego dnia przyszedł krewny matki i zabrał nas oboje do siebie, do gmachu konserwatorium. Częstowano mnie tam cukrem w kostkach. Zachwycony przyjęciem, odwdzięczałem się wołając przy każdym pocisku:

— Leci, leci! Nasz dom nie, nie!

Pewność, z jaką wykrzykiwałem moje „nie, nie", ujęła wszystkich, nawet bardzo tęgą profesorkę śpiewu, do której palnąłem bez zastanowienia:

— Ty stary cygan, durak.

Nowego słówka nauczyła mnie na poczekaniu ciotka. Musiałem się pochwalić.

Cztery dni bulgotały nad domem pociski. Przez ten czas pociąg Czerwonego Krzyża, przepychając się między eszelonami uciekających denikinowców, dojechał do odległego o sześćdziesiąt kilometrów Fastowa. Opinie tamtejszych generałów były mniej optymistyczne.

— Wytrzymamy, o ile Dniepr nie stanie...

Mróz tężał, kra grubiała, Dniepr ledwo, ledwo płynął. Pod Koziatynem toczyła się bitwa. Linia na Odessę została przerwana. Pozostawała jeszcze droga przez Białą Cerkiew. Piętnastego grudnia zaproponowano szefowi misji trzy miejsca w pancernym pociągu odchodzącym do Kijowa. Nim pociąg ruszył, nadeszła telefoniczna wiadomość:

— Miasto wzięte dziś o godzinie czwartej po południu.

Tak się rozwiała ostatnia szansa wcześniejszego naszego wyjazdu i — spotkania z ojcem. U krewnych mieszkaliśmy tydzień. Po tygodniu wróciliśmy do siebie. Przed ogródkiem zastaliśmy Chińczyka z kulomiotem, w domu „krasnoarmiejców" na kwaterze. „Banda", która zajęła Kijów w grudniu 1919, składała się z silnych oddziałów Czerwonej Armii. Bolszewicy uchwycili miasto i raz na zawsze przepędzili „dobrowolców". „Biali" nie pokazali się już nigdy więcej.

Wróciliśmy do siebie i poddaliśmy się rygorom codziennego, kijowskiego życia. Symbolem tych czasów były furgony wiozące w kierunku cmentarza ładunek przykryty brezentem. W mieście grasował tyfus.

Szła piechota czwórkami, lśniły bagnety i hełmy. Jechali ułani na koniach błyszczących jak lustro. Czyste, starannie utrzymane zaprzęgi ciągnęły z hurkotem armaty. Mój brat cioteczny upiera się dziś jeszcze, że największe wrażenie zrobiła na mnie wojskowa orkiestra. Muszę bratu wierzyć. Siedziałem na jego ramionach, w ulubionej pozycji „na barana".

— Przepuście, ludzie. To wnuczek powstańca!

Tak się opowiadając dobrnęliśmy w pobliże orkiestry. Nagle huknęły trąby i rozwarczały się bębny. Pisnąłem z zachwytu i straciwszy panowanie

nad sobą, uległem dziecinnemu wzruszeniu. Biorąc pod uwagę wiek, nie stało się nic wielkiego. Kuzyn jednak sobaczył pod nosem i klął mnie od „zanadto muzykalnych". Na szczęście orkiestra grała bardzo pięknie. Głośne marsze zagłuszyły rodzinne nieporozumienia. Wojsko przeszło Kreszczatyk, przedefilowało przez Plac Sofijowski i równie wspaniale rozeszło się na kwatery. Kijowianie patrzyli z ciekawością, ale nowym wojskom nie wróżyli długiego pobytu.

— Takie białe konie... W mleku je chyba kąpią?

— Buty także czyste.

— Za czyści. Nie pobędą długo.

Trzy dni przed wejściem Polaków bolszewicy opuścili Kijów. Polacy przeszli Dniepr, zajęli na Zadnieprzu miasteczko Browary i ósmego maja, akurat na moje imieniny, urządzili piękną defiladę. Niby usadowili się mocno, ale za Dnieprem bez przerwy dudniły armaty. Bolszewicy byli blisko. Ich aeroplan przylatywał co parę dni i krążył nad dawnym Carskim Ogrodem.

Razem z Czerwoną Armią wyjechał z Dorohożyckiej lokator naszej sąsiadki, komisarz bolszewicki. Zabrał ze sobą tylko drobiazgi. Resztę spakował i oddał pod opiekę gospodyni.

— Wrócę za trzy tygodnie.

Czasy polskie porządnie dały się nam we znaki. Handel zamienny prawie zamarł. Chłopi przyjeżdżali na targi jak z łaski. Za produkty żądali „carskich" albo ukraińskich „karbowańców". Żydzi sprzedawali tylko za pieniądze bolszewickie. Polskich pieniędzy nie brał nikt. Na podwórzu opowiadano głośno o wielkich jednostkach czerwonej kawalerii. Czerwona jazda była już blisko frontu i lada moment miała uderzyć na Polaków.

Coraz bliżej pohukiwała artyleria. Komisarz pomylił się o tydzień.

W miesiąc po defiladzie przybiegła sąsiadka z nowiną:

— Polacy odchodzą!... Słyszycie?

Czerwcowy powiew niósł ku nam głuchy, nieprzerwany turkot. Polskie tabory wyjeżdżały z miasta. Oficerowie milczeli. Zbywali pytania niecierpliwym wzruszeniem ramion. Ich zasępione twarze i szybki krok piechoty starczyły za odpowiedź. Polskie czasy liczono teraz na dnie i na godziny. W parę dni po taborach pokłusowała na zachód osłaniająca odwrót kawaleria.

Odeszli Polacy, a my znowu zostaliśmy na Łukjanówce. Kiepskie lato, ciężka jesień, zima głodnawa i chłodna. Ratowały nas pomidory z ogródka i kasza, którą dzielili się z nami sąsiedzi. Pomidory i krupnik, a potem krupnik i krupnik. Nic, tylko krupnik. Z powodu krupniku coraz częściej zachęcano mnie do spania w dzień. Nie szło. Wtedy matka chwyciła się wypróbowanego sposobu. Opowiedziała mi o złym wilku, który pożera niegrzecznych, wykręcających się od spania chłopców.

— Bywają wilki cacy — odpowiedziałem z przekonaniem.

Jedyna próba straszenia spaliła na panewce. Pozwolono mi biegać z pustawym żołądkiem. Popularne strachy w rodzaju Baby Jagi, kominiarza lub ciemnego pokoju w ogóle nie wchodziły w rachubę. Nie stosowało się tego i już.

Po parszywej zimie przyszła wreszcie wiosna i z nią odmiana losu na lepsze. Z początkiem maja pojechaliśmy na wieś pod Wasylków, gdzie szwagier mamy, „inżynier-spec", budował linię kolejową. Zamieszkaliśmy w wielkiej chacie z ogromnym piecem chlebowym pośrodku, glinianą podłogą i taką ilością pcheł, że można było zwariować w ciągu jednej nocy. Naturalnie nie zwariowała ani mama, ani ja, bo nie po to wyjechaliśmy z Kijowa, żeby

pod Wasylkowem dostać kuku-na-muniu. Z początku posypywaliśmy pościel „Aragacem", a kiedy skończył się patentowany proszek, tępiliśmy pchły piołunem. Pchły czuły się doskonale, a ja kichałem po piołunie jak starzy ludzie po tabace. Po kilku dniach pchły się odpasły (do naszego przyjazdu chata stała pusta) i dały nam spokój.

Dobrze było mi na wsi. Zaprzyjaźniłem się ze starym Dmytro, gospodarzem z sąsiedniej chaty. Dmytro brał mnie nad rzekę, prowadził w pole, prawie codziennie zapraszał do siebie. Spędzaliśmy razem długie godziny.

— Gdzie byłeś? — pytała mama.

— Byłem u Dmytro — odpowiadałem naśladując ukraiński akcent. — Jadłem barszcz z petuszyną szyją.

Odjadałem wszystkie postne krupniki, czerniałem w spiekliwym słońcu i gadałem po ukraińsku jak miejscowe dzieci. Największą atrakcją były jednak kwiaty. Równie pięknych nie spotkałem potem nigdzie. Wasylkowskie kwiaty były bajecznie kolorowe. Pachniały miodem, wprost odurzały aromatem i co ważniejsze — odpowiadały na uśmiech dobrym, przyjaznym uśmiechem. Za kwiaty gotów byłem oddać wszystko, zabawkę, bułkę i nawet miskę barszczu z kawałkiem koguciej szyi. Na widok kwiatów głupiałem do reszty. Zacny Dmytro przepowiadał mi przyszłość ogrodnika lub sadownika. No, nie sprawdziło się do tej pory.

Dobrze nam było, więc czas mijał prędko i z maja zrobił się raz dwa sierpień. Siedzielibyśmy dłużej, gdyby nie wiadomość z Kijowa: przyjechał polski pełnomocnik, pokój podpisany, można wyjeżdżać do Polski!... Natychmiast zerwaliśmy się do powrotu. Z Wasylkowa (coś trzecia stacja od Kijowa) jechało się dawniej godzinę. W sierpniu 1921 roku podróż zajęła nam dzień i spory kawał nocy. O dostaniu się do zwykłego pociągu podmiejskiego w ogóle nie było mowy. Zresztą, jeżeli w tym czasie kursowały już pociągi podmiejskie, to kursowały według swego widzimisię, a nie według rozkładu. Dzięki stosunkom wujka-speca udało się nam wsiąść do pociągu towarowego. Towarowy jechał wolno. Maszynista po drodze tysiąc załatwił spraw i sto odwiedził światów.

Wysiedliśmy daleko od dworca wśród torów i pustych składów. Noc ciemna i niebezpieczna. Na Łukjanówkę było już za późno. Mama zdecydowała się zanocować u babuni. Poszliśmy w kierunku Czechowskiego Zaułka.

Od samego rana zaczęła się wyjazdowa bieganina. Z Besarabki na Lipki, z Lipek na Besarabkę, od urzędu do urzędu. Wyrabianie repatriacyjnych papierów ciągnęło się bite pół roku. Pochłonęło kilkanaście lat życia, jeżeli można miarą czasu wyrazić ówczesne emocje i zdenerwowanie. Mieliśmy jechać pierwszym eszelonem, ale eszelon odchodził za eszelonem, a nam ciągle brakowało koniecznych do wyjazdu papierów. Jak tam było, tak tam było, grunt że w styczniu 1922 wyjechaliśmy naprawdę.

Osiemnastego stycznia opuściliśmy Łukjanówkę rozstając się na zawsze z ulicą Dorohożycką, widokiem na koszary Tyraspolskie, Kiryłowskim Laskiem i dobrymi ludźmi, których krupnik pozwolił nam doczekać się sytej wiosny pod Wasylkowem.

Śnieg skrzypiał pod płozami. Sanie sunęły jak po szkle. Mróz, jak na Kijów, był tego dnia zupełnie wyjątkowy: prawie trzydzieści stopni!

Wiózł nas „zięć kuzynki Mani". Nie potrafię dopasować ani twarzy, ani

sylwetki. Nie mam zielonego pojęcia o kuzynce Mani, cóż mówić o mężu jej córki? Zięć miał konia i sanki, to w tej sprawie jedynie było ważne. Nauczeni poprzednim nieudanym wyjazdem, pamiętając piekielne rozczarowanie, kiedy pociąg Czerwonego Krzyża uciekł nam dosłownie sprzed nosa, wyruszyliśmy na dworzec, gdy tylko znalazły się nasze wagony. Kiedy odejdzie eszelon — nikt nie wiedział. Władze kolejowe odpowiadały nie przejmując się ani trochę: „Może jutro, może za dwa dni, pewnie w tym tygodniu". Gdyby mama wzięła na serio tę całą gadaninę, zostalibyśmy znowu w Kijowie. W parę godzin po naszym przyjeździe lokomotywa szarpnęła wściekle i eszelon potoczył się w stronę Polski.

Podobało mi się w „tiepłuszce". Prycze na lewo i prycze na prawo, pośrodku rozpalony do czerwoności piecyk. Osób trzydzieści parę, więc niby nie za ciasno, akurat tyle, żeby się pasażerom w drodze nie nudziło. Podróż obliczano na parę tygodni. Leżała ta Polska gdzieś na krańcach świata.

Mama zirytowała się z miejsca, ale skończyło się na wymownych westchnieniach. Towarzysze podróży rozlokowali się w dziwny sposób. Na jednej pryczy rodzina sędziego Łukaszewicza, osób coś sześć czy siedem („Bo, my proszę państwa, chcemy jechać w swoim towarzystwie"). Na drugiej — reszta podróżnych. Mimo dąsów, podział wagonu utrzymał się aż do granicy.

Ledwie ujechaliśmy parę kilometrów, zaczęły się kłótnie o „prawo do pieca". Mój brat cioteczny zaproponował, żeby posiłki gotować wspólnie. Tłumaczył, że to będzie wygodniej, prędzej i mniej się zużyje opału. Zmyto mu głowę, zakrzyczano, pouczono, żeby się nie wtrącał, jak o radę nie pytają starsi. Jechali w naszym wagonie ludzie do jazdy zupełnie nie przystosowani. Zachowywali się tak, jakby pierwszy raz w życiu zobaczyli pociąg.

Od piecyka bił żar, ściany porastały lodem. Babunia narzekała, że posiłki nie w porę. Rzeczywiście, obiad wypadał wieczorem, kolacja późną nocą. Wszystko przez tę idiotyczną kolejkę do pieca. Babunia dopominała się o czekoladę i o czerwone wino. Jak na złość nie mieliśmy tych specjałów pod ręką. Babunia złościła się ciągle.

Maszynista szarpał, mało nie rozrywał składu. Zatrzymywał się przed byle wzniesieniem, jechał krok za krokiem i dawał do zrozumienia, że w naszej wyprawie nie widzi dla siebie żadnego interesu. Jechać taki szmat drogi bez żadnej korzyści? Oczywista bzdura. Tuż za Kijowem, w letniskowej miejscowości Światoszyn utknęliśmy na trzy dni. Ktoś umarł, komuś urodziło się dziecko. Pierwszy nieboszczyk wywołał powszechne zainteresowanie. Litowano się nad biedakiem, że zamiast do Polski zajechał na tamten świat. Potem na widok ludzi dźwigających nosze poprzestawano na pytaniu: „A komu to się przytrafiło dzisiaj?". Umierali ludzie na starość i na tyfus. Drugi powód był dla otoczenia bardziej niebezpieczny, bito więc wszy z ogromnym zapałem, choć, jak wiadomo, nie każda wesz jest „tyfusowa".

Podczas postoju w Światoszynie rozjaśniło się pasażerom w głowie. Trudno wymagać, żeby maszynista trzymał się rozkładu, skoro nie ma zegarka... Wybrano kilka zaufanych osób i obarczono je obowiązkiem przeprowadzenia kwesty na zegarek. Pokaźną sumkę wręczono maszyniście wraz z życzeniami „szczęśliwej podróży". Ze Światoszyna ruszyliśmy tak gładko, jakby maszynista wiózł otwarte butelki ze spirytusem, a nie obcych ludzi. Wkrótce ogarnęła nas zadymka. Burza śnieżna rozhulała się wokół pociągu. Mróz kąsał, wiatr przewiewał... Cóż z zegarka, kiedy ręce grabieją, a lodowaty powiew

zapiera dech? Maszynista zatrzymał pociąg i udał się do najbliższego osiedla. W nocy silne szarpnięcie zrzuciło pasażerów z prycz. Eszelon rzucał się jak pies na łańcuchu.

— Przymarzły koła. Nie obejdzie się bez podgrzewania — mówili jedni.

— Trzeba pogadać z maszynistą — doradzali bardziej doświadczeni.

Szarpanina trwała całą noc. Lokomotywa straciwszy siły dyszała ze zmęczenia. Pociąg stał. Nowa delegacja poszła rozmówić się z maszynistą. Ten sprawę postawił jasno. Warunki atmosferyczne zmusiły go do zakupienia większej ilości samogonu. Na zegarek nadal ma ochotę. Niestety, samogon w tych stronach bardzo drogi, więc z otrzymanych pieniędzy nie zostało ani grosza. Delegaci pokiwali głową i ogłosili zbiórkę na drugi zegarek. Nim zebrano pieniądze, grupę mężczyzn wysłano do lasu. Tender był pusty, pod kotłem prawie gasło. Potem zaczęło się „robienie pary". Podtatusiały parowóz robił parę do wieczora. Maszynista rozgrzewał się resztką samogonu. Pasażerowie przeliczali wiorsty na litry i dnie na zegarki.

— Do Polski jeszcze tyle a tyle litrów spirytusu i tyle zegarków...

Jechaliśmy niecałe trzy tygodnie. Zanim ludzie zdążyli się przyzwyczaić, skończyła się jazda i trzeba było wysiadać.

Na dłużej stanęliśmy w Szepetówce. Tam podeszła do mamy panna Cukierman i szepnęła coś na ucho. Mama zbladła. Brat cioteczny podrapał się w głowę.

— Rewizja?

— Osobista!

Pannę Cukierman znaliśmy jeszcze z Wasylkowa. Przyjeżdżała jako sekretarka komisji kontrolującej budowę odcinka kolei żelaznej. Informacjom panny Cukierman można było wierzyć. Jechała ona w osobowym wagonie komendanta eszelonu i o najbardziej poufnych zarządzeniach dowiadywała się z pierwszej ręki. Ostrzeżenie sprawdziło się w kilka minut później. Zjawili się ciepło ubrani żołnierze z sukiennymi gwiazdami na spiczastych czapkach.

— Wysiadać. Wszystkie rzeczy na peron!

Babuni i mnie pozwolono zostać w „tiepłuszce". Nasze rzeczy mieściły się w koszu od bielizny. Poza „nową" parą butów mamy nie było w koszu nic ciekawego. Gorzej przedstawiała się sprawa z bagażem babuni. Tuż przed wyjazdem babunia sprzedała meble i bibliotekę ojca. Głupie przyjaciółki namówiły staruszkę na carską walutę i drobne banknoty. Wiozła więc babunia trzy tysiące carskich w samych trzyrublówkach. Cały Kijów wiedział, że w bankach warszawskich można od biedy wymienić pięćsetki. Babunia uparła się i tym chętniej zaufała przyjaciółkom, że kupcy „drobnicą" zapłacili więcej. Carska waluta dojechała szczęśliwie do Warszawy. W Szepetówce podczas rewizji na wypchany sakwojaż babuni nawet nikt nie spojrzał. No, a w Warszawie zaczęła się tragedia. Staruszka rozumiała upadek caratu (takie świństwo nie mogło trwać, mówiła) i rewolucję, ale nie rozumiała czasów, które z dnia na dzień odbierają wartość bankowym biletom. Stos trzyrublówek czekał w komodzie, aż się „unormują czasy". Po śmierci babuni carskie pieniądze poszły na podpałkę.

Ocalały pieniądze babuni, ale o mały włos nie przepadła moja ulubiona zabawka. Leżała w koszu, na samym wierzchu.

— *Wieszcz kazionnaja, wajennaja* — powiedział krasnoarmiejec i schował manierkę do kieszeni szynela.

Wtedy podniosłem taki krzyk, że zbiegli się wszyscy żołnierze. Wykrzykiwałem nawet wyrazy, których znaczenie poznałem znacznie później. „*Wieszcz*" nie była ani „*kazionnaja*", ani w ogóle rosyjska. Manierkę dostałem od ojca, tuż przed pierwszym, nieudanym wyjazdem. Była to manierka turystyczna, kupiona w Paryżu. Wiedziałem o tym doskonale i nie miałem zamiaru pozbywać się pamiątki. Bo niby z jakiej racji?

Brat cioteczny stroił groźne miny. Mama bladła i czerwieniała na przemian. Babunia cicho płakała. Żołnierze stanęli półkolem pod „tiepłuszką". Słuchali i uśmiechali się coraz szerzej, coraz sympatyczniej. Poznali się na mnie!

— *Nu, wot...* — powiedział amator manierki i wrzucił zdobycz do wagonu.

Z Szepetówki było już bardzo blisko. Dziarsko pogwizdując wjechaliśmy na dworzec w Równem. Stąd polskim pociągiem osobowym powieziono repatriantów do koszar za miastem. Polski Biały Krzyż przyjął nas zupą z pęczaku. Obiecywano kakao i małpie mięso z amerykańskich puszek. Skończyło się jednak na obietnicach.

Od kąpieli i dezynfekcji uratowała nas znowu nieoceniona Cukierman. Okazało się, że i po polskiej stronie panna Cukierman jest nadal osobą najlepiej poinformowaną.

— Kąpiel w nie opalanej łaźni grozi zapaleniem płuc, a dezynfekcja to murowane zawszenie czystych rzeczy. Czy wam potrzebny tyfus?

Tyfusu baliśmy się jak ognia (akurat teraz był nam do szczęścia potrzebny!), więc zamiast do kąpieli poszliśmy prosto na kwatery. Ulokowano nas w pustych koszarach. Trafiliśmy do izby zimnej i bez szyb. Kiepski lokal wyszedł nam na zdrowie. W ogrzanych izbach roiło się od tyfusowych wszy. Wiele dzieci nabawiło się odry, wielu dorosłych zaraz po przyjeździe do Warszawy zapadło na tyfus. Najsmutniej zakończyła się podróż dla starego pana Iwaszkiewicza, który jechał w tej samej co i my „tiepłuszce". Wprawdzie chorował przez całą drogę, ale dożiębił się w koszarach. Serce nie wytrzymało gorączki. Staruszek umarł w Równem. Tyle zobaczył Polski, co nic.

Repatriantów (nazywano nas także „braćmi z czerwonego piekła") powierzono opiece ponurych drabów o zbójeckich gębach. Ubrani półwojskowo, mówili po ukraińsku i lokatorów koszar traktowali jak więźniów skazanych na ciężkie roboty. Chcieliśmy (w chłodnej izbie mieszkało kilkanaście osób) na własny koszt oszklić okna — draby nie pozwoliły. Ktoś zapalił prymus, wpadły draby i tak zwymyślały „ktosia", że mu się odechciało gorącej herbaty do końca pobytu w koszarach.

Dziwiono się stosunkom i brudom. Każda wyprawa do odległego ustępu kończyła się westchnieniem:

— Chwała Bogu, że mróz trzyma. Co tu będzie wiosną...

Na obiad dzień w dzień pęczak cuchnący stęchlizną. Przed bramą koszar rój przekupniów z koszami pełnymi wędlin, białych bułek, cukierków i wódki. Sprzedawali za „kierenki" i za „carskie". Babunia gniewała się strasznie. Na widok trzyrublówek handlarze wybuchali śmiechem. „Kierenek" starczało nam tylko na pasztetówkę. Bardzo była dobra!

Wyjechać jak najprędzej i jak najdalej. Uciec przed tyfusem i przed chamstwem drabów. Ale polskie formalności też musiały trwać. Oficerek reprezentujący Rzeczpospolitą znał się na urzędowaniu i na urzędowych tonach. Pomogła dopiero interwencja starosty (ktoś z towarzyszy podróży znał starostę osobiście). Z pozwoleniem na wyjazd do Warszawy poszła mama do in-

nego biura po przepustkę kolejową. Bez papierka nie puszczano na dworzec. Mając wszystko, co było potrzebne, mama nałożyła nowe buty i podrałowała bez zwłoki na dworzec. Pierwszą osobą, którą tam spotkała, była oczywiście panna Cukierman. Wysłuchała żalów i mamine narzekania pokwitowała wzruszeniem ramion. Cukierman mieszkała w małym pokoiku, czystym i ogrzanym. Ponure draby przynosiły jej gorącą wodę, paliły w piecu i na jednej nodze biegały po papierosy. „Zbójeckie gęby" wysilały się na ludzki wyraz twarzy i trzaskały obcasami jak przed generałem.

— Każdy musi żyć — powiedziała panna Cukierman na zakończenie.

— Jak to, więc tu też łapówki? — Mama zrobiła wielkie oczy. — Może dlatego miałam trudności z wyjazdem do Warszawy?

— Na całym świecie ludziom zginają się ręce do siebie, a nie od siebie — odpowiedziała Cukierman wymijająco.

Mieliśmy jechać wszyscy razem specjalnym wagonem dla repatriantów. Ale Cukierman przekonała mamę, że czekanie na wagon to marnowanie czasu i nerwów. Kiedy podstawią wagon, do którego doczepią pociągu, tego nikt nie wie. No, to po co siedzieć w zafajdanych koszarach?

— Wieczorem odchodzi pośpieszny do Warszawy. Trzeba zaraz kupić bilet drugiej klasy.

— Nie mam polskich pieniędzy. Resztę „kierenek" wydałam na pasztetówkę.

Wtedy panna Cukierman wyjęła z torebki dwadzieścia tysięcy marek (marka stała bardzo nisko, ale zawsze...).

— Jak pani będzie mogła, to pani odeśle na adres mego brata w Łodzi.

Było to ostatnie spotkanie (nie licząc jazdy w jednym przedziale do Warszawy) z panną Cukierman. Nikt z rodziny nie widział jej później, ale bardzo długo mówiło się w domu:

— Ta Cukierman z Łodzi, co? No, i proszę!...

Wieczorem wsiedliśmy do drugiej klasy i pośpiesznym pociągiem pognaliśmy do Warszawy. Wszyscy mieli miejsca siedzące. Spałem na kolanach matki, oczarowany wspaniałą jazdą bez szarpania i postojów w polu. Babunia chrząkała z zadowolenia. Panna Cukierman częstowała ją bez przerwy słodyczami.

Przyjechaliśmy wczesnym rankiem. W ogromnej hali Dworca Wschodniego od razu poczułem się jak w domu. Nie pytając o drogę poszedłem prosto do bufetu wyprzedzając babunię, której tace pełne kolorowych smakołyków również wpadły w oko. Za pożyczone od panny Cukierman marki zjadłem sześć cudownych ciastek. Pierwsze ciastka w życiu! Ciastka z kremem białym, żółtym, różowym i czekoladowym!

— Jakie piękne miasto! — szepnąłem z zachwytem.

Po ciastkach piliśmy bardzo słodką herbatę i jedliśmy szynkę z bielusieńką bułką. Potem brat cioteczny sprowadził platformę. Z wielkim szykiem pojechaliśmy przez miasto na Mokotowską 29.

Wkrótce zobaczyłem ojca.

— Przywiozłem manierkę!

A potem przyszła ciocia i zaprosiła mnie do swego mieszkania, żebym mógł „pobiegać". Dałem się nabrać jeden jedyny raz. W zapchanym meblami pokoju nawet pod stołem leżały jakieś toboły i paczki.

— Biegaj, syneczku, biegaj. W Kijowie pewno miałeś bardzo mało ruchu — mówiła ciocia.

Patrzyłem na nią myśląc: „Taka duża, a życia wcale nie zna". Uśmiecha-

łem się jednak grzecznie. Warszawa to nie Szepetówka. Nie mogłem się kompromitować.

Polubiłem ciocię, bo choć śmieszna i rozmiłowana w równie śmiesznych pozach, dobre miała serce. Do polubienia było w Warszawie mnóstwo osób i drugie tyle rzeczy. Warszawa oszałamiała.

— Mama, Warszawa!... — wołałem podbiegając co chwila do okna.

Nie chciało się wprost wierzyć. Warszawa o każdej porze, Warszawa ze wszystkich stron! Cieszyłem się i podskakiwałem z radości. A do Kijowa od razu wykręciłem się plecami. I wcale tego nie żałuję. Jakby to wszystko wyrazić prosto, zrozumiale?... Warszawa to Warszawa! Chyba tak? Ech, wiadomo zresztą, o co chodzi.

Stanisław Zieliński

Andrzej Piotrowski

ULLULAI

Cherubin o skrzydłach srebrnych
nad Ullulai księżniczką stanął
Alleluja
Ullulai pięknej
Ullulai nagiej
Hosanna

Ullulai spłonęła różą
w cieniu
z pigw
i
migdałów
ujrzała w wysokich piórach
obnażone złociście ciało

I śpiewały włosy zdziwione
Ullulai
i
Cherubina
spowiadały się dłoniom dłonie
że ich wina
ich wielka wina

I było związane w chmurach
co związało się
w złocie
i
w srebrze
a wsenwstępującą Ullulai
Cherubin
zaprosił
w
powietrze

KRZYK OTWARTY

Tak przywołuje się z powietrza
z gałęzi ciszy z chłodu z cienia
jak twarz marzenia oczy włosy
i drobną pierś na której usta
znalazły nagle nikłe znamię
i krople małej rosy strachu

Tak przywołuje się z pamięci
z ksiąg dawnych w skórze i safianie
z myśli i przytłumionej skargi
tak przywołuje się gdy spadnie
godzina ta srebrzystym włosem

I to jest właśnie krzyk otwarty
nad piaskiem gliną kamieniami
chwila ornatów czarnych stuły
świętych olejów pojednania

Ostygnie dzwonek i kadzidło
i słowa modlitw zamknie głucho
gruda i kwiat i trudna łza

W długim podziemnym korytarzu
dłoń spotka rękę tę najbliższą

I pierwsi będą z ostatnimi

Andrzej Piotrowski

Hanna Mortkowicz Olczakowa

WSPOMNIENIE O MARKU EIGERZE-NAPIERSKIM

Ostatnia moja rozmowa z Tuwimem, podczas jego krótkiego pobytu w Krakowie, w grudniu 1953 roku, w drodze do Zakopanego, gdzie umarł po kilku zaledwie dniach, zahaczyła, jak zawsze w końcowym okresie jego życia, o tak bliską mu i bolesną sprawę *Kwiatów polskich*. Zaczęliśmy wtedy mówić o realiach tego poematu, zastanawiać się, czy przyszłemu czytelnikowi potrzebny będzie rzeczowy komentarz, szyfr nazwisk i sytuacji, po to, żeby zrozumieć pewne środowiska, które przestały istnieć, jak na przykład sfera plutokracji warszawskiej i łódzkiej. Kto zdoła napisać prawdziwy historycznie odnośnik do każdego z przedstawicieli rodziny Satansonów i czy to w ogóle ma sens? Może nowy odbiorca po latach sam odbuduje sobie i wytłumaczy klimat utworu i niepotrzebne będą mu plotki?

Tuwim machnął w końcu ręką. Ale że rozumieliśmy się w tym wypadku bez słów, więc rozmowa przeskoczyła od razu na osobę pani Diany Eigerowej. I znowu padło pytanie. Czy ma sens typować ją jako model Muszki Folblutowej, piszącej tak wzruszające listy do Orzeszkowej?

Odpowiadam dziś już sama. Nie. Była bowiem do niej podobna tylko w paru szczegółach i w tak niewielkim stopniu, jak każda fikcyjna postać literacka do swego wzoru. Orzeszkowa wspomina wprawdzie w swych listach śliczną i młodą panią Eigerową, która ją odwiedziła podczas jej kuracji w Marienbadzie. Nie wiem, czy istniały potem jakieś dalsze osobiste stosunki i korespondencja między tymi paniami: pani Eigerowa była kuzynką Nussbaumów, z którymi łączyły pisarkę więzy istotnej przyjaźni. Wiem natomiast, że pani Diana w dalszym przebiegu swego życia nie była ową *incomprise'ą*, ukrytą za suitą salonów, w sypialni pełnej lekarstw, środków nasennych i bibelotów, ani matką brutalnego, krwistego jedynaka, hulaszczego i żarłocznego konsumenta ojcowskich dywidend.

Ta maleńka, misterna i bardzo żywotna osoba była silną i ciekawą indywidualnością. I przez całe swe życie, drogami coraz innych zainteresowań, działań, związków z ludźmi, starała się wyzwolić spod presji swego burżuazyjnego środowiska, wyjść poza krąg bogactw, które ją otaczały od dziecka i które z biegiem lat nie tylko przestały jej wystarczać duchowo, ale zaczynały jej w jakiś sposób dolegać. Były to sposoby wyjścia bynajmniej nie rewolucyjne i ostateczne, przeciwnie — łagodne i wcale nietrudne przy tak dużych środkach

materialnych, którymi nigdy nie pogardziła. Ucieczki w świat intelektu i poezji, dalekie podróże, kontakty i dyskusje z ludźmi innych środowisk, poglądów i obyczajów, racjonalna i hojna filantropia. Wszystko to mieściło się w ramach nabytego stylu i dozwolonej rozrzutności a oparte było praktycznie na niewzruszonej, zdawałoby się, sile kapitału, owocującego w hałaśliwych wnętrzach fabryk włókienniczych Łodzi i w częstochowsko-wieluńskich cementowniach.

Toteż te wszystkie akcje filantropijne czy nawet pomocy więźniom i amnestionowanym, skłonność do kontaktów z ludźmi młodymi i biednymi, przyjaźnie z postępowcami, intelektualistami, ba, nawet działaczami socjalistycznymi i obrońcami w procesach politycznych, lekcje filozofii pobierane w podeszłym już wieku od młodych studentów-narwańców i oberwańców — zdawały się dziwactwami starszej, wytwornej damy. Pani Diana ciągle pragnęła komuś pomagać, kogoś zapraszać i żywić, komuś dawać zapomogi i podarunki, nawet wbrew jego woli. Była pochopna i impulsywna w gestach, czasem nietaktowna w swej żywości, czasem nawet śmieszna, mimo najlepszych intencji, bo nic tak nie ośmiesza człowieka, jak bogactwo i kosztowne nawyki w oczach ludzi nieufnych i głodnych.

Pamiętam taki obiad w jej rodzinnym majątku Lisowice pod Ozorkowem, kiedy do stołu podawał lokaj w białych rękawiczkach, a moi dwaj koledzy malarze, Menasze i Efroim Seidenbeutlowie, których pani Diana protegowała i zaprosiła na pobyt letni, nie wiedzieli, jak się zachować pod okiem służby, żeby, broń Boże, nie splamić haftowanego obrusa. Pamiętam i inne przyjęcia, na których skromni i nieraz zaniedbani w ubiorze ludzie poruszali się na tle kosztownych mebli i dywanów, gablotek pełnych stylowej porcelany i szkła, obrazów i luster.

Pani Diana Eigerowa poruszała się wśród tych swoich sprzętów i porcelany swobodnie — taka do nich podobna, jak saska krucha figurynka. Urodziła i wychowała w tym zamożnym domu, jak w złotej klatce zbytku, czworo dzieci. Ale dała im coś więcej ponad swą krew, wykwint domowego otoczenia, dziedzictwo majątku. Było to w pierwszym rzędzie wychowanie w duchu nowoczesnym i liberalnym, przez najlepszych i najbardziej postępowych nauczycieli epoki. Były to także jej własne pragnienia, sprzeciwy, niepokoje, fermenty, przekazane wraz z tą krwią. I tak się stało, że wszyscy czworo, dzieci wielkiej burżuazji warszawskiej, wyszli dalej niż matka, bo nie tylko w imaginacji i dobrych chęciach, poza granice swego środowiska, i to w sposób dramatyczny i bezpowrotny.

Marek Eiger lubił porównywać ten rozpad własnej rodziny do degrengolady rodu Buddenbrooków, ale była to inna sprawa, ściślej związana z biegiem politycznych i społecznych przewrotów.

Najbardziej konsekwentna była w tym twardym wyjściu w inne życie najstarsza córka — Maria. Zdecydowała wcześnie. Zarażona ideami swej nauczycielki, Sempołowskiej, wyrzekła się z bezwzględnością znienawidzonego świata, który ją przypadkowo urodził. Zaledwie wchodząc w pierwszą młodość opuściła dom i rodziców, pogardziła majątkiem i stanęła w szeregach partii komunistycznej, gdzie trwa i walczy do dziś dnia. Opowiadano mi, że w drodze jakichś wyjątkowych starań wydostano ją z więzienia, gdzie odsiadywała karę, do łoża umierającego ojca. Pamiętam jej ostatni proces przed wojną, na którym, mimo obrony najlepszych adwokatów, dostała wyrok dwunastu lat

więzienia, i matkę starającą się o widzenia, organizującą obronę, dostarczającą do więzienia ubrania i wałówki — nie tylko dla córki, ale także, na żądanie, dla jej towarzyszy.

Jeden z synów popełnił samobójstwo jako niespełna dwudziestoletni chłopiec. Była to najstraszniejsza forma ucieczki od konfliktów, które go nękały i którym nie umiał sprostać w swej słabości. Najmłodszy, Kazimierz, wcześnie — i jak się okazało, już na zawsze — wyjechał z Polski i w ten sposób odsunął się od męczącej problematyki środowiska i kraju.

W Polsce i nie opodal matki pozostał tylko Marek, noszący później pseudonim literacki — Stefan Napierski. Jego zatrzymała w kręgu polskich spraw miłość do polskiej kultury i literatury i osobiste z nią związki pisarza i krytyka. A od rodzinnego kapitału i opiekuńczej energii matki uzależniała — własna bezradność i słabość artysty, atawistyczne rozbrojenie wobec życia i niezdolność wyrzeczenia się schedy.

Trudny i niebezpieczny był to układ zjawisk: wybujała fantazja nerwowca, człowieka nadwrażliwego, nadczułego, potencjalnego twórcy — i ta macierzyńska, organizująca kuratela. Ambitna droga wysiłków literackich — i demoralizująca łatwość materialna.

Nic dziwnego, że w tych skomplikowanych warunkach chwiała się równowaga psychiczna, że wysiłki i depresje szły skokami, zmieniały się okresy aktywnej nadziei i rozpaczliwych zwątpień, a stosunek do świata i ludzi był kapryśny, czasem zrażał despotyzmem albo nietaktami, a czasem zadziwiał uporem w okresach wytężonej, zaciekłej pracy umysłowej.

I tutaj tkwił u narodzin każdego działania odruch ucieczki, kompleks odosobnienia, zamknięcia, z którego trzeba się wyzwolić. Marek zdawał sobie dobrze sprawę, jakim ciężarem jest dla niego materialne dziedzictwo i piętno klasy, do której należy.

Nie darmo pisał do uwięzionej siostry w bardzo osobistym wierszu:

O tak, swobodny jestem, zwolna noc nadchodzi,
Rozdzielonym na zawsze, jedna gwiazda płonie,
Jako w celi zamieram w strzeżonym ogrodzie.

„Powiedziano nam — jest przed wami droga — a my czujemy się jak w więzieniu" — powiedział gdzie indziej w programowym artykule.

Drogą wyzwolenia, ratunku — było wejście do literatury. Wyszedłszy ze swego kapitalistycznego środowiska, osamotniony i wyobcowany, Marek pragnął wspólnoty, chciał mocno gdzieś przynależeć, czasem nawet w sposób zawstydzający, za cenę pomocy, poparcia materialnego. Chciał przezwyciężyć nieufność a nawet niechęć ekskluzywnego środowiska artystycznego, zdobyć nazwisko pisarza, osiągnąć uznanie, którego mu z początku odmawiano przez złośliwość czy brak życzliwego zrozumienia. Sam nie doceniał może siły otaczających go sprzeciwów, nieżyczliwości, braku zaufania. Zafascynowany swą artystyczną chimerą, zapatrzony bez reszty w swój cel, ze ślepą zawziętością przegryzał się przez olbrzymie sterty gromadzonych książek, studiował, uczył się, zgłębiał tajemnice cudzej twórczości; pokrywał niezliczone kartki papieru swoimi własnymi utworami w gorączkowej potrzebie tworzenia, wypowiadania się, rojenia — mimo wszystko.

Zdawał sobie niewątpliwie sprawę ze swojej własnej słabości, ale upatrywał jej źródło w tragedii pokolenia przejściowego i schyłkowego, do którego należał. Czuł się od dzieciństwa „dotknięty niewidzialnym palcem dziejów, napiętnowany ich fatalizmem", czuł się produktem ubocznym, którym uczyniła go zindustrializowana cywilizacja XX wieku i upadek oraz degeneracja własnej rodziny. Pisał:

„Wojna zabiła naszą młodość, tej straty nie wrócą nam panteony, przetrącono nam mlecz pacierzowy, powiedziano: jesteście wolni — kazano głosić i budować, a kiedy tego nie czynimy, przezwano nas cherlakami i anarchistami".

„Cherlak i anarchista" — jaka okrutna i szydercza precyzja, właściwa ostremu dowcipowi Marka, zawarta jest w tym określeniu. Tak właśnie mogli go widzieć i krytykować inni, nieżyczliwi, zawistni. Tak czuł się może chwilami sam, ze swoją nieodpornością nerwową, z agresywną ruchliwością, nie liczącą się z żadnymi względami praktycznego życia, z egocentrycznym, upartym trwaniem jedynie w świecie własnej myśli i fikcji artystycznej, w gronie nielicznych i dobranych przyjaciół, ze swym panicznym lękiem przed samotnością, a jednoczesnym uchylaniem się od wszelkich przymusów natury politycznej i społecznej.

Mimo to wszystko, mimo okresy bezczynności i zniechęcenia, mimo pierwotny brak oddźwięku wśród niechętnych kolegów i obojętnych czytelników, Marek Eiger-Napierski był maniakiem pisania. Zgodnie ze swą gwałtowną potrzebą tworzenia studiował i pisał niestrudzenie i coraz to uderzał nową książką jak pociskiem, który trafiał lub częściej nie trafiał. Obojętny dla spraw rzeczywistych, niepopularny, brnął coraz dalej w dziedzinę filozoficznych rozważań, krytycznych badań literatur obcych, własnych koncepcji, często odkrywczych, czasem enigmatycznych w swej abstrakcyjności, często chybionych przez brak konstrukcji. Ten brak konstrukcji szkodził artystycznej prozie Napierskiego — świetne nieraz fragmenty, luźno ze sobą związane, nigdy niezdolne były stworzyć całości.

Marek wydał około dziesięciu tomów poezji własnych, których tytuły bywały zarówno elegijno-romantyczne, jak abstrakcyjne. Niestrudzenie przez całe lata pisywał recenzje z nowowydanych tomów poetyckich w *Wiadomościach Literackich*, uprawiając krytykę liryczną, subiektywną i impresyjną. Tłumaczył wielu poetów: Whitmana, Georgego, Rilkego.

Wszystko to mógł robić dzięki swej wyjątkowej sytuacji majątkowej, której się po trosze wstydził. Matka czuwała nad jego majątkiem. Ten syn, niepraktyczny i dziecinny, jeśli chodziło o przymusy życiowe, a obracający się w świecie sztuki, ucieleśniał jej własne marzenia. Daleki od tej stabilnej mieszczańskiej kultury, w której wzrosła ona sama, wychylony poza zasięg jej kryteriów w inne, urojone dziedziny, fanatyczny w swych twórczych zapędach — był jej najbliższy ze wszystkich dzieci.

Dzięki niej miał swoje stałe miesięczne dochody, pielęgnowany i zagospodarowany dom, wspaniałą bibliotekę, oryginały najlepszych malarzy. Ona otaczała macierzyńską opieką jego żonę, śliczną i utalentowaną poetkę, Irenę, siostrę Juliana Tuwima. To krótkotrwałe małżeństwo było także jakimś spełnieniem pragnień Marka wejścia w literacką rodzinę, przyjaznych *„Wahlverwandschaften"*.

W groźnych czasach walk kulturalnych i dyskryminacji politycznych Na-

pierski mógł jeszcze wciąż bez trudu wydawać swoje książki oryginalne i krytyczne oraz liczne tłumaczenia poezji i mógł także pełnić szczodry mecenat.

Dla Marka nie istniały bowiem różnice przekonań politycznych, dzielące ludzi, drwił z właściwym sobie humorem z politycznych pasji i ideologicznych haseł — z naiwnością dziecka nie wtajemniczonego w groźny mechanizm zabawki, która każdej chwili może wybuchnąć jak bomba zegarowa.

Stwarzając i prowadząc przy pomocy Juliana Rogozińskiego swój miesięcznik o tradycjonalistycznym tytule *Ateneum* zwracał się o współpracę do wszystkich ludzi pióra, krytyków i filologów w Polsce bez różnicy przekonań, tak ostro przecież zarysowanych w ostatnich latach przed wojną, i narażał się tym samym na przykre odmowy i nawet afronty, na brutalną napaść *Prosto z Mostu*. Starał się świadomie utrzymać wysoki poziom i poważny, ale eklektyczny charakter tego pisma, finansowanego i redagowanego przez siebie samego, daleki od przynależności do tej czy innej grupy literackiej, bo tolerował zarówno odkrywczość, jak i passeizm, dbając tylko o wysoki poziom myśli i słowa.

Ostatnie numery *Ateneum* drukowane były przez parę miesięcy przedwojennych w naszej drukarni na Starym Mieście. Było to już wtedy, kiedy ta międzypartyjna, beznamiętna, bezstylowa postawa pisma i jego redaktora przestawała się mieścić między wrogimi, nasyconymi nienawiścią frontami skłóconych obozów. I kiedy powoli przestawał się tam mieścić i sam Napierski. Miał jeszcze pieniądze, mógł kupować papier, płacić drukarnię i honoraria, prowadzić dalej swoje kosztowne przedsięwzięcie. Ale był coraz bardziej rozdrażniony i niecierpliwy, czuł już katastroficzny niepokój.

„Jesteśmy zawsze niepouczeni życiem, chociaż coraz bliżej nowej okropnej katastrofy" — pisał o swoim nieszczęsnym pokoleniu przed kilku laty. Teraz już w swej przewrażliwionej nerwowości odczuwał i to, że „wszystkie zegary świata zaczynają bić groźnie godzinę dwunastą".

Dużo było takich przeczuć w twórczości Napierskiego. W wierszu do siostry pisał wprost tak, jakby stała mu wyraźnie przed oczyma wizja przyszłości:

Widzę ciebie zwycięską, choć od tego ginę,
Bezlitośnie pokorną w gruzów łunie śniadej.

Na razie ta śniadość gruzów obiecywała tylko zgubę. W ciemnej, sklepionej komnacie, gdzie mieściło się biuro drukarni i gdzie mnie czasem odwiedzał Marek ze swym ówczesnym sekretarzem, Rogozińskim, wydawał mi się podobny do czupurnego, trochę zapasionego ptaszka, płowego kanarka, tłukącego nieporadnie skrzydełkami o pręty.

Trawił go jakiś nerwowy niepokój, był w bezustannym popłochu. Ten niepokój szybko przekroczył granicę normalności, stał się już chorobą. Eiger chciał uciekać, zmieniać miejsce pobytu. Każde położenie wyznaczone mu przez los wydawało mu się niebezpieczne, odstręczające nie do zniesienia i uciekał z niego na oślep.

Ciekawe jest, że on, tak wspaniale sytuowany, tak często spędzający długie okresy życia za granicą, w pięknych i drogich sanatoriach i hotelach, nie wybrał jedynej zbawiennej drogi ucieczki i nie wyjechał po prostu za granicę. Że nie zdecydowała tego za niego tak praktyczna, opiekuńcza matka — pani Diana. Może przesądził to u niej zadawniony nawyk pilnowania z bliska

własnych interesów, obrony majątku — jedynej dla nich obojga podstawy egzystencji.

Przypominam sobie, jak kiedyś, jeszcze w czasie małżeństwa Marka, kiedy oboje z Irenką mieszkali w małej willi przy ulicy Szustra, byłam świadkiem rozmowy z ogrodnikiem, który projektował rozplanowanie i obsadzenie kwiatami ogródka. Okazało się, że zakupił za bardzo wysoką cenę cebulki tulipanów, importowane wprost z Holandii. Nawet Eigerowie, przyzwyczajeni do dużych wydatków, uważali wtedy koszt tego zakupu za wygórowany i robili mu wymówki. Ale pocieszali się myślą, jak to będzie pięknie, kiedy te wszystkie tulipany zakwitną jednocześnie. Potem nastąpiły jakieś konflikty, zmieniły się plany. Małżeństwo rozjechało się, każde w swoją drogę. W maju mała willa była pusta i nikt nie oglądał kwitnących w ogrodzie tulipanów...

Wtedy żaden praktyczny wzgląd nie dyktował konieczności pozostania. Wtedy Marek wyfrunął w świat ze swej złoconej klatki — bez wahań. Teraz jakby zapomniał o tej jednej ewentualności. Jakby się zgubił i stracił jakikolwiek instynkt orientacji. Szukał mieszkania, miejsca pobytu w Warszawie, krążył po niej nieprzytomnie. Niestrudzona pani Diana wynajmowała coraz nowe mieszkania, opłacała je, urządzała, organizowała najbardziej przytulne wnętrza. W Alei Przyjaciół okazało się, że Markowi przeszkadza w pracy piszcząca i zgrzytająca winda. W okresach choroby cierpiał na bezsenność i nadmierną wrażliwość słuchu. Potem było mieszkanie na Saskiej Kępie, potem na Żoliborzu, wreszcie jakiś pokój sublokatorski. Trzy razy następowała kłopotliwa przeprowadzka, taszczenie mebli, książek, obrazów, rękopisów z jednej do drugiej dzielnicy Warszawy. Wszędzie czuła matka i wszechwładny pieniądz tworzyły wygodne azyle dla roztrzęsionych nerwów, dla skołatanej duszy. I zewsząd, nawet z domów zdrowia, w których przejściowo przebywał, wypędzał Stefana Napierskiego obłędny strach. Wyrywał się stamtąd, żeby w panicznym biegu szukać swego miejsca na świecie.

Wszelkie wieszczby i strachy spełniły się już niebawem. Przyszło to, co przeczuwał i czego się bał, pisząc do siostry:

— Pomyśl, światami błądzę, mrocznych szum gałęzi
Wyrok na ciemnych szybach na nas dwoje pisze.

W śniadej i płomiennej łunie gruzów i pożarów, przez rozsypkę wielu domów i kapliczek ideowych, pałaców i fabryk kapitalistycznych, przyszła klęska. I Marek Eiger już jesienią 1939 roku znalazł w okupacyjnej Warszawie swe miejsce — tak jak siostra — za kratami więzienia. Z tego schronu, z tego ponurego ostatniego etapu swej wędrówki życiowej, z tej siedziby męki — wyprowadzono go już tylko na plac egzekucji, w męczeńską śmierć skazańca.

Zginął rozstrzelany jako jedna z pierwszych ofiar okupacji. Matka przeżyła go o 5 lat. Umarła w nędzy po powstaniu.

Hanna Mortkowicz Olczakowa

Z POEZJI MURZYŃSKIEJ

Określenie „sztuka murzyńska" natychmiast kojarzy się Europejczykowi z kształtem plastycznym. Z rzeźbą. I z niczym więcej. Dzieje się tak, jak gdyby było najzupełniej oczywiste, że ludowa twórczość ludów czarnego lądu rozwinęła się i ograniczyła do tej jednej dziedziny sztuki. Jak gdyby w ogóle nie wchodziło w rachubę, że można tam spotkać coś interesującego w tej dziedzinie twórczości, dla której narzędziem i tworzywem jest język. Bo czy zresztą ludy Afryki są w posiadaniu języków na tyle sprawnych, by można przypuszczać, że stać je na stworzenie czegoś, co dałoby się nazwać poezją choćby nawet najbardziej prymitywną?

Nie od rzeczy więc będzie powtórzyć tu słowa Blaise Cendrarsa (ze wstępu do jego *Antologii murzyńskiej* wydanej w 1920 r.).

Powołując się na rozliczne prace lingwistyczne (Chatelaina, Buettnera, Taylora, Steere'a, Schlenkera, Christallera, Callawaya etc.), Cendrars twierdził mianowicie, że po opublikowaniu tych prac „nikt w Europie nie ma prawa nie wiedzieć, że Czarna Afryka jest jednym z najbogatszych terytoriów świata pod względem lingwistycznym". I gdyby nawet pominąć fakt, że w Afryce istnieje ponad sześćset języków i dialektów, w niczym nie pomniejszyłoby to zapewnień o językowym bogactwie ludów Afryki. Niechaj Blaise Cendrars dalej będzie tu świadkiem:

„Apleyard, Kraft i Steere jednogłośnie sławią piękno i siłę plastyczną tych języków, a Wilson mówi, że są one podatne, giętkie, sprawne w stopniu wprost nieograniczonym; ich prawidła gramatyczne mają oparcie w podstawach bardzo usystematyzowanych i filozoficznych; mogą one wyrażać najdelikatniejsze niuanse myśli i uczucia; nie ma, być może, języków na świecie, które posiadałyby bardziej zdeterminowany charakter i więcej precyzyjności w ekspresji."

O ile przytoczone poniżej utwory mogłyby w pewnej mierze uchodzić za próbkę tego, czym jest murzyńska poezja, to należy przy tym podkreślić, że cechuje je jeden zasadniczy mankament. Nie są tłumaczone wprost ani z języków Bantu (których jest zresztą sto sześćdziesiąt osiem, nie licząc dialektów), ani Ewe, ani Peul, ani Mossi, ani Baule... Są tłumaczeniami z drugiej ręki, poprzez przekłady francuskie, niemieckie bądź angielskie. Wypada jedynie mieć nadzieję, że mimo to zachowało się w nich coś z oryginału.

Z. S.

PIEŚŃ WOJENNA BAULE

Daj mi prochu i strzelbę: jutro wyruszę.
Chcę im głowy pościnać: jutro wyruszę.
Oni mają piękne kobiety: jutro wyruszę.
Jeszcze dzisiaj kule poodlewam: jutro wyruszę.
Jeszcze dzisiaj ofiary poskładam: jutro wyruszę.
Daj mi prochu i strzelbę: jutro wyruszę.

PIEŚŃ PIGMEJÓW O ŚMIERCI

Solista: Zamknięte są bramy Dana.
Chór: Bramy Dana zamknięte.
Solista: Duchy umarłych krążą tam w pośpiechu.
Ich tłum jest jak rój komarów.
Rój komarów, co tańczą wieczorem.
Chór: Rój komarów, co tańczą wieczorem.
Solista: Rój komarów, co tańczą wieczorem,
Kiedy zjawia się noc zupełnie czarna,
Kiedy zniknęło słońce,
Kiedy noc się stała zupełnie czarna.
Taniec komarów.
Wirowanie zeschłych liści,
Kiedy huczy cyklon.
Chór: Kiedy huczy i pędzi cyklon.
Solista: Czekają na Tego, który przyjdzie.
Chór: Na Tego, który przyjdzie.
Solista: Na Tego, który powie: „Ty — chodź, ty — odejdź!".
Chór: Na Tego, który powie: „Chodź, odejdź".
Solista: I Khmwum będzie razem ze swoimi dziećmi.
Chór: Razem ze swoimi dziećmi.
Wszyscy: I to już koniec.

PIEŚŃ WOJENNA ŁUCZNIKÓW DAWNEGO KRÓLESTWA DAHOMEY

Miecz nie przebija słonia, ogień nie trawi siedziby królewskiej, wiatr nie przenika kamieni, kamieni; ładunek w strzelbie zawodzi i kula upada na ziemię.

Łuk wypuszcza strzałę: zwierzę, gdy pada, osuwa się i, rzec by można, pada na własne łajno.

Niewielu jest takich, którzy próbują wyjąć żelazo z ognia; step nie rodzi krokodyli, co się mnożą w rozlewiskach rzek; póki zwierzę nie skona, nie przestaje umierać; za bardzo wysokie fortece rozpadają się; nie wejdzie koń na tratwę z trzciny; wiatr nie przenika kamieni, kamieni; ładunek w strzelbie zawodzi i kula upada na ziemię.

Łuk wypuszcza strzałę: zwierzę, gdy pada, osuwa się i, rzec by można, pada na własne łajno.

TANECZNA PIOSENKA BAYOLOLO

Widziałem smukłego młodzieńca
Kahulu he!
Brzęczy pszczoła
Yololo!
Łóżko miękkie niczym wydra
Wódz już zamilkł sam pozostał
Zaraz umrę
Moje serce już upada
Yololo!
Kto się potknął ten upada
Kukułka ogon opuściła
Nie dostanę się do deszczu
Po pniu drzewa.

ŚPIEW MURZYNÓW BANTU O BŁĘDNYCH OGNIKACH

Ogniu, który tylko w nocy pokazujesz się ludziom, w nocy głębokiej,
Ogniu, który się palisz, nie spalając, i świecisz, nie parząc,
Ogniu, który latasz bez ciała i skrzydeł, który nie znasz ni domu, ni ogniska,
Ogniu palm, ogniu przejrzysty, przyzywa cię mężczyzna, który nie zna lęku,

Ogniu czarowników, gdzie twój ojciec? gdzie twoja matka? kto cię żywi?
Ty jesteś swoim ojcem, ty jesteś swoją matką, znikasz bez śladu,
Nie rodzi cię suche drzewo, nie zostawiasz po sobie potomstwa popiołu,
umierasz a nie umierasz.
Dusza błądząca w ciebie się przemienia, a nikt tego nie wie.
Ogniu czarowników, duchu niskich wód, duchu wysokich niebios,
Błyskawico, która się jarzysz, świetliku, który oświetlasz bagna,
Ptaku bez skrzydeł, istoto bez ciała, duchu mocy ognia,
Posłuchaj mojego głosu, przyzywa cię mężczyzna, który nie zna lęku.

TAM-TAM POGRZEBOWY MOSSICH

Śmierć zabiła, a grabarz pogrzebał!
Och, och! Biada! zabrał mi jastrząb przyjaciela, a mnie tu zostawił.
Och, och! nie ma pocieszenia!
Śmierć mi zabrała przyjaciela!
Mój przyjaciel odchodzi na zawsze!

Laghda ścina, ścina drzewo, ścina świeże, zielone drzewo.
Śmierć mi nie zabiła przyjaciela, skoro ja jeszcze żyję.
Och, och! Biada! zabrał mi jastrząb przyjaciela, już odlatuje!
Och, och! nie ma pocieszenia!

PIOSENKA PEUL

Niebo ściemniało na granat bawełnianego płótna,
Które ufarbowano indygo,
Mgła się skropliła w kropelki świeżego mleka,
Zawyła hiena, grzywiasty władca stepu odpowiedział.
W taką porę jest miło zwierzać sobie sekrety z kimś
o pojaśniałej twarzy.

KOŁYSANKA HAUSSA

Hiena tu nie przyjdzie
Duch się dziś nie zjawi
Śpij moja dziecino

Śpij sobie spokojnie
Słoń ma nogi w pętach
Śpij sobie spokojnie
Kiedy będziesz większy odetniesz mu ogon
Rośniesz Bilal mi na zucha
Śpij sobie spokojnie
Kiedy będziesz większy odetniesz mu ogon
Rośniesz Bilal mi na zucha.

PIGMEJSKI TANIEC ZWIERZĄT

Solista: Ryby...
Wszyscy: Chlup!
Solista: Ptaki...
Wszyscy: Smyk!
Solista: Małpy...
Wszyscy: Prask!
Solista: Ruszam w lewo,
Skręcam w prawo
Tak jak ryba,
Która płynie,
Mknie, przemyka!
Wszystko żyje, wszystko tańczy, wszystko śpiewa...
Wszyscy: Ryby — Chlup!
Ptaki — Smyk!
Małpy — Prask!
Solista: Ptak się wzbija
Leci, leci, leci,
Znika, wraca, przelatuje,
Wzbił się, poszybował, spadł.
Jak ptak jestem!
Wszystko żyje, wszystko tańczy, wszystko śpiewa...
Wszyscy: Ryby — Chlup!
Ptaki — Smyk!
Małpy — Prask!
Solista: Po gałęziach, po gałęziach
Małpa pędzi, przeskakuje
Razem z żoną i swym małym.
Gęba pełna, ogon w górze!
Patrzcie, małpa! patrzcie, małpa!
Wszystko żyje, wszystko tańczy, wszystko śpiewa...
Wszyscy: Ryby — Chlup!
Ptaki — Smyk!
Małpy — Prask!

Andang — Mweng!
Ngug — Wiss!
Mon — Nya!

ŚPIEW KOBIET DAWNEGO KRÓLESTWA DAHOMEY

My kruszymy, rozbijamy, uprawiamy ziemię; niech na mężczyzn
spadnie ból rodzenia.
My ryjemy i kopiemy, my kruszymy, rozbijamy, uprawiamy ziemię;
niech na mężczyzn spadnie ból rodzenia.
Kobiety, my kruszymy, rozbijamy, uprawiamy ziemię; niech na mężczyzn
spadnie ból rodzenia.
Póki się usta otwierają, żeby jeść, skrwawiona motyka będzie otwierać
krwawą drogę.
My kruszymy, rozbijamy, uprawiamy ziemię; niech na mężczyzn
spadnie ból rodzenia.
Kobiety, my kruszymy, rozbijamy, uprawiamy ziemię; niech na mężczyzn
spadnie ból rodzenia.

TANECZNA PIOSENKA BAYOLOLO

W gąszczu ani śladu zwierza
Okropny ten gąszcz
Pień znad rodzimego brzegu
Tańczę upity barwnymi piórami
Moje oczy patrzą
Słońce śpi
Taniec męczy
Ożeniłem się z wciąż głodnym lampartem
Płacze wieczorny ptak
Wracajmy
Ho, ho!

PIEŚŃ PIGMEJÓW DO TĘCZY

Khwa, ye och! Khwa! Tęczo! och! Tęczo!
Ty, co błyszczysz wysoko, tak bardzo wysoko,
Ponad tym wielkim lasem
I wśród czarnych chmur
Przepoławiasz ciemne niebo,

Ty zwyciężyłaś w walce,
Rzuciłaś pod siebie
Piorun, który grzmiał,
Który głośno grzmiał, bo się złościł!
Czy on na nas się złościł?

Wśród czarnych chmur
Przepoławiasz ciemne niebo
Jak nóż za bardzo dojrzałe owoce,
Tęczo, tęczo!

A piorun zabójca ludzi
Rzucił się do ucieczki
Jak antylopa przed panterą,
A on się rzucił do ucieczki,

Łuku potężny Myśliwca z wysoka,
Myśliwca, który pędzi stado chmur
Jak stado przerażonych słoni,
Tęczo, powiedz mu od nas, że dziękujemy,
Powiedz mu: „Nie gniewaj się!"

Powiedz mu: „Nie złość się!"
Powiedz mu: „Nie zabijaj nas!"
Bo my się bardzo boimy,
Tęczo, tak mu powiedz.

PIEŚŃ ŻOŁOBNA EWE

Śpiewałem a później płakałem gorzkimi łzami.
Wielki jest świat i niezmierzony.
Oto powiadam tak: niech w dniu mojej śmierci
przewoźnik tylko wciągnie swoją łódź na brzeg!
Lewą ręką dam wtedy znak żyjącym:

Już w drogę ruszyłem!
Posłuchaj, Do: już w drogę ruszyłem!
Oto kołysząc się podpływa łódź śmierci,
już w drogę ruszyłem,
ja, który wam tyle śpiewałem piosenek.

Przełożył
Zbigniew Stolarek

Mieczysław Sroka

LISTY — DZIENNIK MYŚLI BRZOZOWSKIEGO

Listy Brzozowskiego nie są listami w potocznym znaczeniu tego słowa.

Ich charakter ciekawie określa Karol Irzykowski w jedynym bodaj zachowanym liście do swego wielkiego rywala.

„Powinien był ktoś godniejszy głos zabrać — pisał współautor głośnej broszury *Lemiesz i szpada przed sądem publicznym* w związku z jej ukazaniem się. — Za większą zbrodnię uważam — tak dziecinny jestem — to, że Pan nie pisał do mnie przez czas tak długi. W ogóle dziwny Pan jest w stosunkach osobistych. Traktuje Pan ludzi jak pionki, żyje Pan jak głuszec, co gdy tokuje, oprócz siebie nic nie czuje! Czytałem nieraz listy Pana do Perlmutterki — to nie listy, lecz wyjątki z dziennika myśli. Ta niemożność życia życiem osobistym jest może Pańską zaletą, ale i wadą“ *.

Przyszły autor zjadliwych aforyzmów na temat twórczości Brzozowskiego ma w dużej mierze rację **. Korespondencja autora *Legendy* ma odrębny od spotykanego zazwyczaj charakter.

Gdyby bowiem z tych ocalałych przez dwie wojny światowe około czterystu listów, pisanych do nielicznej grupy przyjaciół, wyłączyć zespół korespondencji dotyczący nieszczęsnej sprawy, owe tragiczne karty bezsilnego protestu człowieka, zaszczutego przez opinię, pozbawionego imienia, dorobku, autorytetu moralnego, po który sięgał swą patetyczno-kaznodziejską publicystyką; gdyby ponadto wyłączyć skąpe, powściągliwe z pewnych względów, ale wstrząsające informacje o postępującej w jego organizmie śmiertelnej chorobie, która ścinała go z nóg na długie miesiące; gdyby wreszcie pominąć w tej korespondencji rozpaczliwe wysiłki zdobycia minimum środków do życia dla siebie i rodziny, zostanie dziennik myśli — „życie osobiste“ Brzozowskiego.

„Wydarzeniami dotychczas w mym życiu były tylko książki i myślowe przygody, dość często komiczne“ — wyznaje autor *Idei* w publikowanym niżej rysie autobiograficznym.

Myśli... myśli... ich gorączkowe, intensywne, nieustanne „przeżywanie”, przetrawianie, przyjmowanie, przezwyciężanie i porzucanie; niepokojąco długa lista pochłanianej lektury; nie kończąca się litania atakowanych i uwielbianych nazwisk

* Biblioteka Narodowa, rkps 7017, k. 21.

** Ma ją w całości w odniesieniu do korespondencji Brzozowskiego z dr Salomeą Perlmutter.

„mistrzów"; przerastające siły jednego człowieka plany pracy; ogrom tej pracy; samokrytyczna analiza braków swego warsztatu pisarskiego; świadomość braków w przygotowaniu: odczuwana coraz bardziej izolacja i oderwanie od środowiska, którego świadomością pragnął wstrząsać; brak wiary w wartość tego, co poszło i szło między ludzi; ciągłe żarliwe poszukiwanie nowego pojmowania ludzkiej i pozaludzkiej rzeczywistości, które mogłoby pozwolić człowiekowi na swobodne nad nią rządy, itp. — oto najogólniejsze wrażenie z lektury tych, zapisanych ładnym, na pozór łatwym, faktycznie zaś piekielnie trudnym do odczytania pismem, małych, nadwerężonych półwieczem stroniczek.

Lektury, która może stanowić w pewnym sensie klucz do zrozumienia pisarstwa Brzozowskiego, lektury, umożliwiającej bowiem zrozumienie subiektywnego i złożonego charakteru tego pisarstwa.

Subiektywny charakter twórczości Brzozowskiego wynika z podkreślonego niejednokrotnie założenia autora: „Wypowiadać siebie, nie zaś tworzyć jasne, zdolne trwać przedmioty". Zgodnie z tym założeniem, wartość posiada to tylko, co jest biografią — „co nie jest nią, jest niczym".

Wielkim nieszczęściem tak programowo-subiektywnej twórczości musi być owo nieuchronne odrywanie się jej wytworów zarówno od społecznych, jak i w większym stopniu osobistych uwarunkowań, obiektywizacja społeczna dzieła, w sposób nieuchronny, w miarę upływu czasu zapoznająca te uwarunkowania. Dzieło musi się bowiem ostać samo, samo musi bronić swej zawartości wobec swego odbiorcy, który nie ma obowiązku przystępowania do lektury z ładunkiem wiedzy o jego autorze. Gorzej, jeśli wiedzy tej nie posiada również krytyka, urabiająca swymi opiniami czytelnika.

Źle zaś już jest, jeśli ponadto struktura tych tekstów nie jest łatwa.

W innym miejscu usiłowałem wykazać, że pisarstwo Brzozowskiego jest zjawiskiem wyjątkowo skomplikowanym. Wśród wielu czynników określających ten niewątpliwy fakt wymieniałem m.in.: stałą ewolucję autora *Legendy* przy pewnej (w części formalnej) tendencji ogólnej i określonej dwunurtowości całej twórczości; wielość uprawianych form i ich mieszany charakter; niezwykłą erudycję wraz z manierą swoistego interpretowania poglądów innych myślicieli; prawie wyłącznie krytyczne inklinacje warsztatu pisarskiego, w rezultacie marginesowy charakter dorobku własnego; twórczość jako wyraz publicznej edukacji pisarza; poetycko-kaznodziejsko-patetyczną formę jego moralistyki, uniemożliwiającą zrozumiałe przeformułowania itp.

Listy potwierdzają te uwagi. Listy umożliwiają rozszyfrowanie zarówno złożonej struktury umysłowości, jak i złożonego charakteru jego pisarskiej działalności.

Listy ukazują biografię intelektualną autora *Kultury i życia* i *Głosów wśród nocy;* pozwalają śledzić etapy jej rozwoju, dostrzec i zrozumieć przyczyny zmiany zajmowanych stanowisk, przyczyny nieraz tak zaskakująco osobiste, ale wyrastające przecież z typowych ograniczeń środowiska; zapoznają z założeniami pozostawionych i niezrealizowanych prac, zakresem lektury; odsłaniają sprzeczności światopoglądu; przeciwieństwo obu warsztatów: krytycznego i twórczego; uwypuklają jego niewątpliwy talent w demitologizacji świadomości kulturalnej owego okresu, pokazują powstawanie nowych mitów w jego dorobku konstruktywnym.

Listy jasno rysują sylwetkę tego tak dla wielu kłopotliwego w naszej kulturze 32-letniego myśliciela-ideologa, zagubionego w poszukiwaniach nowych rozwiązań kulturowo-społecznych.

Lektura listów zmusza do protestu wobec niejednej krzywdzącej opinii, wypowiadanej na jego temat; listy przeczą niejednej karykaturze myśli Brzozowskiego w opracowaniach krytyków; listy skłaniają niekiedy do surowszej oceny, niż ją dotąd formułowano.

Wobec takiego znaczenia korespondencji Brzozowskiego dla zrozumienia i oceny jego dorobku dziwić może fakt, że edycję *Listów* odsuwano na koniec dwunastotomowego wydania *Dzieł wszystkich* Brzozowskiego przez Instytut Literacki, w drugiej połowie lat trzydziestych.

W rezultacie wojna i powojenne losy rękopisów Brzozowskiego zaprzepaściły długoletni, uciążliwy wysiłek dr Marii Stokowskiej nad opracowaniem tej korespondencji.

Podejmując na nowo pracę nad edycją *Listów* Brzozowskiego Wydawnictwo Literackie może obecnie utrwalić i zapoznać czytelnika Brzozowskiego z przeszło połową tego, co zdołano w tym zakresie zebrać do r. 1939.

Ale lektura owych ocalałych trzystu kilkudziesięciu listów — dziennika myśli autora *Legendy*, niewątpliwie się opłaca.

Nim ten 35-arkuszowy tom trafi na półki księgarskie, warto chyba przykładowo zapoznać z zawartością przygotowywanej publikacji.

Z drukiem pewnej liczby listów Brzozowskiego w dwudziestoleciu bywało różnie. *Verbum, Ateneum, Krokwie* sięgały po listy z okresu „katolickiego". *Sygnały* przypominały okres marksizowania. *Wiadomości Literackie* publikowały listy jako materiał do „sprawy".

Poniższy przykładowy wybór pragnie swym przekrojowym charakterem uniknąć tych jednostronności.

Nadto publikowane teksty grzeszyły zbyt wieloma błędnie odczytanymi słowami, zdaniami, a nawet całymi fragmentami rękopisów Brzozowskiego.

I ten brak został chyba usunięty.

Obecny stan pracy nad przygotowywanym wydaniem *Listów* nie pozwolił na bardziej wyczerpujące opracowanie publikowanego wyboru.

Mieczysław Sroka

1

Do Wilhelma Feldmana [1]

Otwock, 24. VI. 1904

Szanowny Panie! [2]

Proszę nie uważać za brak dobrych chęci z mojej strony względem *Krytyki* tego, żem dotychczas nie zdobył się dla niej na nic prócz obietnic. Obecnie pisanie przychodzi mi niezmiernie ciężko. W tych czasach w myślach moich dokonał się zasadniczy przewrót i [...] trudno mi się jeszcze zorientować wśród

gruzów i porozpoczynanych kombinacji[3]. Więcej niż kiedykolwiek, a raczej teraz dopiero wzięła mnie w posiadanie metafizyka, i rzecz każdą, zanim coś powiedzieć o niej mogę, muszę doprowadzić aż do tego punktu, w którym unicestwia się władza demonów przyrody i historii, a rozpoczyna się sfera czysto bytowych stosunków.

Czy wobec tego nadaję się jeszcze na współpracownika pisma, przeznaczonego dla ludzi żywych, nie zaś dla zagubionych wśród abstrakcji pedantów, to jest kwestia, która mi się coraz częściej nasuwa. Nie ma w tym żadnego sofistycznego wykrętu ani taniej ironii.

Istotnie wierzę, że metafizyka jest ujawnieniem tego, co najbardziej jest, i co jest nam najbliższe, że metafizyczny punkt widzenia jest najistotniej ludzkim, powinien więc doprowadzać do wyników najprostszych i najoczywistszych.

Tymczasem dziś zbywa mi na tej prawdzie i jasności — *vide* studium o Żeromskim, pod względem kompozycji chyba jedna z największych potworności, jakie w literaturze krytycznej istnieją[4]. Znaczy to, że jestem jeszcze nie gotów i dopiero w drodze. Nie ma nic trudniejszego, jak pisanie podczas takiej podróży.

Pomimo to przyrzekam najsolenniej przysłać w krótkim czasie rzeczy najbardziej skrystalizowane, na jakie będę się mógł zdobyć; w kwestii owego nieszczęsnego *Polaka*[5], tytuł będzie nieco inny, oraz studia o Nowaczyńskim i J. A. Kisielewskim (metafizyka Taine'a) nie tak przerażających rozmiarów, jak o Żeromskim (po jakie 600—800 wierszy). Czy dobrze?

Poza tym podobizny swoje łączę aż dwie: jedna zeszłoroczna, druga łączna razem z Neuwertem, tegoroczna. Załączam poniżej też mój rys [?] autobiograficzny.

Urodziłem się w Wojsławicach (chełmski powiat lubelskiej guberni) 29 czerwca 1878 roku[6]. Do gimnazjum uczęszczałem zrazu w Lublinie od 1888—1892, a potem w Niemirowie na Podolu od 1892—1896. W 1896 wstąpiłem na Uniwersytet Warszawski na wydział przyrodniczy, z którego mnie w 1897 r. wydalono[7].

Drukować zacząłem w r. 1901. Pierwszą rzecz drukowałem w *Prawdzie* (lipiec 1901 roku) o *Amielu,* później książeczki Arctowskie i *Głos.* Napisałem w 1901 powieść *Pod ciężarem Boga,* którą mi cenzura skonfiskowała[8].

Wydarzeniami dotychczas w mym życiu były książki i myślowe przygody, często dość komiczne.

Bardzo wcześnie zacząłem czytać, do 13 roku życia znałem wszystkich naszych romantyków i prawie całą literaturę powieściową. Od 14 czytałem przeważnie Moskali. Bielińskiego przeczytałem całego kilkakrotnie, podobnie Dostojewskiego, Puszkina, Turgieniewa i Gogola. Później poznałem Dobrolubowa i Pisarewa. W uniwersytecie zaczytywałem się Szczedrynem i Gl. Uspieńskim, poza tym zajmowałem się przez 1½ roku biologią, przeważnie teoria komórki i embriologia.

Pod tym wszystkim wcześnie budziła [...] potrzeba metafizyczna, gdyż zagadnienia ostateczne od czasu ostrego i przewlekłego zarazem kryzysu religijnego[9] zajmowały mnie nieustannie.

Przedmowa do [...] *(Allgemeine Psychologie)* była mojej inicjacji filozoficznej. Potem w roku 1897 czytałem Schopenhauera, Kanta, wreszcie Avena-

riusa. Choroba przerwała moje prace nad filozofią i teorią nauk społecznych, czytałem zawzięcie Marksa, ale także Iheringa [...], Stammlera, Karola Mengera, Durkheima, Bartha, Simmela itd. itp., potworne pele mele.

Podczas choroby zwróciłem się do literatury zrazu francuskiej. Przeszedłem [?] prawdziwe *engagement* naturalistyczne. Flaubert, Goncourt, Zola, Leconte de Lisle i Heredia. Jednocześnie studiowałem Taine'a, Sainte-Beuve'a, Renana oraz pomniejszych: Lemaître'go, France'a. Ideałem filozoficznego stanowiska był dla mnie Renanowski dyletantyzm.

Z takim przygotowaniem zetknąłem się w 1901 roku z modernizmem. Kolejność była mniej więcej następująca. Przybyszewski, Maeterlinck, Ibsen, Nietzsche, którego znałem przedtem, ale teraz dopiero zacząłem przeżywać, który na dobre dwa lata zapanował nade mną. Równolegle Wyspiański, Verlaine, Laforque, Baudelaire, Rimbaud. Teraz dopiero Niemcy i Anglicy. Obecnie całą duszą tkwię w romantyzmie niemieckim. Taki jest szkielet zewnętrzny.

Rozpisałem się, ale *vouz l'avez bien voulu* [10]. Zresztą można nie czytać.

Myślę o przeniesieniu się jesienią do Krakowa, gdyż mam plany literackie, których uskutecznienie w W-wie jest niemożliwe [11].

Uścisk dłoni i wyrazy szacunku

St. Brzozowski

2

Do Salomei Perlmutter [1]

[Nervi, połowa stycznia 1906]

Szanowna i Droga Pani! [2]

Serdecznie dziękujemy za list, który przed chwilą otrzymaliśmy. Żona odpisze oddzielnie, gdy jej Dzida [3] zostawi trochę wolnego czasu.

Zamiana pensjonatu okazała się pod wieloma względami niepomyślna: gorzej żywią i bardzo trudny dostęp. Inne pensjonaty jednak mają albo też swoje wady, albo też są znacznie droższe, a my i tak masę pieniędzy wydaliśmy i wydajemy. W dodatku, ja nic nie robię, a przynajmniej nic, co by posiadało wartość zamienną.

Od paru dni panuje tu jakiś północno-zachodni wiatr, który straszliwie daje się nam we znaki. Mnie kaszel wrócił z podwójną siłą i trapi mnie jak Durnawo Rosję, a Skałon Warszawę.

Na domiar nie dostaję listów od brata [4] i nie wiemy, czy mu Połoniecki [5] wypłacił pieniądze, o jakie do mnie telegrafował, a z Warszawy nic od siostry [6].

Wiadomości warszawskie i rosyjskie są też nad miarę ludzkich nerwów, i trzeba być Feldmanem, aby nie czuć, jak lichą rzeczą jest owo droższe od krwi słowo. Toteż w nastroju obecnym list Pani zrobił mi radość ogromną. Takie czasy, jak nasze, można jeszcze znosić, gdy się jest razem.

Chciałbym coś napisać z powodu listu Daszyńskiego [7], ale 1-o nie wiem, gdzieby to można wydrukować, 2-o czy byłoby to rzeczą taktycznie stosowną. Oczywiście nie idzie mi tu o polemikę, która pomiędzy takim jak ja dyletantem politycznym a Daszyńskim byłaby śmieszna!

Sądzę, że list Daszyńskiego jest pewnego rodzaju niedomówieniem. Stawia on sprawę bardzo kuso.

Tylko stronnictwo nierewolucyjne może wysuwać hasło nie będące syntezą wszystkich wchodzących w grę problemów. Rewolucyjnie sprawa niepodległości Polski może być rozważana tylko w związku z rozwiązaniem rewolucyjnych problemów ogólnorosyjskich.

Nie umiem tego jasno wypowiedzieć, ale czuję, że każde wyodrębnienie musi tu się odbyć jedynie na zasadzie, z punktu widzenia rewolucji reakcyjnej. Może ono być przyjęte jako rezultat częściowy w dążeniu do ogólnego celu, ale nie jako cel.

Tu nie idzie o kosmopolityzm, ale wolna Polska jest zrozumiała jako cząstka wolnej Europy, a przede wszystkim wyzwolenie jej daje się pomyśleć tylko w związku z wyzwoleniem wszystkiego, co dławione jest w Rosji. Polska, która dałaby się osiągnąć inaczej — wolną nie będzie.

Otóż w momencie rewolucyjnym tylko hasła do końca szczere — mają znaczenie. Maskarady się nie udają.

Hasło niepodległość jest zbyt ogólnikowe. Trzyma się ono tylko swymi negatywnymi przesłankami. Hasło pozytywne brzmieć by mogło: wobec niemożliwości absolutnej centralizacji rewolucji rosyjskiej, wobec tego, że nie jest ona nawet pożądana — organizacja walczących o wolność swą narodów uciemiężonych przez carat.

Ani centralizm ogólnorosyjski, ani separatyzm nie są wyrazem istotnej rewolucyjnej treści — centralizm nie, bo obecność całkowicie narodowo-autonomicznych i spontanicznych ruchów jest aż nazbyt stwierdzona, odrębność nie — gdyż współzależność tych ruchów jest aż nazbyt jawna.

W każdym razie nie jest rolą naszą, jako stosunkowo najbardziej kulturalnie rozwiniętej części — rewolucyjnych sił — załatwić się ze sprawą przez proste odwrócenie się plecami do wszystkiego, co nie jest bezpośrednio dla nas aktualnym. Jest to krótkowzroczność.

Sądzę jednak, że Daszyński wie to lepiej ode mnie, albo więc wpłynęły na niego okoliczności, których nie znam, i wskutek tego sądzić o Jego wystąpieniu nie mogę, albo też artykuł jest źle sformułowany.

W każdym razie pisanie wydaje mi się ryzykownym, gdyż nie chciałbym zwiększać chaosu przez jakąś nieopatrzność.

Wielką rozkosz sprawia mi czytanie *Krytyki czystego rozumu*, której od paru lat nie czytałem. Nigdy jeszcze nie czułem tak potęgi tej książki.. Dzięki temu moja konstrukcja filozofii niemieckiej będzie teraz szersza i sprawiedliwsza.

Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich, wyrazy przyjaźni i uścisk dłoni

St. Brzozowski

3

Do Wilhelma Feldmana

[Nervi, luty 1906]

Kochany Wilhelmie! [1]

Posyłam Ci jednocześnie rękopis „rapsodu" — *Marcin Kasprzak* [2].

Przed tygodniem wyprawiłem *Naprzodowi* artykuł pt. *Liberum veto*, w sprawie zachowania się socjaldemokracji zagranicznej. Byłem przygotowany, że *Naprzód* nie przyjmie. Uważałem jednak za konieczne zwrócić się do pisma socjalistycznego, gdyż sprawę uważam nie za bankructwo socjalizmu, który jest i pozostanie dla mnie kamieniem węgielnym wiary w ludzkość, lecz za sprzeniewierzenie się socjalnej demokracji rewolucjonizmowi.

Gdybyś słyszał, tak jak ja miałem sposobność, Plechanowa rozprawiającego o tym, że socjaliści moskiewscy błąd popełnili przyłączając się do walczących robotników, i że tak postąpiłby Bebel, usprawiedliwiłbyś ton artykułu. Marksizm nie Marksa, lecz marksistów, jest chorobą dziewiczą rewolucji współczesnej.

Zanim jednak zdobędę się na wykonanie takiej rozprawy, która by była należycie wyargumentowana, nie mogę milczeć. Znaczenie protestu indywidualnej więc, i [...] tezy w nim wyłożonej ma dla mnie artykuł. Proszę Cię, zażądaj na zasadzie tego listu rękopisu w redakcji *Naprzodu* i jeżeli zechcesz wydrukuj w kwietniowym zeszycie [3].

Drukarnia akademicka zawód mi zrobiła z *Dostojewskim* [4] i wydrukowała 4 arkusze i ani rusz dalej. Nic prawie nie piszę — dużo bardzo czytam.

Gdybyś mógł — przyślij mi odwrotną pocztą 50 koron zaliczki — czego nie pokryją te rękopisy, gdybyś je mógł oczywiście — to dopełniłaby rzecz o Słowackim, którą Ci za parę tygodni prześlę. [5]

Serdeczne pozdrowienia łączy

Stanisław Brzozowski

Nervi, pension „Bismarck"

4

Do Salomei Perlmutter

[Nervi, luty 1906]

Kochana Pani! [1]

Z każdym dniem, z którym siły moje wzrastają — więcej mi się daje odczuć oderwanie od środowiska, w którym rozstrzygają się takie sprawy, jak charakter przyszłej Dumy.

Z niedającym się wypowiedzieć uczuciem upokorzenia odczytuję artykuły Izy [2] w *Kurierze Lwowskim*.

Dziś, kiedy okazało się, jaką jest ta zdolność czynu inteligencji polskiej,

sławiona przez Niemojewskiego, dziś, kiedy powinna się ona czuć bankrutką, tak jak zresztą my wszyscy [3], którzy widzimy, jak dalece zaniedbaliśmy — gdy pora była przygotować społeczeństwo do historycznej działalności, śmie ona z lekceważeniem mówić o ruchu rosyjskim.

Klęska uświadomiona, odczuta i zrozumiana przestaje być klęską, gdy się kojarzy z silną wolą, ale to wieczne usypianie się powierzchownym, kłamliwym optymizmem, ten filuterny uśmieszek w momentach, kiedy życie pluje w oczy niebywałą ironią — to jest zanik, rozkład inteligencji społecznej.

Nasze pisma są dziś podobne do bokserskich biuletynów, sławiących zwycięstwa nad „zamorskimi diabłami".

Co paple Moszczeńska o Spirydonowej? Jak może się jej przecisnąć przez usta i mózg lichy samochwalczy żarcik wobec myśli o tej męczennicy! Skąd to stałe — [...] wżywanie się w psychologię Abramowa czy Konstantinowa. Polacy wyrżnęliby nas za coś podobnego. Jacy Polacy. Iza i mistrz Andrzej.

Kłamstwo! Ohydne kłamstwo, któremu życie setki razy zaprzeczyło!

Przecież Grün chodzi i pije po kawiarniach warszawskich, a jeżeli sprzątnie go kto, to będzie znowu ktoś z tych socjałów Żydów lub na wpół Żydów, którym pani Iza nie mogła darować „białej gęsi".

Jeżeli mię tu nie ubije apopleksja, co wobec obecnej mojej tuszy jest bardzo możliwe — wojna na śmierć i życie — polskiemu postępowemu optymizmowi, rozleniwiającemu pobłażaniu.

U nas byle się „uważać za socjalistę" — wolno nie mieć najelementarniejszych pojęć o budowie i życiu nowoczesnych społeczeństw; byle mieć „dobre intencje", wolno mieć w głowie kaszę i kaszą tą żywić i tak chore na wodę w głowie społeczeństwo.

Niechby przecież ta pani Iza choć parę gazet rosyjskich czytała, aby zrozumieć, że my dzisiaj Chinami jesteśmy, ciemnymi, nędznymi, załamującymi się.

Smutno, smutno, jeszcze raz smutno!

Napiszcie co dobrego i o tym, co się u Was dzieje i myśli.

Serdeczny uścisk dłoni
Wasz
St. Brzozowski

5

Do Salomei Perlmutter

[Nervi, koniec stycznia 1907]

Droga Towarzyszko! [1]

Nie gniewajcie się na mnie, że do Was nie pisałem. Smutny jestem i rozbity i przy dotknięciu najlżejszym moja psyche wpada w liryzm, którym się brzydzę. Więc proszę wybaczcie i moje milczenie, i nie karzcie mnie za nie. Gdyby ludzie życzliwi mi wiedzieli, jak bardzo dziś potrzebuję wiadomości, a choćby tylko uściśnięcia dłoni, choćby znaku pamięci, nie skąpiliby mi ich tak. Ja będę pisał, gdy tylko trochę sam siebie na nowo odnajdę. O sobie więcej nie będę pisać — bo to najzdrowiej.

Fizycznie mam się nieźle. Natomiast żona jest chora dość poważnie. Do silnej anemii przyłączyło się zajęcie prawego płuca, co jednak w tutejszym klimacie niebezpieczeństw nie przedstawia.

Napisałem tu artykuł do *Przeglądu Społecznego,* który pewno za parę tygodni się ukaże. Jest to pewien rodzaj filozoficznego exposé — najbardziej zasadniczych punktów materializmu dziejowego[2]. Zobaczycie zresztą.

Teraz piszę artykuł o polskiej literaturze i o Carduccim dla *Russkogo Bogatstwa*[3]. O Carduccim będę pisał też i po polsku.

Zaimponowali mi Włosi kultem dla Carducciego i sam poeta. Naród, który umie czcić takich pisarzy, który takich uznaje za swoich wychowawców, żyje i będzie żył. Carducci — można i trzeba to przyznać — to nie był geniusz *à la* Goethe, ale to był umysł nieskończenie jasny i męski, to było serce, kochające silną i swobodną ludzkość. To był prawdziwy odnowiciel klasycyzmu, to jest ludzkości rządzącej sobą swobodnie przez sztukę i piękno. Jak nienawidził on mieszczaństwa, jak kochał siłę i pracę, jakie inwektywy miotał na poezję tworzącą mgłę sentymentalną. *Ecce vir.* Co za siła gniewu. Kocham, kocham Carducciego. Gdybyśmy mieli choć jednego, który by żył w świecie swobody i siły, nie płakał i nie tęsknił.

Polska musi zerwać ostro, niepowrotnie z całą dotychczasową literacką tradycją. Polska literatura musi uświadomić sobie, że w przeszłości poza nami nic.

Gdzie nasz współudział w pracach ludzkości? A pomimo to, gdybyśmy tylko siły po temu mieli, moglibyśmy stwarzać literaturę — prawdziwie wielką. Skojarzcie ten idealizm, jaki jest w Żeromskich, Wyspiańskich, Micińskich — ale tu nieustannie mówiony, z twórczym idealizmem, z życiem samych naszych mas pracujących — oprzyjcie całą naszą ideologię na tej jedynej podstawie, jaka jest dziś możliwa — na idei człowieka swobodnego pracownika, odpowiadającego tylko przed samym sobą, klasycznie swobodnego wobec przyrody i duszy własnej i klasycznie kochającego wszystko, co żywe i ludzkie. Raz przecie włączcie Polskę do Europy naprawdę, ale bez zastrzeżeń, bez kompromisów, nie lękajcie się krańcowości, walki z popami Chrystusa i ojczyzny (wszystko jedno) — a następne pokolenie już młodych Polaków inaczej czuć będzie, inaczej będzie myśleć, chcieć.

Gdybym ja miał siły, gdybym nie był przemęczony szukaniem, gdybym miał pierwszy impet młodości. Dzisiaj mogę pisać tylko recepty.

Ale elegijny ton znów się zakrada.

Czytałem jeszcze nową książkę o Heglu po włosku[4]. I na tych Włochów patrzą Niemcy i Francuzi jak na próżniaków i dzieciaków, a porównajcie nas z nimi. Czytałem też poezje Leopardiego, młodzieńcze, patriotyczne.

Ale, ale, jak możecie przypuszczać, że ja już mogę pisać po włosku. To najpiękniejszy i najtrudniejszy z języków. Prawdopodobnie nigdy nie ośmieliłbym się pisać w nim. Ale myślę, że po jakimś czasie będę mógł pisać o Włochach.

Czytałem też 2 historie ruchu narodowego we Francji — Pelloutiera i Paula Louisa. Obie bardzo piękne. Napiszę o nich sprawozdanie[5].

Ale dlaczego Zetterbaum nie przysłał mi *Sidneya Webba?* Poproście go także, aby przysłał mi *Hegla* Fischera.

Zacznę pisać o Marksie, będzie mi książka potrzebna. Sprowadzam też sobie Proudhona, aby w książce o Marksie i o nim coś napisać, co by nie było z wiatru. Poza tym czytam książkę Sorela o strajku powszechnym. Doprawdy, Towarzyszko, syndykalizm to najgłębszy prąd w nowoczesnym socjalizmie.

Nie mam gdzie pisać. Zresztą mania prześladowcza mnie trapi, i całe dnie miewam wykolejone przypuszczeniami, których nicość sam rozumiem, a nie umiem już się oprzeć. Dlatego proszę Was, jeżeli macie dla mnie trochę przyjaźni, nie liczcie się z listami moimi i piszcie. Dzień, w którym nie dostaję od nikogo słowa, bywa najczęściej stracony dla pracy. To zapewne dzieciństwo, ale tak obecnie jest.

Martwi mnie *Głos* [6]. Co tam za ton panuje. Nie jestem doktrynerem. Ale są rzeczy, których usprawiedliwić nie można. *Głos* stale zwraca uwagę, że bogaci nie myślą o biednych, jest to demoralizowanie klas pracujących; podstawą świadomości socjalistycznej jest: precz z opieką! Nie chcemy, aby o nas myślano! Chcemy myśleć! Rozumiem, że i grafomani potrzebują żyć, ale niech idą do prasy burżuazyjnej.

Żona pozdrawia Was wszystkich, ja Wam b. serdecznie dłoń ściskam.

Wasz
St. B.

5

Do Wuli i Rafała Buberów

[Nervi, początek lutego 1907]

Drodzy Państwo! [2]

Telegrafowałem dziś do Pana Rafała w kwestii czeku, jaki przesłałem przed 9 dniami z prośbą o zrealizowanie i przesłanie pieniędzy. Niespokojny bowiem jestem, czy doszedł.

Od „Sierpa" [3] nie dostałem żadnego znaku życia. Zaczynam mocniej pracować i czuję się lepiej. Piszę artykuł o polskiej literaturze dla *Rusk. B.*, o Carduccim dla *Przeglądu* [4], o Marxie i n+y innych rzeczy.

Chciałbym tylko raz wynieść się z pensjonatu, gdyż i drogo, i nieprzyjemnie. Gdy tylko będzie można, wyniesiemy się do Florencji.

Bardzo dużo zajmuję się tu literaturą syndykalistów. Niech mnie wszyscy ortodoksi ukamienują, ale doprawdy jest to w moich oczach jedyna duża i prawdziwie twórcza fala w nowoczesnym socjalizmie. Bardzo powierzchownie sądzą ci, którzy po prostu załatwiają się z nimi jako anarchistami.

Nieszczęściem partii jest to, że w niej t e c h n i k a zwalczania argumentów i zyskiwania zwolenników dla danego ustalonego programu zastępuje miejsce poznawania i budzenia. W literaturze partyjnej coraz częściej za prawdziwe zostaje uznawane to, co daje się obronić w polemice podczas agitacji przedwyborczej, nie zaś to, co wytrzymuje krytykę rzeczową.

W danym wypadku — ja nie widzę marksizmu poza syndykalistycznym poglądem na socjalizm.

Tu idzie o to, aby wytworzyć przewrót tam, gdzie jedynie może on być radykalny, tj. w organizacji wytwórczości. W syndykatach klasa robotnicza zdobywa własne centra rządzące procesem wytwórczym, i o ile zdolniejszą stała się do kierowania nią, o tyle rewolucja socjalistyczna jest zabezpieczona.

Z oświadczeń partii niemieckiej nie można wywnioskować, aby porażka wyborcza miała doprowadzić do rzetelnej krytyki dotychczasowej taktyki. Wyprowadzają się z niej wnioski raczej *à la* Bernstein niż *à la* Marx. Zresztą na proletariacie niemieckim mści się to, że i on, jak burżuazja niemiecka, przeżył swoją rewolucyjną szkołę [raczej] w myśli niż w życiu. Ostatecznie Marx sformułował tylko krwią okupione zdobycze proletariatu francuskiego. Ale i w rewolucyjnym poznaniu proces sam stwarza rezultat, a samego rezultatu przyswoić sobie nie można.

Życzę z całego serca nowych klęsk socjalnej demokracji niemieckiej. Jest to dla mnie rzecz najszczęśliwsza, jaka socjalizm może spotkać.

Niemiecka socjalna demokracja przyjęła do grona swych powag heretyka Lassalle'a, który tak lub inaczej kazał działać klasie robotniczej poprzez państwo. Ale jak o zbrodniarzu mówi taki Jaeckh w historii międzynarodówki [5] o Bakuninie, który wygłosił, że dobroczyńcą ludu jest ten, kto prowadzi go pod kartacze. Wątpię, czy proletariat będzie patrzał zawsze tymi samymi oczami na tę sprawę. Za to jedno wybaczam PPS-owcom wszystkie antymarksowskie kacerstwa, wszystkie głupstwa *Trybuny:* stwarza ona tradycję czynu, walki dla naszej klasy robotniczej. Nie każe jej liczyć na Madonnę Ewolucję i nie przyzwyczaja do tej rachuby. Gdyby do tego jasne, klasowe stanowisko, ale to klasa robotnicza sama z siebie zdobędzie i wyrobi.

Bardzo serdeczne pozdrowienia dla kochanych Państwa

St. B.

Żona ciągle chora i poprawia się b. wolno. Serdecznie Państwa pozdrawia.

St.

7

Do Wuli i Rafała Buberów

Florencja 10.IX. [1907]

Kochani Państwo! [1]

Piszę z kawiarni, gdzie jest trochę chłodniej niż w domu. Upał trwa u nas wciąż straszliwy.

Nie pisałem, gdyż 1-o nie wiem na pewno, czy list nawet teraz zastanie już Państwa we Lwowie. Miałem nadzieję, że może Państwo ze Stuttgartu zboczą do Florencji, ale naturalnie zboczenie byłoby zbyt duże. Kiedy uda się nam zobaczyć?

Ja do kraju nie chciałbym wracać przed napisaniem *Historii filozofii,* a ze strachem myślę, że to może potrwać strasznie długo. Przyznam się, że nieraz

jest tu strasznie ciężko żyć bez swoich, ale powrót do kraju to nie tylko powrót do przyjaciół, lecz do całej tej atmosfery, która uniemożliwia pracę.

Z tą pracą zaś jest tak. Ideowe linie historii filozofii są zbudowane bardzo silnie, w szczególności I-szy tom. Tom ten obejmuje czas od Odrodzenia do J. J. Rousseau. Wszystko opiera się na logicznie wypracowanej i, jak śmiem twierdzić, jedynie prawdziwej koncepcji filozofii. Byłoby pedantyzmem wykładać to tu obszernie, ale chciałbym dla dodania samemu sobie pewności określić ogólny zarys.

A więc filozofia jest rządem myśli nad życiem, jest świadomością pozwalającą życie świadomie przeżywać i tworzyć. Historia filozofii zatem to historia tworzenia się tej świadomości. Świadomość jest zawsze określona przez ten typ życia, który ją wypracowuje. Tworzenie się tych typów, ich przeżywanie się, zapadanie się, to podkład dziejowy dramatu. Rozwiązanie w dalszej przyszłości przed nami i wytworzenie takiego typu życia, w którym by jednostka istotnie panowała nad życiem, tworzyła je, władała własną rzeczywistością.

In concreto występuje to wyraźniej.

Chrześcijaństwo jest poczuciem niemocy wobec życia. Cesarstwo Rzymskie wytworzyło przy końcu — wieki I przed Chrystusem, I, II po Chrystusie — potężny organizm ekonomiczny, ześrodkowując całą produkcję i znaczną część konsumpcji w rękach machiny państwowej. Źródła życia były absolutnie poza jednostką. Sama zaś władza nad przyrodą była dla niej skutkiem nakazu. Jednostka jest niczym. Upadek moralny, przesilenie ekonomiczne wytwarza teren dla tej organizacji niemocy i rozpaczy, jaką było chrześcijaństwo. Powstaje świadomość bez przyrody, bez prawa, bez treści. Przeciwstawia się jej tragiczna świadomość stoicka — świadomość jurys konsullów rzymskich — świadomość prawa i poczucie bezsiły wobec życia i świata. Byli to może najtragiczniejsi ludzie, jacy kiedykolwiek żyli. To jest tło. Teraz czasy nowożytne są nieustannym usiłowaniem stworzenia typu życia, wyobrażającego siebie, i filozofia odbija tę walkę.

W Renesansie mamy już bardzo silne poczucie potrzeby naszego życia i nieznajomość jego warunków. Indywidualność renesansowa wisi w powietrzu: nie czuje ani prawa, ani przyrody pod sobą. Pierwsze wyraża się w rozpaczy Machiavella (znów olbrzymia postać), drugie w walce z magią, jaką toczy rodzące się przyrodoznawstwo. Galileusz najdoskonalej przezwycięża magię w myśleniu. Ale czym jest tu prawo? Niczym. Galileusz wie, że *e pur si muove*, ale musi odwoływać. Myśl bez prawa jest wciąż tylko w przestrzeniach międzyplanetarnych, jak eter.

Kartezjusz wie to także: chce przejść ukrytym. Oni budują rozum, który nie ma swego gruntu, nie zna go, musi wierzyć w boga, aby wierzyć w siebie.

Spinoza jest tu szczególniej tragiczny i konsekwentny, ale szczytowym punktem jest Vico. On stawia zagadnienia z wielką stanowczością. Rozum usprawiedliwia się przed samym sobą i widzi jasno, ale to szematy ludzkiej myśli. Czym jest sama ta myśl — wytworem historii. Póki człowiek nie tworzy historii świadomie, wszystko ginie, wtedy gdy ten nieznany, ciemny, demoniczny bóg Vica zniszczy same podstawy myśli i cywilizacji. Vico jest największą postacią całej nowożytnej filozofii. Leibniz jest przypadkiem. Mógłby być wykreślony z filozofii bez straty — pomimo geniuszu.

Vicowi odpowiada Pascal. On jest stwierdzeniem, że dopóki myśl nie tworzy

prawa, jest niczym. I stąd rozpacz, szał księdza: *abêtissez vous*. Chrześcijaństwo przedostaje się jak ciemna woda i zalewa kulturę w tej genialnej myśli.

Ale myśl pracuje na powierzchni. Mniejsza o to, [?] jest w głębi: ona tworzy filozofię XVIII wieku — dumny plan zdobywcy. Ale kto go ma wykonać. I tu znów nowy olbrzymi krok. Proletariusz Rousseau dźwiga się z dna: otom jest. Na moim grzbiecie ciąży to wszystko. Czy zdołam?

Pierwsza część dramatu zamknięta.

To byłby I-szy tom — naturalnie wypełniony treścią, o której nie mówię. Bacon, Campanella, Hobbes, Bayle itd. I ze strachem myślę też, czy zdołam. Napisać książkę felietonowo barwną potrafiłbym może już niebawem, ale ja chcę, aby ona była czymś solidnym, trwałym — bez łatwych syntez.

A ile na to potrzeba czasu, o tym myśleć nawet trudno, bo się zniechęca.

Byłem zrozpaczony, gdyż 10 dni przechorowałem. Napadło mnie coś nowego. W ciągu jednego tygodnia 2 razy zemdlałem. Myślałem, że trzeba będzie wynosić się z Florencji znów na jakieś pustkowie bez książek. Na szczęście lekarz tutejszy, profesor i towarzysz, do którego dostałem się dzięki listom polecającym Angeliki Bałabanow, pozwolił mi tu zostać, ale muszę się przenieść do górnej części Florencji, koło Porta Romana i Viale dei Colli. Znaleźliśmy tam mieszkanie umeblowane, 3 pokoje z usługą i życiem — 300 fr. miesięcznie — więc niedrogo. Przeniesiemy się, gdy tylko ukończę *Wyspiańskiego* [2], I-szą część *Jurka* [?] [3] dla Hasklera.

W I-szym tygodniu okradziono mnie na ulicy (40 fr.). Haskler poratował nas.

Kochani Państwo, proszę przeprosić wszystkich, do kogo nie piszę, jestem naprawdę zapracowany. Czytam masę i wciąż widzę, że to jest nic, nic literalnie. Gdyby organizm był zdrowy, mógłbym pracować więcej, ale przychodzą godziny całkowitej niemożności myślenia. A *Historię filozofii* chciałbym napisać koniecznie [4].

Niepokoję się milczeniem Ortwina — czy zdołał przeczytać *Płomienie* [5]. Wiem, że powieść ma okropne wady — ale aby ją zrobić tym, czym by być powinna, trzeba by lat. Dlatego wybrałem formę pamiętnika. I z całym spokojem mogę powiedzieć, że pomimo braku skupienia, pomimo ryczałtowości psychologicznej, ma ona koloryt treści. Ale ja sam czuję najlepiej, czym mogło to by być w innej formie, i gryzę się, że tym nie będzie.

Mógłbym dostać spółpracownictwo może w piśmie kijowskim *Kijewskaja Mysl* [6], ale nie jestem w stanie od miesiąca napisać felietonu jednego. Jest to całkiem rozpaczliwe.

Żona leży. Przemęczyła się w ciągu mojej choroby i ma znów silną anemię, bóle głowy, które ją dręczą po pół dnia prawie co dzień i odbierają sen w nocy. Dziecko zdrowe.

Niechże Państwo napiszą do nas. Poza przyjaźnią Państwa i kilku ludzi nie mam nic w rzeczywistym świecie, i moja jaźń abstrakcyjna często też samej sobie wydaje się marnym, zbytecznym przypadkiem.

Bardzo serdecznie pozdrawiam Państwa

St. B.

P.S. III paczki z rękopisem nie dostałem. Proszę się nie niepokoić. Muszę i tak pisać na nowo.

8

Do Salomei Perlmutter

[Florencja, początek grudnia 1907]

Kochana Towarzyszko![1]

Napisałem już dziś do Was kartę i myślałem, że nie zdobędę się na napisanie dłuższego listu. I to, że zaczynam pisać, nie dowodzi, abym miał pewność, że porządny list napiszę.

Napadła mię w tych wieczornych godzinach taka melancholia, że rady sobie z nią dać nie mogę. Wszystkie wiadomości z Warszawy, ogólny stan naszej literatury i spraw publicznych są takie, że mogą zemleć na proszek nawet całkiem kamienne organizacje. Jeżeli zaś dodacie do tego miriady niepowodzeń osobistych, sprawiających, że każde jutro staje się czymś groźnym i niepewnym, lichy stan zdrowia — zrozumiecie, że bywa człowiekowi do cna źle. Zazdroszczę właściwie Wyspiańskiemu — nie sławy, lecz spokoju, jaki zyskał[2].

I gdyby szczęśliwy przypadek nie zetknął mnie tu z Łunaczarskim[3] — pewno Wam o nim mówiła Walka[4] — nie umiem sobie wprost wyobrazić, jakbym zdołał wyrwać się z tej depresji.

Nie gniewajcie się na tę jeremiadę. Ja wiem, że Wam pewno jeszcze ciężej — ale zawsze ławą idziecie. Ja zaś jestem odcięty wewnętrznie, tj. nie czuję w sobie związków nawet z rzeczami, które kocham. Nie umiem tego oddać, ale tak jest.

Ale teraz jak zawsze do filozofii.

Poznałem prace Henryka Bergsona i bardzo mi dużo dały zadowolenia i korzyści. Najwięcej jednak skorzystałem z przestudiowania Vica. Teraz zapoznaję się z filozoficznymi pracami rosyjskich bolszewików, Łunaczarskiego i Bogdanowa. Od Bogdanowa jestem dość daleko w interpretowaniu rozmaitych rzeczy. Z Łunaczarskim zdaje się jesteśmy dość blisko od siebie. W każdym razie jest możność porozumienia się.

Z przerażeniem spostrzegam, że pismo moje staje się niewyraźne (piszę w łóżku). Staram się przeciwdziałać temu.

Mam pewien szereg *idées fixes* filozoficznych, które tu aforystycznie skreślam:

1) Wszystko, co stanowi t r e ś ć p s y c h i k i w danym momencie rozwoju, jest wynikiem doświadczeń, przeżyć nagromadzonych przez ludzkość.

2) Zatem gdy mówimy o poznawaniu bytu itd. — porządkujemy tylko materiał historycznie wypracowany.

3) Życie ludzkości — więc — a nie jakieś pozaludzkie (wszystko jedno Bóg, przyroda, materia itd.) określenie jest centralnym pojęciem filozofii.

4) Określenia bytowe (materia, przyroda, Bóg, duch etc.) są tylko pewnymi krystalizacjami, wytworzonymi przez to życie. Nie wychodzimy poza ludzkość w tych pojęciach, tylko tworzymy mistyfikacje.

5) Badanie form życia jest więc właściwym sposobem pracy filozoficznej. Poza każdym pojęciem, każdym systemem pojęć — odszukujemy tę grupę, która ją wytworzyła, i charakter tej grupy jest jedyną miarą jej ideologicznych dorobków.

6) Czytanki na temat monizmu od plazmy aż do człowieka etc., itd. są równie prawdziwe, zrozumiałe, jak i naiwne.

7) Chcieć znaleźć prawo, istotę świata poza nami jest to nie rozumieć zasadniczych wyników całej przyrodniczej i społecznej myśli.

8) Gdzież więc podstawa? — Ludzkość jako coś wystarczającego sobie i rządzącego sobą.

9) W jakich warunkach taka ludzkość jest możliwa.

a) opanowanie techniczne globu i wszelkich dostępnych „środowisk kosmicznych" — na nas działających;

b) świadomy i swobodny udział każdej jednostki w tym procesie rządów naturą.

c) zresztą [?] każdy pracujący posiada tę świadomość, zdolność swobodnego, niekontrolowanego udziału w pracy na tym poziomie;

d) system wzruszeń, przeżyć, uczuć etc. takich, aby możliwe było na tym poziomie swobodne życie płciowe, nie zagrażające poziomowi — czyli ludzkość jako pani kosmologicznych i własnych biologicznych procesów —

czyli — to, co było Bogiem,
substancją Spinozy,
absolutem — Ideą Hegla
ukazuje się jako taka żywa zbiorowość ludzka.

I innego postawienia sprawy nie rozumiem.

Nie rozumiem wychodzenia od materii, energii, takiej lub innej teorii poznania.

— To z filozofii.

Teraz refleksje inne, o literaturze polskiej.

Zadania na dziś:

1. Oprócz klasy robotniczej, a raczej pewnej jej części, na niczym oprzeć się nie można;
2. Sama przez się ta klasa nie wydoła;
3. Musi otrzymać hegemonię nad całą masą pracującą (chłopską i rzemieślniczą);
4. Literatura, jeżeli nie chce być zabawką, musi światopogląd klasy robotniczej, jej wzruszeniowość narzucić całemu pracującemu ludowi;
5. To zwężenie [?]. Nie — bo — poprzednie punkty ukazują, co zawiera ten światopogląd;
6. Musi to być odczute, aby szło nie jak lekcja, lecz jak żywy krzyk, jak śmiech, z całą krewkością;
7. Dziś o tym literatura nie myśli;
8. Pisarze socjalistyczni (u nas) wyrażają nastroje sympatyków socjalizmu — nie światopogląd pracy;
9. Więc trzeba stoczyć walkę o najlepszą część inteligencji, młodzieży, wychować ją i porwać w wielki żywiołowy prąd kulturalny — o jakim nie śniło się.

Napiszcie proszę mi, czy to są pedanckie urojenia doktrynera — ja się tak zsycham w sobie, że jestem nieraz jak kupa piasku, a czasami znów mam momenty wielkiego entuzjazmu.

Gdybym był zdrów — łomotałbym naokoło siebie w Polsce i poza Polską wszystko w filozofii i literaturze.

Np. *Jaskółka* Daniłowskiego słaba aż do bólu — a czuje się, że Daniłowski mógłby napisać wielki epos walki proletariackiej o duszę i los własny, albo nawet nie walki — ale jakieś Hezjodowe *Dnie i Prace* nowego, rządzącego sobą człowieka. To jest klasyk. Jemu trzeba marmuru, a nie jakiejś typiki polskiej inteligencji. A po co Moskali krzywdzi taki panicz: tego nie powinien by pisać.

Ściskam Was i za bezładny list przepraszam — gorączkę mam i jest mi pod wszelkimi względami źle.

St. B.

9

Do Wuli i Rafała Buberów

[Florencja, luty-marzec 1908]

Kochani Państwo![1]

Zmartwiliśmy się chorobą Pana Rafała. Tak często Pan zapada na zdrowiu, organizm musi być zmęczony chronicznym przepracowaniem. Jak się obecnie Pan czuje? Czy będzie Pan mógł wypocząć? A może wyjedzie Pan w czasie Świąt? Gdyby tak do Florencji.

My na Capri jechać nie możemy[2]. Musimy szukać sobie innego pobytu. Okazało się, że informacje Gorkiego co do taniości pochodzą stąd, że nie potrzebuje się on liczyć z pieniędzmi. Łunaczarscy, którzy wyjechali na Capri, są wprost zgnębieni przez drożyznę i wydawać muszą prawie 2 razy tyle, co we Florencji. Przy tym wyjazd na Capri związany był z powodzeniem planów Gorkiego. Tymczasem reakcja rosyjska pokrzyżowała te plany i obecnie materialne warunki rosyjskie postępowe są prawie tak ciężkie, jak nasze. *Sowremiennyj Mir*[3] z 14 000 prenumeratorów spadł do 6 000. Inne pisma w tym samym stosunku.

Co do mnie, to od dwóch lat fizycznie nigdy się tak d o b r z e nie czułem, jak obecnie. Widocznie operacja była potrzebna i zbawienna.

Natomiast silniej i coraz silniej daje się odczuć izolacja od kraju. Widzę, że w usposobieniu sfer postępowych zachodzą jakieś zmiany, i nie jestem w stanie dokładnie zdać sobie z nich sprawy. Lękam się szkodzić procesom rozwijającym się i niezbyt dla mnie jasnym.

Przyjeżdżający tu Polacy niewiele mi są w stanie ułatwić zrozumienie tego, co się u nas dzieje. Poza tym bywają tu i takie okazy, jak pewien redaktor, Simon z Zagłębia, który do właściciela kawiarni, dokąd chodzę na pisma — Paszkowskiego (szwagier Daszyńskiego), zwracał się z ostrzeżeniem przede mną i z żądaniem, aby, pod grozą bojkotu narodowych turystów, wstępu do zakładu mi zabronił! *(sic)* Są to jednak wyjątki. Inni zjawiają się u mnie, ale

na ogół mętne i smutne czynią wrażenie. Widując ich wiem, że pogłębienie naszej myśli jest moją iluzją *aus der schönen Firęnze.*

Poznałem tylko jednego człowieka, spotkanie z którym zaliczać będę do ważniejszych momentów życia. Jest nim pan Wojnicz [4] — emigrant — właściciel olbrzymiej antykwarni, człowiek, w którym uderza wprost jakaś bezmierna władza i siła wytrwania — postać prawdziwie i głęboko tragiczna.

Za mało znamy własne społeczeństwo. Jest w nas niewątpliwie poczucie siły. Proszę zważyć, jak mocny właściwie jest u nas nastrój w literaturze i publicystyce po wszystkich tych czasach, ale poczucie tej mocy jest jak gdyby oderwane od jej istoty. Świadomość czuje, że ma pod sobą grunt, ale zawiesza się raczej u chmur, nie na gruncie tym stoi. Na przykład, jaki charakterystyczny jest pod tym względem świetny jako literatura i jakże słaby i mglisty jako myśl i treść artykuł C. Jellenty w *Ateneum* [5].

W ostatnich czasach czytałem trochę angielskich pisarzy i dochodzę do przekonania, że jest to jedynie nowoczesna, stalowa literatura. Nie mam jednak czasu wciąż nauczyć się po angielsku i czytam przekłady.

Ciekawie i silnie żyje się dziś w świecie. Ale nam — trudno jest ująć, a choćby tylko zrozumieć tę potęgę.

Ja szczególniej mam wrażenie, że skapituluję już. Pamiętam, mówił mi dr Zetterbaum [6], że teraz nie czas na pogłębianie socjalizmu.

Otóż chyba więcej niż kiedykolwiek socjalizm w Europie przestaje mieć własną swą atmosferę umysłową, a o ile ją ma, jest ona zacofana.

Życie zalewa nas.

Toż dziś żaden polski, a mało kto z europejskich socjalistów, nie mógłby stoczyć zwycięskiej dyskusji nawet z katolikami-modernistami. Są oni pod wieloma względami nowocześniejsi od nas — marksistów. A taki silny prąd filozoficzny, jak pragmatyzm. Przecież zmieniła się dziś do gruntu cała psychika europejska i za lat 20 nie będą rozumiane wprost nasze stanowiska. A rozpacz prawdziwa, że jednak myśl Marksowska mogłaby górować nad tym wszystkim, wchłonąć w siebie zarówno najnowsze postawy filozoficzne, jak i wyniki krytyki historycznej — tak ciekawe szczególniej w analizie pojęcia ciągłości historycznej.

Widzę po prostu te drogi, po których iść trzeba, i brak mi sił zrobić to, co widzę. Brak wiedzy, czasu, głównie siły nerwowej. Umysłowo czuję się źle, gdyż lękam się, żem wyszedł poza granice tego, na co mnie stać, i przeżywam Waterloo.

Czy naprawdę podobają się Panu *Płomienie*? Strasznie boję się o tę książkę. Wiem, że w gruncie jest słaba, ale chciałbym, by była przynajmniej pożyteczna. Ortwin może być spokojny — rękopis już wysłany.

Ale prosiłbym go, by mi wysłał Schellinga nowe wydanie. Jest to b. ważne: piszę rzecz o Heglu dla rosyjskiego zbioru marksistowskich artykułów [7]. Otóż, skoro mogę znać Schellinga, dlaczego mam osłabiać sobie pozycję, która jest heretycka, więc wymaga poparcia jak najgłębszego. Piszę tylko o pewnych stronach Heglowskiej filozofii — głównie o *Fenomenologii.*

Rzeczą, do której najwięcej przykładam wagi, będzie studium o Vicu, książka o Mazzinim [8].

Ale kiedy to będzie. Piętrzą się przede mną materiały, książki, coraz to nowe kąty i punkty widzenia. Każdego dnia półki księgarskich wystaw przeko-

nywają mię, jak dalece zacofanym prowincjonałem jestem. Zepsuliście mię Państwo swą miłością i nauczyłem się zbyt dużo od siebie spodziewać. Teraz potrzebny by mi był trening skromności.

Ściskam i pozdrawiam Was serdecznie, drodzy Państwo

Wasz

St. B.

10

[Florencja, połowa maja 1908]

Do Przyjaciół, jeżeli są jeszcze, piszę te tylko słowa: skazano mię na śmierć głodową, zabito moralnie i zwolna zabijać będą fizycznie. W chwili gdy piszę, nie wiem, czy jutro będę miał dach dla dziecka. Tysiąc franków potrzeba, abym mógł zapłacić, co jestem winien, i móc ze szczątków życia budować schronienie dla moich. Pracowałem całą siłą duszy — dziś ginę. Raz ostatni odwołuję się do Was, jeżeli nie chcecie wspólnikami być w zabójstwie na mnie popełnionym.

Stanisław Brzozowski[1]

11

Do Walentyny i Edmunda Szalitów [1]

[Florencja czerwiec-lipiec 1909]

Moi Drodzy![2]

W *Kurierze Litewskim* jest taka korespondencja ze Lwowa: dwaj studenci techniki (inicjały) oskarżyli przed kolegami niejakiego Górskiego o szpiegostwo; Górski wniósł skargę do sądu; przed sądem jednakże technicy złożyli takie dowody, iż skarga Górskiego została odrzucona. Wniósł on apelację.

Czy nie wiąże się to z naszą sprawą? [3] Czy nie wiecie nic o tym? O nowych czynach bohaterskich Burcewa[4] już wiem: naturalnie jest on już teraz nienawistny [?] w sześcianie.

Wybaczcie, żeśmy nie pisali, ale moja noga, lubo na razie sprawia mi mało przykrości — jest źródłem nieustannego niepokoju na przyszłość. Lekarze ostatecznie stwierdzili, że jest to początek jakiejś długiej choroby biodrowej, którą może uda się powstrzymać. Zakazują przenoszenia się na północ [5] — wobec prawdopodobnego związku sprawy z moją dawniejszą gruźlicą. Radzą to, co zawsze się radzi — spokój, odżywianie etc., etc. Łatwo się domyślacie, jak przygnębia perspektywa dalszych skutków tej choroby.

Wykoleiło mię to tak psychicznie, jak nic. I może z tym łączy się stan ogól-

nego zaniepokojenia psychicznego, w jaki popadłem w znacznej mierze wskutek pracy nad Newmanem.

Troski religijne zawsze dużo znaczyły w moim życiu, dziś znowu wysunęły się na plan pierwszy i postanowiłem nie wymykać się im, lecz dojść do zgody z sobą.

Trzeszczy wszystko w moich budowach myślowych — ale i rozszerza się naokoło mnie widnokrąg.

Oh, gdyby móc jeszcze zdziałać coś dla rozbudzenia głębszej myśli w Polsce! *Legenda* to są żarty.

Jestem przygotowany, że dalsze ustępy, a mianowicie stanowisko wypowiedzenia się przeciwko demokracji[6] w ogóle zaniepokoi ich. Jest to jednak zasadnicze założenie dla mnie; ruch socjalistyczny jest tworzeniem się nowej arystokracji, jest zdobywczym ruchem proletariatu, a raczej klasy robotniczej: związek z demokracją polityczną jest koniecznym, ale wielkim nieszczęściem.

Socjalizm opiera się na tworzeniu zwycięskiego wobec przyrody w nas i poza nami swobodnego typu człowieka — demokracja opiera się na fikcji niezależnego od przyrody istnienia.

Z tego założenia snuję dalsze konsekwencje, które prowadzą mię coraz dalej od Engelsowskiej teologii. I muszę przyznać, pomniejszają samego Marksa.

Natomiast Proudhon pod wieloma względami wyrasta niepospolicie.

Ogromny wpływ wywarła na mnie książka katolickiego filozofa, Blondela[7]: są w niej rzeczy, które doprowadziły mnie do pogłębienia mojego pojęcia pracy.

Niewątpliwie dawno już myślałem, że praca jest jedyną mową, na którą odpowiada żywioł pozaludzki, jedyną postacią przezwyciężenia antropomorfizmu w myśleniu — u Blondela znalazłem jednak dalsze pogłębienie tej myśli.

Jak mi brak na każdym kroku wiedzy, którą powinienem był nabyć uprzednio — wyrazić nie umiem.

Ach, nie traćcie czasu, drodzy. Plujcie na to, co dzisiaj w Polsce uważane jest za ważne: warto czytać tylko rzeczy klasyczne i tych jest zbyt wiele.

Kończę teraz po raz 7 lub 8 pisane rozdziały o Żeromskim, Wyspiańskim dla *Legendy* i wiem, że sprawią one dużo przykrości — szczególniej o Żeromskim, choć piszę o nim z miłością, ale prawdę powiedzieć muszę: ta sztuka to strach przed wolą, niechęć posiadania jej.

Micińskiemu wojna bez pardonu za *Teofanu*[8], którą sam dobrowolnie zniszczył.

Po co ja chodziłem do tego kabotyna?[9]

Co za szopka z Feldmanem?[10]

I tu Żeromski podpisuje protest.

Newman dał mi dużo. Wywoła skandal to, co o nim napiszę — ale chcę raz przecie, aby było jasne[11].

To, co jest dzisiaj filozofią, jest dziecinnym bełkotem wobec katolicyzmu [...] Niemojewskich, Irzykowskich obrzydło mi.

Są w katolicyzmie myśli, które śmiałością przerastają wszystkie bunty Nietzschego.

To, co mi piszesz o n.[arodowej]-d.[emokracji], znajdzie swoje wyjaś-

nienie w rozdziale o Wyspiańskim[12]. Nie idzie mi o to, co jest w politycznym programie jakiejś partii. Polityczne hasła to tylko znaki wprowadzające w ruch instynkty. Instynkt zaś odrębności żyje w n.-d. i byłoby nieuczciwością go nie widzieć.

W rozdziale o Wysp.[iańskim] zresztą staczam z nimi batalię na ich własnym gruncie i ich własną bronią.

W ogóle za dużo rzeczy już pogrzebałem, przeżyłem, w milczeniu — dlatego trudno mi mówić dorywczo. Wszystko się wiąże.

Płomienie czytałem niedawno i pomimo wszystko przyjmuję artystyczną odpowiedzialność za tę książkę.

W Polsce estetyka jest sztuką bezbolesnego wycinania mózgu — i dlatego bardzo dobrze, że to dziś się nie wydaje sztuką.

Gdyby mieć 5 000 franków rocznie, moglibyśmy mieszkać razem i dokonać rzeczy, które by istotnie zaważyły na przyszłości. Mieć, znaczy to zarabiać — ale to utopia.

Jest tu Herbaczewski z żoną. Głęboki człowiek — ale nieuk i kłócimy się z nim, choć dużo ze stosunku z nim korzystam.

Byli oni u nas, gdy przyszły pieniądze. Oni i my bez grosza — nie macie pojęcia, jak rozjaśniły się miny, gdy nadszedł telegram.

Pieniędzy zostało nam prawie O, ale mamy spokój istotnie na czas pewien.

Piszcie, co się z Wami dzieje? Cieszę się, że chcesz mieć wszystko i brać się do egzaminu. Skończ z tym, a potem weź się w kupę i zacznij produkować, tylko pisząc uczy się człowiek rozumieć samego siebie, zmusza się do szczerości i jasności.

Ściskam Was

St. B.

12

Do Walentyny i Edmunda Szalitów [1]

[Florencja, jesień 1909]

Ciężkie jest życie, ciężkie, obrzydliwe , a przecież gdyby nie zużywano tyle energii, aby mię zabić, a przynajmniej sparaliżować — uznałbym [się] i w chorobie, i w braku szczęśliwy, bo teraz nie przemija dzień, abym nie miał chwil kilku zatopienia się w spokój bezwzględny — prawie w szczęście. Jakże współczuję z tymi, co mi tego odebrać nie mogą — nie mogą strawić, że mówią ze mną jak z powinowatym, ludzie dumni i niedostępni, że wymieniam tajne pozdrowienia z Newmanem, Heglem, Norwidem, jaka szkoda, że na to nie ma rady.

Może by jaki CKR co pod tym względem uchwalił.

To, co mi piszecie o młodzieży socjalistycznej lwowskiej, ma jedną [...] stronę [...]

Czy ja jeszcze jestem socjalistą? Ja sobie na to odpowiadam, że na pewno nie, że należę do dumnej klasy pracującej, że wytwarzam sam [?], nie żyję na

[...] ekonomicznie i moralnie powierzchni, która się nazywa inteli-
ıcją.
Odbiegłem bardzo daleko od tych pojęć, jakie dzisiaj w „socjalizmie" kurs
ją, i każdy mój [...] będzie musiał wywołać zdziwienie, może przykrość
ludziach, co zżyli się z tą niemoralną masą zabobonu, z jakiej składa się
ertuar uniesień socjalistycznych.
Myślę, że religijne, filozoficzne, polityczne moje odezwania się będą pojmo-
ne jako odstępstwo socjalizmu.
tak jest — ja nie mam nic wspólnego z tym ruchem, który nie jest budze-
m samodzielności w masie pracującej, lecz organizowaniem jej w armię po-
ycznią. To, co się daje masie jako myśl, nie jest myślą, nie może być ina-
j — bo sami przywódcy nie myślą.
Eksploatują oni pracę inteligencji: [...], że tworzą z niej narzędzie swego po-
rcznego panowania. Najuczciwszy socjalista dzisiejszego typu jest moim
ogiem, właśnie dlatego, że to jest nieuniknione, kto chce reprezentować
sę pracującą, musi być wytwórcą, tworzyć energię fizyczną lub wychowy-
ć stosunki ekonomiczne, poznawać siłę myślową lub piękno człowieka. Kto
tej pracy nie zajmuje żadnego miejsca, jest eksploatatorem, pasożytem —
to nie ma rady. Widzicie więc, moi drodzy, że owa młodzież [...] ja nie obie-
ę niczego prócz tego, że ani na jedną chwilę nie przestanę myśleć, praco-
ć, badać, że uczynię wszystko, aby myśl polską do gruntu przeorać, ale
tem sam, nie uznaję żadnego sztandaru, mam mistrzów i (w kościele) wro-
w tuż obok Marksa w Engelsie, słowem jestem [...] kompromitujących. Co
ęcej, uważam w polskiej psychologii wytworzenie zdolności państwowo-spo-
znych za nasze zadanie, uważam, że to jest nasza batalia, musimy wydrzeć
ąk Niemców i Moskali kierownictwo umysłowe młodych pokoleń, założyć
dstawy polskiego wychowania [...], że najgorszy własny rząd jest lepszy niż
lepszy obcy. Budzić pragnę Polaków z sielanki bezpaństwowego, bezpo-
rcznego istnienia.

13

Do Feliksa Brzozowskiego[1]

[Florencja, ok. 20 grudnia 1910]

Kochany Felku![2]

List Twój odebrałem dzisiaj; za życzenia dziękujemy Ci i załączam Ci nasze.
zeli będziesz mógł się wybrać, byłoby dobrze, gdybyś mógł to zrobić przed
ıjem r. prz. Do tego czasu będę miał na pewno obecne mieszkanie: za
ıę mniej więcej 42 rubli mam 8 czy 9 pokoi umeblowanych świetnie, z dy-
nami, naczyniem kuchennym i stołowym, ale czy będę je miał po maju, nie
em[3]. Ale o to mniejsza.
Zaciekawiły mię Twoje wiadomości o tych związkach[4], o których nie wie-
ałem, gdyż pism polskich nie dostaję i nie czytam, z małymi wyjątkami.
prawdzie o wiele inaczej zapatruję się na całą tę sprawę, ale jest ona dla
ıie z innych przyczyn ważna i charakterystyczna.

Nie mam zamiaru pisać do Ciebie o kwestiach polityczno-społecznych i o nie masz chęci i powodów (słusznych czy nie) psucia mi krwi — lepiej nie ruszaj tych rzeczy. To naturalnie byłoby dobrze, gdyby było możliwe, a sąd że możliwe na czas naszego widzenia — bo widujemy się zbyt rzadko i jest my sobie zbyt bliscy, byśmy mieli nerwy na to tracić i psuć stosunki wzaje ne. Myślę, że przyjmiesz to szczerze — jak piszę, i że nie będzie to powod do żadnych „wymian zdań", które do niczego nie doprowadzą.

Każdy z nas wyrobił sobie swój własny świat wewnętrzny, w który wier Świat wewnętrzny każdego człowieka jest ciasny w porównaniu z wielk jaki istnieje, choć nie jest nigdy poznany, więc właściwie ja i Ty, i wszys możemy być pewni, że jesteśmy raczej błędem drukarskim historii, niczym nym. No, ale jeśli tak, to ponieważ i tak zecer wyjmie nas z formy i rzuci kaszty (plagiat robię z Ibsena i jego odlewacza w *Peer Gyncie*, którego jeż nie znasz, przeczytaj — w jakim chcesz języku, choćby po rosyjsku, bo to j jeden z fragmentów najszczerszej i najmędrszej, odważnej poezji, jakie stały w tych nie bardzo mądrych i bardzo nieodważnych czasach wytworzo Zresztą znając Ciebie z dawnych czasów myślę, że Ci się [s]podoba bardzo, może znasz).

Więc, mój Drogi — szczerze nie bierz moich kilku słów poprzednich i proś za nic innego, jak tylko za prośbę — mającą na względzie uchronienie nasze stosunku, a przynajmniej moich nerwów (a zapewne i Twoich) — od nie trzebnych szarpnięć, których mi nikt nie szczędzi. I dość o tym.

Byłoby to piękną rzeczą pisać dla siebie, ale trzeba pisać dla ludzi, co k pują książki — rasa fantastyczna w Polsce. Poza tym trzeba być przygotow nym do pisania tak, aby się sobie mogło podobać. Nie mam zamiaru bawić w wymagającego auto-krytyka, ale szczerze mówię, że brak mi ciągle wied i czasu do jej nabywania.

Gdybym miał środki do względnie niezależnego życia, w ciągu lat pięc sześciu napisałbym szereg dzieł zasadniczych, które są Polakom potrzeb i które mógłbym zrobić.

Napisane! — ponieważ byłyby to dzieła o typie podręczników, dałyby c wolno, ale trwale realizujący się dochód wydawcy — ale Połoniecki na to ma kapitału, choć może by i miał dobrą wolę po temu i zaufanie do mnie.

Są dwie rzeczy, które na pewno umiem robić! — tj. robić analizy teorio-p znawcze i metafizyczne i pisać studia krytyczne.

Gdybym mógł 5 lat studiować, uczyć się pisać wolno — napisałbym i his rię filozofii nowoczesnej, i historię literatur XVIII, XIX wieku, i historię my i literatury nowoczesnej w Polsce — tak zostawię dużo bezładnych fragm tów i będą mi póki żyć będę wyrzucali, że nie umiem rzeczy, o których istn niu w ogóle krytycy ci nieraz dowiedzą się dlatego, że ja przyznam się, że mogłem ich poznać.

Za te pieniądze, jakie płaci i jedynie m o ż e płacić mi Poł[aniecki], ja mogłem właściwie robić i tego, co robię — nie wypada pewno i 10 groszy godzinę pracy, gdy się włączy czytanie.

Chociaż prócz polskiego znam 5 języków i znam dobrze, w żadnym z n nie mogę pisać — nawet już nie umiałbym po rosyjsku, i to jest klątwa.

Zresztą umiem myśleć tylko w kategoriach naszego społeczeństwa, nas historii — i chociaż prócz Niemców właściwie szczerze jestem przywiązany

szystkich narodów europejskich, nie umiałbym wżyć się tak, by czuć ich ży-
em — a bez wzruszenia, namiętności — mój mózg nie pracuje.
W ogóle budzę się do życia dopiero nocą i nocą piszę do Ciebie — morfina
ypofostan dają mi poczucie siły, ale rano jestem obojętny jak wąż, co zmie-
a skórę i trze się z zimna.
Przyślij tę fotografię.
W II wydaniu *Legendy* jest mój portret, ale stary i zły — może będę się fo-
grafował, ale kiedy, bo przecież ja od 1 czerwca nie byłem w mieście ani
zu — a raz tylko w ogrodzie dalej i o mało gangreny nie wywołałem. Nie
asz pojęcia, jak mi obrzydło to więzienie, dlatego też piszę piórem, bo mię
aszyna drażni.
Ostatniej mojej książki zdaje się w ogóle ludzie nie rozumieją i pewno nie
ytają *(Idee)*, a jest to najsumienniejsza moja rzecz i bez złudzeń bije wszyst-
e analogiczne książki tego typu — z ostatnich lat 10 w Europie.
To ja wiem, ale choć i to prawda, nikt mi nie uwierzy — to mniejsza, ale
e mniejsza, że nie będę mógł prędko znów napisać czegoś podobnego — a ra-
ej wydać.
Piszę o *Słowackim*[5], będzie pewno czytana bardzo, ale będą mi złorzeczyć
k nigdy.
Poza tym piszę i mam w druku *(po řera me!)* aż 2 powieści[6] i tłumaczę 3-ch
arych Włochów: Giordana Bruna, Vica i Machiavellego[7] — a czytam prze-
ażnie Anglików, z których wielu strasznie lubię. Ale zaczynam pisać o książ-
ch i zrzędzić, więc ściskam Cię serdecznie.

Twój

Stanisław

Irka Cię każe ucałować.
Tonia pozdrawia serdecznie.
Irka umie doskonale po włosku i z a c z y n a rozumieć i mówić po
gielsku.

PRZYPISY

1

[4] Współpracę z *Krytyką* zaproponował Brzozowskiemu Feldman wiosną tegoż, tj. 1904 roku.
zozowski ofertę przyjął „z prawdziwą wdzięcznością" i poczytywał ją „sobie za zaszczyt".
rdzo ciekawe, że pierwsza publikacja Brzozowskiego w *Krytyce* ukazała się dopiero w rok
źniej, tj. w III zeszycie z 1905 r. *(Odbywa się osobliwy sąd)*.
[5] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, III 12277, s. 489—496.
[6] Jest to okres antypozytywistycznej ewolucji Brzozowskiego po zapoznaniu się z neokan-
zmem w duchu Fichtego (pod wpływem jego *Wissenschaftslehre* i pracy zbiorowej neokan-
stów rosyjskich *Problemy idealizma)*. Patrz zasadnicza praca tego okresu (1904/5) — *Moni-
czne pojmowanie dziejów i idealizm społeczny, Głos*, 1904, nr 22—52 (z przerwami).

[4] *Stefan Żeromski, Głos,* 1904, nr 11—13, 15—20; odb. 1905.

[5] *Przyczynki do psychologii Polaka współczesnego; Krytyka* nie drukowała zarówno te artykułu, jak i dwóch wymienionych niżej w tym liście.

[6] Według metryki — 28 czerwca we wsi Mazarnia, parafia Wojsławice; według zeznania po czas aresztowania w 1898 r. — 29 lipca 1878 r. Wiele wydawnictw, m. in. encyklopedie, pod ją — 1876 r.

[7] Za udział w tzw. „ziłowszczyźnie".

[8] Miała wyjść w księgarni Kołodziejskiej w Warszawie; rękopis w zbiorach prof. J. Krz żanowskiego; wszystkie wątki z tej powieści wykorzystał Brzozowski w *Wirach.*

[9] Patrz *Pamiętnik,* s. 51—52.

[10] „samiście tego chcieli" — rys biograficzny przysłał Brzozowski Feldmanowi na je prośbę w związku z przygotowywanym nowym wydaniem *Piśmiennictwa polskiego...*

[11] W jednym z następnych listów donosi: „Wszelkie plany przesiedlenia się spełzły, jak zw kie — na niczym" (*M.I.O.,* III 12277, s. 513).

2

[1] *Salomea Perlmutter* (1865—1936) — dr filozofii i nauk społecznych; działaczka PPSD w Lwowie, następnie członek lwowskiego OKR PPS oraz członek Centr. Wydz. Kobiet PP działaczka oświatowa w TUR. Wielka przyjaciółka Brzozowskich.

[2] *Manuscripta Instituti Ossoliniani,* 6135/II, s. 65—68; druk *Daszyński — Brzozowski Niemojewski — w sprawie niepodległości Polski, Sygnały* 1934, nr 6, s. 6 — zebrał K. Kuryl

[3] Córka, Anna-Irena.

[4] Feliks Brzozowski, patrz list 13.

[5] Bernard Połoniecki, właściciel Księgarni Polskiej we Lwowie, w końcowym okresie j dyny wydawca Brzozowskiego.

[6] Ściślej szwagierki, Walentyny Szalitowej, autorki *Pamiętnika o Brzozowskim, Twórczo* 1957, nr 5.

[7] Ignacy Daszyński, *List otwarty do Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Par Socjalistycznej, Naprzód,* 1906, nr 2—4. Przywódca PPSD postulował w tym liście m. in. s wianie wobec rewolucji ogólnopaństwowej „własnego celu", wymagającego neutraln postawy wobec rewolucji w Rosji, przeciwstawienie się solidarnej akcji z proletariatem r syjskim, potępienie strajku powszechnego, jak i strajków w ogóle, jako środka walki. Ha niepodległości formułował jako przeciwstawienie rewolucji, wymagające separatystyczne stanowiska wobec Rosji rewolucyjnej.

List wywołał potępienie ze strony SDKPiL, kompromisowy protest CKR PPS, uznanie org nów prawicy.

3

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani,* III 12277, s. 527—529.

[2] II część prologu dramatycznego *Warszawa* (*Krytyka* 1905, z. XI, s. 312—342), z niewiad mych przyczyn nie opublikowana; rękopis pozostał w redakcji *Krytyki.*

[3] Artykuł nie został opublikowany.

[4] *Teodor Dostojewski,* Kraków 1906; poemat białym wierszem, tekst improwizacji na wyk dzie w Krakowie jesienią 1905 r. Porównanie ideologii A. Towiańskiego i Dostojewskiego; tłu ros. *Fedor Dostojewskij (Iz glubin russkogo ducha)* Pieriewod s polskogo wstupitielnaja sta D. D. Bochana, Wilna 1930.

[5] Pracy tej *Krytyka* nie drukowała. Korespondentem *Naprzodu* został Brzozowski jesienią

4

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani,* 6135, s. 87—89

[2] Izabella Moszczeńska-Rzepecka (1864—1941), publicystka, działaczka oświatowa i polityczn

[3] Aluzja do wspólnej pracy Brzozowskiego z I. Moszczeńską i A. Niemojewskim w tzw. r chu „konstytucyjnym" (jesień 1904), na którego wiecach Brzozowski niejednokrotnie występ wał; już po roku Brzozowski z dużą ironią ocenia działalność polityczną tego „ruchu".

5

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6135, s. 126—130.

[2] *Materializm dziejowy jako filozofia kultury*, *Przegląd Społeczny* 1907, nr. 8—9; z drobnymi zmianami w *Ideach;* przekł. niem. W *Die Neue Zeit*, 1907, nr 31, s. 153—170.

[3] W *Russkim Bogatstwie* (miesięcznik wychodzący w Petersburgu — od 1906 organ półkadeckiej partii „ludowych socjalistów") artykuły nie zostały opublikowane. W piśmie tym Brzozowski jedynie opublikował zasadniczy artykuł pt. *Russkaja rewolucja i polskije nacjonał-demokraty*, 1906, nr 10; przedruk ze zmianami — *Świt*, 1907, nr 21—25.

[4] B. Croce, *Ciò che è vivo e ciò che è morto della filosofia di Hegel*, Bari, 1907.

[5] Sprawozdań z tej lektury nie publikował.

[6] Chodzi o *Głos Robotniczy*, organ krakowskiego PPSD, gdzie był członkiem redakcji jesienią 1906 r.

6

[1] Rafał Buber (zm. 1935) — dr praw, znany adwokat lwowski, działacz PPSD, mąż zaufania Brzozowskiego na „sądzie" krakowskim; jego stałej pomocy zawdzięczał Brzozowski możliwość pobytu zdrowotnego we Włoszech i Szwajcarii.

[2] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6133, a/II, s. 557—563.

[3] Knigoizdatielstwo „Sierp" — Kijew-Petersburg — Wydawnictwo Socjalistycznej Żydowskiej Robotniczej Partii (Socjalisticzeskaja Jewrejskaja Raboczaja Partia — narodowo-socjalistyczna grupa o kierunku eserowskim, istniejąca w latach 1905—1917, pozostająca okresowo w koalicji z PPS).

Na zamówienie tego wydawnictwa napisał Brzozowski na przełomie 1906/7 r. obszerną pracę *Zagadnienie żydowskie w polskiej prasie socjalistycznej*. Honorarium (1/2 tylko) otrzymał dopiero w marcu 1908 (*M. I. O.*, 6134 IV, s. 21—24; 6133 a/II, s. 139).

Na temat „Sierpa" głośna była przed wojną hipoteza prof. Witolda Klingera.

Brzozowski, nie otrzymując honorarium, prosił przebywającego wówczas w Kijowie W. Klingera o interwencję w wydawnictwie. W. Klinger wydawnictwa nie znalazł. W swoich płomiennych artykułach, domagających się rehabilitacji Brzozowskiego, prof. Klinger wysunął przypuszczenie, że „Sierp" był zakamuflowaną placówką Ochrany, która w ten sposób wydobyła pewne rękopisy Brzozowskiego i pokazywała je jako owe słynne memoriały.

Na podstawie tej hipotezy PPS miała zamiar rehabilitować Brzozowskiego.

[4] Artykuł nie został opublikowany.

[5] G. Jaeckh, *Historia Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego*, przekł. z niem. Kraków 1906, s. 93.

7

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6133 a/II, s. 87—90.

[2] *Stanisław Wyspiański*, druk. z papierów pośmiertnych, nakładem księgarni M. Hasklera w Stanisławowie w 1912 r. Według przedmowy K. Irzykowskiego rękopis pochodzi z 1908 r.

[3] Prawdopodobnie tytuł nie napisanej komedii, której plan Brzozowski podaje w innym liście.

[4] Zamysł niezrealizowany, do którego jednak ciągle w listach powraca, np. po 3 latach, patrz list 13.

[5] W rękopisie. Ostap Ortwin był wówczas kierownikiem literackim Księgarni Polskiej we Lwowie.

[6] *Kijewskaja Mysl*, dziennik o charakterze liberalno-drobnomieszczańskim, wychodzący w latach 1906—1918 r. Brzozowski nie współpracował.

8

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6135, s. 57—60; druk. Włodzimierz Jampolski, *Listy Brzozowskiego*, *Sygnały*, 1936, nr. 18, s. 1.

[2] Uwaga dot. śmierci Wyspiańskiego (28.XI.1907).

[3] Kontakty Brzozowskiego z Gorkim i Łunaczarskim przedstawiłem w 2 nrze *Twórczości* z r. ub.

[4] Szwagierka, Walentyna Szalitowa.

9

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6133 a/II, s. 245—248.

[2] Wyjazd na Capri zalecany przez lekarzy w związku z bardzo złym w poprzednim okresie stanem zdrowia Brzozowskiego. Było to równocześnie zaproszenie Gorkiego.

[3] *Sowremiennyj Mir*, miesięcznik literacki, naukowy i polityczny, wychodzący w Petersburgu w latach 1906—1918. W dziale literackim pisywali m. in. M. Gorki i L. N. Andrejew. Charakter mieńszewizujący.

[4] Wojnicz (Voynich) — działacz PPS, zesłany na Sybir, zbiegł do Anglii, mąż angielskiej pisarki, autorki m. in. popularnego *Szerszenia*.

[5] C. Jellenta, *Koncepcje Polski*, *Ateneum*, 1908, z. I—II, s. 5—23.

[6] Zetterbaum — dr praw, znany adwokat lwowski.

[7] W ramach współpracy zaproponowanej przez Gorkiego w *Sbornikach towariszczestwa* „Znanije". Plan upadł w związku ze sprawą. Szczegóły patrz w art. wspomnianym w p. 3 do listu 8.

[8] Niezrealizowane.

10

[1] *Manuscripta Instituti Ossoliniani*, 6133 a/II, s. 273 przesłane na ręce R. Bubera.

11

[1] Edmund Szalit — dr praw, członek PPSD, sekretarz posłów polskich w parlamencie wiedeńskim, szwagier Brzozowskiego.

[2] Z odpisu łaskawie użyczonego przez W. Szalitową.

[3] Rabinowicz *vel* Górski, skazany za współpracę z Ochraną w 1909 r.; istnieje hipoteza, że w Ochranie podawał się za Brzozowskiego.

[4] Włodzimierz Burcew (1862—1936), członek „Narodnej Woli", pisarz; redagował *Narodowolca*, *Byłoje*, *Obszczeje Dieło;* wraz z Bakajem oskarżyciel Brzozowskiego o współpracę z Ochraną.

[5] Projekt przeniesienia się do Monachium, gdzie przebywał Przybyszewski, który obiecywał pomoc w nawiązaniu współpracy z czasopismami niemieckimi.

[6] W *Ideach* i *Głosach wśród nocy*.

[7] *L'Action, essai d'une critique de la vie et d'une science de la pratique* (1893).

[8] *W urokach złotego pałacu*, czyli *Bazylissa Teofanu* (1909).

[9] Podczas pobytu w tym czasie we Florencji Miciński chciał się widzieć z Brzozowskim, odmówił jednak odwiedzenia go w jego domu.

[10] Znana awantura Feldmana z Żuławskim.

[11] Przesłany wydawnictwu wstęp do wyboru pism Newmana (*Przyświadczenia wiary*, Lwów 1915, „Sympozjon") Brzozowski wycofał; napisał drugi, który wykazuje wzrost u niego wpływu modernizmu katolickiego. Wybór ukazał się dopiero w 1915 r. Wydawnictwo opublikowało obie wersje wstępu.

[12] W *Legendzie Młodej Polski*, II wyd., s. 571.

12

[1] Fragment listu z odpisu W. Szalitowej.

13

[1] Feliks Brzozowski — młodszy brat Stanisława, bez określonego zawodu, w tych latach m.in. pomocnik aptekarski; w świetle korespondencji Stanisława i rodziny postać b. nieciekawa.

[2] Biblioteka Narodowa, rkps 7017, k. 46—47.

[3] W maju 1910 r. Brzozowski przenosi się na przedmieście Florencji, do pięknie położonej willi „Parenti", którą mu wynajął na tych niezmiernie korzystnych warunkach pewien opuszczony przez żonę bogaty kupiec florencki. Ta szczęśliwa okoliczność nie zmienia obrazu niezwykle ciężkich warunków życia Brzozowskich we Florencji. Mieszkanie to wymówił im właściciel od 1 maja 1911. Brzozowski zmarł w tejże willi 30 kwietnia tego roku.

[4] Chodzi o organizujące się w owym okresie na feudalnych zasadach heraldycznych szla-
eckie związki rodowe, mające na celu zabezpieczenie ziemi, znajdującej się w posiadaniu
du na prawach ordynacji. Obok istniejących już związków Zaleskich, Radziwiłłów, etc.
ganizował się związek Belina-Brzozowskich, do którego należał Feliks Brzozowski, ubie-
jący się wówczas o tytuł hrabiowski. „Jest to organizacja potworna — pisał o tej sprawie
zozowski do Buberów — bezwzględne przymierze pomiędzy posiadającą szlachtą a *status*
o rosyjskim — buduje się w ten sposób Cytadelę uciemiężenia chłopskiego, uwstecznienia
ołeczeństwa. Oczywiście zabawa ta obejdzie się beze mnie."

[5] Praca nie wyszła chyba poza stadium początkowe. W rękopisach Brzozowskiego zacho-
ał się jedynie jej fragment.

[6] Ściślej w składzie: *Sam wśród ludzi*, którego pisanie ukończył Brzozowski 3 stycznia
1; *Książka o starej kobiecie* ukazała się dopiero po jego śmierci.

[7] Przygotowane dla „Sympozjonu", do którego zdołał Brzozowski przygotować jedynie wybór
sm Newmana.

Paweł Hertz

ROZWAŻANIA NA MARGINESIE LEKTURY MAŁYCH POETÓW POLSKICH PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA

Rzadko się zdarza, by tradycja literacka tak często była przywoływana i ta rzadko wykorzystywana, jak się to dzieje w poezji polskiej. Francuzi, Anglicy Niemcy — im bardziej „nowocześni", tym bardziej ze swej tradycji korzystaj wybierają z niej to, co uważają za żywe i potrzebne, przydatne w formowa niu nowych kształtów poetyckich, odżegnują się od tej dawności lub się ni posługują. W każdym razie zarówno w ich działalności poetyckiej, jak i w szk cach teoretycznych, których w odróżnieniu od naszych poetów współczesnyc cudzoziemscy poeci nie skąpią swoim czytelnikom, widać, jak ta tradycja n nich ciąży, jak ich ugniata, jak są jej posłuszni lub też jak usiłują strząsna ze swych grzbietów jej brzemię.

Dla większości poetów francuskich Baudelaire jest żywy i aktualny. Dl Aragona, którego można nie lubić, lecz niesposób ominąć, w pewnej chwi otworzyła się ogromna perspektywa na poezję Plejady i Ronsarda. Gide dwu znacznie, i bardzo rozsądnie zarazem, ustosunkował się do tradycji, gdy n pytanie: kto jest największym poetą francuskim? — odparł: niestety, Wik tor Hugo.

Ta odpowiedź Gide'a wydaje mi się niezwykle trafna, a zarazem aktualna Cóż ona oznacza? Nic innego, jak tylko zrozumienie i uznanie, że ponad mod i kaprysem, ponad „bezczasową" literaturą istnieje inna, nadrzędna hierarchi wartości, której mogą co prawda nie uznawać takie czy inne koterie lub gru py literackie, lecz która jest oczywista dla znakomitej liczby czytającyc Czemu więc Gide powiada: „niestety, Wiktor Hugo"? Rozumiem doskonal autora *Fałszerzy*. Hugo bowiem oddał wiersz francuski w pacht historii, by jednym z niewielu francuskich poetów „czasowych", historycznych. Spełnia jednak zarazem, choć nie we wszystkim, postulaty świetności artystyczn i doskonałości technicznej, tak w literaturze francuskiej cenione. Gdy wie można by machnąć ręką na Bérangera i odmówić mu wstępu na wysoki Par nas lub pominąć bez wielkiej szkody Andrzeja Chénier, jak to czyni aut niezwykle interesującej antologii poezji francuskiej, a zarazem i wprowadze nia do niej, Thierry Maulnier, w swojej *Introduction à la poésie français* Wiktora Hugo usunąć nie można. A jednocześnie Hugo zaprzecza istocie fran cuskiej poezji: jest bezosobisty, przywiązuje wagę do dziejów i tkwi jak Piła

w Credo wśród chłodnych francuskich rygorów. Dla Thierry Maulnier, który jest klasycznym przedstawicielem ponadczasowego, antyhistorycznego stosunku do poezji, który nie traktuje poezji jako części wielkiej całości, dla którego istnieją oddzielne utwory, a nawet oddzielne linijki poszczególnych utworów, sama myśl, by „po studium porównawczym o różnych poetach, a tym bardziej o poetach danej epoki czy danego narodu, spodziewać się jakichś wyjaśnień dotyczących istoty poezji", wydaje się śmieszna. Przytaczam tu Thierry Maulnier, ponieważ w jego świetnej pracy *(Introduction à la poésie française)* upatruję przykład, godny naśladowania. Maulnier z wielką racją powiada gdzie indziej w swoim studium, że prawdziwym wprowadzeniem do poezji francuskiej jest wyprowadzenie do podobieństwa osobliwości każdego z poetów francuskich.

Myśląc o poezji polskiej, odwróciłbym to twierdzenie: prawdziwym wprowadzeniem do poezji polskiej jest rozeznanie osobliwości podobieństwa wszystkich poetów polskich. Podobieństwo to, rzecz prosta, nie ujawnia się w formie utworów, lecz w sytuacji poety.

Opowiadano mi niedawno, że na którejś sesji naukowej dowodzono, iż wyraz wieszcz, w tym znaczeniu, w jakim używano tego rzeczownika w połączeniu z imionami Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego, pojawił się w końcu XIX stulecia i był jak gdyby słownikowym odpowiednikiem prób kanonizacji tych twórców przez konserwatywnych profesorów krakowskich. Pan Marian Bizan, poszukując materiałów do wspólnie ze mną prowadzonych prac nad liryką Juliusza Słowackiego, znalazł tę definicję wieszcza, jaką się przypisuje krytyce końca wieku, w artykule krakowskiego *Czasu* z r. 1849. Cierpliwy szperacz potrafiłby wyszukać pewno i wcześniejsze przykłady. W istocie bowiem sytuacja poety w Polsce w przeciągu stulecia bynajmniej się nie zmieniła. Osobliwość ich podobieństwa czy raczej — dla ścisłości — osobliwość podobieństwa ich sytuacji w społeczeństwie, w którym pisali, sprawia, że droga do zrozumienia pojedynczego poety wiedzie nie tyle przez analizę jego twórczości, co przez rozpatrzenie okoliczności historycznych, w jakich się ta twórczość formowała. Historia położyła niezwykle silne piętno na literaturze polskiej. A ponieważ trwa historia i nie przestaje istnieć literatura, warto chyba o tej osobliwości polskiej pamiętać. Dla mnie na przykład dopiero w świetle tych przeszłowiecznych lektur zarysowały się wyraźniej przyczyny dwóch ze wszech miar niezwykłych zjawisk: rozkwitu poezji polskiej w ostatnich dziesięcioleciach i pełnego niemal jej wyobcowania. Jej głos brzmi coraz bardziej z cudzoziemska, choć jej polszczyzna często bywa nieposzlakowana. Krąg jej działania coraz bardziej się zmniejsza, ogranicza się dziś bodaj czy nie wyłącznie do młodzieży o zainteresowaniach literackich. Można by powiedzieć, że w końcu wszędzie się tak dzieje. Poezja wyzbyła się wątku narracyjnego niemal powszechnie, a to wpłynęło na ograniczenie zainteresowania nią. Mówiąc o narracji mam oczywiście na myśli narrację swoistą poezji tradycyjnej, kiedy to w wierszu lirycznym niekoniecznie coś się dziać musi, lecz w którym w zasadzie bywa zawsze zachowana jakaś cząstka wszystkim jednakowo widomego świata i w którym stosunek wzajemny słów i rzeczy odpowiada dostępnym powszechnie kategoriom słownikowym. W takim utworze, będącym sprawozdaniem z myśli lub przeżyć, strona narracyjna mniej lub bardziej wyraźnie bywa zachowana.

Poezja nowoczesna świadomie i celowo burzy ów ustalony odwiecznie wzajemny stosunek słów i rzeczy, wprowadzając na to miejsce bądź skrajnie indywidualne i dowolne relacje między słowami i rzeczami, bądź też relacje pozornie dowolne, w istocie zaś oparte o nowy pogląd na rzeczy. Jednak dla czytelnika przeciętnego granica między dowolnością i dyscypliną nowej poezji jest niedostrzegalna, najczęściej bowiem ów przeciętny czytelnik trwa niezmiennie w kręgu starych pojęć o rzeczach lub też, jeśli nawet patrzy na otaczający go świat zgodnie ze współczesną o nim wiedzą, nie wyciąga z tego jeszcze konsekwencji, które by go obowiązywały, gdy ma do czynienia ze sprawą tak dla niego konwencjonalną i mało zmienną, jak poezja.

Wydaje mi się, że owo konwencjonalne pojmowanie poezji ma u nas oprócz wspomnianych wyżej powodów, które w zasadzie nie są istotne i dadzą się łatwo usunąć przez działalność oświatową i wprowadzenie do programu przeciętnego wykształcenia elementów estetyki nowoczesnej, jeszcze i inne, o wiele głębsze i ważniejsze przyczyny. Tkwią one przede wszystkim w owym nierozerwalnym związku, łączącym zarówno w rzeczywistości, jak i w umysłach przeciętnych czytelników poezję z historią.

Wszystkie te myśli, które usiłowałem sformułować, nasuwały mi się nieustannie w czasie wieloletniej pracy nad *Zbiorem poetów polskich XIX wieku,* którego księgę pierwszą wkrótce chyba otrzymają czytelnicy. Wertując materiał zawarty w książkach i książeczkach, wychodzących spod pras drukarskich na ogromnym obszarze, od Petersburga i Odessy aż po Londyn i Paryż, przez lat przeszło sto, zdawałem sobie sprawę, że wszystkie te rymy i rytmy, obrazy i porównania, myśli i uczucia, mniej lub bardziej szczęśliwie kreślone przez poetów i wierszopisów, były z jednej strony wynikiem konwencji zastanych, z drugiej zaś je przełamywały, z jednej strony — poddawały się gotowym formułom, z drugiej — były nowymi propozycjami. O ile każda rzecz napisana jest sprawą osobistą autora, o tyle każda rzecz wydana staje się nie tylko faktem artystycznym, ale i społecznym, historycznym niejako. Można więc na wiersze patrzeć nie tylko jak na dzieła sztuki, lecz także jak na materiał pomocniczy do historii, historii obyczajów, dziejów kultury itd., zwłaszcza gdy się przebić przez wierzchnią warstwę poetów wybitnych i zstąpić na samo dno wierszopisarstwa. W ogromie rymowanych słów, z jakim miałem przez wiele lat do czynienia, bardzo rzadko trafiały się piękne wiersze, stale jednak z interlinii gadała szara prawda, która świadczy, że w końcu wieku nastąpiło w poezji polskiej zadziwiające rozbicie, jakiego nie znają może dzieje innych literatur.

Nie bez przyczyny poeci polscy, odmiennie niż ich koledzy cudzoziemscy, albo wcale, albo też niezmiernie rzadko pisali rozprawy o poezji, prawie poniechali rozważań o jej istocie, celach, sposobach, środkach. Ostatni, którzy to czynili, warszawscy klasycy, mają nie wiedzieć czemu tak złą do dziś opinię, że można by podejrzewać, iż po Mickiewiczu nikt już *Sztuki rymotwórczej* Dmochowskiego nie czytał. Bez czytelników chyba pozostała śliczna *Sztuka rymotwórcza* Ludwika Kropińskiego, nie mówiąc już o polemicznych rozważaniach Franciszka Morawskiego, na tyle rozsądnego, że starał się pogodzić obie zwaśnione strony. Jednakże ów konflikt klasyczno-romantyczny w poezji polskiej bynajmniej nie jest istotny. Jak wiele innych spraw polskich, rozstrzygnęła go historia, gdy spod pióra przywódcy romantyzmu polskiego wy-

szedł *Pan Tadeusz,* a ileś lat tam wcześniej klasycy polscy w swoich odach sławili półboga romantyków Francji — Napoleona.

Jedyną „bezinteresowną" literacką rozprawą o poezji jest Mickiewicza odpowiedź recenzentom warszawskim. Wszystkie inne prace o poezji, czy to stronice poświęcone jej w Mochnackiego *Literaturze polskiej,* czy programowy zarys Goszczyńskiego *(Nowa epoka poezji polskiej),* są paragrafami manifestów politycznych, należą w równej mierze do historii, co do literatury. Niewiele powie o poezji Słowacki, w listach tylko opinie swoje wyraża Krasiński. Jeden Norwid, zarówno w utworach poetyckich, jak w swoich szkicach, formułuje teorię poezji, ale też — dodajmy tu od razu — jest on bodaj jedynym poetą polskim w w. XIX, który myśli o poezji, przydając jej znaczenie rozleglejsze i dostrzegając w niej więcej niż instrument działania na historyczny zmysł współczesnych.

Można się z rzeczywistością nie godzić i jest nawet zadaniem pisarza, by wypowiadał dręczące go w tej materii wątpliwości. Nie należy jednak z rzeczywistością się nie liczyć i jest bez wątpienia zadaniem każdego, by brać ją pod uwagę we wszelkich rozważaniach. Otóż wydaje się jak gdyby w tym wszystkim, co piszemy i mówimy o poezji, nieobecna była właśnie owa rzeczywistość. Rzeczywistością bowiem nazwać by trzeba stuletnie z górą dzieje recepcji wiersza polskiego, podobnie jak rzeczywistością jest taka, a nie inna tradycja pojmowania poezji w Polsce, która przez te przeszło sto lat się urobiła.

Nie znam bardziej pełnej realiów poezji niż polska. O ile Francuzi operują najczęściej pojęciami ogólnymi, jednakowo pojmowanymi przez ludzi ukształconych w kręgu humanistycznych pojęć europejskich, wspólnych wszystkim bez różnicy przynależności narodowej, o tyle Polacy każde z tych pojęć ogólnych sprowadzają do konkretu. W gruncie rzeczy walka klasyków z romantykami w drugiej dekadzie stulecia polegała na zaciętej obronie abstrakcyjnych pojęć ogólnych przed nacierającymi ze wszystkich stron realiami wstrząśniętego do głębi bytu narodowego. Dla Francuza istnieje cały zakres pojęć oczywistych, nie wymagających dociekań i rozważań. Miłość ojczyzny, poczucie przynależności do zbiorowiska Francuzów — to oczywiście jest dane. Dla Polaka miłość ojczyzny w wieku XIX wymagała konkretnego określenia. Z Napoleonem czy z Aleksandrem? — Z Lubeckim czy z Łukasińskim? Z księciem Adamem czy z Towarzystwem Demokratycznym? Z Wielopolskim, z panem Andrzejem czy z Czerwonymi? To, co gdzie indziej normalnie załatwiano w parlamentach, czasopismach, na bankietach republikańskich, wobec braku instytucji narodowych czy też wobec ich rozproszenia i ukształtowania się wielu autorytetów, wciskało się do literatury, do poezji zwłaszcza. Jej lapidarność, łatwość przenikania, jej poręczność sprawiały, że stała się parlamentem, najwyższą władzą, tysiącgłosym programem. Stąd też charakteryzuje ją przerost tematu nad opracowaniem, rozdęcie treścią przy jednoczesnym poniechaniu jej praw autonomicznych. Samodzielność, którą wyrobiła sobie w czasach nowożytnych we wszystkich literaturach tych narodów, których zewnętrzne, prawne formy bytowania nie uległy unicestwieniu, tu niemal nie istnieje. Wszelkie próby w tym kierunku spotykały się z potępieniem krytyki i czytających. Dość, by poeta polski zajął się czym innym niż opisywaniem wydarzeń wziętych z życia narodowego, a natychmiast starano się usu-

nąć go poza obręb literatury polskiej. Wskazują na to np. dzieje recepcji *Sonetów krymskich*, długoletnia kondemnata ciążąca na Słowackim, obojętność wobec Norwida, który inaczej, głębiej, rozleglej i mądrzej stawiał sprawę poezji narodowej, niż to czynili i jego współcześni, i — co gorsza — potomni.

Jakiekolwiek byłyby nasze poglądy na poezję, jakikolwiek stawialibyśmy jej cel lub też jakkolwiek zaprzeczalibyśmy istnieniu takiego celu, zgodzić się musimy, że poezja polska w minionym stuleciu pod wpływem wydarzeń historycznych dobrowolnie czy może mimowolnie ograniczyła się. Ograniczenie to, fatalne ze względu na szanse przyjęcia i zrozumienia jej poza obszarem spraw polskich, okazało się dla niej zbawienne, na obszarze bowiem spraw polskich poezja stała się instytucją narodową, waga jej wzrosła niepomiernie w porównaniu ze znaczeniem poezji w dziejach politycznych i kulturalnych jakiegokolwiek innego narodu. Można by twierdzić, że jedynie wielka poezja Starego Testamentu odegrała podobną rolę w dziejach żydowskich i podobnie jak poezja polska była czynnikiem trwałego zespolenia narodowego.

O wszystkim tym myślimy dziś bardzo niewiele lub raczej nie myślimy wcale. Wydawało mi się to zawsze wielkim błędem, rozumiem bowiem, że niesposób przeflancować obcych roślin na grunt własny, jeżeli sądzi się, że ten grunt niczym się nie różni w swoim składzie od ich rodzimej gleby. Nie wdając się tu w analizę bardziej szczegółową, chciałbym tylko pobieżnie nakreślić plan orientacyjny poezji polskiej pierwszej połowy minionego wieku, tak jak mi się on zarysował z lektur raczej podrzędnych, mało znanych, niekiedy ze szczętem zapomnianych poetów i wierszopisów.

Na wstępie trzeba powiedzieć, że wiek XIX w literaturze, a zwłaszcza w poezji polskiej, liczyć należy od ostatniego dziesięciolecia wieku XVIII. Nowy temat bowiem, który w niezliczonych wariantach stanie się dominantą liryki polskiej — temat niepodległości, wysuwa się na czoło w latach rozbiorów, a trwa bez mała po rok 1918. Obsesja tego tematu tak jest silna, że znakomita większość polskich modernistów od czasu do czasu wraca znad Szprewy, Dunaju i Sekwany nad Wisłę i śpiewa pieśni zgrzebne jak Rydel, opiewa rewolucję roku piątego jak Tetmajer, pisze patriotyczne liryki jak Żuławski czy Lange. Można by powiedzieć, że moderniści polscy mają zawsze dwie dusze, a nie zawsze trafnie wypełniając swój program „nowoczesny" z powodzeniem ciągnęli tradycyjną nutę. Powtórzy się to zjawisko także i w dwudziestoleciu w fenomenie poezji Jana Lechonia, gdy przerwany *Srebrnym i czarnym* tok poezji narodowej wróci po latach w wierszach zawartych w *Arii z kurantem* czy w *Lutni po Bekwarku*. Mógłbym tu mnożyć rozmaite przykłady podobne i podawać nazwiska poetów, którzy opuściwszy granice historii, lub też nigdy w nich nie przebywając w latach przedwojennych, następnie powrócili w nie lub też je odnaleźli.

Wracajmy jednak do owego planu orientacyjnego, który zamierzam narysować. Zgodnie z mapą historyczną kraju można odróżnić kilka środowisk, które ogniskują działalność poetycką. Będzie to Warszawa, Wilno, Krzemieniec, Galicja z dwoma ośrodkami — Krakowem i Lwowem; Wielkopolska z Poznaniem; wreszcie Wrocław, Kijów, Petersburg, Lipsk, Paryż i Londyn. Środowiska te ożywiają się kolejno, a czynność ich lub zastój w pierwszym rzędzie zależy od wydarzeń historycznych. Upadek powstania listopadowego jest w istocie kresem działalności poetyckiej w Warszawie i Królestwie, a jedno-

eśnie początkiem przebudzenia tej działalności w nowych punktach na ma-
e wierszopisarstwa polskiego, jak Paryż czy Londyn; umacniają się wątłe
tąd okręgi Galicji, Poznańskiego, przybywa Wrocław. Cezura, jaką było
wstanie, w mniejszym stopniu wpływa na poetów i wierszopisów Litwy,
dola, Wołynia. Można by to wytłumaczyć chyba zarówno i tym, że tu pi-
ący i przedtem poddani byli ostrzejszej cenzurze wewnętrznej, jak i tym,
w wyniku represji, które spadły na ośrodki intelektualne w Królestwie,
cie umysłowe polskie szukało sobie nowych form organizacyjnych na in-
ch obszarach. Likwidacja zakładów naukowych w Warszawie lub Krze-
eńcu zmuszała część młodzieży do odbywania studiów w Petersburgu, Ki-
wie lub Moskwie. Tam też zaczęły powstawać większe skupiska, tam przy-
piono do wydawania czasopism, tam wreszcie drukowano książki, a wśród
ch i tomy wierszy.
Ze wszystkiego, co uprzednio napisałem, czytelnik może się zorientować,
mówiąc o poezji mam na myśli nie tyle jej stronę estetyczną, artystyczną,
jej genezę i oddziaływanie. Stąd też mówiąc o poezji nie dokonuję tu żadnej
lekcji, lecz przeciwnie, komasuję wszystkie zjawiska i zajmuję się raczej
erszopisarstwem polskim niż pojedynczymi wybitnymi osiągnięciami poetyc-
mi. Na tle bowiem tego wierszopisarstwa właśnie oglądane poszczególne
nomeny poetyckie nabierają właściwego wyrazu.
Wierszopisarstwo kwitło szczególnie w ośrodkach takich, jak Warszawa
Vilno w latach przedpowstaniowych. Łatwo się domyślić, że wpływ na ów stan
eczy miały tu działające zakłady naukowe, a także i to, że oba te miasta
ły ogniskami kultury. Promieniowanie zwłaszcza Wilna było rozległe.
ask bijący ze szkół wileńskich oświecał Wołyń i Podole; Krzemieniec stąd,
białego gmachu uniwersytetu, czerpał swoją świetność. Z Krzemieńca wyj-
liczne zastępy poetów i wierszopisów, którzy byli tu bądź profesorami, bądź
zniami. Jednym z zarzutów Henryka Rzewuskiego przeciw duchowi panu-
cemu w Krzemieńcu będzie to właśnie, że udzielano zbyt wiele uwagi poezji.
yliczać wszystkich, co bawili się piórem, nie warto, przypomnieć jednak
leży np. Teofila Bukara, pisującego recenzje w *Tygodniku Petersburskim,*
tora *Pieśni* i rozprawki o Balzaku z r. 1847; Ignacego Sławeckiego, który
yszedłszy po upadku powstania do Galicji, emigrował stąd ok. r. 1836 i oparł
ę aż na wyspie Reunion, jako bogaty plantator wanilii. Pozostał po nim
emacik o ogrodzie antonińskim i tom wierszy wydanych we Lwowie. Do
źniejszego pokolenia krzemieńczan należy pilny, choć nie zawsze szczęśliwy
umacz Byrona i Walter Scotta, Karol Kruzer, znajomy pani Bécu, mierny
ierszopis, którego kilkutomowy zbiór wierszy i przekładów ukazał się w ilo-
i stu egzemplarzy. Wśród profesorów krzemienieckich znajduje się Tadeusz
ostakowski, chemik a zarazem tłumacz Horacego i autor tomiku wierszy.
ieszczęśliwa miłość do córki Czackiego odjęła mu zmysły i sprowadziła
czesną śmierć.
Szkoły żytomierskie, niemirowskie, kijowski uniwersytet św. Włodzimierza,
niwersytet petersburski w rejestrach swoich absolwentów liczą niejednego
tora notowanego w bibliografii Estreichera. Na tych obszarach między r. 1840
1850 ze szczególnym kunsztem uprawiane są trudniejsze formy poetyckie,
k np. sonet. Antologia sonetu polskiego, opracowana niegdyś przez prof. Fol-
erskiego, ani w części nawet nie wykorzystała istniejących w tej dziedzinie

zasobów. Sonetomania polska, podobnie jak przedtem balladomania, jest d niosłym zjawiskiem kulturalnym. Świadczy bowiem nie tyle może o liczb talentów poetyckich, co o wysokim poziomie publiczności czytającej, o ob dzeniu się po roku 1830 całych zastępów młodzieży do życia intelektualneg Wśród ciekawszych rzadkości bibliograficznych tego okresu warto tu przytocz utwory trzech braci Grzymałowskich, zamieszkałych na Białorusi, młody szlachciców, którzy bawili się nie tylko fuzją, ale i książką. Mnożą się cor bardziej, poczynając od roku 1831, zbiory wierszy polskich, wychodzące sp pras petersburskich i moskiewskich, z biegiem lat pojawiają się też tomi w Odessie, Żytomierzu, Mińsku, nie mówiąc już o Kijowie.

W Warszawie stan wierszopisarstwa, po klęsce powstania listopadoweg jest przerażająco niski. Działa tu jeszcze Brodziński, ale najpiękniejszy swych wierszy ze względów cenzuralnych nie ogłasza. Wyrasta za to zast miernych wierszopisów, których płody ukazują się licznie między rokiem 18 i 1860, a nazwiska ich, ze szczętem dziś zapomniane, brzmią: Teodor Hones Michał Rubinstein, Ludwik Roch Jamiołkowski, Roman Korab-Laskowsl Stanisław Grodzki, Ludwik Orzeszko, Wandalin Szumowicz, Wincenty Su niński, S. A. Rutkowski etc. Utwory ich tematycznie obracają się w kręg banalnych abstrakcji, jakichkolwiek śladów współczesności w nich nie zna co należy złożyć przede wszystkim na karb cenzury warszawskiej, niezwyk wówczas ostrej. Nie ma w nich też jednak nuty lojalizmu i poza Ludwikie Rochem Jamiołkowskim, który wysmażył wiersz o pomniku wystawiony przez władze mikołajewskie poległym w noc listopadową generałom, co opa się powstańcom, żaden z nich rzeczywistości nie tyka.

W Galicji Lwów koncentruje wydawnictwa i czasopisma i wyprzedza niejako Kraków, który do głosu przyjdzie nieco później. Wśród nieznany i zapomnianych wypada wymienić Januarego Poźniaka, który pisał po polsl i po ukraińsku, niefortunnego autora *Gonzalwa z Kordowy*, a zarazem obro nego wydawcę Ludwika Zielińskiego, wcześnie zmarłego Bronisława Szoła skiego. Przesłoniły wszystkich tych wierszopisów postaci obu Borkowskic Siemieńskiego, poetów skupionych wokół *Ziewonii*. Miał swoich poetó i Płock w osobie Augustyna Żdżarskiego, który działał zarówno przed, ja i po powstaniu. Z płockich drukarni wyszły mierne rymy Aleksandra W dzińskiego i bajki A. Zaleszczyńskiego. Czterech wierszopisów naliczyłe w Brodnicy, tam bowiem ukazały się książki Aleksandra Dąbrowskieg o którym w listach swoich wspomina Zygmunt Krasiński, a także wiers znanych z pracy oświatowej i patriotycznej Ignacego Danielewskiego, M teusza Truszczyńskiego i Ignacego Łyskowskiego. Ich działalność poetyc przypada na okres późniejszy, między 1850 i 1860 r.

Oddzielną pracą monograficzną objąć by należało dzieje wierszopisarstw polskiego we Francji i w Anglii. Znajomość poezji emigracyjnej nie przekr cza na ogół progu trzech wieszczów, Bohdana Zaleskiego czy Goszczyńskieg Zasługą niektórych antologistów (Tuwima zwłaszcza) było przypomnien Kajsiewicza czy Ropelewskiego. Jednakże lista daleka jest od wyczerpani Polskie książki poetyckie ukazywały się zarówno w Paryżu, jak i mniejszy miastach, np. w Mont de Marsan, Poitiers, Awinionie, Besançon etc. Częściow było to związane z istnieniem tam zakładów polskich, gdzie wychodźcy pr wadzili czynne życie polityczne, a wiersze towarzyszyły licznym broszuro

Któż pamięta dziś nazwiska Józefa Garnysza, Tespezjusza Zotyka Dubieckiego, Leopolda Turowskiego, Szotarskiego, Sumińskiego? Podobnie rzecz ma się z Anglią, gdzie z drukarni Aleksandra Rypińskiego, wierszopisa i autora *Białorusi*, wychodziły tomiki Lwa Rymarkiewicza, Napoleona Feliksa Żaby, Jerzego Ręczyńskiego, pisującego pod pseudonimem Pan Jerzy z Ludwinowa. Były też edycje poetyckie polskie na wyspie Jersey i tu, podobnie jak w innych punktach, gdzie skupiali się Polacy, wiernie towarzyszyły ich działaniom politycznym. Nie wspominając bardziej znanego Karola Balińskiego, wymienię tylko Rocha Rupniewskiego, który w chwilach wolnych od innych robót zajmował się rymowaniem, pozostawiając w nieudolnych strofkach dość wierny obraz swoich szlachetnych myśli. Na oddzielną wzmiankę zasługuje tzw. grupa poetów kaukaskich, złożona z młodzieży zesłanej po powstaniu, a także i po wielkim pogromie, jaki nastąpił w związku ze sprawą Konarskiego. Większość z nich przypomniana została przez Tuwima w jego *Wierszach polskich XIX w.*, innych wymienił Mieczysław Inglot w szkicu *Polacy piszący na Kaukazie.*

W liczbie piszących a zapomnianych niewiele się odnajdzie indywidualności poetyckich, niewiele tylko utworów osiąga poziom przeciętności. Jednakże cały ten dorobek piśmienniczy jest świadectwem znaczenia, jakie przywiązywano do poezji w Polsce, i on to właśnie pozwala lepiej zrozumieć, jak się to stało, że jedynie Polacy wśród społeczności nowożytnych utrzymali w swoim słownictwie literackim pojęcie wieszcza. Jednocześnie niesposób nie wyciągnąć wniosku z suchych zestawień bibliograficznych, że skoro tak wielkie było rozpowszechnienie wierszopisarstwa w Polsce, musiało to odcisnąć się zarówno na kształtowaniu się piszących, jak i czytelników. To, czego przeciętny czytelnik spodziewał się po wierszu, uwidocznia się bowiem nie tylko w najwyższych osiągnięciach poezji polskiej, lecz także i w owych ze szczętem zapomnianych i rzadkich dziś tomikach. Tradycję poetycką polską urobiła zarówno poezja wielka, jak i małe wierszopisarstwo. Kanon więc nasz jest nieco inny niż gdzie indziej, w małym wierszopisarstwie bowiem, zarówno jak i w wielkiej poezji, oprócz zalet czy wad właściwych dziełu literackiemu dostrzegano przede wszystkim zalety i wady obywatelskie. Można się zgodzić, że tak utylitarny stosunek do literatury w ogóle, a do poezji zwłaszcza, jest błędny i że to on właśnie wytworzył owo ograniczenie poezji polskiej, o którym wyżej wspominałem. Niesposób jednak przy rozważaniach o związkach między tradycją i kształtowaniem się poezji nowoczesnej o wszystkim tym nie pamiętać.

Wydaje się, że współcześnie nie mamy należytego rozeznania we własnej historii ze wszystkimi konsekwencjami, jakie wynikają stąd dla historii kultury, a więc i literatury jako jej części integralnej. Wielu usiłuje wykazać, że autonomizacja literatury, niejako wyrwanie jej z bloku kultury i historii narodowej, jest dla literatury zbawienna i że tym sposobem literatura polska stanie się wreszcie nowoczesna. Osobiście pojmuję nowoczesność, która nie jest przecie niczym innym, jak nieustanną współczesnością, całkiem inaczej.

„Czas jest bliski — powiada Norwid — w którym się przekonacie, że ani sztuk, ani rzemiosł, ani rękodzieł kolejami żelaznymi sprowadzać nie można do narodu, i można tylko do siebie, ale nie do narodu: że do wszystkiego naród musi sam dojść, bo cokolwiek doń przyjdzie, nie zapuści korzeni. Wierzę ja

w myśl zamiany, kolejami żelaznymi promieniejącą dla ludzkości; ale i wierzyć muszę, że kierunki od źródeł zamiany, nie zaś źródła od kierunków zależą, i jeżeli zależą, to podrzędnie."

Literatura współczesna, a więc i współczesna poezja, może istnieć jedynie w tych granicach, jakie jej zakreśla doświadczenie i tradycja narodowa. Tradycja ta może być pojmowana jak najszerzej — u nas przede wszystkim jako szeroka tolerancja i naturalna chęć przyswajania, ale i przetwarzania, nowinek. Wypada jednak podkreślić, że nowości, które tu chętnie i obficie przyjmowano i przetwarzano, były zawsze z rzędu ogólnych. Najpierw zapoznawano się z programami i prądami filozoficznymi, potem, przyswoiwszy je i opanowawszy, korzystano z nich w literaturze, w poezji. I tylko wtedy, gdy rozwój życia intelektualnego był równomierny i konsekwentny, powstawała, jako jego ukoronowanie, literatura. Taka jest geneza romantyzmu polskiego, tak kształtuje się polski pozytywizm, tak tworzą się wszystkie epoki literackie, trwale osadzone w kulturze narodowej. Słabości modernizmu polskiego upatrywać należy niewątpliwie w małym zainteresowaniu leżącymi u jego podstaw gdzie indziej prądami filozoficznymi, które w warunkach polskich nie mogły się przyjąć.

Wydaje się, że trwałą przyczyną owego ograniczenia poezji polskiej, o którym wspominałem, jest jej małe stosunkowo powiązanie z problematyką filozoficzną, a zwłaszcza łatwa do wytłumaczenia słabość filozofii w Polsce. Ta nieobecność filozofii częściowo może tłumaczyć genezę takich dzieł, jak np. *Król Duch* lub niektóre utwory Krasińskiego czy Norwida. Zarazem jednak tłumaczy ona i ów krótki oddech większości poetów polskich i to, że dzieła ich z taką łatwością dające się rozpatrywać, jako część piśmiennictwa, z takim trudem można traktować jako fenomen artystyczny.

Poezja polska chciała zbyt wiele, zamierzając być zarazem nauką historii, kodeksem moralności obywatelskiej i osobistej, pomnikiem walk o niepodległość, swoistym traktatem filozoficznym na użytek powszechny. Osiągnęła zbyt mało, skoro dostrzega się w niej tylko szacowny zabytek i jedynie w rzadkich chwilach podobieństw historycznych przywołuje się jej widmo.

Jakkolwiek jednak rzecz się ma, czytanie jej i rozważanie jej dziejów, uświadomienie sobie, jak wielki wypełnia obszar w życiu narodowym zarówno w najświetniejszych swych przykładach, jak i w swej przeciętnej mierności, jest pożyteczne już choćby z tego względu, że stwarza szersze perspektywy i do właściwych wymiarów sprowadza odwieczny egoizm każdej epoki i naiwny, czarujący egotyzm każdego artysty, który stara się zawsze umknąć z szerokiego cienia, jaki w końcu na wszystkie książki rzuca historia.

Paweł Hertz

Andrzej Kijowski

GROTESKA TOTALNA

Istnieje od dwudziestu lat w literaturze polskiej zjawisko, które nazwałbym „kompleksem września". Dotyczy ono przede wszystkim tego pokolenia pisarskiego, które bezpośrednio przeżyło gorycz wrześniowej klęski i dla którego klęska ta była pierwszym wielkim doświadczeniem politycznym i moralnym. Pokolenie to było przedmiotem sanacyjnej propagandy i sanacyjnego wychowania w szkole, na uniwersytecie, w wojsku. Propaganda ta oddziaływała bardzo umiejętnie na umysłowość młodej inteligencji. Opierała się na porozbiorowych resentymentach, zdołała podporządkować mitowi niepodległościowemu wszystkie najbardziej antagonistyczne tradycje myślowe i uczuciowe. Romantyczna legenda walki zbrojnej i mistyczny kult wodza współżyły z pozytywistyczną frazeologią, która towarzyszyła przedsięwzięciom gospodarczym. Wszystko co najlepsze w narodowej tradycji sanacja umiała świetnie eskamować na użytek inteligencji najmłodszej, tej, która niebawem miała zastąpić w rządach pokolenie bojowców i konspiratorów. Tadeusz Breza w *Murach Jerycha* pokazuje ten właśnie proces wymiany pokoleń, tę zmianę warty, tę sztafetę, w której rolę pałeczki pełni mit niepodległościowy, resentymenty rozbiorowe, „radość z odzyskanego śmietnika". Odwrotną stronę medalu pokazuje *Ferdydurke*. Breza ma pewne uznanie dla państwowego zmysłu starzejących się legionistów, którzy umieli zapewnić sobie ciągłość. Gombrowicz demaskuje miałkość intelektualnej nadbudowy. W trzy lata po *Ferdydurke* wybucha wojna. Młody inteligent wędruje zapylonymi drogami, wmieszany w tłum uciekinierów, zostaje wyrzucony ze swej orbity społecznej, trafia do kresowych miasteczek, jest świadkiem klęski, zdrady, tchórzostwa, uczy się prawdy w swym kraju.

Klęska jest patetyczna. Literatura polska, literatura najmłodszego, debiutującego po klęsce pokolenia jest przygotowana do podjęcia patetycznego tonu. Sanacyjna szkoła uczyła przede wszystkim literatury. Żeromski zajął już miejsce obok Sienkiewicza. W twórczości młodego pokolenia prozaików odezwie się po klęsce przede wszystkim wielka klasyka: Sienkiewicz w nowelach Żukrowskiego, Żeromski w powieści Szczepańskiego *Polska jesień*.

Ale młode pokolenie inteligencji jest przygotowane nie tylko do patosu. Jest przygotowane również do drwiny. Ma już poza sobą doświadczenie *Ferdy-*

durke Gombrowicza, ma już poza sobą satyrę Gałczyńskiego. Młody bohater narodzony we wrześniu będzie miał więc nie tylko wcielenie tragiczne; będzie miał także wcielenie groteskowe. Im dalej od września, tym groteska będzie brała górę. Im dalej od września, patetyczną historię klęski zastąpi ów kompleks bohatera wydrwionego. Takim będzie bohater Dygata, który w miniaturowej Europie skondensowanej w małym obozie nad jeziorem Bodeńskim musi przed całym światem świecić oczyma za tę całą przegraną Polskę. Takim będzie bohater Stanisława Zielińskiego.

Kompleks września jest punktem wyjścia dla twórczości Zielińskiego. Rozpoczyna od tonacji patetycznej: opowiadanie *Przed świtem* o podchorążym zastrzelonym przez prostych żołnierzy, którzy, widząc oficerski mudur, przekonani byli, że mają do czynienia z dywersantem; opowiadanie to, które mówi o przeraźliwej odległości, jaka dzieli lud, ciemny, zahukany, nieufny od inteligencji, od „kasty" wyhodowanej w sanacyjnej szkole resentymentów, opowiadanie to ma tę samą siłę i ten sam sarkazm, co znakomity *Wszarz* J. J. Szczepańskiego. I wspólne jest źródło literackie tych dwóch nowel: *Rozdzióbią nas kruki, wrony..., Echa leśne* — dawny wątek ofiary szlacheckiego bohatera, daremnej wobec wiekowych win.

W ostatnim tomie opowiadań Zielińskiego odnajdziemy znów temat ciemnego żołnierza, strzelającego do rzekomych dywersantów, którzy „z pewnością byli dywersantami", chociaż w kieszeniach nie znaleziono ani „tych tajnych, ani też innych dokumentów". Jest to opowiadanie *Kuba Zuch*. Kuba Zuch pracuje w wytwórni sprzętu turystycznego. Pewnego dnia dyrektor ubiera się w mundur i wzywa załogę do boju. Sprzęt turystyczny okazuje się sprzętem wojennym, załoga prędko otrzymuje przeszkolenie, maszerują na wojnę. Kuba odznaczył się nadzwyczajnie: strzelał, gdy kazali, biegł, gdy kazali, rzucił granatem, gdy kazali, wrócił okryty chwałą, z medalem, chociaż pozbawiony ręki, nogi, oka i ucha. Zażywa teraz sławy bohatera narodowego, opowiada o swych przewagach, ma przywileje, jest szczęśliwy. Bartek Zwycięzca? Tak, ale bez narodowej tragedii. Wojsko, w którym walczy, nie jest obcym wojskiem. Sprawa, o którą się bije, nie jest obcą sprawą. Jest to j a k i e ś wojsko i j a k a ś sprawa (Jak mówi Jarry: „Sprawa dzieje się w Polsce, czyli nigdzie..."). Bezsensowne wojsko i bezsensowna sprawa. Historia, w którą wciągnięty jest Kuba, jest równie głupia, jak on. Nie: jest nawet głupsza. Nikomu nic nie przyszło z wojny o pograniczny las. Nikomu, oprócz Kuby, który, pomimo utraty kilku członków, na których mu nie zależy, jest szczęśliwy. Nigdy nie osiągnąłby takiego szczęścia biorąc udział w seryjnej produkcji sprzętu turystycznego. Jego szczęście jest żałosne i absurdalne — tym żałośniejsze, że Kuba pozbawiony jest nawet przewrotnej inteligencji Szwejka. Jest już materiałem doskonałym, doskonale biernym. Ale to nie jego wina. To wina świata.

Kuba Zuch jest Bartkiem Zwycięzcą rzuconym na tło świata. Kompleks września, kompleks polski, kompleks rogatywki na tle świata wyraża się w grotesce. W *Jeziorze Bodeńskim* Dygata spotkanie Polaka („wiecznego Polaka") ze światem jest klęską jednostronną: klęską Polaka. Sprawa polska rzucona o ścianę świata odbija się i wraca groteską, ale groteską polską, wewnętrzną, prywatną — wraca bijąc w polską literaturę, w polską historię, w polską psychikę, w polskie resentymenty. Zieliński postępuje podobnie

w swych opowiadaniach oflagowych, takich jak: *Sprawa honorowa* i inne. Posuwa się jednak coraz dalej. Obóz zmienia się w groteskową miniaturę świata. Opowiadanie *Amer Picon* kończy się obrazem wyzwolenia przez Amerykanów międzynarodowego obozu. Wszyscy już są obłąkani — Francuzi zjadają mlecz wprost z łąki. Dwaj Polacy wyruszają w drogę, mówiąc: „Chodźmy. Zobaczymy, czy świat bardzo zdziwaczał podczas naszej nieobecności".

Kompleks września rozszerza się o kompleks obozowy. Bohater Zielińskiego jest odcięty od świata. Zgubił rytm, nie może już pogodzić siebie z porządkiem świata. Obserwuje świat z punktu widzenia swej małej, prywatnej manii, która pozwoliła mu przetrwać czas niewoli. Jeden z bohaterów *Ostatnich ogni* osiada na Brennerze, przypatruje się wielkim wędrówkom narodów, zbiera sobie zakrętki od pasty do zębów. Jest to zatem Kandyd, wcale nie bardziej absurdalny od tamtego, który, zwiedziwszy cały świat, poznawszy wszystkie możliwe ustroje, osiadł w cichym zakątku i oddał się uprawie własnego ogródka. Bohater Zielińskiego nie przewędrował świata i nie poznał wszystkich ustrojów. Poznał niewolę, zgubił rytm świata, poznał c o ś, coś, czego doznaje się wtedy, gdy zatrzymuje się czas. W obozie zatrzymał się czas, mieszkaniec baraków usłyszał pustkę i ciszę świata.

Skojarzenie z Kandydem nie jest przypadkowe. W *Listach z Amerdagandy* Zieliński opisuje podróż do krainy absurdu. Jest to „antyutopia", których wiele zna współczesna literatura. W literaturze polskiej antyutopią było *Nienasycenie* St. I. Witkiewicza. Po wojnie niezapomniana *Podróż Chryzostoma Bulwiecia do Ciemnogrodu* Gałczyńskiego, w pewnym stopniu *Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza. I wreszcie astronautyczne groteski Stanisława Lema. Antyutopia jest to utopia satyryczna, przedstawiająca ironiczny obraz społeczeństwa współczesnego autorowi w formie alegorii lub w innym przebraniu, albo parodia utopii, wyśmiewająca marzenia utopijne. Tak określa ten rodzaj klasyczna poetyka. Czy *Listy z Amerdagandy* są obrazem satyrycznym społeczeństwa współczesnego, czy też parodią utopii? Jednym i drugim. Są groteskowym obrazem społeczeństwa, w którym występują nierównomierności rozwojowe, charakterystyczne dla okresu wielkich przemian społecznych i gospodarczych. Są karykaturą społeczeństwa, które, będąc zacofane w stosunku do innych społeczeństw, stara się je zarazem wyprzedzić. Stąd przemieszanie prymitywnych braków i gigantomanii, bałaganu i maniackiego porządku. Oczywiście, że *Listy* odbijają w jakiś sposób sytuację polską. Stary kompleks września, kompleks kraju osobliwego, zostaje tu rozwinięty o nową sytuację — Polska Abdera z takich opowiadań, jak *Warszawa — wieś*, przemienia się w przedziwny Schlaraffenland, gdzie pociągi spóźniają się o kilka lat, ale gdzie jednocześnie panuje najwzorowszy system kontroli i dyscypliny, gdzie inżynierowie planują rzeczy wielkie, choć nie zawsze potrafią wytłumaczyć, o co im chodzi, gdzie gmachy publiczne są piękne jak świątynie, a urzędników chowa się w piwnicach, aby nie szpecili pięknych wnętrz.

Większość opowiadań *Statku zezowatych* stanowi odpryski groteskowych pomysłów *Listów z Amerdagandy*. Wspaniała akcja ratownicza połączonych sił wojska, marynarki, policji, która ma na celu ściągnięcie psa z kry *(Admirał)*, przypomina organizacyjne pomysły Amerdagandczyków. Przedziwny ten kraj przypomina także Luizjana z opowiadania pod tym tytułem, gdzie policja

wydaje koncesje dla bandytów, a nadmiar energii społecznej zużywa się np. na łatanie szczelin na dnie morskim. W Amerdagandzie leży też chyba owo miasteczko, w którym nie wystarczyło na założenie tramwajów, więc poprzestaną na wyznaczeniu przystanków. Megafony nadają szum nadjeżdżającego wozu, przechodnie ustawiają się w kolejce, po czym puszczają się biegiem, uważając, aby nie zboczyć z trasy.

Wspólny też jest narrator *Listów* oraz tych opowiadań. Jest to melancholik, który niczemu się nie dziwi i tylko tym brakiem zdziwienia, łagodnością, odpornością na wszystko różni się od wolterowskiego podróżnika, który gniewał się, gdy widział zło, śmiał się, gdy dostrzegał głupstwo. Bohater Zielińskiego nie sądzi, nie potępia, nie śmieje się, nie tragizuje, nawet się nie boi. Tylko zbiera, zbiera fakty, jak owe zakrętki:

„Czasami w księżycowe noce słyszę dalekie wycie psa. Przypomina ono operację »Admirał«. Zapalam wtedy papierosa i myślę. Rozważam, konfrontuję. Bywa, że na to wszystko nie starcza wiosennej nocy. I często świt zastaje mnie skulonego, obejmującego podkurczone pod brodę kolana". Operacja „Admirał" miała zakończenie okrutne: po prostu nikt nie chciał zająć się ocalonym psem — psem-bohaterem, a człowiek, który zbyt gwałtownie upominał się o sprawiedliwość dla biednego zwierzaka, zniknął w tajemniczych okolicznościach.

Antyutopia Zielińskiego odwołuje się do prostych uczuć. Nie do zdrowego rozsądku, gdyż on — dla autora — nie istnieje. Nie proponuje jednego porządku zamiast innego, gdyż wszystkie są takie same. Proste uczucia: miłość, litość, współczucie — to wszystko, co da się uratować.

Uratować? Tak, albowiem antyutopia Zielińskiego jest katastroficzna. Nad jego malutkimi ludzieńkami zawisa straszliwa groźba cywilizacji technicznej. Zieliński nie bawi się, jak Lem, w naukowo-techniczne fantazje. Jego cuda przyszłości są całkowicie umowne — wynalazki jego są drwiną z wynalazków. W opowiadaniu *U Deskurów* projektuje się zastąpienie mostów tunelami. Na czas budowy tuneli likwiduje się mosty, więc komunikacja przez rzekę ustaje... Młody Deskur na lekcjach gimnastyki uczy się zestrzeliwać kolegów w locie z myśliwca odrzutowego, a jednocześnie nie wie, co to jest jajko. Pewne pomysły czerpie Zieliński wprost z Lema: na przykład z tym przekazywaniem człowieka... Tylko że u Lema eksperymenty udają się albo dają jakieś nieoczekiwane rezultaty. Natomiast u Zielińskiego nic się nie udaje: człowiek przekazany po prostu znika i należy przypuszczać, że genialny aparat był popędzany karbidem.

Cywilizacji Zieliński nie traktuje więc na serio. Nie boi się końca świata. Uważa go za historyczny mit. Jak w *Bożej krówce:* z bożej krówki zrobiono apokaliptyczne zwierzę, z rury klozetowej — meteor. W opowiadaniu *Drzwi* ktoś rozpuszcza wiadomość, że wystrzelono ziemię z układu słonecznego. Wobec tego komendant miejscowej jednostki rozkazuje wydać koce i ciepłe onuce, potem idzie na ryby. Oto postawa heroiczna. Jest coraz ciemniej, coraz zimniej, ale to nic: należy zachować *status quo.*

Wciąż powrót do filozofii Kandyda. Jest to jednak Kandyd historycznie mądrzejszy, Kandyd, który poznał ciszę i pustkę świata znieruchomiałego. Ani antyutopia, ani antykatastrofizm nie wystarczają mu do wypowiedzenia tego, co wie o świecie. Zna bowiem jeszcze tajemnicę człowieka, zna ją

z bliska, z sytuacji, których nie umiał przewidzieć osiemnastowieczny optymistyczny racjonalista.

W opowiadaniach z oflagu Zieliński wyraził sytuację człowieka unieruchomionego. Sytuacja ta powtarza się w opowiadaniu *Histrio, Gibba*. Nie ma obozu ani więzienia, jest miasteczko, niedziela, nie, przepraszam, piątek, ponieważ jest to dziwne miasteczko, w którym właśnie w piątki idzie się na Lunę — wielki lunapark. Stoi dwóch pod słupem przystanku tramwajowego, nie mają co ze sobą zrobić, jest nudno. Pławią się ludzie w rzece, wszędzie ciała, ciała — i nuda. Dwaj prowadzą dialog. Starają się zapełnić pustkę byle czym, gadaniem. Czas płynie. Rozdają sobie imiona — może tracą trochę czasu, ale on nie przestaje trwać. Ustalają nowe dane w swych biografiach: mianują się spadkobiercami. Czas płynie. Postanawiają coś zrobić. Zlikwidować grubasa w cytrynowym meloniku. Grubas umknął. Pojawił się pies. Pies należy do kobiety. Postanawiają zlikwidować kobietę. Schodzi trochę czasu na przygotowaniach, na sporach taktycznych. Wreszcie jest kobieta — to właścicielka domu publicznego, która sprytnie wciąga ich w erotyczne ekscesy. Dzięki temu zostają rozdzieleni. To straszne: teraz każdy z nich odczuwa pokusę, aby drugiego zadenuncjować przed Porządkowymi, którzy wszędzie się kręcą. Jeden kryje się przed drugim, jeden się barykaduje, drugi się barykaduje, potem znów się łączą i już wszystko jest dobrze, ale gdy tylko jeden wyszedł na chwilę z domu, drugi obwiesił się, przekonany, że tamten już uległ pokusie. Więc i drugi obwiesił się z rozpaczy, a sznur przydał się komuś innemu jako talizman. Ich imiona (Histrio, Gibba) są symboliczne: oznaczają rybę głębinową, która doskonale przystosowuje się do warunków.

Ileż reminiscencji literackich w tym utworze. Dialog dwóch włóczęgów, nadawanie imion, mistyfikacje ze statkiem przypominają Becketta. Scena w domu publicznym jest zupełnie z Kafki: erotyka u Kafki jest zawsze przeszkodą do spełnienia wyznaczonych zadań. Pomysł z wzajemnym ukrywaniem się zatrąca Orwellem. Te skojarzenia wyznaczają rozpiętość utworu. Jego piętrem pierwszym jest nienawiść do biologicznego bytowania — do „mieszczańskości". Obraz niedzielnej (przepraszam, piątkowej) plaży jest pełen obrzydzenia, niemniejszego niż w jednym z opowiadań Tadeusza Borowskiego z *Kamiennego świata*, w którym jest obraz niedzielnej „zupy z tłumu", płynącej ulicami. Wspólne jest źródło tej nienawiści: doświadczenie obozu, kompleks obozowy, poczucie zgubionego rytmu życia. Borowski, że swym doświadczeniem oświęcimskim, wszędzie widział zbrodnię. Zieliński, mieszkaniec tego miasta ludzi unieruchomionych, jakim był oflag, widzi przede wszystkim nudę, tę samą nudę, która panowała za drutami, gdy świat cały szalał, ginął, cierpiał. Nad tym rozgrzanym tłumem unosi się ręka władzy. Młodzieniec, który podnieca kobiety widokiem swych wspaniałych organów, jest „na usługach", a „to" jest policyjnym rekwizytem służącym do „badania nastrojów". Działa więc zasada antyutopii: należy do niej także historia z „pokusą" i wzajemnym ukrywaniem się.

Wszystko to dzieje się w przeddzień końca świata. Chudy Łysy jest koordynatorem. Do jego zadań należy krystalizowanie wszystkich uczuć i wartości, ponieważ natychmiast po zlikwidowaniu świata należy tworzyć nowy. Na tym nowym świecie przyda się wszystko, nawet kompleks Edypa — utrwala się go również w skrystalizowanej postaci. Jest więc i antykatastrofizm —

zasada końca świata uznana tu jest po prostu za strukturalną zasadę istnienia, tak jak w którymś z opowiadań wojna uznana jest za piątą porę roku. Mniejsza o wojnę i koniec świata — powiada Zieliński — ważne jest to, czy można żyć. Otóż nie można: życia nie ma, trzeba je wymyślać, trzeba je udawać, tak jak udawali Histrio i Gibba. Trzeba wymyślić jakieś zajęcia, zbrodnię, miłość...

Nie, jedna miłość jest autentyczna i dlatego zapewne *Statek zezowatych* kończy się zabawnym oleodrukiem, który recenzent *Przeglądu Kulturalnego* wziął na serio *(Paryż)*. Oczywiście liryka Zielińskiego jest także pozorem. Jest umownym punktem odniesienia tego całego systemu drwiny powszechnej, drwiny obejmującej cały świat. Rozbite jest wszystko, wszystko, jest „anty": anty-Polska, anty-historia, anty-literatura, anty-liryka, a nawet anty-język, gdyż Zieliński — zwłaszcza w *Histrio, Gibba* — stosuje parodię języka mówionego, parodię przekleństwa, parodię dialogu.

W tym ostatnim opowiadaniu osiąga Zieliński najbardziej skrajny i najbardziej konsekwentny wyraz swego oryginalnego talentu. Udaje mu się na zasadzie parodii i drwiny zbudować całkowity świat. Udaje mu się zamknąć kodeks swej poetyki. Niszczy świat cały, stwarzając w to miejsce własny. Jego groteska przestaje być w tym momencie zbiorem chwytów, arsenałem sposobów podchodzenia rzeczywistości. Staje się rzeczywistością samowystarczalną, która, jak bańka mydlana, odrywa się od końca słomki i szybuje, lśniąc wszystkimi barwami tęczy. Zieliński osiągnął tu granicę prozy — granicę nieprzekraczalną. Znalazł się na krawędzi możliwości, jak linoskoczek, który, po wykonaniu śmiertelnego salto, tańczy na jednej nodze, próbując złapać utraconą równowagę. Widzowie biją brawo ze ściśniętymi gardłami: dosyć, złaź.

Andrzej Kijowski

ROZDZIAŁ DRUGI

Miron Białoszewski: *Rachunek zachciankowy*. Warszawa 1959. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 112.

To drugi już tomik poety, drugi rozdział poetyckiej autobiografii złożonej z książek — autobiografii takiej, jaką znać mogą czytelnicy publikacji, bo Białoszewski należy do tych twórców skrzywdzonych czy też uprzywilejowanych przez Panią Historię, a raczej przez jej kapłanów, którzy od razu przedstawili się literackiej publiczności jako twórcy dojrzali, bez mankamentów i uroków młodzieńczego debiutu. Co najmniej trzy tomiki, prowadzące do *Obrotów rzeczy*, nigdy zapewne nie będą znane nikomu więcej poza ludźmi, którym poeta zdążył je kiedyś odczytać. Taki stan rzeczy ma swoje następstwa — i pozytywne, i negatywne. Do pozytywnych należy niewątpliwie sugestywność tak od razu dojrzałego debiutu i hart, który zdobywa się latami nonkonformistycznej służby swej wizji. Do negatywnych może należeć zachwianie minimalnych wymogów równowagi między funkcją wyrażania i funkcją wypowiadania w poezji, między ekspresją a komunikatywnością, oraz bezkrytyczna wierność swojej drodze, utwierdzona doświadczeniami przeszłości — nawet wtedy, gdy droga może zaprowadzić do nikąd. Czemu poeta, należący do tych, którzy „zachowali i poprzez ciemność skarb przenieśli" — miałby wierzyć komukolwiek sprowadzającemu go teraz z jego drogi? Białoszewski doświadcza na sobie i pozytywnych, i negatywnych następstw swej poetyckiej biografii.

Tak się złożyło, że recenzowałem przed trzema laty *Obroty rzeczy*. Ponieważ widzę w *Rachunku zachciankowym* rozdział drugi konsekwentnego pod pewnymi względami rozwoju — muszę więc przyjąć za punkt wyjścia własne wnioski, tyczące rozdziału pierwszego. Cytuję je:

„Jest to poetyka bez hipostaz. W liryce Białoszewskiego mamy tylko świat rzeczy — prawie jak w reizmie Kotarbińskiego — i doznającego poetę. Białoszewski nie zna przedmiotów ogólnych. Dla niego ogólne są tylko nazwy, którymi chrzci konkretne przedmioty. Jak uczył Ockham — nie mnoży bytów poza niezbędną potrzebę... Jest to jedyna chyba — i już przez to urzekająca — manifestacja postawy nominalistycznej w poezji."

Interesujące jest dla mnie, że ten poeta, tak mało filozoficzny w tym, co bezpośrednio mówi, u którego tak trudno znaleźć sformułowaną refleksję epistemologiczną lub ontologiczną, a tak bardzo filozoficzny w konsekwencji, z jaką konstruuje swój poetycki świat — w swej ewolucji poetyckiej podlega w stopniu po prostu nie notowanym przez historię literatury konsekwencjom rozwojowym zajmowanych przezeń postaw filozoficznych, konsekwencjom zaświadczanym raczej przez historię filozofii niż poezji. Przypisuję to nie tyle świadomej refleksji twórczej, choć i tego nie wykluczam (zbyt mało mam danych, by coś twierdzić z pewnością) — ile ogromnemu wyczuciu konsekwencji rozwojowych,

tkwiących w stworzonym przez poetę świecie. Białoszewski to poeta, który nie tylko już stworzył swój poetycki świat — ale i zamieszkał w nim. Prawa, które, jako stwórca, nadał zorganizowanemu przez siebie światu — dotyczą już i jego samego.

Liryka *Obrotów rzeczy* była filozoficznie dualistyczna — i cechował ją dualizm podwójny: po pierwsze przeciwstawiał się w niej świat rzeczy — i doznający poeta. Po drugie — poezję tę cechowała chwiejność postawy epistemologicznej: od wiary w możność przedarcia się przez zjawiskową sferę rzeczywistości ku jakiejś *Ding an sich* — do minimalistycznego poprzestania na notowaniu danych w wewnętrznym doświadczeniu zjawisk. Ten podwójny dualizm dramatyzował zawartość pierwszego tomiku Białoszewskiego — ale też był przesłanką późniejszego wyboru. I *Rachunek zachciankowy* w pewnej mierze jest takiego wyboru świadectwem.

Wiele utworów z *Rachunku zachciankowego* mogło się znaleźć w *Obrotach rzeczy*, lecz nie zostały tam wcielone przez Sandauera, który (jak informowała czwarta strona) „wyboru dokonał". Tak mówią daty umieszczone na końcu wierszy. Dzielą one tomik nie tylko na chronologiczne, lecz i na myślowe warstwy. I tak np. wiersz *Jak łatwo stracić wiarę* należy jeszcze do dramatycznej filozoficznie liryki *Obrotów rzeczy*, podczas gdy *Obywatel liczydło* — już niewątpliwie do *Rachunku zachciankowego*.

Na czym polega dokonany wybór? Od stanowiska filozoficznego, kształtującego *Obroty rzeczy*, wiedzie parę linii rozwojowych, w zależności od tego, który element konstrukcji zostanie w dalszym rozwoju zaakcentowany. Teoretycznie nic nie stało na przeszkodzie, by pozostać przy postawie minimalizmu epistemologicznego i nominalistycznego stosunku do poetyckiego języka, przy owym „reizmie" w cudzysłowie, reizmie tylko metodologicznym, nie zakładającym materialistycznej metafizyki. Ale cóż, trzeba się z tym pogodzić, choćby się sympatyzowało z pozytywistyczną tradycją filozoficzną — że gdzie jak gdzie, ale w poezji ma ona małą szansę i małą popularność. Nic to zresztą nie szkodzi: liryka nie pełni chyba funkcji poznawczych, lecz raczej kreacyjne — a bardziej jeszcze kompensacyjne. Bez trudu więc gotów jestem zgodzić się w poezji zarówno na metafizykę materialistyczną, jak i spirytualistyczną, i zresztą każdą inną. Zasady filozoficzne, na jakich poeci konstruują swoje światy — są dla mnie jedną z najciekawszych spraw w liryce i jedną z najżywiej dotykających mnie emocjonalnie, ale dla oceny poezji istotna jest raczej obecność tej sfery spraw niż ten lub ów ich wybór.

Białoszewski skłania się do wyboru solipsystycznych konsekwencji swej pierwotnej postawy. Oczywiście — to nieprawda, że tylko taki wybór był możliwy (nie mówiąc już o tym, że tylko złej woli lub brakowi rozeznania filozoficznego możemy zawdzięczać stanowisko utożsamiające te dwie różne postawy). Tym niemniej rozwój od *Obrotów rzeczy* do *Rachunku zachciankowego* w tym właśnie kierunku zdąża.

Konsekwencji artystycznych tego jest sporo. Pozytywnych i negatywnych — jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia konieczności oceny. Istotniejsze są jednak dla mnie konsekwencje konstrukcyjne, przetwarzanie się zasad kształtowania materii poetyckiej, abstrahując na razie od tzw. wartości estetycznej.

Konsekwencja pierwsza — to rozrost w twórczości Białoszewskiego elementów *écriture automatique*, od czego nie były wolne i *Obroty rzeczy*, ale dopiero tryumfy solipsyzmu awansowały tę metodę. Jej skrajnym przykładem może być wiersz *Ulotne*. Jest on bardzo autentyczny w wyrazie. Jeśli cokolwiek znaczy w krytyce to słowo — powiedziałbym, że chyba bardzo szczery. Poeta ma tu, być może, bardzo dużo do powiedzenia — ale chyba tylko sobie. Został przekroczony tu pewien próg najmniejszej możliwej komunikatywności. Otwarcie muszę się przyznać, że w wierszu tym nic nie rozumiem poza tym, że możliwy jest taki strumień słów. Już nawet o strumieniu asocjacji nie potrafię nic powiedzieć: w tej konwencji trudno sądzić, czy nasze mechanizmy skojarzeniowe, mój i autora, są choćby analogiczne. Poezja ta, jeśli wzrusza — to jako dowód i manifest absolutnej nieprzenikalności. Historia literatury uczy, że tą samą metodą tworzono ar-

cydzieła intersubiektywnie sprawdzalne, bądź wtedy, gdy organizowała je podświadoma obsesja, drążąca twórcę — lub gdy (jak np. w niektórych wierszach Apollinaire'a) zdezintegrowana osobowość poety manifestowała się poprzez chaos doznań zewnętrznego świata. To już wprowadzało jakiś dialog, pozwalało wyjść poza doskonałą, ale nietwórczą jedność absolutnego solipsyzmu. To Leibnitz, badając systemy analogiczne do dziesiętnego, powiedział, że aktem stworzenia jest przejście od jedności do dwoistości, gdyż arytmetyka liczb naturalnych jest możliwa dopiero od systemu dwójkowego. I podobnie jest u Białoszewskiego: dopiero zróżnicowanie solipsystycznej konstrukcji świata daje autentyczne rezultaty poetyckie. Jestem więc nieomal entuzjastą wiersza *Szantażystka*, a co najmniej uważam ten wiersz za bardzo dobry i nowatorski. Krajobraz wewnętrzny poety jest w nim zróżnicowany. Pan Władysław nie jest co prawda bardziej realny niż najzupełniej nieprzedmiotowe doznania — ale w każdym razie należy do elementów stwarzających zróżnicowaną, choć solipsystyczną konstrukcję świata, analogiczną w pewnej mierze do konstrukcji możliwej w naiwnym realizmie poznawczym. Ta analogia pozwala autorowi na porozumienie się z czytelnikiem. Co więcej — stwarza w na wpół sennej, jakby zamroczonej, pełnej bełkotu i mglistości atmosferze wiersza — zarys jakichś treści poznawczych. To przecież *Straszni mieszczanie* Tuwima! Tylko że widziani od wewnątrz, od ich zdezintegrowanego wnętrza. „Ja liryczne", Pan Władysław, syn Sabin etc. — to elementy jednorodne jakiegoś nie kontrolowanego strumienia świadomości, układającego się jednak w ten sam obraz, który opisał Tuwim. Tylko że do Tuwima można stosować tradycyjny, bergsonowski schemat krytyki, polegającej na wykazaniu nieadekwatności rzeczywistości i poznającego ją intelektu W wierszu Białoszewskiego mamy daną bezpośrednio samą rzeczywistość.

To przykład utworu, w którym zdezintegrowana osobowość poety manifestuje się poprzez chaos doznań zewnętrznego świata. Przykładem na organizowanie wiersza przez podświadomą obsesję — jest również znakomity moim zdaniem *Przerzut objawu*. Obsesja to ta sama, co w *Moim strachu nie- i organicznym (Obroty rzeczy)*. Pozornie nowa wersja obsesji jest bardziej zobiektywizowana (powodem tego wrażenia jest zarys fabuły), lecz już choćby rytm recytacyjny, tak dobrze znany z twórczości dramatycznej Białoszewskiego, wskazuje, że trop takiej obiektywizującej interpretacji jest mylny. „Niewidzialna mysz", mylona dawniej z piskiem żołądka, mogła być elementem czegoś groźnego z zewnątrz, strach z *Przerzutu objawu* jest absolutnie solipsystyczny.

Nowa postawa poety wpłynęła przede wszystkim na jego język. Stał się on giętki do granic absurdu. Płynąca być może z norwidowskich inspiracji (jak wskazywał Wyka) pasja słowotwórcza — jest teraz przede wszystkim wyrazem utożsamienia się języka z treściami wewnętrznymi poety. To kierunek deformacji, znany z praktyki ekspresjonizmu, lecz znacznie dalej idący w lekceważeniu pozaekspresywnych funkcji języka. Ba, nawet ekspresja staje się złudna, gdyż niesprawdzalna, pozbawiona (w ekstremalnych wynikach) jakiejkolwiek komunikatywności.

Wobec tych cech *Rachunku zachciankowego* — jedno jest przedziwne: to tomik bogaty w... satyrę! Tak, w obyczajową satyrę! Zdawałoby się, że jest to w tej konwencji poetyckiej niemożliwe — ale sądzę, że parę uwag analitycznych, które poczyniłem w związku z *Szantażystką* — wskazuje na możliwość tej niecodziennej symbiozy. Pozwala na to analogia struktury solipsystycznego świata poety — i świata realiów społecznych. Wiadomo przecież, że postępowanie uczonego-przyrodnika, formułowanie przezeń tez i ich weryfikacja nie pozostają w istotnym związku z przyjęciem postawy solipsyzmu radykalnego lub realizmu teorio-poznawczego. W praktyce metodologicznej istnieje pełna przekładalność tych języków, teoretycznie nie dających się sprowadzić do siebie. Podobnie z treściami poznawczymi literatury: ich zawartość epistemologiczna ma znikomy wpływ na treści poznawcze, tyczące rzeczywistości społecznej. W *Rachunku zachciankowym* jest więcej tego typu przykładów. A *Ballada od rymu?* A *Interes?*

W tomiku jest zresztą, jak już wspomniałem, sporo wierszy należą-

cych raczej do *Obrotów rzeczy*. Są mi one, prawdę mówiąc, bliższe od typowych dla *Rachunku zachciankowego*. Bliskie mi są też rzeczowe skondensowane fabuły poetyckie z *Mitów wojennych* i *Kroniki wypadków*. Ale poeta musi szukać swoich dróg, czy to się komu podoba, czy nie. Stanąć w miejscu — to znaczy zacząć kostnieć i umierać.

Pytanie tylko, czy droga, po której poszedł Białoszewski — jest właściwa, tzn. czy idąc po niej dalej — będzie nadal tworzył wiersze o randze *Szantażystki* i *Przerzutu objawu*? Obawiam się, że tę drogę już poeta wyczerpał. Zbyt dużo jest w *Rachunku zachciankowym* wierszy, i to późniejszych chronologicznie, poza granicą percepcji. Są one klęską szczerości, w którą nie wątpię. Szczerość to kategoria pozaartystyczna i zabójcza dla sztuki. Poezja to sztuka tworzenia konwencji. Poeta może i powinien konwencje rozbijać, ale po to, by tworzyć nowe. W poezji nie liczy się osobowość poety jako „rzecz sama w sobie", a tylko jej językowe, semantyczne manifestacje, pośredniczące między twórcą i czytelnikiem. Sądząc z tytułu zbiorku — poeta chciał się przeciw temu (nie po raz pierwszy w historii) zbuntować, przeciwstawić zobiektywizowanemu systemowi konwencji (choćby własnego autorstwa) — dowolność subiektywnych impulsów. Przedstawił czytelnikowi rachunek zachciankowy swej poetyckiej osobowości. Rachunek częściowo czytelny, choć trudny, częściowo zaś — po prostu osobisty dokument psychiczny, pozostający z konieczności poza zainteresowaniami krytyka i czytelnika. Rozdział trzeci pokaże nam, czy z magmy uformuje się nowa konwencja poetycka. Być może zapowiada ją taki np. wiersz, jak *Przerzut objawu*, najkonsekwentniejszy wobec osiągnięć rozdziału pierwszego — i najwięcej perspektyw otwierający na przyszłość. Wiersz obsesyjny, neurotyczny — i w tych swych cechach w pełni intersubiektywny.

Jan Józef Lipski

NOWA MIŁOŚĆ

Halina Poświatowska: *Hymn bałwochwalczy*. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 88.

Poezja Haliny Poświatowskiej jest ziemska, nie niebieska, jest poddana, nie suwerenna. Żyje ziemskimi pokarmami, sądzę, że nie mogłaby się bez nich obejść. Istnieją poeci, którym można odebrać wszystko. Spróbujcie Poświatowskiej odebrać miłość.

Obsesje tworzą poetów. (Jeśli godzi się uczucie tak piękne i powszechne nazywać obsesją.) W *Hymnie bałwochwalczym* proces ów wprost widać. Widać, jak poetka odrzuca słowa i pomysły świadczące przeciwko niej; widać, jak się zmienia, pogłębia, dojrzewa. Jak odrzuca pisarską naiwność i dąży ku pierwszym stopniom poetyckiej dojrzałości. Widać, gdyż ślady tego rozwoju pozostały w tomiku.

W słowach o Wenus, co

> piersi miała takie
> że tylko stać
> i wyć z zachwytu do chmur
>
> (str. 47)

o wietrze, który

> był szatanem
> śpiewał
> o cudzie krążącej krwi
>
> (str. 56)

o nieszczęsnej Ninie, która

> taką piękną ma szyję
> takie nogi jak słowa refrenu
> je t'aime
>
> (str. 10)

W słowach o ulicy „pijanej wiatrem", o śmiechu „szalonym", o tle „kolorowo drapieżnym".

Na początku nie było zatem słowa, było tylko jego poszukiwanie, szybkie i gorączkowe. Treści, które należało wypowiedzieć, nie chciały bowiem czekać, musiały zostać wypowiedziane natychmiast. Jak, w jaki sposób? Gdzie znaleźć patrona, wzór, nauczyciela?

Patron taki od lat kilkunastu istnieje. Patron wszystkich spragnionych formy, łaknących stylu, święty Tadeusz Różewicz. Oto litania do niego:

> Jestem Julią
> mam lat 23
> dotknęłam kiedyś miłości
> miała smak gorzki
> jak filiżanka ciemnej kawy
> (str. 35)

„Mam dwadzieścia cztery lata /ocalałem/ /prowadzony na rzeź" (Różewicz). „Mam dwadzieścia cztery lata /przeżyłem najokropniejszą z wojen" (Drozdowski)...

W ten sposób droga została odnaleziona, szkoła — wybrana, co więcej: warunki przyjęcia — spełnione. Gdyż, podobnie jak Różewicz, i Poświatowska może powiedzieć:

> tam gdzie trzeba krzyczeć
> mówię szeptem

W tej chwili praca dyplomowa leży przed nami.

Że w tej, a nie innej pracowni została napisana — nie trudno stwierdzić. Kto nie chce tu poprzestać na poznaniu intuicyjnym, ten z łatwością skompletuje sobie mały katalog wtórnych chwytów i schematów, takich jak paralelizm retoryczny, nadużywanie parataksy, introdukcyjna funkcja czasownika *. Uwzględniwszy melodię wersyfikacyjną i — dominującą tu — postawę behawiorystyczną, nie trudno otrzymać ilość punktów wystarczającą na to, by wykres *Hymnu bałwochwalczego* wiernie upodobnił się do zarysu poezji autora *Niepokoju*.

Krytyk Poświatowskiej znajduje się jednak w o wiele szczęśliwszym położeniu niż krytyk jej braci i sióstr w Różewiczu. Stwierdzenie szkolnej przynależności nie zamyka tu bowiem opisu, lecz otwiera go. Gdyż: w ramy poetyki ustalonej, istniejącej już — dostaje się nowa obsesja, nowy temat. Wydaje się rzeczą jasną, że, wcześniej czy później, ramy te musi przekształcić, uregulowany brzeg — wymodelować po swojemu. Tymczasem: mieści się w nich z pożytkiem dla poezji.

Erotyka Poświatowskiej przynosi bowiem pewne *novum*, stanowi — skromne jeszcze, niewątpliwe jednak — poszerzenie granic, jakich temat ten dotychczas w poezji polskiej nie przekraczał. Śmiałość — wydaje się niekiedy cnotą pozaestetyczną. Zapewne. Jeśli jednak cnoty estetyczne nie towarzyszą jej — powstają wtedy wiersze w rodzaju tych, jakie niedawno z uczuciem pewnego przestrachu czytaliśmy w tomie innej poetki.

Poświatowska jest taktowną bałwochwalczynią Erosa. Nie waha się pisać o cielesnej istocie miłości, nie lęka się tematu ciała. Kobieta patrząca z zachwytem na swoje odbicie w lustrze, archipelag wiersza *W zmrużeniu powiek*, przejrzysta metaforyka *Wiśni i świerku*, świadectwo wiedzy o cynizmie (*Wieczorny finał*) — śmiałości takiej nie było nawet u Pawlikowskiej. Lecz śmiałość owa nie przekracza nigdy granic taktu: nie ma w niej nic żenującego czy ryzykownego. Efekt ten Poświatowska osiąga w znacznej mierze dzięki różewiczowskiej poetyce, zmuszającej do dyskrecji, do ściszenia głosu. Jednak nie tylko dzięki poetyce.

Poezja Poświatowskiej jest ziemska, nie niebieska. Dotyczy spraw, którym żaden człowiek nie jest obcy; mówi o nich w sposób prosty, bezpośredni, komunikatywny. Jej ambicją nie jest odkrywanie nowych światów, nowego widzenia poetyckiego, nowych skojarzeń; jej ambicją jest stworzenie nowej konwencji, nowego językowego kanonu dla erotycznych przeżyć współczesnego człowieka, współczesnej kobiety.

W ambicji tej kryje się niemała szansa: ileż ludzi czeka na poezję miłosną, dziś — nie istniejącą niemal, ileż czeka

---

* Ulubiony chwyt Różewicza: otwieranie wiersza formą czasownikową, silnie wyeksponowaną — utrzymuje się jednek u tego poety w proporcjach umiarkowanych: *Niepokój* — 40:14; *Czerwona rękawiczka* — 34:10. U Poświatowskiej stosunek ten nieco wzrasta: na 68 wierszy tomiku formą czasownikową otwiera się — 26. Dla porównania: w równocześnie wydanych *Wierszach* Teresy Socha-Lisowskiej ten sam stosunek wyraża się cyframi 44:3.

na właściwą formułę własnego wzruszenia. Dokonujące się przemiany obyczajowe wymagają dokonania się przemian poetyckich, stwarzają konkretne zapotrzebowanie na poetycki listownik miłosny pokolenia. A że w wierszach Poświatowskiej zarysowują się możliwości spełnienia tych pragnień — świadczy choćby entuzjastyczna impresja Stanisława Grochowiaka (*Współczesność*, 1959, Nr 5), który — będąc przedstawicielem tej samej generacji — stanowi tu tak zwany czynnik miarodajny.

O świadectwie tym, choć jednostkowym, warto pamiętać, gdyż odpowiedź Poświatowskiej na ankietę zatytułowaną *Erotyzm młodego pokolenia* nie we wszystkich punktach zgadza się z odpowiedziami, które czytaliśmy dotychczas. Na ich tle *Hymn bałwochwalczy* wyróżnia się czystością tonu, powagą i autentycznością przeżycia.

Słowo erotyzm zostało tu bowiem użyte na zasadzie określenia dyskretnego. *Hymn bałwochwalczy* można nazwać poezją sexu czy poezją erotyzmu — oczywiście. W gruncie rzeczy jest to jednak poezja tak zwanej „wielkiej miłości": żarliwej, nie uznającej kompromisów, totalnej. Miłości, która staje się miarą świata, która staje się imperatywem moralnym, narzuca bowiem całości ludzkiej psychiki swoją żarliwość i bezkompromisowość. I dlatego — tak blisko jej do spraw ostatecznych (*Dysonans, Ona jest z nami*) i do ostatecznych rozstrzygnięć (*Przypominam*). Stąd — *ów ideał kalso, k'agatos*, zjawiający się w wierszu *Przechodzili koło mnie*.

Taktem, kulturą erotyki Poświatowskiej jest jej kult miłości. Uczucie to stanowi w tej poezji próbę człowieczeństwa. Nie zna wstydu ciała; nie zna fałszu. Jest znów, jak było u Baczyńskiego, jak jest u Herberta — sprawą wierności. Bez głosu Poświatowskiej literatura młodego pokolenia byłaby niepełna. I — chyba — nieprawdziwa.

Jerzy Kwiatkowski

MŁODZI 1959

Rzecz Poetyka — Młodzi. Redaktor — Stanisław Czernik. Łódź 1958. Wydawnictwo Łódzkie; str. 137.

Wydana w serii *Rzecz Poetycka* antologia *Młodzi* nie jest z pewnością zredagowana najlepiej. Zestaw autorów jest dosyć przypadkowy — pominięto kilka ciekawie się zapowiadających indywidualności, znanych z prasy literackiej (interesujące przecież krakowskie środowisko poetyckie nie jest reprezentowane bodaj przez nikogo). Przedstawiono zaś kilku autorów, dla których druk jest w moim mniemaniu jeszcze przedwczesny. Kryteria stosowane przez wydawców były zapewne zbyt łagodne, bo w ciekawie pomyślanej i potrzebnej antologii znalazły się teksty, które ze względu na poziom nie powinny zawędrować z autorskich szuflad na łamy książki. Mimo tych wad trzeba docenić inicjatywę Wydawnictwa Łódzkiego — i zachęcić, by tego rodzaju antologie publikowali łódzcy edytorzy co roku jako swoisty „rocznik poetycki" debiutantów. Byłby on potrzebny poetom nie dysponującym na ogół szerszymi możliwościami publikowania, a także jako przegląd tendencji nurtujących najmłodszą poezję. Tom *Młodzi* — choć daleki od doskonałości — w pewnej mierze spełnia te funkcje. Pozwala na orientację.

Pozbawiony jest rewelacji. Widać, że minął już czas, kiedy po wieloletniej posusze zaczęły się sypać tak niespodziewane wiersze Białoszewskich, Harasymowiczów i Herbertów. Żaden z 31 reprezentowanych w antologii poetów nie przedstawia wierszy, na podstawie których można by powiedzieć: „oto poeta" — tak jak można to było uczynić po lekturze kolumn młodej poezji w rocznikach *Twórczości* i *Życia Literackiego* z roku 1955. Różnica poziomów wewnątrz tomu jest zresztą kolosalna: od dojrzałych utworów Jarosława

Marka Rymkiewicza po wiersze rymopisów, powielających wzory z epoki młodego Kasprowicza.

Nawet tak szara zawartość książki pozwala na poczynienie pewnych ogólniejszych obserwacji. Może na mocy paradoksu te złe na ogół wiersze ujawniają istotne elementy, wchodzące w skład sytuacji młodej poezji roku 1959. Są świadectwem krystalizowania się postaw i konwencji, które tracą po trosze znamiona indywidualnego wynalazku tego czy owego poety, a stają się właściwie dobrem całego pokolenia. Opracowana przez Czernika antologia świadczy dowodnie, że młody poeta piszący w roku bieżącym jest inny od swego kolegi, który debiutował lat temu piętnaście, dziesięć czy nawet pięć — choć wśród zamieszczonych w niej autorów niejeden jest bliższy Asnykowi niż Różewiczowi. Ze względu na ogólnie nikły poziom ujawnia omawiany tu tom w sposób dość wyrazisty niebezpieczeństwa, które stoją przed pokoleniem — niebezpieczeństwa dość różnego rodzaju.

Młody poeta z roku 1959 jest pisarzem prycypialnym — nie bawią go drobiazgi. Usiłuje podejmować sprawy zasadnicze, usiłuje określać swą egzystencję. Stąd tyle wierszy, aspirujących jakby do poetyckich autodefinicji — np.:

Ja
chwiejność umysłu i ciała
gdzie szemrze rzeka bezpamięci
w uformowanych intensywnie liczbach
zżymam się ciągle robotami losu
jak dym wyrzucony z komina

(St. Cieślak: *Rozstanie z sobą*)

Swoją obecność spiętrzam
przez nieustanne rozważanie

Tworzę warianty swoich wyglądów
. . . . . .

Jestem opuchlizną własnej wyobraźni

(J. Skolimowski: *Swoją obecność...*)

Tego typu wierszy można cytować wiele. Wierszy niewątpliwie dążących do zintelektualizowania, może więcej — ujęć filozoficznych. Z pozoru tendencji tej można by tylko przyklasnąć — cóż, kiedy właśnie zebrane w *Młodych* wiersze ukazują złudność owego intelektualizmu. Młodzi autorzy przejmują bowiem obiegowe przeświadczenia, często tylko kawiarnianego wymiaru, i składają na ich podstawie wiersze. Stanowią one swoisty schemat — poeta nie wychodzi od własnych doświadczeń emocjonalnych czy intelektualnych. Przyjmuje to, co niejako wisi w powietrzu — i rymuje. Ten intelektualizm jest nie tylko pozorny, jest także banalny — wiele wierszy różnych autorów robi wrażenie takie, jakby zostały odbite na jednym powielaczu. Oczywiście, jest to niepokojące, ale stanowi charakterystyczny objaw. Świadczy o tym, że najmłodsi poeci to nie tylko zbiór nie mających nic ze sobą wspólnego jednostek, że stanowią oni zespół, który zwykło się nazywać pokoleniem literackim. Bo to jest pewne, że konstytuują je w pierwszym rzędzie nie poeci czołowi, ale grupa tych, którzy nieustannie terminują, którzy twórcze pomysły koryfeuszy rozdrabniają na setki mniej czy bardziej udanych i zgrabnie napisanych wierszy, oswajając z nowymi sposobami pisania publiczność literacką. Powiedziałbym, że twórczość poetów drugorzędnych jest sprawdzianem ogólnego poziomu poezji, jest próbą twórczości tych, którzy rzeczywiście wyznaczają kierunek rozwoju literatury. Nie ulega chyba wątpliwości, że dalszoplanowa poezja z okresu dwudziestolecia stała na wyższym poziomie niż drugorzędna poezja z czasów modernizmu — i że nie było to tylko wynikiem różnic w rozmiarach talentów, jakimi owi poeci tworzący tło literackie dysponowali. Wydaje się, że w chwili obecnej trudno jeszcze sądzić w sposób zdecydowany, jaka jest ta poezja drugorzędna. Pewne już jest jednak, że w przeważającej części krystalizuje się w oparciu o doświadczenia tych poetów, którzy kształtują obraz współczesnej liryki w dość szerokim wachlarzu: od Różewicza po Andrzeja Bursę. Istnienie poezji drugorzędnej wydaje się koniecznością — stąd zarzuty pod jej adresem dążą do tego, by uczynić z niej w miarę solidną literaturę.

Wycofajmy się z tej dygresji, by dalej prezentować zawarte w antologii wiersze. Nie wszyscy poeci rezygnują z własnych doświadczeń na rzecz powszechnie przyjętych schematów. Niektórzy wychodzą od własnej biografii i — zjawisko charakterystyczne — wy-

rażają ją bardzo już sędziwymi środkami poetyckimi. Niektóre z wierszy tego typu są nawet rzetelnie poprawne — jednak całkowicie nie przylegają do współczesnego etapu rozwojowego poezji. Wczesne wiersze Skamandrytów są najdalej wysuniętym w czasie wzorem dla tego typu liryków:

Za chatą polna droga. Czarny wiatrak
stoi —
wiatr go bije po piórach, wyrywa zeń pióra.
A ja jestem jak listek — miota mną
wichura —
jak trawa, której nikt się podeptać nie boi.

Są kwiaty w oknie moim proste jak ja
prosty —
przeglądam się co rana w wazonach
glinianych.
Po co się do rąk moich, do rąk
spracowanych
wbijają jeszcze twarde, kaktusowe osty?!

(T. Stolarz: *O sobie*)

Grupa tych wierszy jest stosunkowo duża w antologii. Wśród niej znajduje się najwięcej banału — banału „staroświeckiego". Nie jest to banał jedyny — tomik *Młodzi* świadczy o tym dowodnie, że ukształtował się już banał „nowoczesny", mający tę przewagę nad pierwszym, że skuteczniej może udawać oryginalność. Mimo wszystko wymaga większego wysiłku twórczego.

Dalsze obserwacje dotyczą tego, co nazwać by można niepanowaniem nad materiałem poetyckim, jakby wymykającym się autorom z rąk. Niejeden z wierszy pozbawiony jest konturów kompozycyjnych, rozpływa się jakby w mnogości słów. Działającą tu dyrektywą artystyczną wydaje się dążenie nie do ujęcia materii poetyckiej w formie możliwie najbardziej zwartej, lecz do opracowania jej jakby rozlewnego, „dokładnego", „pełnego". Stąd wiersze oparte nieraz na ciekawych pomysłach gubią w powodzi słów interesująco powzięte koncepcje — dzieje się tak np. w *Płocie* Józefa Fryziewicza, *Głowie* Sławomira Kryski, *Okrutnej płaszczyźnie* Jerzego Skolimowskiego, *Dla ciężko chorego* Eugeniusza Wachowiaka itd. Poeci dążą do ostatecznego wyeksploatowania dobrego pomysłu, piszą wariacje na jego temat — a w konsekwencji rozdrabniają go i rozcieńczają. Pokażmy zjawisko na przykładzie wiersza Kryski *Głowa*, znajdującego się zresztą w sposób widoczny w orbicie wpływów Andrzeja Bursy. Strofa pierwsza wyraża w sposób dobitny pomysł, określa sytuację liryczną:

Od świtu
składam oferty
na moją głowę
konduktorkom,
szoferom,
a potem

Owo „potem" ciągnie się przez pięć dalszych strof. Materia poetycka rozwija się jakby samoczynnie — autor traci nad nią panowanie, daje się ponosić słowom. Ostatnia strofa — autoironicznie-groteskowa — nie jest w stanie uczynić z wiersza kompozycji o celowej strukturze, mimo że stanowi swego rodzaju pointę:

poradzili mi ogrodnika
wyszedł, pomacał głowę
— owszem,
owszem,
jeśli posadzę
w kapuście,
to wiosną pąki wypuści.

Tego rodzaju zjawisko nie wydaje się tylko świadectwem nieumiejętności technicznych. Mówi ono o czymś bardziej zasadniczym i niewątpliwie bardziej niepokojącym: o braku kultury literackiej. Nie przypisywałbym tego „małym talentom", gdyż ciekawe i nieraz oryginalne pomysły świadczą o wyobraźni poetyckiej, o fantazji. Przez brak kultury literackiej rozumiem swoistą niezdolność budowania wiersza według sposobów podpatrzonych u „mistrzów". Młody poeta często postępuje tak, jakby dostępne mu były tylko znajdujące się aktualnie w obiegu środki poetyckie. Po prostu poza twórczością reprezentowanych w antologii poetów nie widać zaplecza szerszych lektur, nie widać zaplecza tradycji literackiej — mimo że jej właśnie poświecona jest niejedna z wypowiedzi, dołączonych do omawianego tu tomu. Wypowiedzi te są dość przykrym składnikiem *Młodych* — poza jedną — są prymitywne intelektualnie i bardzo „młodzieńcze", niestety nie w najlepszym sensie tego słowa. Autorzy piszą banały, nie świadczące niestety o postawie refleksyjnej względem własnej pracy poetyckiej.

Wyjątkiem jest tylko bardzo ciekawy szkic Jarosława Marka Rymkiewicza *Trzy wiersze*, w którym autor prezentuje nie tylko wysoki poziom pisania o poezji, ale także próbuje zarysować ciekawy program poetycki, głoszący nową odmianę neoklasycyzmu. Dwa wiersze Rymkiewicza zdają się poetycko egzemplifikować jego postulaty teoretyczne. Trudno w tej chwili zastanawiać się, czy formułowany program stanie się początkiem nowego nurtu — na pewno związanego z poetyką Miłosza — w najmłodszej poezji. Ciekawe propozycje Rymkiewicza każą oczekiwać z zainteresowaniem spełnień.

Michał Głowiński

P. S.

Antologia *Młodzi* pozbawiona jest ważnego w tego typu publikacji elementu: mianowicie krótkich notek informacyjnych o autorach. Wydaje się, że wszystkie książki debiutantów powinno się opatrywać takimi notkami — inny ma się bowiem stosunek do „młodego poety", jeśli liczy on sobie lat siedemnaście, inny — jeśli trzydzieści cztery. Każdy z tych przypadków wymaga bowiem osadzenia autora w odmiennym nieco kontekście literackim. Dezinformacja prowadzić może do rażących pomyłek.

M. G.

POWIEŚĆ NIEWYKORZYSTANEJ SZANSY

Michał Choromański: *Szpital Czerwonego Krzyża*. Poznań 1959. Wydawnictwo Poznańskie; str. 391.

Pomysł jest mannowski: odosobniony szpital — rezerwat ludzi chorych, skazanych na siebie, uwolnionych od wszystkich więzów, nakazów, układów świata zdrowego. Wyobcowanych, ale po to, aby w tej nowej, czystej, wypełnionej jedynie nowym psychofizjologicznym doświadczeniem rzeczywistości oddać się refleksji, filozofowaniu, zdobywać świadomość własnej sytuacji i własnego losu. Aby z sanatoryjnej góry w wysokich Alpach wyczarować wielki, pasjonujący dyskurs filozoficzny, etyczny, psychologiczny. Mówię w tej chwili już nie o pomyśle mannowskim, ale o jego konkretnej książce.

U Choromańskiego jest szpital i to odosobniony, daleko na wschodzie, daleko od najbliższego miasteczka, samotny wśród lasów. Chorzy skazani są na samych siebie i na lekarzy, i na odwrót. Wszyscy już dawno uwolnili się od swoich przyzwyczajeń i norm opuszczonego świata zdrowych. (Szpital w większości wypadków mieści ludzi przewlekle bądź chronicznie chorych.) Uzyskali potrzebny dystans, przeszli przez swoje specyficzne doświadczenie, ale, niestety, spodziewanego wielkiego dyskursu intelektualnego nie będzie. Dlaczego?

„Nie wspomniał o tym między innymi dlatego, że posiadł wręcz epicką zdolność bagatelizowania zdarzeń wyjątkowych. Błahe i ważne rzeczy traktował na równi, z bezduszną powagą, pod którą nie mieściło się nic prócz grzesznej obojętności." Te zdania odnoszą się do jednego z bohaterów powieści, ale przede wszystkim świetnie charakteryzują Choromańskiego jako jej autora. Stanowią od razu odpowiedź na postawione wyżej pytanie. I jeszcze klarownie tłumaczą nam formę tej powieści, jej tradycyjną konstrukcję, całą jej tradycyjną fakturę, zaskakującą szczególnie z perspektywy eksperymentu formalnego *Zazdrości i medycyny*, książki pisanej na 6 lat przed *Szpitalem Czerwonego Krzyża*. „Epicka zdolność", o której mówi się w tej cytacie, stłumiła, uspokoiła awangardowość pomysłów, ryzyko eksperymentu. Z *Zazdrości i medycyny* pozostało tutaj jeszcze trochę przewrotności i prowokacji. „Epicka zdolność" — nie znaczy już to samo, co w klasycznej terminologii; jest skorygowana. Z postawy zeszłowiecznego epika pozostał tu monarchiczny — więcej — boski gest wszechwiedzy i wszechwładzy nad światem swoich bohaterów. Ale ta wszechwiedza i prze-

waga pisarza nad jego bohaterami służy ośmieszaniu tych ostatnich, ma ukazywać groteskowość zarówno ich sytuacji, jak i ich samych. Epicki dystans służy nie do obiektywnego notowania faktów, odtwarzania pewnych światów, ale do ich złośliwej deformacji, wychwytywania w nich tego, co jest groteską i to groteską tragikomiczną.

Swobodne poruszanie się w akcji powieści, uzyskane jeszcze w *Zazdrości*, bez względu na chronologię czasu fizykalnego i jego żelazny porządek, pozwala i w *Szpitalu* antycypować akcję. „Cała bieda — ciągnął chirurg — że nie znamy własnego organizmu. Tonąc w mroku mówiący to lekarz naczelny nie przypuszczał nawet, do jakiego stopnia bliski był prawdy. Już wkrótce, bo zaledwie za parę miesięcy miał się o tym przekonać. Lecz co za niemiła ironia. Teraz był jeszcze spokojny, pogodny, jak każdy człowiek w przededniu niespodziewanego nieszczęścia." I rzeczywiście wspomniany chirurg umrze na raka. Powiadomiony już o tym przez powyższą cytatę, czytelnik ze współczuciem, ale i z wyższością wtajemniczenia, będzie śledził dalsze losy nic nie przeczuwającego, j e s z c z e zdrowego chirurga. Więcej, umiejętnie zasugerowany przez jeszcze bardziej wszechwiedzącego autora, zdobędzie przekonanie o ponurym bezsensie ludzkiego losu, tępej złośliwości jego biologicznego organizmu, groteskowości jego bezbronnych i zawsze nieświadomych poczynań. Dlatego większość bohaterów powieści działa na zasadzie kukiełek. Trudno inaczej wytłumaczyć następującą cytatę: „Miał jednakże przed sobą w chwili obecnej dwóch pacjentów: jednego, którego leczyć już nie było co, i tym pacjentem był on sam, drugiego, któremu najprawdopodobniej potrafi jeszcze dopomóc. Więc wybór był łatwy. Przekreślił Boga i skurcz w ramieniu i, pojękując, lewą ręką podpierał delikwenta, póki go przenoszono na nosze...". Zdumiewająca jest ta łatwość decyzji Briega, łatwość wyboru. Jest całkowicie odpsychologizowana i odmetafizyczniona, jest mechanistyczna, kukiełkowa.

Ale są sytuacje egzystencjalne, a więc potem powieściowe, których momenty psychologiczne czy metafizyczne liczą się najbardziej, są rzeczywistym dramatem, są niepokojącą, wyjątkową szansą literacką. Stokroć większą od najbardziej wyrafinowanej groteski. Wspomniana powyżej sytuacja z powieści Choromańskiego była taką szansą. Tylko trzeba by było dla jej wykorzystania zrezygnować z zamierzonej konstrukcji bohatera, z jego konsekwencji, z konsekwencji pewnej wiedzy o życiu i pewnej filozofii życia. I trzeba było u m i e ć ją wykorzystać. Otóż słusznie zauważył kiedyś w recenzji *Zazdrości i medycyny* Janusz Sławiński, że w interesujący kształt formalny wkłada Choromański banały psychologiczne i filozoficzne. Że tu kończy się jego odkrywczość. I być może odejście od analiz psychologicznych (choćby nawet tak wycinkowych, wyspecjalizowanych, jak w *Zazdrości*) jest w tej książce pisanej w sześć lat później podyktowane świadomością własnych ograniczeń artystycznych. A jeśli nawet autor analiz takich tu dokonuje, czyni to zawsze z ironicznym dystansem, nie bierze za nie pełnej odpowiedzialności. Ale czy też konsekwentnie do końca? Czy konsekwentnie do końca stwarza swój świat kukieł, marionetek, groteskowych mechanizmów? Otóż nie. Niestety nie. Wówczas powieść, spłycając wiele problemów, zaprzepaszczając wiele płodnych, wieloaspektowych artystycznie i intelektualnie momentów, byłaby jednak zamkniętą, zwartą propozycją stylistyczną czy filozoficzną. Zależnie od skali uogólnień i rafinady intelektualnej propozycją ułatwioną, naiwną bądź odkrywczą, zobowiązującą. Ale Choromański jeszcze w trakcie powieści uświadomił sobie chyba, że jego propozycji brak owej dociekliwości i odpowiedzialności, że jest to propozycja u ł a t w i o n a. Bo dostrzeżenie w sytuacjach upośledzonych, chorobowych, wynaturzonych — elementów groteski, nie jest wcale aktem heroicznym, odkrywczym i imponującym. Najwięksi dwudziestowieczni ironiści, demaskatorzy świata i siebie samych ukazywali groteskową podszewkę człowieka w chwilach dla niego chlubnych, zwycięskich, kiedy czuł się najbardziej pewny siebie. Zabieg Choromańskiego wydaje się nieuczciwy i nieambitny. Jak gdyby był tego świadom, autor szuka dla swej powieści dalszych uzasadnień, stara się w tę rozwlekłą, oporną narrację wpisać koniecznie jakieś głębsze sensy filozoficzne. Oto ich naczelny motyw: „Po co wszelkie przejawy dobroci, skoro największa dobroć człowieka — to samotność i ucieczka od do-

broczyńców. Zdawać się mogło, że dobroć jest czymś, czego nie należy ujawniać". I wiele stron dalej: „Zrozumiał ciężar współczucia bliźnich, prawdziwe cierpienie wymaga samotności". Widać z tych dwu cytat, że te sądy, pojęcia etyczne i filozoficzne dotyczą świata chorych, o nich mówią przede wszystkim. Ale stanowią one ponadto jakieś *credo* filozoficzne Choromańskiego, a przynajmniej całej jego książki. Bo to nie tylko ci porażeni cierpieniem, ale wszyscy bohaterowie szpitala toną w samotności, są odrębnymi, zamkniętymi, drobniutkimi atomami. I w tej ich wspólnej egzystencjalnej sytuacji ujawnia się najwyraziściej konflikt między dwoma światami: zdrowym i chorym, odmienna hierarchia wartości, przesunięte perspektywy. Dla chorych samotność jest ukojeniem cierpienia, cisza i separacja to środek uśmierzający. Dla zdrowych samotność jest samym cierpieniem, czynnikiem demobilizującym.

Ten cały zamysł i jego rozróżnienia, postawiony tu psychologiczny i ontologiczny temat samotności, interesujący w zamyśle, zostaje sprymitywizowany w rozwiązaniu, w realizacji, nie udowodniony powieściowo, artystycznie. Jest to nowa zaprzepaszczona szansa.

To przeprowadzenie pewnej grupy ludzi przez wspólne doświadczenie, wydobycie ich z otoczenia, normalnego świata, jego norm, praw, związków przyczynowo-skutkowych, wytworzenie jak gdyby nowej rzeczywistości intelektualnej — jest jak najbardziej sprzyjającą okolicznością do intensywnego filozofowania. Ale ten nowostworzony świat wymaga pewnych drążących psychologicznych analiz i metafizycznych uzasadnień. Przepiszmy jeszcze jedną interesującą cytatę, która — niestety — potem nie znajduje rozwinięcia w powieści. „Młodego doktora Chwacińskiego nie ciekawiło dotąd zagadnienie względności czasu. Obecnie pomyślał, że pojęcie wieczności jest ściśle związane z częstotliwością pulsu. Zdrowy człowiek nie mógłby być dobrym filozofem ani fizykiem po prostu dlatego, że jest ograniczony własnym zdrowiem, zdeterminowany ubóstwem swych odczuwań. Dla normalnego człowieka pojęcie wieczności jest czymś transcedentalnym, fizycznie niedostępnym, chociażby dlatego, że ów człowiek nie potrafi zdać sobie sprawy z faktu, że czas może się dowolnie skracać i wydłużać..."

Ta nowa sytuacja bohaterów, ten nowy świat, oczyszczony z przypadków, zdarzeń, całej faktury społeczno-obyczajowej realnego świata, jego konwencji, ograniczeń, ten nagle uzyskany dystans — są olbrzymią szansą dyskursu filozoficznego i jego uogólnień. Ta wyjątkowa sytuacja psychofizjologiczna, stawiająca człowieka między biologiczną, chorobową, jakże konkretnie odczuwaną egzystencją a czystym absolutem, nachylająca go ku niemu coraz bardziej, czyni człowieka szczególnie uwrażliwionym na ontologię i metafizykę, dopinguje do intensywniejszego filozofowania i jak najbardziej stoickiego rozrachunku ze światem pozostawianym, do chlubnego intelektualnie odejścia.

Abstrahując od tego wszystkiego można było przynajmniej skonstruowaną sytuację powieściową wykorzystać dla wyrażenia jakiejś filozofii choroby, bólu, cierpienia. I miała ona temu celowi przede wszystkim służyć. Choromański, autor dwóch przedwojennych powieści o tym temacie, uważał, że jest do tej problematyki beletrystą najlepiej przygotowany. Że najlepiej rozumie wzajemne przenikanie się medycyny, natury i filozofii. Niestety, w omawianej książce większość prac z kręgu tej swoistej osmozy grzeszy dużą banalnością. Otóż dowiadujemy się, że pewne stany kalectwa odmieniają psychikę ludzką i wytwarzają kompleksy (podporucznik Łasicz, przystojny lowelas i świetny narciarz, po amputacji nogi), że tylko nieustający i wręcz irracjonalny optymizm, heroizm i cierpliwość, specjalna organizacja i dyscyplina psychiczna pozwalają przetrwać najbardziej beznadziejny i przewlekły stan chorobowy (cierpiący na gruźlicę kości Reinhold) i że cierpienie uszlachetnia i solidaryzuje ludzi, najbardziej poza chorobą sobie obcych (motyw mecenasa Wiklińskiego).

Ale trzeba przyznać, iż w świetle wybranych bohaterów powieści, ich kręgu, ich genezy psychosocjalnej, ich inteligencji i wrażliwości, nawet osiągnięcie tych banalnych prawd nie było rzeczą prostą. Aby choroba stała się drążącym, niepokojącym problemem psychicznym, intelektualnym, metafizycznym, wymagana jest odpowiednia kultura i wrażliwość, a nawet nadwrażliwość człowieka. Skończona świadomość własnej sytuacji, z wszystkimi jej konsekwen-

cjami, z całą jej ostrością. Wybór bohaterów powinien być w takiej powieści tendencyjny, może nawet odrealniony, zakładający pewne umowności, powinni to być równorzędni partnerzy intelektualni. Ale nigdy, jak u Choromańskiego, fryzjerzy, kolejarze, organiści, wojskowi czy nawet niezbyt inteligentni studenci i poczciwi, grubi lekarze. Dla nich choroba jest tylko fizycznym, drażniącym bólem, który trzeba uśmierzyć bądź się z nim pogodzić, albo wygodnymi wakacjami, które należy chytrze przedłużać. Przenoszą tu wszystkie swoje chytrości i całą zapobiegliwość z tamtego świata. Są bardzo jednowymiarowi. I oto przez filtr ich świadomości Choromański najczęściej przepuszcza swoje filozoficzne refleksje i rozważania.

Ale tylko tak dobierając bohaterów, z natury jednowymiarowych, nieskomplikowanych, naiwnych, mógł stworzyć czy potwierdzić swą „ontologię" człowieka i filozofię życia. Mógł pokazać groteskowy mechanizm tego świata i zachować wobec wszystkiego wyniosły, ironiczny dystans. Tylko, niestety, bardziej *a priori* niż *a posteriori*. Nie mierząc się z pewnym maksymalizmem życiowym, intelektualnym i filozoficznym, lecz poprzestając na ich wydaniu najpopularniejszym i prymitywnym.

Ten światopogląd, zaświadczony techniką powieści, uniemożliwił więc zarówno dyskurs filozoficzny natury ogólniejszej, jak i odkrywczą filozofię choroby, cierpienia. Uniemożliwił analizę psychologiczną i uzasadnienia metafizyczne. Oto błędne koło powieści. Pozostał z niej swoistý, drażniący, sugestywny klimat, znany już z *Zazdrości i medycyny:* zapach i ostre, zimne lśnienie operacyjnej sali, zapach sterylizowanej gazy, poprzez którą ogląda się cały świat („ziemia była pokryta watą, drzewa spowite sterylizowaną gazą, podwórko było czyste niczym sala operacyjna, z białego pułapu świeciło scyalityczne słońce"). Pozostał świetny pomysł, o którym mógłby Choromański powiedzieć, że jest jego własny, a nie mannowski, choćby ze względu na konsekwencję problematyki i specyfikę zainteresowań Polaka. Ale niezależnie od tego, czy pomysł jest mannowski, czy też nie, napisanie drugiej (nawet drugiej) *Czarodziejskiej góry* jest na pewno rzeczą trudną lub wręcz niemożliwą.

Ryszard Zengel

FIAT VOLUNTAS

Stanisław Mackiewicz: *Zielone oczy*. Warszawa 1958. „Pax"; str. 356.

Politycy oraz wyżsi wojskowi mają zwyczaj z pogardą traktować mniemania „zamazanych inteligentów". Może gdzieś na świecie dzieje się pod tym względem nieco inaczej, ale w Polsce wspomniana tradycja jest stara i okrzepła.

Kilkadziesiąt lat temu napisał Stanisław Koźmian: „O ile w dziejach liczne są przykłady usiłowań państw powstania na nowo, o tyle mało w nich zapisanych wypadków powodzenia tychże. Nigdy zaś żadne upadłe państwo nie powstało w tym samym kształcie i w tych samych rozmiarach, które miało, kiedy przestało istnieć".

Stanisław Koźmian był dyrektorem krakowskiego teatru, co oczywiście całkowicie dyskwalifikuje go jako myśliciela politycznego. Ministrom i generałom nawet nie wypada pytać takiego typa o zdanie. Zresztą każdy szanujący się polityk winien być przekonany, że prawdziwa historia ludzkości zaczyna się właściwie od niego.

Polacy przebywający na emigracji mogli w roku 1940 przeczytać tezę amerykańskiego publicysty, Jamesa Burnhama, że szaleństwem jest oczekiwać zmartwychwstania takiej Europy, jaka istniała w roku 1939.

Najistotniejsza przyczyna tragicznej klęski polskich rządów emigracyjnych polegała na zlekceważeniu prawdy, ściśle zdefiniowanej przez Koźmiana. Pasponujące pytanie, ilu naszych mę-

żów stanu fatygowało się czytać *Rzecz o roku 1863?* Za nieuctwo się płaci. Nieraz okropnie.

„Nasze życie publiczne to ciągła premia za całkowite poczucie nieodpowiedzialności" — napisał Stanisław Mackiewicz w książce, do której omawiania przystępuję.

Nazywa się *Zielone oczy* i została wydana przez „Pax" w maju tego roku. Sądzę, że zyskaliśmy utwór, który wywoła burzę gniewu i na stałe wejdzie do literatury. Autor pokazał dzieje rządów emigracyjnych ze stanowiska jak najbardziej osobistego. Splótł razem elementy pamiętnika, relacji i analizy, z pasją i wielką odwagą kreślił sylwetki. Zaludnił książkę żywymi osobami i ta okoliczność czyni z *Zielonych oczu* dzieło sztuki. Poszczególne rozdziały to Sikorski, de Gaulle, Wieniawa, Pétain, Churchill... W innych tłoczą się figury pomniejsze, rysowane paru pociągnięciami pióra, zawsze wyraziście.

Oburzenia na Mackiewicza nie zabraknie: „W Paryżu pojawił się jeden z wiceprezesów Stronnictwa Ludowego, p. Stanisław Mikołajczyk. Był to facet ponury i podejrzliwy, o małych świńskich oczkach, wyglądało, że ciągle dbał, aby mu ktoś nie ubliżył. Poza tym wyczuwało się w nim człowieka wyjątkowo ambitnego, żądnego władzy i o ileż twardszego niż nasz wódz na cywilnych i wojskowych frontach, generał Sikorski".

Zgorszenia też możemy być pewni: „W ocenie polityki Pétaina różnię się z krajowym społeczeństwem... We Francji było sporo kolaboracjonistów, ale właśnie Pétain nim nie był...

12 maja tego roku paryski *Le Monde* przyniósł obszerną wiadomość o drugim tomie obliczonego na siedem części wydawnictwa, które ukazuje się w Waszyngtonie. Departament Stanu ogłasza dokumenty dotyczące stosunków Ameryki z Vichy. Gazeta dała artykułowi znamienny tytuł: *Les Etats-Unis feront rapidement la paix avec les Nazis — estimait l'amiral Darlan en 1941.* W Vichy, jak się okazuje, panowało przekonanie, że Stany nie są bynajmniej szczere i po spodziewanej klęsce Anglii natychmiast dogadają się z Hitlerem.

Mackiewiczowi należy się szczera wdzięczność za to, że zaryzykował i nie bał się głosić poglądów niepopularnych, a nawet uznawanych za podejrzane. Nie tylko o Pétaina chodzi. Ważny jest ton Mackiewiczowskich wypowiedzi o Piłsudskim, Wieniawie, Andersie, jakże różnych od sztampy. Może znakomitemu pisarzowi uda się rozpowszechnić przekonanie, że zbawienie kraju wcale nie zależy od jednolitości poglądów na umarłą przeszłość.

W miarę możności starałem się pilnie śledzić wszystko, co Mackiewicz pisywał na emigracji. Wśród artykułów, broszur i książek nie zabrakło również rzeczy o generale Wieniawie-Długoszowskim, którego Cat miłuje. W *Zielonych oczach* jest cały rozdział o nim: *Polskie-arcypolskie.* Ale w zeszłym roku Instytut Spraw Międzynarodowych wydał na powielaczu ambasadorskie raporty generała. I oto w opiniach Mackiewicza pojawia się nowy ton — uznanie, że te raporty całkowicie dyskwalifikują Wieniawę jako dyplomatę.

Słynny z namiętności, stale podejrzany o subiektywizm, autor umie zatem korygować swe poglądy, uznaje przewagę faktów. Zapamiętajmy to sobie. Ta okoliczność pozwoli bowiem lepiej zrozumieć zarówno książkę, jak i linię postępowania człowieka, który był czynnym politykiem, premierem emigracyjnego rządu.

Są w *Zielonych oczach* oszczędne w słowa wyznania, do których odnoszę się z najwyższym szacunkiem i — niech mi będzie wolno to wyrzec — nie ze współczuciem, lecz z głębokim popoczuciem wspólnoty: „...głosiłem rzeczy, od których nie mogłem serca i wierności oderwać, ale które już były przesądzone przez sam bieg wypadków... *Fiat voluntas...*".

Autor wytrzymał ciężar zadania aż do końca. Nie uległ zniechęceniu i równomiernie przedstawił cały tok wypadków, których był świadkiem i uczestnikiem. A jednak poczynając od roku 1945 coś się zmienia, pomimo tak dramatycznych scen, jak śmierć Tadeusza Tomaszewskiego, w narrację wlewa się szarzyzna. Ale to nie pisarz zawiódł. To temat stał się jałowy, nieważki.

W emigracyjnej działalności Stanisława Mackiewicza po wojnie trzy rzeczy zasługują na wdzięczne zapamiętanie. Zniweczenie afery „Bergu", czyli podłej praktyki zarabiania przez partie pieniędzy na szpiegowskich usługach dla Amerykanów. Nadanie

na Zachodzie rozgłosu sprawie skarbów wawelskich. I powrót do kraju.

Podział treści, o którym przed chwilą była mowa, odnosi się do wrażeń czytelnika. Bo jeśli chodzi o sam temat, zaproponowałbym inną periodyzację. Moim zdaniem dzieje rządów emigracyjnych rozpadają się na dwa wyraźne okresy. Pierwszy trwał od października 1939 do grudnia 1941 roku, drugi — to cała reszta. Różnica pomiędzy nimi polega na tym, że w pierwszym rząd emigracyjny mógł wywrzeć pewien wpływ na powojenną przyszłość Polski, w drugiej możności tej nie miał, bo sam ją poprzednio utracił. Pozostało mu jedno, nie wykonane — ostrzegać o niebezpieczeństwach, chronić kraj przed stratami. Robić mniej więcej to, co po wojnie uczynił Stanisław Mackiewicz, walcząc z „Bergiem".

Oczywista rzecz, że najważniejszy etap tego pierwszego okresu to krótki przeciąg czasu pomiędzy schyłkiem czerwca a początkiem grudnia 1941 roku.

Jak wiadomo, w pierwszych dniach tego miesiąca generał Sikorski bawił w Moskwie i uchylił propozycję Stalina, który chciał konkretnie wyznaczyć granice. Wkrótce po wyjeździe Polaka, jeszcze w grudniu, przybył na Kreml brytyjski minister, Eden. 3 stycznia 1942 roku ambasador Stanisław Kot* depeszował do Sikorskiego o swej rozmowie z dyplomatycznym przedstawicielem Anglii:

„Cripps, będąc z pożegnaniem, podniósł, że Stalin ma poczucie wielkiego sukcesu, wierzy w całkowite rozbicie Niemiec i ponad wszystko zależy mu na zapewnieniu Rosji już teraz bezpiecznych strategicznie granic oraz gwarantujących unicestwienie ruchu ukraińskiego. Cripps potwierdził, że przyznali w Moskwie Rosji wszystkie państwa bałtyckie i granicę rumuńską z 1940 roku, to jest z Besarabią i częścią Bukowiny. Co do Polski, według jego przypuszczenia Rosja liczy na linię Curzona, gotowa za to przyznać Polsce jak najwięcej z rozbitych Niemiec. Jest zdania, że dla sprawy granicy od strony Litwy i Lwowa winniśmy szybko znaleźć poparcie Ameryki, gdyż Rosja będzie parła do rychłego załatwienia..." (ostatnie z cytowanych zdań zawiera wyraźne uchylenie się Anglii od popierania sprawy, typowe umycie rąk).

Nie mogąc załatwić kwestii granic z Sikorskim, załatwił ją Stalin z Edenem. Tak jest, załatwił. Bo skoro Litwa ma wchodzić w skład Związku Radzieckiego, to w jaki sposób Wilno może należeć do Polski? W jaki ziemski sposób? Kowno znajduje się na zachód od Wilna.

Stanisław Kot wkrótce otrzymał odpowiedź generała Sikorskiego, wysłaną z Waszyngtonu:

„...Nastąpiło tu całkowite uzgodnienie z Rooseveltem i Rządem... Nie pozwolą tu na żadne dyskusje terytorialne. Wzrost autorytetu Polski w USA, co się odbije w Moskwie..."

Powyższa depesza pochodzi z 31 marca 1942 roku. Tymczasem nieco wcześniej — 27 grudnia, w niedzielę — podczas przygotowań do podpisania deklaracji Narodów Zjednoczonych, Roosevelt osobiście powiedział ambasadorom Polski, Belgii, Czechosłowacji, Jugosławii, Grecji, Luksemburga, Norwegii i Islandii, że są sprzymierzeńcami Wielkiej Brytanii. Stanów Zjednoczonych nie wymienił.*

Odmawiając bezpośrednich i konkretnych rozmów z Sowietami, rząd emigracyjny sam wyeliminował się z gry, przekazując swe, niewielkie zresztą, atuty Anglosasom, którzy też wyzyskali je wyłącznie dla własnego dobra. Zerwanie stosunków dyplomatycznych było już tylko kwestią czasu. Nie widać powodów, dla których Stalin miałby ubiegać się o takiego kontrahenta, który mniej znaczy, lecz więcej żąda.

Oto dlaczego grudzień 1941 roku uważam za datę graniczną. Raz utracona sposobność nie miała już powrócić.

Stanisław Mackiewicz podaje wiadomości o warunkach przedłożonych Sikorskiemu w dniu 4 lipca 1941 roku. Zakomunikował je Eden. Rosja proponowała utworzenie na swoim terytorium Komitetów Narodowych — polskiego, czechosłowackiego i jugosłowiańskiego — którym przekazałaby jeńców, dostarczyła sprzętu i pieniędzy dla utworzenia własnych armii. Rząd rosyjski deklarował: „W odniesieniu do Polski polityka radziecka

* Stanisław Kot: *Listy z Rosji do generała Sikorskiego.* Londyn 1955; str. 241.

* Jan Ciechanowski. *La rançon de la victoire.* Paryż 1947; str. 118.

sprzyja ustanowieniu niepodległego państwa polskiego. Granice tego państwa miałyby odpowiadać etnograficznej Polsce. Z tego mogłoby wyniknąć, że niektóre miasta i okręgi okupowane przez Rosję w 1939 roku zostałyby Polsce zwrócone. Forma wewnętrznego ustroju, który by miał być ustanowiony w Polsce, jest z punktu widzenia rządu radzieckiego sprawą samych Polaków".

To — podkreślam — zaproponowano w dniu 4 lipca, w dwa tygodnie po napadzie Hitlera na ZSRR. Nie ulega najmniejszej kwestii, że im wcześniej nastąpiłby konkretny układ, tym dla Polski byłoby lepiej. W kilka miesięcy później gabinet londyński w ogóle utracił możność zawarcia takiego układu. Przestał się poważnie liczyć. Przydałaby mu się — ale wcześniej — chwila zadumy nad cytowanym na początku twierdzeniem Stanisława Koźmiana. Inteligenckie opinie nie zawsze bywają „do śmichu".

Są jednak w *Zielonych oczach* rzeczy dla mnie niezrozumiałe. Anglia — powiada Mackiewicz — liczyła na taki obrót sprawy, jak podczas pierwszej wojny światowej: Niemcy biją Rosję, a potem same ulegają mocarstwom zachodnim. „Ale — czytamy — staje się rzecz nadzwyczajna i nieprzewidziana. Hitler, jak niegdyś Napoleon, załamuje się w Rosji w lipcu, sierpniu i wrześniu 1943 roku."

Oto sprawa, nad którą warto się zastanowić: dlaczego zwykły przechodzień z ulicy potrafi nieraz lepiej wnioskować o przyszłości niż mężowie stanu? Pewnie dlatego, że rozumuje wprost, czyli biorąc pod uwagę zjawiska główne, a nie znając tuzina opinii rozmaitych powag.

Łatwo *ex post* ogłaszać się za proroka, ale jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mogę powołać się na jednego z obecnych krakowskich posłów na Sejm. On może zaświadczyć, co mówiłem latem 1941 roku. Byłem mianowicie tego zdania, że jeśli Niemcy nie pobiją bolszewików do zimy, to nie pobiją ich nigdy. I przewidywałem właśnie to drugie. Zwrotnym punktem wojny na Wschodzie był grudzień 1941 roku — nie Stalingrad zatem, lecz Moskwa. Takie było i jest moje głębokie przekonanie, oparte na obserwacji faktów.

Jeżeli Anglicy naprawdę dopiero latem 1943 roku pojęli, co się dzieje, to możemy sobie z ulgą pogratulować. Rząd Jego Brytyjskiej Mości nie okazał się mądrzejszy od polskiego i to w najważniejszej sprawie, jaka w ogóle istniała.

Stanisław Mackiewicz pisze o rozmaitych przewidywaniach, wobec czego wolno mi może wspomnieć jeszcze jeden własny prognostyk, raczej trafny. Liniowe oddziały dywizji, w której służyłem, dopiero 19 września rano dowiedziały się o wkroczeniu Armii Czerwonej (17-go biliśmy się do nocy, 18-go staliśmy w leśnych wioskach). Tego samego dnia doszedłem do przekonania, że nie ma takiej siły na świecie, która by mogła (i chciała) przywrócić Polsce jej dotychczasowe granice wschodnie, Francuzi zaś i Anglicy pierwsi łatwo pogodzą się z faktem dokonanym. Zwierzyłem się dowódcy kompanii, uczciwemu i odważnemu żołnierzowi, który natychmiast nazwał moje wywody bzdurą. „To są nasi sprzymierzeńcy" — powiedział, mając oczywiście na myśli Zachód.

26 października 1939 roku — opowiada Mackiewicz — angielski minister spraw zagranicznych, lord Halifax, złożył w Izbie Gmin deklarację, równającą się zgodzie na czyn Kremla. „Jest to wtedy zachęta dla Rosjan, aby przystąpili do wojny z Hitlerem. Deklaracja ta chce Rosji powiedzieć: zrobimy dla was wszystko, czego tylko żądacie."

Nie znajdujemy, niestety, w książce wiadomości, czy rząd Sikorskiego oraz Rada Narodowa, do której autor należał, rozważyły to oświadczenie i do jakich doszły wniosków. Skoro wypowiedź ministra była przeznaczona dla uszu rosyjskich, to musiała chyba dotrzeć również do polskich. Wiadomo skądinąd, że Winston Churchill już u schyłku września skrzętnie rachował, ile dywizji muszą Niemcy pozostawić na wschodzie dla pilnowania linii demarkacyjnej, oddzielającej ich od Rosjan. Jak się wydaje, rząd emigracyjny bardzo wcześnie rozporządzał danymi, pozwalającymi przewidzieć późniejsze zachowanie się Anglosasów. Zaskoczenie i rozczarowanie, które stało się jego udziałem w roku 1943, jest w gruncie rzeczy niezrozumiałe. Dziwić się mógł tylko trzymany w nieświadomości kraj.

Rząd emigracyjny to Władysław Sikorski. Mackiewicz nigdy nie był jego wielbicielem, ale cierpkiego tonu

Zielonych oczu nie można nawet porównać z piorunami, jakie miotał na emigracji.

Zająwszy Pragę, zagarnęli Niemcy dokumenty tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych, które częściowo ogłosili w roku 1941, w tomie *Europäische Politik 1933—1938 im Spiegel der Prager Akten.* Na 63 stronie znajdujemy raport czeskiego posła w Warszawie, Slawika, napisany 2 lipca 1936 roku, a poświęcony rozmowie z Sikorskim. Była wtedy aktualna sprawa francuskiej pożyczki dla Polski, Rydz-Śmigły otrzymał zaproszenie do Paryża.

— Proszę powiedzieć Noëlowi — mówił Sikorski do Slawika — że jeśli Beck względnie Rydz-Śmigły dostaną od Francji pieniądze, to ja zerwę z nią wszelkie stosunki, ponieważ zwątpię o jej zdrowym rozsądku. Bez poświęcenia głowy Becka, który zza kulis dyryguje Śmigłym i trzyma we władzy prezydenta, reżim nie powinien otrzymać żadnych pieniędzy ani poparcia. Polski nie uszczęśliwią ludzie pokroju Sławoja-Składkowskiego.

Stanisław Mackiewicz nie ma więc racji, kiedy powiada, że Sikorski doskonale mógł był zostać przed wojną ambasadorem we Francji i „godziłby się chętnie na pracę na różnych posterunkach". Jakeśmy widzieli, animozje były głębokie. Wyrażały się też czasem w sposób niezbyt dorzeczny, bo reżim utrzymałby się doskonale i bez francuskich pieniędzy, które poszły na COP.

Kwestia różnic między Sikorskim a sanacją zasługuje na szczegółowe zbadanie — byle tylko bez deklamacji i patosu. Nasz Instytut Spraw Międzynarodowych wydał w tym roku dziewiąty z kolei powielony zeszyt pod tytułem *Opinia polska wobec Monachium w świetle prasy.* Opracowała go mgr Barbara Ratyńska. Ogłoszone *in extenso* artykuły czołowych przedwojennych publicystów to lektura wręcz rewelacyjna. Przekonywają, nie najzupełniej fałszywych opinii utrwaliło się podczas wojny i po niej.

Zaraz na drugim miejscu znajdujemy artykuł Władysława Sikorskiego *W sąsiedztwie wielkich Niemiec oraz Rosji,* ogłoszony w *Kurierze Warszawskim* dnia 21 sierpnia 1938 roku. Wyjmuję stamtąd fragment najistotniejszy, bo dotyczący wskazań na przyszłość. Zaznaczam, że Sikorski bierze pod uwagę możliwość chwilowego porozumienia Niemiec z ZSRR. A oto cytat:

„W warunkach obecnych i przy układaniu planów wojennych moglibyśmy wziąć w rachubę co najwyżej porozumienie ograniczone z Rosją. Zagwarantować by nam ono powinno neutralność tego mocarstwa w dobie konfliktu zbrojnego. Lecz nawet neutralność taka wymagałaby zabezpieczenia granic naszych z Rosją w przyszłej wojnie. I w tym wypadku przeto musielibyśmy uwzględnić w swych planach wojennych front drugi, z tym, że przewidywania te i oparte na nich zamiary zmienić można łatwo, gdyby rzeczywistość wykazała, że rachuby nasze są zbyt pesymistyczne.

W wyniku tych rozważań alternatywa, której mocą Polska liczy się z dwoma przeciwnikami, co wynika z jej położenia geograficznego, jest wytyczną najtrafniejszą dla polskich przygotowań wojennych." Podpisano: „Władysław Sikorski".

Generałowi przyszło osobiście sprawdzić, jak „łatwo" wyplątać się z beznajdziejnego położenia.

Dla mnie w tych myślach mieści się zalążek całej polityki rządów emigracyjnych i losów Armii Krajowej. Jeśli generał o dużych aspiracjach politycznych, intelektualista, pisarz, godzi się na perspektywę dwóch frontów, uważa ją za koncepcję najtrafniejszą, to kraju nic oprócz katastrofy spotkać nie może. Polityka prawdziwa powinna była przede wszystkim dążyć do tego, by mieć tylko jednego wroga.

Nie chciałbym prowokować i gniewać przyjaciół generała, ale muszę pisać szczerze. Moim zdaniem Sikorski w sprawach najistotniejszych zalecał to... co Beck w 1939 roku wykonał. Walkę z Niemcami rozpoczęliśmy mając sławetne gwarancje Zachodu, któremu Sikorski tak bezgranicznie ufał, oraz „porozumienie ograniczone" z Rosją w postaci paktu sprzed kilku lat. W maju 1939 roku Beck czule rozmawiał z Potiemkinem, ale nadal utrzymywał ów dystans, który Sikorski uznał za niezbędny i podkreślił słowem „co najwyżej". — Emigracyjne rządy wyklinały sanację, wszczynały dochodzenia, zapowiadały procesy i nadal wiernie szły po linii wytyczonej przez Becka. W drugiej połowie 1941 roku był najwyższy czas i sposobność odstąpić od niej. Zwłaszcza iż rzeczy,

które przedtem należało odgadywać, teraz leżały jak na dłoni: we wrześniu nie otrzymaliśmy żadnej pomocy, Halifax otwarcie powiedział, że Anglia palcem nie kiwnie w sprawie dawnych granic na wschodzie. Jeśli chodzi o politykę międzynarodową, rządy emigracyjne to też sanacja, ale w gorszym wydaniu.

My, szeregowcy kraju, spodziewaliśmy się czego innego, emigracyjnym gabinetom ufaliśmy o wiele bardziej niż przedwojennemu. Zawiedliśmy się. Trudno. Nie zamierzam złorzeczyć.

Główne postacie polskiego dramatu drugiej wojny światowej to ludzie urodzeni w XIX stuleciu. Dusze ich ukształtowała nasza zawiła i piękna historia. W 1918 roku wszyscy oni przykładali własnych rąk do odbudowy niepodległego nareszcie państwa. W dwadzieścia lat później stanęli wobec konieczności zamknięcia rachunków, rozpoczętych w XIV wieku. To nie jest łatwo odpisać na straty spadek historii trwającej pół tysiąclecia. Więcej powiem — w całych dziejach nie widać przykładu zadań równie trudnych dla serc i umysłów.

Nie uciekam w sferę romantyki, odwrotnie — trzymam się konkretu. Obojętne z jakiej dzielnicy pochodził dany polityk. Wielkie dzieła poezji kształciły uczucia i sposób myślenia wszystkich. Takiego węzła nie zna żaden kraj. Historia kazała go rozsupłać pokoleniu, któremu się ta konieczność nigdy nie śniła, które poprzednio starało się ten węzeł jeszcze silniej związać.

Zielone oczy rozpoczynają się od wspomnień z odległej epoki: „Śnieg topniał, las był o kilkanaście kroków, słońce zachodziło na czerwono, kałuże pachniały. Była wyjątkowa cisza... Byłem wtedy wysłanym w szpicy ułanem partyzanckiego oddziału konnego. Był rok 1919 i działo się to na wschód od Prużany. I wtedy usłyszałem po raz pierwszy w życiu gwizd kuli, potem zaraz drugi i następne...

...Ale po co ta liryka — jest w niej coś przykrego, jak wyciąganie rąk do czegoś, czego już dotknąć nie można, jak wybałuszanie gałek ocznych w przód przez ślepca".

U końca książki znajdujemy oświadczenie, które Stanisław Mackiewicz złożył w Londynie w roku 1956 przed powrotem do kraju:

„...Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski, i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca...

...Nie możemy narażać bytu narodu polskiego dla polityki mirażowej..."

Trzeba duszy tapira, aby nie pojąć, jakim kosztem moralnym okupione zostało to wyznanie — niezbędne i prawdziwe.

Jestem głęboko przekonany, że z realnie istniejącego położenia wyszliśmy wcale nie największym kosztem. Mogło być znacznie gorzej.

Paweł Jasienica

PRZEPOWIEDNIE LEMA

Stanisław Lem: *Inwazja z Aldebarana*. Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 326.

Stanisław Lem wszedł kilka lat temu do naszej współczesnej literatury jako specjalista od określonej tematyki. Wszedł na puste miejsce, a więc z natury cenny i niezastąpiony, uprzywilejowany i pożądany. Mógł pozostać, bez względu na okoliczności, przy ambicjach *Astronautów* — dobrej powieści dla młodzieży z ogólnikowym, ideologicznym morałem. Nie wykorzystał jednak tego przywileju i pułapki zarazem, jakiej podlega specjalistyczna, „fachowa" literatura. Wraz z ogólnym wzrostem ambicji wzrosły także i ambicje Lema. W *Czasie nieutraconym* wyszedł poza swoją bezpieczną i wygodną pozycję pisarską. W *Dialogach* z powodzeniem eseizował problemy naukowo-filozoficzne. *Inwazją z Aldebarana* wreszcie wrócił do swojej podstawowej tematyki, bogatszy o przemyślenia i doświadczenia kilku lat. To chyba najciekawsza

książka Lema. Najlepiej zresztą reklamuje ją sam Lem, publikując w *Twórczości* (2/59) obszerny, relacjonujący artykuł o współczesnej *science-fiction*. Porównania, jakie się narzucają, są dla Lema bardzo korzystne. Na gruncie polskim nie znajdziemy dla Lema nawet antenatów, oprócz może ekspresjonistycznej, mistycyzującej nowelistyki Grabińskiego i innych autorów z antologii *Polska nowela fantastyczna*. Lem różni się od nich bardzo znacznie. Dba zawsze o pozory prawdopodobieństwa i o rzeczywistą, prawdziwą logikę. Spełnia wymagania gatunku i zarazem odwraca sensacyjne założenia. Już klasycy: Wells czy E. A. Poe, traktowali często fantazję naukową jako pretekst czy alegorię. Fabuła błyskotliwa i wymyślna, która ma stanowić żywioł i założenie tego typu twórczości, schodzi wówczas do roli ilustracji, do zewnętrznej funkcji formalnej.

W pierwszym opowiadaniu *Inwazja* prof. Heines ani na konferencji prasowej, ani później w bezpośredniej rozmowie nie wyjaśnia młodemu, ciekawemu człowiekowi, a co za tym idzie także i czytelnikowi, postawionego przed nimi faktu-zagadki. „Rzeczywistość, proszę pana, nie jest ani tak naiwna, jak historia o galaktycznych ogrodach, ani tak makabryczna, jak bajka o potworze, którą wymyśliłem, a wydaje się czasem cięższa do zniesienia dlatego, że odmawia odpowiedzi na to pytanie." Młody, ciekawy człowiek wykrzykuje z żalem: „Ach, więc to chodzi o sens", i ma pełną rację. Heinesowi i Lemowi chodzi o sens właśnie. Dają odpowiedź-pintę, odpowiedź-wniosek, odpowiedź-myśl. Lekceważą wspólną literaturze kryminalnej i fantastycznej konwencję, konwencję wytłumaczenia i fabularnego rozwiązania.

Takie potraktowanie tematu jest jednym z wielu wariantów ogólnego założenia Lema. Jest nim kompromitacja gatunku, a raczej kompromitacja jego treści i funkcji — tej doskonale kosmopolitycznej ideologii technicyzmu. *Science-fiction* to najchytrzej zamaskowana i przez to najdalej posunięta próba zamachu na literaturę. *Science-fiction* powstała w wieku pary i elektryczności; w wieku atomowym znaczenie jej wzrosło proporcjonalnie. *Science-fiction* jest jedyną literaturą, która może liczyć na poparcie faktów, i to codzienne — wszak każdy wynalazek potwierdza ją i reklamuje. *Science-fiction* wytwarza własną lirykę, epikę czy humor; ma zapewnioną bez walki popularność we współczesnym społeczeństwie inżynierów. W tejże poczytnej konwencji Lem pisze książkę antytechniczną. Podejmuje głęboko, bo aż we współczesnej podświadomości literackiej tkwiące zagadnienie. Jest tu jak najbardziej kompetentny i powołany, a dokonując wyboru robi drugi krok w stronę literatury. Pierwszym było rozpoczęcie przezeń pracy pisarskiej.

Jest przede wszystkim humanistą. Rozpatrując na wiele sposobów dylemat: człowiek a stworzony przezeń świat wynalazku, Lem opowie się zawsze za człowiekiem, jako sprawą ważną, najważniejszą. Bohater Lema jest często bardzo prosty i nieco dziecinny. W każdym razie o wiele mniej bohaterski i patetyczny niż bohater Saint-Exupéry'ego, chociaż lata na międzyplanetarnych rakietach o astronomicznej szybkości. Jest skromny, trochę jak wielki uczony ze szkolnej czytanki. U Lema właśnie takie marginesy psychologiczne urastają do rozmiarów fundamentów, symboli. Pilot Pirx zabiera ze sobą na kosmiczne patrole prymitywne gry zręcznościowe, najchętniej z udziałem trzech świnek i wilka w pudełeczku. I właśnie takie śmieszne, arcyludzkie przyzwyczajenia Pirxa, owe szczegóły psychologiczne, w blasku metali i mas plastycznych wnętrza rakiety, w międzyplanetarnym bezkresie bronią najskuteczniej ludzkiej osobowości. Trzy świnki i wilk w pudełeczku wyodrębniają bawiącego się nimi człowieka ze świata maszyn, gdzie wszystko jest tak absurdalnie potrzebne, niezbędne, konieczne, tak absurdalnie natychmiastowo wytłumaczalne i sprawdzalne. Zresztą owe techniczne wspaniałości okazują się czasem zawodne. Wystarczy nieskończenie mała pomyłka, jakaś ewentualność nie wzięta pod uwagę, bo nie mieszcząca się pozornie w rachunku prawdopodobieństwa i grozi wypadek. Pilot Pirx wychodzi z opresji cało dzięki zdrowemu rozsądkowi, świadomości, że błąd jest możliwy, a ludzkie zmysły zawodne. Ową świadomość ocalił w sobie niewątpliwie dzięki grze w trzy świnki i wilka. Sceptycyzm i zwykła przytomność umysłu ratują Pixa, gdy zawodzą i oszukują wszystkie urządzenia automatyczne.

Świat techniki osiąga granicę całkowitej alienacji ludzkiego dzieła. Jest obojętny, obcy człowiekowi; ani jednej cieplejszej barwy czy tonu nie przydaje Lem swojej scenerii. Ów świat posuwa niekiedy swoją samodzielność aż do buntu. Jest żywiołem odrodzonym w nowej postaci. Żywiołem, który ostatecznie, jak się okazuje, nie dał się człowiekowi ujarzmić. W piwnicy, na peryferiach miasta gotuje zagładę potworny mózg elektronowy, zdolny podłączać do swojego obwodu myśl ludzką. Pragnie władzy nad światem. I właściwie tylko dzięki przypadkowi ponosi klęskę. Lecz oto inne niebezpieczeństwo: kuleczka niezniszczalnej i niszczącej „antymaterii", mimo wszelkich ostrożności ocalała po katastrofie fabryki i dostała się do domu starego samotnika. I tu w ciemności i pleśni dojrzewa katastrofa. W niespodziewanym miejscu, o niespodziewanej godzinie. Katastrofa leży w sferze prawdopodobieństwa, leży w świadomości współczesnego człowieka. Chodzi o sprawy ogólniejsze niż pokojowe apele, głębsze niż antytechnicyzm z pozycji kwiatów i zielonej trawy, bardziej wielostronne i skomplikowane.

Przyszłość może być także groteskowa. W tytułowej noweli zbiorku wiejski pijak rozprawia się z kosmicznymi agresorami. Jedno uderzenie decyduje o próbie inwazji. Drogowskaz polny wystarczył jako broń na planetarne potworki. Ale ostatecznie byli to egzotyczni goście; właściwa groźba przyszłości zaś spoczywa na Ziemi, tkwi w ludzkich rękach. A gdy ofiara, cena postępu, okaże się zbyt wysoka, rozwiązaniem jest także uderzenie, ślepa reakcja, nihilistyczny gest. Takie uderzenie jest pointą ostatniego opowiadania. Uderza żelaznym młotem człowiek podróżujący już kilka miesięcy w komfortowej, doświadczalnej rakiecie. Podejrzewa, że został oszukany przez swojego, nieludzkiego, elektrycznego towarzysza podróży i codziennego rozmówcę, że już nigdy nie wróci na ziemię. Bije młotem w elektrycznego towarzysza podróży, bije w planetarny ekran. Człowiek nie nadaje się na eksperyment. Nauka nie będzie miała pożytku z jego męki, z jego patetycznej śmierci. Oślepła rakieta poleci do gwiazd...

Tomasz Łubieński

„ŚWIAT BYŁ W PORZĄDKU"

Hanna Malewska: *Opowieść o siedmiu mędrcach*. Warszawa 1959. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 314.

Hipponikowi wydawało się, gdy po latach wspominał swoją największą przygodę w życiu — rozmowę z Heraklitem z Efezu, że przeżył wówczas godzinę doskonałej harmonii wszechświata:

„Świat był w porządku.

Heraklejtos miał rację: dwa krańce łuku, ciągnące każdy w swoją stronę, nadają prosty lot strzale. A nawinięta na dwa przeciwległe kołki struna gra.

Krotoniaci mieli może taką samą słuszność, jak Zamolksis i Alkamajon, najlepsi z ludzi.

Był wtedy piękny wieczór, a gaj przy świątyni delijskiej pachniał podobnie jak stare drzewa wkoło Heroon Philipposa. Tamto było ostatnią błogosławioną godziną życia. Nie podobna już nigdy mieć tego szczęścia, co wtedy, w zgodzie z bogami i ze światem. Jeżeli zapłakałem, to właśnie chyba z żalu po owej godzinie" (*Opowieść o siedmiu mędrcach*, str. 304).

Zaczynam wywód od owej wielkiej godziny Hipponika, którego opowieść zamyka prześwietną *Opowieść o siedmiu mędrcach*, ponieważ Hipponikowi przydarzyło się to, do czego po fałszywych tropach dążyła Malewska we wszystkim, co wyszło spod jej pióra. Wszystko jest u niej projekcją ładu, którego być nie może poza godziną ekstazy. Malewska szukała go na zewnątrz — w historycznych „postaciach świata" — i w dodatku szukała na zimno „z mędrca szkiełkiem i okiem". Nie wiedziała tego, co wiedział Hera-

klit z Efezu, że co innego jest pieśń, a co innego rzeczywistość. Nie rozumiała, jak Hipponik przed swoją godziną, dlaczego krok Przeznaczenia podoba mu się w pieśni, choć płacze, że różne rzeczy muszą się zdarzać w rzeczywistości. Dopiero w swej godzinie odczuł Hipponik świat tak, jak go odczuwał Homer. „Wszystko było na swoim miejscu, jak w wierszu Homera; ale można było dotknąć tego" (str. 312). Słuchacz sprostał śpiewakowi w godzinie zrozumienia, która jest tylko stanem ducha, kiedy wszystko, co jest, wydaje się być dobre, a nawet doskonałe.

Opowieść o siedmiu mędrcach powstała w godzinie zrozumienia, która jest dla Malewskiej godziną spełnienia. Rzadko tak długo i z takim uporem mimo ustawicznych klęsk dąży ktokolwiek do j e d n e g o. Do czegoś, o czym wie się niemal na pewno, że jest niemożliwe. Od dawna już przestano wierzyć, że istnieje możliwość pogodzenia człowieka z naturą świata. W sztuce naszego wieku zwyciężyło przekonanie, że człowiek jest przeciw naturze, a natura przeciw człowiekowi. Że może nawet zawsze tak było, tylko o tym nie chciano wiedzieć. Że człowiek może szukać ładu już tylko w samym sobie i że go w dodatku znaleźć nie zdoła. Że powinien szukać z pełną świadomością, iż szuka nadaremnie, ponieważ nic innego nie pozostało mu do zrobienia. Piszący to jest po stronie tych, którzy tak właśnie sądzą. Krok Przeznaczenia podoba mu się w pieśniach, które dawno już powstały i nie powstają więcej. *Opowieść o siedmiu mędrcach* jest dlatego pieśnią z d u m i e w a j ą c ą.

Przeczytałem wszystko, co napisała Malewska przed *Opowieścią o siedmiu mędrcach,* z poczucia obowiązku i prawdę mówiąc — z niesmakiem. Ze złośliwą satysfakcją, że chce się tu zbierać to, czego nikt nie posiał. Mniejsza o pensjonarską *Wiosnę grecką* (1932). Któż nie przeżył młodzieńczego zachwytu dla piękna greckiego świata, który jest najpiękniejszą baśnią europejskiej kultury. Ale *Żelazna korona* (1936), rozłażący się w szwach mit ładu w obrzydliwym i problematycznym cesarstwie rzymskim hiszpańskiego Karola V? Ale *Kamienie wołać będą* (1946) — ckliwa i kruchciana legenda świętego państwa we Francji za czasów Ludwika IX? Ale nawet *Przemija postać świata* (1954), gdzie tylko iluzoryczna perspektywa historii pozwala dostrzec i zaaprobować wątpliwy porządek w niewątpliwym chaosie? Czy fakt, że chaos przetrwał, może być argumentem na rzecz istnienia ładu? Wszystkie te pieśni o rzekomym ładzie różnych historycznych „postaci świata" wydawały się być owocem zadziwiającego uporu, którego źródłem jest poczciwa wiara, czyli po prostu naiwność.

W *Żelaznej koronie* trzeba było niemal nie widzieć cienia Wielkiego Inkwizytora, umiejętnie pomniejszać Marcina Lutra, uczynić nic nie znaczącym tego kogoś, kto by mógł z boku widzieć obydwu wielkich rzeczników dwóch sprzecznych porządków — Karola V i Lutra. Jest nim w powieści Jerzy de Tournay — postać tyleż interesująca, co bez znaczenia.

Święte królestwo budowniczych katedry w Beauvais, symbolu powszechnej zgodności uczuć i myśli, jest rezultatem tak imaginacyjnej koncepcji ładu, jak pozornie przeciwstawne, a w istocie tożsame utopie arkadyjskie o wiele późniejszego pochodzenia.

Dopiero *Przemija postać świata* przynosi bardziej ważką myślowo próbę odnalezienia zrębów ładu, który mógłby być czymś w rodzaju powłoki kulistej, określającej granice chaosu. W tym najdonioślejszym przed *Opowieścią o siedmiu mędrcach* dziele Malewskiej prawdziwszy jest jednak sprzeciw wobec chaosu niż afirmacja tego, co mogłoby świadczyć za ewentualnym porządkiem. Afirmacja jako wniosek ostateczny wydaje się tym bardziej wątpliwa, że powieść Malewskiej ma po raz pierwszy u niej dwa główne układy odniesienia: dosłownie historyczny i metaforycznie współczesny. Dla tego drugiego układu odniesienia metafora historyczna nie jest w żadnym razie wystarczającym argumentem na rzecz afirmacji. Co więcej, afirmacja ta u pisarza o tym kierunku myślenia, co Malewska, wydaje się szczególnie ryzykowna, niemal zaskakująca. Ważniejsze jest w tej powieści zupełnie co innego. Przezwyciężenie dosłowności jako zasady tzw. powieści historycznej. Odkrycie dwóch układów odniesienia jest decydującym krokiem do odkrycia najdonioślejszej właściwości wszelkiej wielkiej litera-

tury — nieskończoności konkretnych układów odniesienia, słowem do odkrycia uniwersalności prawdziwej sztuki, która poprzez jedyność wyraża powszechność świata. W sztuce uniwersalnej nie istnieją rodzaje powieściowe, nie istnieje więc także coś tak dziwnego, jak powieść tzw. historyczna. Powieść tzw. historyczna stanowiła punkt wyjścia pisarstwa Malewskiej, *Przemija postać świata* jest jej przezwyciężeniem, *Opowieść o siedmiu mędrcach* jest jej zaprzeczeniem. Malewska przebyła taką samą drogę rozwojową, jak Parnicki od *Aecjusza ostatniego Rzymianina* poprzez *Srebrne orły* do *Końca „Zgody Narodów"*.

Najpełniejszą zapowiedzią tego odkrycia estetycznego, jakim jest dla Malewskiej *Opowieść o siedmiu mędrcach*, są dwa opowiadania z tomu *Sir Tomasz More odmawia* (1956). Mam na myśli *Koniec Cranmera* i *Ostatniego na arenie*. Malewska odkryła w nich powszechną tożsamość konfliktów moralnych człowieka. „Nie wiem — pisze Malewska we własnym posłowiu — czy nie skrzywdziłam rzeczywistego, żyjącego kiedyś człowieka nazwiskiem Cranmer moim widzeniem jego charakteru — z którym kojarzą mi się i rysy epoki, a raczej wszystkich epok bizantyńskiego kultu władzy" (*Sir Tomasz More odmawia*, 1956, str. 136). Określenie „wszystkie epoki bizantyńskiego kultu władzy" ma jeszcze doraźne akcenty polemiczne, w istocie oznacza jednak uznanie moralnej tożsamości człowieka w ogóle. Od uznania moralnej tożsamości człowieka prosta droga prowadzi do uznania ontologicznej tożsamości świata. Historyczne „postacie świata" nie zmieniają jego istoty. Świat i natura są tożsame we wszystkich swoich kształtach. Historyzm jest więc kategorią służebną, gdy chodzi o wyjaśnianie zewnętrznych kształtów rzeczywistości, jest bezużyteczny, gdy chodzi o zrozumienie jej istoty. W sztuce uniwersalnej historyczne kształty rzeczywistości nie są niczym więcej, jak tematycznym pretekstem.

Jakież to powszechne zjawisko moralne przedstawia pisarka w postaci szesnastowiecznego biskupa angielskiego? Zdawałoby się, że zjawisko dezintegracji moralnej człowieka jest odkryciem dwudziestowiecznej literatury, która dopiero teraz je dostrzegła, ponieważ nie istniało wcześniej. Postać biskupa Cranmera jest wszakże aż nadto historycznie usprawiedliwiona. Cranmer musiał być w istocie takim właśnie, jak go zobaczyła Malewska. „I gratulował sobie, że on sam od początku wybrał separację myśli od słów, a spraw sumienia od spraw konieczności. Dzięki temu niemal sam jeden ze współczesnych mógł na własny użytek myśleć prawidłowo" (tamże, str. 73—74).

W *Końcu Cranmera* dokonał się także po raz pierwszy u Malewskiej przełom w technice stylistyczno-narracyjnej. Zniknęła po Kraszewskim odziedziczona konwencja narratora, eksplikującego prostaczkom zdarzenia historii. Od *Żelaznej korony* po *Przemija postać świata* konwencja ta panuje wszechwładnie, chociaż w tej ostatniej powieści mniej jest historycznej stylizacji, a więcej psychologicznego autentyzmu mowy pozornie zależnej. W *Żelaznej koronie* nauczyciel szkółki ludowej opowiada historię powszechną: „Nie był to czas na zaczepki: rozwiały się nadzieje, które wzbudziło w Niemczech spustoszenie Rzymu, cesarz musiał wyruszyć na sejm Rzeszy wprost z Bolonii, jeszcze z papieskim namaszczeniem na czole — i z mieczem zdolnym poprzeć wyrok wormacki sprzed lat. Dziwne znaki na niebie i ziemi zwiastowały straszliwe wypadki, a Luter tłumaczył księgę Daniela o skończeniu świata" (*Żelazna korona*, 1954, str. 139). Po czymś takim technika narracyjna w *Końcu Cranmera* jest rewelacją. Narrator-komentator wtargnął tu w system kategorii myślowych szesnastowiecznego człowieka, wystarczających do precyzyjnego opowiadania o tym, co się temu człowiekowi przydarzyło. Żadna pseudohistoryczna stylizacja językowa nie jest tu potrzebna. Gdy się posiadło ciało i duszę języka, można odrzucić jego historyczny kostium.

Dopiero jednak koncepcja narracyjna *Opowieści o siedmiu mędrcach* jest majstersztykiem literackiego wyrafinowania. Między bakalarstwem narracyjnym *Żelaznej korony* a finezją *Opowieści o siedmiu mędrcach* istnieje przepaść wprost niewiarygodna. Tu narratorem jest grecki poeta-filozof, jakiś domniemany opowiadacz z wyspy Lesbos, który przed swymi grec-

kimi słuchaczami opiewa świat dobrze im znany, lecz już na tyle odległy, że można go upiększać z całkowitą swobodą. Opowiadacz, słuchacze i treść opowieści mieszczą się w zamkniętym kręgu greckiej kultury duchowej z VI i V wieku przed naszą erą. Treść tej kultury wystarcza Malewskiej do tego, żeby poprzez nią wyrazić treść swojej własnej godziny zrozumienia. To wszakże dotyczy treści, nie formy jej dzieła. Forma *Opowieści o siedmiu mędrcach* stanowi dla nas pierwszą niespodziankę. Książka Malewskiej jest pisana w formie opowieści nie dla nas, lecz dla wtajemniczonych, tak jak listy pisane przez nieznanego nam autora do równie nieznanego adresata. Autorka stawia nas oko w oko z nieznanym. Poznawanie musimy rozpocząć od momentu, gdy nasza wiedza równa się zeru. Jesteśmy postawieni w sytuacji bohaterów powieści Kafkowskich, którzy wraz z pierwszym błyskiem własnej świadomości znajdują się w świecie absolutnie im obcym i nieznanym. Narratora *Żelaznej korony* można by przyrównać do objaśniacza położenia figur na płaszczyźnie, na którą wspólnie patrzymy. *Opowieści o siedmiu mędrcach* słuchamy tak, jakbyśmy się znaleźli w centrum czarodziejskiej kuli, którą poznać można po odbyciu całego szeregu przemyślanych wędrówek. Zaczynamy tak jak bohaterowie Kafki, ale stoją przed nami zupełnie różne perspektywy. My zostaliśmy umieszczeni w centrum naszej kuli, która jest w ostatecznym efekcie poznawalna. U Kafki i bohater, i my jesteśmy skazani na poszukiwanie środka kuli, której wymiary są do końca niewiadome. Ta przeciwstawność tłumaczy wszystko.

Jest to przeciwstawność skończoności i nieskończoności, harmonii i chaosu, poznawalności i niepoznawalności, racjonalności i absurdu, afirmacji i negacji. Wydawałoby się, że tylko kategorie drugiego szeregu są do przyjęcia dla współczesnego człowieka. Pierwszy szereg obowiązywał w kulturach klasycznych, które stały się dziś czymś w rodzaju legendy złotego wieku ludzkości. Wydawałoby się, że widzenie człowieka w kategoriach skończoności, harmonii, poznawalności, racjonalności i afirmacji jest przywilejem wzruszającej naiwności, na którą w naszym wieku zdobyć się nie można, choćby się za nią tęskniło. Być może *Opowieść o siedmiu mędrcach* jest płodem naiwności, ale byłaby to bez wątpienia naiwność idąca w parze z mądrością, a przynajmniej z jednym z jej możliwych kształtów. Jakież zrozumienie bowiem przynosi Malewskiej jej wielka godzina? Czy jej czarodziejska kula zamyka w sobie świat tak niewiele mający wspólnego z prawdą, jak świat *Żelaznej korony*, *Kamienie wołać będą* czy nawet *Przemija postać świata?* Wydaje mi się, że świat ten zawiera bardzo istotne, żeby nie powiedzieć najistotniejsze, rysy świata prawdziwego.

Hipponik w godzinie pogodzenia nuci straszliwą pieśń o jaskółce: „O tym małym drapieżniku — niezmordowanym łowcy muszek, komarów i łątek, głodnym ciągle i żywiącym dzieci. Ze świstem czarnych skrzydeł ugania czarna jaskółka, chwytając, co jej wpadnie w rozwarty dziób. Ale dla ludzi to wesoły zwiastun wiosny, całujący piersią pogodne wody, świergocący wśród ciszy pod okapem" *(Opowieść o siedmiu mędrcach*, str. 314). Świat ten jest światem wszechogarniającej walki o istnienie, które jest zadziwiającą wypadkową zbrodni, śmierci, którą się zadaje i której się nieuchronnie podlega. I świat ten nie ma nic wspólnego z tym, czego by człowiek pragnął lub o czym by marzył: „Niedługo może głowa Alkajosa spoczywała w pyle, kędziorna głowa z niewielu nitkami siwizny, kasztanowata, a nad czołem spłowiała od słonych wiatrów — w pyle na sinej polepie. Ale zdążyło przyjść do niej mnóstwo rzeczy, a wreszcie lęk: że nie jest tak, jak ludzie mówią, wszystko nie jest tak, tylko inaczej — ani z jaskółką, ani z orłem, ani z niczym" (str. 24). I w świecie tym nie ma żadnej sprawiedliwości, ponieważ sprawiedliwość natury jest nie do przyjęcia dla człowieka, a wszelka władza ludzka jest niesprawiedliwa, choćby sprawiedliwość była jej najświętszym zawołaniem. „Szlachecki szczep Bakchiadów, rządzący wtedy Koryntem, władał jakoby w imieniu wielu, lecz żaden szlachcic czy prostak nie dorabiał się tam na handlu czy rzemiośle, jeśli nie był ich krewnym czy sługą" (str. 47). I w tym świecie niesprawiedliwym człowiek może się do tego stop-

nia upodlić, żeby jak Demokedes wobec tyrana Polikratesa wyrzec się wszystkiego, co może być człowiekowi najświętsze: „A gdybym wiedział nawet o rodzonym ojcu, że jest twoim wrogiem — doniósłbym nie pytany" (str. 203). Czarodziejska kula greckiego świata nie jest i nawet nie może być kulą szczęścia, ponieważ szczęście człowieka zależne jest od czegoś tak przypadkowego, jak istnienie przedmiotu miłości w drugim człowieku. Wystarczyło, żeby Hipponikowi zniknęła dziewczyna, którą kochał, a świat zwalił się dla niego we wszystkich swoich podstawach: „Świat był, ale nie było mostu ani drogi między człowiekiem a człowiekiem. Bo rzeczy najpiękniejsze przestały być rzeczywiste" (str. 286). Solon Ateńczyk wykluczył nawet możliwość szczęścia wtedy, gdyby człowiek zdołał urządzić świat według swoich pragnień: „Najlepsze państwo nie byłoby dobre" (str. 151).

W czym więc upatruje Malewska postawę pogodzenia ze światem aż tak niedoskonałym, a nawet straszliwym? W zadowoleniu z tego, co jest, ponieważ to, co jest, lepsze jest od tego, czego nie ma. Klasyczna zasada umiaru — doskonałości w ograniczeniu — jest kluczem do wszystkiego, co dobre dla człowieka. We wszystkich możliwych zakresach.

W poznaniu: „Cały świat jest nastrojony jak muzyka, lecz znamy z niej dopiero kilka tonów" (str. 264). I na nich trzeba grać.

W etyce, w pojmowaniu wolności i odpowiedzialności. Ostateczną granicą wolności człowieka jest granica własnego istnienia: „Było jakieś straszliwe, nie do pojęcia, naruszenie porządku rzeczy w tym młodym i może kiedyś pięknym, który wybrał pętlę zamiast oddechu" (str. 185). Życie jest nieustanną funkcją zabijania, które jest zbrodnią, ale odpowiada się tylko za śmierć, którą się samemu zadaje. A nawet wtedy dana jest człowiekowi możliwość oczyszczenia przez zadośćuczynienie. Dion zabił Korrybalosa, kochanka Solona i swego, Kalias, syn Korrybałosa, zabił Diona, który był także jego kochankiem, Solon osiedlił Kaliasa z wdową po Dionie. „Z czasem oboje chyba, ona i Kalias, uznali, że nie ma między nimi żadnego długu" (str. 171). I Kalias pojął za żonę córkę Diona, Aretyllę, która urodziła Hipponika, a ten stał się człowiekiem sekty pitagorejczyków. Rozsądny umiar we wszystkim uwalnia człowieka od sytuacji bez wyjścia. Anakreont nie znał sytuacji bez wyjścia: „A robię zawsze rzecz najmniej przykrą — jeśli muszę coś robić — bo następna będzie już najznośniejsza z pozostałych" (str. 204).

W sztuce: „Doskonała jest twoja opowieść, o starcze, nie ma w niej zbędnego ani niewłaściwego słowa" (str. 171). A także w miłości, która jest dobrem największym i nie ma zmazy w żadnej jej formie: „Ale druha kochał więcej niż to, co mu mogła dać Melitta, a złą dolę z nim wolał od dobrej bez niego" (str. 57). „Mężczyźni są jak piękny oręż, okręt czy budowa, kobiety tylko jak drewno czy woda: czerpiesz, kiedy jesteś spragniony, i zapładniasz, żeby mieć dzieci" (str. 162).

Z rozsądnego umiaru we wszystkim rodzi się mądrość, jej wielorakie postacie opiewa *Opowieść o siedmiu mędrcach*, których nie wszędzie znają tych samych, ponieważ nie ma modelu mądrości. Mądrość jest właściwością ludzi mądrych i nie istnieje poza nimi. *Opowieść o siedmiu mędrcach* jest właściwie opowieścią o dziesiątkach czy nawet setkach doświadczonych mężów, z których każdy jest mądry, ale inaczej. Z nich wszystkich można za legendą wybrać siedmiu, ale nie muszą to być ci sami dla każdego. Wybieranym przez wszystkich bywa Solon, ale i on nie jest niczym więcej, jak mądrym wśród wielu. „Solon to nie bóg, o wielki królu — rzekł jeniec stawiony przed Cyrusem. — Ani też kapłan. Ale on to mi rzekł: nikt nie wie, czy jest szczęśliwy, kto nie był nieszczęśliwy; czy jest wolny, jeśli nie popadł w niewolę, i czy jest równy innym ludziom, jeśli nie przyjął nigdy wspólnego losu" (str. 148).

Ta mądrość Solona mogłaby być główną podstawą tego wielkiego podniesienia na duchu, które może człowiekowi przynieść godzina pogodzenia. Lecz Solon powtórzyłby chyba za Heraklitem: „Chcę rzec, co mówię. Ja mówię rzeczy proste, jak do dziecka. Lecz nie chcę, by mi w i e r z o n o" (str. 306). W imię prawdziwej mądrości nikt nie potrzebuje komukolwiek wierzyć. Mądrość zdobywa każdy we właściwy sobie sposób — mądrość jest

indywidualna. Heraklit Malewskiej wyjaśnia rzecz bez reszty, mówiąc tylko we własnym imieniu:

„— Wiadomo mi tylko, w którą stronę mam patrzeć i iść.

— Ty sam czy też wszyscy?

— Każdy z osobna w tę stronę, co wszyscy. A raczej jak żeglarze z różnych punktów widnokręgu do tego samego portu. Jeśli jest jakaś strona, gdzie ktokolwiek z ludzi iść nie może — to nie ta, nie idź tam. A jeśli nie umiesz jeszcze osądzać ludzi i portów, jak dokręca się lirę i łuk: z obu końców — naucz się najpierw" (str. 308).

Znakiem rozpoznawczym wszelkiej mądrości jest końcowy znak zapytania. Ismeniasz poucza o tym swego syna: „Pamiętaj, synu Chremonie, że gdy jesteś o czymś najmocniej przekonany, może to być znaczna pomyłka" (str. 111). Hipponik mógł powiedzieć — „świat był w porządku" — tylko dlatego, że mu się przydarzyła taka godzina w życiu, w której tak go właśnie odczuł. Znaczy to jednak — świat może być w porządku, ponieważ każdemu może się przydarzyć godzina pogodzenia.

Henryk Bereza

KSIĄŻKA O STAROŚCI I PRACY

Jerzy Ficowski: *Wspominki starowarszawskie. Karty z raptularza.* Warszawa 1959. „Czytelnik"; str. 238.

Tematem większości książek o Warszawie, zarówno wspomnieniowych, jak urbanistycznych, są żywe kamienie i cegły: ulice i gmachy, kościoły, pałace, staromiejskie kamieniczki i przedwojenne podwórka.

Ficowski obrał sobie motyw odmienny. Postanowił ocalić od zapomnienia żywe zabytki: ludzi, całym swym istnieniem związanych z ulicą i podwórzem dawnej Warszawy. Dał cały szereg autentycznych sylwetek, począwszy od popularnej opiekunki gołębi na Piwnej, „ciotki" Kazimiery Majchrzak, kończąc na postaciach, luźno tylko ze stolicą związanych, wsiowych starców z Mazowsza. Zabłąkała się tu nawet ostatnia chyba kataryniarka z krakowskiego Kazimierza z odwieczną papugą. Widać na warszawskim bruku katarynki już nie uświadczysz.

Przy opracowywaniu tych wizerunków ludzi ginącej rasy — rzemieślników-domokrążców, woźniców i konduktorów tramwajów konnych i popularnej „ciuchci", kominiarzy, drucia rzy, szlifierzy, tragarzy — autor posługuje się metodą dziennikarskiego wywiadu. Każe swoim modelom opowiadać o sobie. Taki kryptomonolog asekuruje go od możliwych zarzutów nieścisłości, za którą niech odpowiada wiekowy rozmówca. Jak się ma osiemdziesiąt, a nawet czasem i sześćdziesiąt lat, to może się człowiekowi coś niecoś w pamięci pokręcić.

Ot, choćby takiej Wikci, co służyła we dworze i miała „siedem pokoi do sprzątania, parę krów do dojenia na kuchnię, ze sto kur i z piętnaście świń do obrządzenia, a jeszcze gęsi i kaczki..." Otóż każdy, kto zna trochę przedwojenne życie dworskie, wie, że ta sama dziewczyna, która chodziła przy świniach i przy drobiu, mogła ewentualnie pracować w kuchni, ale nie przy codziennym sprzątaniu pokojów. Podobnie rzecz się ma z jej wędrówką uchodźczą na Wschód. W tym samym czasie, co ona, odbyłam drogę końmi z Podlasia do Mścisławia i wiem, jak ta podróż wyglądała i jakie były mrozy w Mohylewszczyźnie. Wikcia trafiła widać na złych chlebodawców albo trochę puściła wodze fantazji, czemu się dziwić nie można, skoro układała zgrabne piosneczki o pierwszej wojnie światowej:

Tam pod borem, pod warszawskiem,
Stojał Niemiec ze swem wojskiem,
Stojał, stojał, nie wojował,
Więcej wojska ocekował.
Skoro wojsko przywabili,
Całą Polskę nam zniscyli.

Takich samorodnych płodów poezji ludowej zanotował Ficowski na kartach swego raptularza kilka, na przykład dowcipne śpiewki wesołego rzeźnika warszawskiego, autora „godzinek rzeźniczych". Zadrgała w nim żyłka kolekcjonera, zbieracza piosenek cygańskich, a teraz szczątkowych okazów ludzkich. Unikatem wśród nich jest Józefa Stankiewiczowa, urodzona w 1821 roku we wsi Bukówka w błońskim powiecie. Sześcioletnią sierotkę zabrała do Warszawy „chrzestna". Po jej śmierci dziewczynka wywędrowała ze stolicy przed samym wybuchem powstania listopadowego, z którego pamięta tylko obronę Woli przez jenerała z drewnianą nogą (Sowińskiego). Od siedemdziesięciu lat staruszka mieszka w Starym Miastkowie pod Garwolinem i marzy o tym, żeby zdystansować swoją rywalkę w Indiach, która dożyła stu sześćdziesięciu lat.*

Większość pozostałych mohikanów warszawskiej przeszłości starsze pokolenie zna z własnych wspomnień, a młodsze z rysunków Andriollego, obrazów Gierymskiego, a przede wszystkim z karykatur Kostrzewskiego w dawnych *Kłosach* i *Tygodniku Ilustrowanym*. W książeczce Ficowskiego nie ma rysunków, są za to fotografie, co podnosi jeszcze bardziej dokumentarność pracy. Stoi ona właściwie na granicy dziennikarskiego reportażu, któremu zabarwienie literackie nadaje swoiste podejście do tematu, indywidualny styl i własne nastawienie uczuciowe do ludzi steranych życiem, którzy umieli jednak zachować wrażliwość na urodę świata i zamiłowanie do swego długoletniego zawodu.

Najciekawsi pod względem psychologicznym i socjologicznym są tu przedstawiciele awansu intelektualnego, którzy z pracowników fizycznych przez dłuższe obcowanie z jakąś dziedziną wiedzy czy sztuki wyrastają na jej gorliwych opiekunów i znawców, dystansujących nieraz fachowych specjalistów. Takim jest „Opiekun Akt Dawnych", Wojciech Zaremba, który przeżył i przebolał okrutne zniszczenie bezcennych dokumentów przeszłości naszej w Archiwum Akt Dawnych. Takim jest pan Jan z Konserwatorium, wielki przyjaciel studentów, z których wyrośli tacy muzycy, jak Szpinalski, Laski, Kulczycki, Rutkowski, Maklakiewicz... Takim jest pan Michał z Muzeum Kultur Ludowych w Młocinach.

Odrębną pozycję stanowi ów tajemniczy starszy pan, przyjaciel ptaków w Łazienkach, zawsze otoczony gwarną gromadką parkowych śpiewaków.

Gdzie tkwi źródło niespożytych sił tych ludzi? Chyba w całkowitym zespoleniu się duchowym i uczuciowym z wykonywaną i umiłowaną pracą. Blacharz w swoim kociołku, szlifierz w warsztacie na kółkach, kominiarz w miotełce, strażak w hełmie, woźny archiwalny w swojej drabince — przechowują eliksir wiecznej młodości. Krzepcy i pogodni, trzymają się dzielnie, dopóki czyjaś niebaczna ręka nie wytrąci im z dłoni czarodziejskich narzędzi ich pracy. Wówczas kończą się, jak aktor, kiedy schodzi ze sceny.

Bo — jak słusznie pisze autor *Wspominek starowarszawskich* — „nie można żyć samymi wspomnieniami, choćby były najpiękniejsze. Każde pokolenie ma swoich następców i swoich poprzedników. W pierwszych jest jego nadzieja, w tych odchodzących — pamięć jego początków, prehistoria teraźniejszości. Nie ma nic smutniejszego niż wyrzucanie żywych ludzi na śmietnik. Są w naszym kraju rzeczy równie bezlitośnie smutne, jak los naszych starców. Mała to pociecha i żadne usprawiedliwienie".

Ten głos ujmujący się za dolą ludzi wycofanych, nieraz przedwcześnie, z czynnego życia, ma szczególny ciężar gatunkowy i humanitarny wydźwięk, ponieważ pochodzi od pisarza młodego, pełnego sił, obiecujących bogatą przyszłość.

Stefania Podhorska-Okołów

* W ostatniej chwili doszła nas wiadomość o śmierci staruszki.

ZAPOLSKA I PARYŻ

Gabriela Zapolska: *Publicystyka*, tom I—II, opracowały J. Czachowska i E. Korzeniewska. Wrocław 1959. „Ossolineum"; str: 407+520.

Dwa tomy publicystyki Gabrieli Zapolskiej, przypomniane przez skrzętnych badaczy Instytutu Badań Literackich, stawiają od nowa kilka „wiecznych" polonistycznych problemów. Przede wszystkim: jakie kryterium pozwala nam uznawać te pisma za wartościowe, przykładać tyle starannej pracy do ich wydania, uruchamiać potężny aparat naukowo-redakcyjny? Czy wystarczy do tego sam fakt autorstwa Zapolskiej? Czy też stajemy na stanowisku, że cenne są wszystkie teksty, w których odbiły się jakieś elementy polskiego życia? Niewątpliwe jest bowiem, że kryteria immanentne, tzn. w tym wypadku „publicystyczne", nie bardzo tłumaczą wydawnicze wznowienie. Jakieś minimum intelektualne czy chociażby literackie nie zostało tu jednak przez autorkę osiągnięte; mimo wszystkich niedociągnięć naszej literatury nie jest tak źle, abyśmy w tego rodzaju publicystyce szukać musieli naszego dorobku, tradycji czy chociażby obrazu ówczesnych niepokojów, konfliktów, dyskusji. Ale ponieważ tomy te są już gotowe, wydane, i to z godną uznania, a nawet zazdrości starannością, odnajduję — jako człowiek z zasady pozytywny — zalety pism publicystycznych Zapolskiej i przystępuję do ich omówienia.

Zalety te bowiem rzeczywiście istnieją, ale nie tyle w sferze twórczości literackiej, ile raczej sprawozdawczo-dokumentarnej. Pisma te czyta się doskonale jako pamiętnik pewnego typu mentalności, czegoś w rodzaju *Pana Paska* z epoki *fin-de siècle*'u. Za życia Paska jeździło się poznawać świat wraz z wojskiem do Danii, na Krym, pod Wiedeń. Tam rozstrzygał się istotny dla tych lat nurt spraw polskich, i nie Wiśniowieccy ani Ossolińscy nadawali treść tym wyprawom, ale tłumy panów Pasków. Z końcem XIX wieku jest zupełnie inaczej, świat poznaje się w Paryżu i to nie w kawalerskiej wyprawie, ale w artystycznej podróży. Artysta-malarz, literat — lansują teraz polski styl życia, tęsknoty, upojenia. W Paryżu robi się karierę, tam zdobywa się szczeble w hierarchii. Nie wiem, czy znajdzie się w ostatnich trzydziestu latach przed pierwszą wojną światową wybitniejszy artysta, który by zaniedbał odwiedzić Paryż. Lecz jechali nie tylko wybitni. W ich gromadzie znalazła się Zapolska. Jej korespondencje paryskie, przesyłane dla pism krajowych, odbijają w sposób bardzo wyrazisty przeciętną mentalność tej gromady, jej snobizmy, nadzieje, ambicje. Pisma publicystyczne Zapolskiej są wiernym dokumentem socjologicznym, tym ciekawszym, że wyrażonym poprzez bujną, pełną pragnienia życia osobowość. A oto zasadnicza różnica między nią a panem Paskiem: u tamtego ani za grosz arywizmu, pragnienia awansu, kariery, natomiast pisma Zapolskiej są tymi pragnieniami nasycone w każdym fragmencie. Tamten uważa się za dziedzica i nosiciela kultury, poczuwa się do współudziału we wszystkim, co w życiu polskim istotne, jest tego życia suwerennym podmiotem. Wypełnia go poczucie wartości istnienia i działania, poczucie własności wobec kultury, państwa, nawet władzy. Zapolska przeciwnie: wszystko, co ważne, jest poza nią, jest dopiero do zdobycia, własne życie — to coś nieokreślonego i właściwie w obecnym kształcie niegodnego uwagi, z nim trzeba dopiero coś zrobić, aby było pełnowartościowe, aby spełniło ambicje, aby dorównało jakiemuś wzorowi, który jest przedmiotem pilnej, zaciekłej uwagi, który tropi się wszędzie i z całą pasją wewnętrzną buduje. Zapolska zachowuje się w Paryżu jak ktoś lękający się skrycie kompromitacji. Wszystkich obowiązuje tu niezależny, „własny" sąd — więc ona ten sąd ma, najwyższym rodzajem snobizmu jest snobizm dobrego smaku — więc ona ten smak demonstrować będzie z wyjątkową gotowością. Wewnętrzna treść jej pism publicystycznych — to dążenie do zastąpienia autentycznych wrażeń i odczuć przez oceny pożądane, w dobrym guście, oceny nobilitujące pisarkę we własnym pojęciu. Mamy bezustannie do czynienia z dwoistym sto-

sunkiem do świata: jakiś świat duchowy dąży do ukrycia się w formach uznanych za odpowiednie na zasadzie przypuszczenia, że są to formy najwyższej rangi. Dążeniem świadomości jest zmienić się, sfałszować, dorównać czemuś, co jest poza nią. Pisma, o których mowa, nie są jednak pamiętnikiem, nie ma w nich zwierzeń, to korespondencja dla krajowych gazet. Ale co krok spotkamy się w nich z bardzo charakterystycznymi sprzecznościami, które tę dwoistość zdemaskują.

Z jednej strony jest Zapolska „entuzjastką", pod piórem jej pojawiają się zwroty apelujące do „czegoś wyższego", tęsknoty do ideałów piękna, „wszechludzkiego dobra", z największą swobodą i najlepszą wiarą korzysta pisarka z bogatej frazeologii mieszczańskiego idealizmu, przejmuje chętnie argumentację i cele publicystyki pozytywistycznej, wierzy w przyszłość, w idealny cel, do którego świat zmierza, w społeczeństwa pięknoduchów. Może ktoś powiedzieć, że te akcenty pojawiają się w korespondencji na użytek redakcji *Przeglądu Tygodniowego*. Sądzę jednak, że to jest u Zapolskiej szczere. Sprawdza się bowiem w nieoczekiwanej u tej naturalistycznej pisarki skłonności do estetyzmu jako życiowego ideału. Zapolska narzuca sobie kult piękna, który jest dla niej jednoznaczny w kultem pewnego ideału życia.

Jest to z pewnością jeden z najsilniejszych rysów osobowości pisarki, jaki ujawniają jej paryskie korespondencje. Gdziekolwiek się znajdzie, z kimkolwiek rozmawia (pisma zawierają także kilkanaście wywiadów z artystami i pisarzami francuskimi), widzi rzeczy i osoby jako pewne zjawiska estetyczne w sensie wizualnym, malarskim. Stąd wszystko wystylizowane jest na malowniczość, jak gdyby widziane było oczami plastyka. Znamienny jest np. pod tym względem wywiad z Mie d'Aghonne, popularną autorką romansów, artystokratką wystylizowaną w obrazie Zapolskiej na zjawisko malarskie, gotowa recepta dla współczesnego impresjonisty. Rozkwit francuskiego malarstwa tej epoki staje się dla Zapolskiej bodźcem do zdobywania wrażliwości na plastyczne walory świata, w czym raz jeszcze prezentuje swoje pragnienie dorównania panującym wzorom kulturalnym, bo własnej, autentycznej wrażliwości malarskiej, mimo bezustannych starań, okazać nie umie. Najważniejsze jednak, że wierzy głęboko w wartość tego rodzaju odbierania i opisu świata, który w kilkanaście lat później doprowadzony zostanie do karykatury. Posłuchajmy zresztą: „Na środku komnaty wielkie biurko założone stosami papierów, linijek, gazet, kałamarzyków. Trochę cukierków na spodeczku, w kryształowej czarce blada róża. Dokoła ścian wielkie szafy normandzkie, tragiczne, silne, w brutalności swej poetycznie subtelne." To opis pokoju. Impresjonizm z dodatkiem własnej poetyczności. Jesteśmy w epoce secesji jako stylu życia, to nie jest jeszcze świadome, ale potrzebę stylizacji czuje Zapolska na każdym kroku wraz z epoką.

Tak mniej więcej widzi Zapolska Powszechną Wystawę, tłum na ulicach miasta, wnętrza domów, wsi bretońskie wraz z życiem ich ludności. Jeszcze krótki cytat: „Dziwna ta izba bretońskiej chaty. Mieszanina artystycznych dążeń, brudu i niechlujstwa. Oto szafy doskonałe, liniami rzeźbione delikatnie, oprawne w cyzelowaną miedź, świecącą jak gwiazdy na ciemnym tle dębu. Obok nich brudna kołyska, pełna łachmanów, w niej dziecko spokojne, ciche, owinięte w stosy flaneli, w prześlicznym aksamitnym czepeczku, haftowanym artystycznie złotymi nićmi, na nie czesanej i nie mytej głowie". Fragment ten ujawnia bardzo dobitnie zjawisko stylizacji jako sposobu nobilitacji świata: to, co się autorce podoba, zostaje w opisie poddane zabiegom stylizatorskim i staje się malownicze, reszta jest po prostu brudna i niechlujna.

Ale obok tych wszystkich nasyconych estetyzmem ludzi i przedmiotów istnieje jeszcze jakaś inna sfera zjawisk, gwałtowna, niepokojąca, ta właśnie, która tworzy naturalizm Zapolskiej. Zapolska staje się naturalistką, gdyż broni w sobie czegoś autentycznego, co nie mieści się w pojęciach pięknoduchostwa, ale jest żywe, silne i ciągle daje o sobie znać. Tu tworzy się szczególna wrażliwość autorki na cielesność jako coś przeciwstawnego „celom wyższym", budząca zresztą najczęściej pod piórem uczucia niesmaku, wstrętu, oburzenia, niepokoju, ale bezustannie każąca się widzieć i opisywać. Społecznikostwo w publicystyce autorki *Moralności pani Dulskiej* tworzy się z reguły jako sposób

uzewnętrzniania naturalistycznych zainteresowań. Na ulicy dostrzeże pisarka żebraka i z charakterystyczną pasją zacznie opisywać jego budzący wstręt wygląd, jego łachmany, jego brud, jego śmiech, jego sposób jedzenia, całą jego obcą formom kulturalnym egzystencję. To zresztą jest także krzykiem epoki. Ale tu wrażliwość autorki jest znacznie subtelniejsza, bardziej własna, ta sfera zjawisk działa na nią znacznie silniej. Z wystawy malarskiej biegnie Zapolska do miejsc nasyconych życiem, chaosem, cielesnością, a więc do szpitala dla obłąkanych, do apaszowskich lokali, szuka skandalu erotycznego, pijaństwa, brutalności, wolności wreszcie. Ta młoda korespondentka *Przeglądu Tygodniowego* z zastanawiającą przekorą szukać będzie tematów naruszających mieszczańskie poczucie przyzwoistości i dobrego smaku, opisze wykład patologii, zabawę w szpitalu dla wariatów, nędzę żebraków paryskich. I to na przemian z relacjami z wystaw impresjonistów. Nie, to nie tylko wpływ Zoli. Zapolska zachowuje się w sposób prowokacyjnie antypruderyjny, ale ani na moment nie chce wyrzec się swych kanonów dobrego smaku, opisuje więc po to, aby się oburzyć, okazać swój niesmak, zademonstrować dobry gust. Istnienie duchowe polega u niej na dobrym guście, ale chętniej pokazywać będzie momenty, w których kryterium to zostanie naruszone, niż te, w których zostanie zaspokojone. Zapolska wierzy w dobry gust, ale Paryż ogląda z przekorą, woli się oburzyć niż zachwycić.

Jest w niej nieustająca pasja poznawania świata, przeżycia go w całej urodzie i sile, głód egzotyki, a obok tego ustawiczna obawa kompromitacji, potrzeba ciągłej demonstracji swej dobrej klasy, która każe z przekąsem wyrażać się o rzeczach tanich. Coś jest „po franku", a więc tym samym brzydkie i śmieszne. I ta konwencjonalność kryteriów wszechwładnie panuje we wszystkich opiniach. Instynkt kieruje Zapolską ku zjawiskom zaprzeczającym estetyzującej wizji świata, ale równocześnie miary uznane przez nią są najwyższe, każą okazywać wobec tych zjawisk niesmak. Oto właśnie dwoistość instynktu i kultury, naturalistycznych „skłonności" i estetycznych tęsknot.

Zaznaczyło się to zresztą w późniejszej twórczości dramatycznej. Zapolska wiecznie oburzać się będzie na świat mieszczański, ale świat ten pokona ją, bo narzuci jej swoje przeżycia, swoje sprawy, swój zakres odczuć. Jego granice staną się i jej granicami. Sprzeciw swój umie sobie wyobrazić tylko na miarę pojęć, które zwalczała. Wszyscy jej bohaterowie tęsknią do wyzwolenia i wszyscy wyzwolenie to umieją sobie wyobrazić w kategoriach mieszczańskiego skandalu.

A jak przedstawiają się zainteresowania Zapolskiej od strony merytorycznej? Prób problematyzowania oglądanego życia pisarka nie próbuje nawet podejmować. Chętnie pokazuje swoje upodobania, idee, które pragnie naśladować, ludzi, którzy stanowią dla niej wzory artystycznej twórczości. Antoine — jako twórca teatralny, Zola — jako pisarz, impresjonizm — jako malarstwo — oto krąg tych wzorów. Ale próby własnego uzasadnienia ich wartości, stworzenia sobie jakiejś bazy myślowej nie znajdziemy w pismach publicystycznych. Duży artykuł o Antoinie sprowadza się do kilku najprostszych informacji o zerwaniu z pompierstwem teatralnym, o zespołowości, prostocie, o potrzebie nowych tematów. Podobnie traktuje tak niezwykłe zjawisko cywilizacyjne, jak Powszechna Wystawa w r. 1889. Samo opisanie przedmiotów i osób, które pisarka mogła obejrzeć, rozmiary tej problematyki sugeruje. Jest to mieszczańskie *apogeum*, ostatnia optymistyczna wizja kapitalistycznej zdobywczości. Zmysłu dla momentu historycznego, który tak świetnie umiał np. zademonstrować Prus, Zapolska nie ma zupełnie. Wystawa jest dla niej wielką rekwizytornią egzotyki i wynalazczości, doskonałą okazją dla zademonstrowania swego dobrego gustu, niesmaku wobec produkcji afrykańskich tancerek, pogardy dla tłumu szukającego tu taniej sensacji. Żadnej spostrzegawczości psychologicznej. I to także zaznaczyło się w późniejszej twórczości, nawet w swych najlepszych sztukach łączy Zapolska wszystkie postacie tym samym tonem, nie ma zmysłu dla wewnętrznych komplikacji. W poglądach na kwestie społeczne jest pisarka, jak we wszystkich innych, pod zasadniczym wpływem panujących opinii. Zola i naturaliści każą jej zainteresować się istotami skazanymi na poniewierkę, więc rozpocznie wielką kampa-

nię o służbę domową, bo w zakresie jej doświadczeń tam właśnie odnajdą się odpowiednie bohaterki. Ale z drugiej strony potrafi także Zapolska zademonstrować opinie nawet w jej czasach bardzo ograniczone w swej postępowości (w sprawie odpowiednich dla kobiet zawodów). I w tym jest nam jeszcze pisarka dość bliska, że nieustannie apeluje, wzywa lub potępia. Mało jest w jej publicystycznych tekstach dystansu, refleksyjności, namysłu. Świat jest obiektem nieprzerwanych oburzeń lub uniesień.

Z przeglądu powyższego wynikło po trosze uzasadnienie wartości wydanych tekstów. To już prawo słowa pisanego. Ktokolwiek zainteresuje się Zapolską, musi jej publicystykę poznać, bo tutaj zarysowuje się profil tej osobowości. W tym sensie i dla historii literatury nie są to rzeczy pozbawione znaczenia. Ale autentyczne zainteresowanie czytelnicze wywołać mogą tylko jako dokument, pokazujący bardzo zdradliwie, jak tworzą się paryskie gusta naszych pisarzy, jakimi drogami przychodzić może literacka inspiracja i jak zabawnie może się załamać we własnych doświadczeniach życiowych. I wreszcie, jak bezlitosne jest słowo pisane w demaskowaniu osobowości autora.

Włodzimierz Maciąg

Z MIŁOŚCIĄ DO HELLADY

Ludwik Hieronim Morstin: *Tetralogia antyczna. (Penelopa, Obrona Ksantypy, Kleopatra, Panteja).* Kraków 1959. Wydawnictwo Literackie; str. 440.

W swoich wspomnieniach opowiada Ludwik Hieronim Morstin, że wraz ze Stanisławem Estreicherem prowadzili długie, improwizowane, żartobliwe rozmowy — po łacinie. Rozmawiali sobie mową Cycerona czy Juliusza Cezara, jakby to był język ich dzieciństwa, jakby się urodzili nad Tybrem.

Gdy mowa o twórczości Morstina — warto pamiętać, że jest on entuzjastą świata antycznego, a szczególnie Hellady. Jest sztuką niezwykłą nauczyć się tak wspaniale języka, którym mówiono przed wiekami. Ale sztuką jeszcze większą wydaje mi się — języka tego nie zapomnieć. Estreicher i Morstin mogli tak biegle — i bez wysiłku — gawędzić po łacinie, ponieważ obaj kochali wszystko co starożytne. Krakowskie Wydawnictwo Literackie, publikując *Dzieła* Morstina, rozpoczyna czterema sztukami antycznymi, a jako tom następny zapowiada: *W kraju Latynów* i *Dziwy kultury antycznej.* Dla Morstina jako pisarza starożytność — a szczególnie Hellada — nie jest ani pretekstem, ani punktem wyjścia, ani elementem wielkiej historycznej metafory. Jest jednym z głównych motywów, niekiedy nawet — głównym celem artystycznym. W jego *Kleopatrze* chodzi przede wszystkim o epokę historyczną, w której cywilizacja egipsko-hellenistyczna doznawała konfrontacji z zupełnie odmienną, choć przejmującą niektóre pojęcia, kulturą republiki rzymskiej. W prologu do *Pantei* Morstin zwraca się z bardzo znamienną inwokacją:

> Muzo, daj mi godzinę pieśni, co opowie,
> Jak kochali i żyli dawni Hellenowie.

To znaczy, że w sztukach Morstina historyczna rzeczywistość helleńska jest istotnym elementem działania dramatycznego, a nie przenośnią.

Nie wiemy dokładnie, jak wyglądała ta rzeczywistość. Lecz dokumenty są dostatecznie obfite, by ją sobie móc — dramatycznie w y o b r a z i ć. Najbardziej typowym przykładem wydaje się Morstinowska *Kleopatra.* Dziewczyna bardzo młoda, ambitna, bezwzględna, inteligentna, chciwa wiedzy, pojętna, przenikliwa i bystra znalazła się w sytuacji politycznej bardzo skomplikowanej. Dzieli władzę absolutną w swym Egipcie z nieletnim bratem, za którym

stoi grupa lekkomyślnych dworaków. A wszystko to dzieje się, jak na podminowanym gruncie; legiony Juliusza Cezara stoją już u wrót Egiptu, lud sprzyja Rzymianom. Kleopatra rozumie beznadziejność sytuacji, nie chce brać udziału w lekkomyślnych i dziecinnych zaczepkach, opuszcza Aleksandrię, którą niebawem bez oporu zajmą legiony Cezara. Ale kilka dni później potrafi Kleopatra przekraść się podstępem do swego własnego królewskiego pałacu (gdzie stanął na kwaterze rzymski wódz), znaleźć się w jego komnacie, oczarować go i uwieść. Akty dalsze — to walka Kleopatry, już przez Cezara przewiezionej do Rzymu, o utrzymanie pozycji własnej i urodzonego Cezarowi syna. Senatorowie rzymscy nienawidzą Kleopatry, gdyż dostrzegają w niej inspiratorkę nowych koncepcji cywilizacyjnych i politycznych. Cezar umieścił w świątyni rzymskiej posąg „bazylissy" Kleopatry jako bogini. Obyczaj Bliskiego Wschodu — którego dziedzicem stanie się potem Bizancjum — polega m. in. na deifikacji władcy czy jego otoczenia. Konserwatywna mitologia rzymska przeciwstawiała się tym pojęciom, choć nie mogła przeciwdziałać rozkładowi starej obyczajowości. Polityczny plan Kleopatry, która w sztuce Morstina śmiało sięga po stanowisko „króla świata" i dla Cezara, i dla swego syna, miał być ukoronowaniem owego podboju zwycięzców przez zwyciężonych, Rzymian przez zhellenizowany Wschód. Słynne Idy Marcowe są więc w tej sztuce klęską nie tyle samego Cezara (który tylko połowicznie i nie bez oporów podąża za ambitnymi planami Kleopatry), co samej egipskiej „bazylissy", która z tej katastrofy unosi głowę — dzięki protekcji podobającego się jej Marka Antoniusza. Ale klęska zdaje się być tylko odroczeniem nieuchronnych wydarzeń, wynikających z logiki historycznego rozwoju.

Kleopatra jest nie tylko główną postacią tego bardzo interesującego dramatu. Jest także prawdziwą jego protagonistką, głównym motorem akcji dramatycznej, wyrazicielką głoszonej tu filozofii. „Świat jest ogniem wiecznie żyjącym, według miary zapalającym się, a ty, bazylissa, tego ognia jasnym płomieniem" — mówi do Kleopatry jej mistrz, astronom Archibias. Istotnie Kleopatra jest „jasnym płomieniem... wiecznie żyjącego ognia", czyli wyznawczynią dialektyki przemiany i rozwoju. Juliusz Cezar jest tylko jej — jak u Wildera — rozumnym i sceptycznym partnerem. Lecz myślę, że dominująca rola Kleopatry w tym dramacie wynika przede wszystkim z pewnych właściwości całej niemal dramaturgii Morstina. Zważmy, że w każdej ze sztuk, zaprezentowanych w tetralogii (a podobnie jest i w niektórych sztukach współczesnych), rolę przewodnią obejmują k o b i e t y. *Obrona Ksantypy* (którą omawiałem obszerniej w *Twórczości* z lipca 1957 r.) to pojedynek Sokratesa i Ksantypy, to jest zajętego wyłącznie rozkoszą dociekań mężczyzny i broniącej swych praw uczuciowych kobiety; walka i klęska bohaterki wydają się właściwym tematem tej klasycznej już u nas komedii. *Panteja* — to dramat wierności, mocniejszej nawet niż pragnienie, namiętność i miłość. *Penelopa*, napisana w 7 lat potem, podejmuje temat wierności w sposób o wiele bardziej komediowy i przekorny. Sztuka ta (chyba niesłusznie nazwana przez autora dramatem) przybiera formę „pojedynku" psychologicznego między kobietą a mężczyzną. Penelopa, czekając długie lata na Odysa, zdradziła go fizycznie, ale ocaliła głębokie swe przywiązanie uczuciowe, bogactwo wspomnień, których ani nie może, ani nie chce zniszczyć. Natomiast przygoda z młodym zalotnikiem ma w jej życiu znaczenie tak przelotne i powierzchowne, że bez trudu i najmniejszego żalu — da się zlikwidować. Penelopa nie ma najmniejszych wątpliwości, że z chwilą powrotu Odysa, on tylko jest ważny w jej życiu (podobnie jak dla Ksantypy — Sokrates). Istotna walka na tym polega, aby on uwierzył. Kobieta ma tę początkową przewagę, że jest bez porównania bardziej spostrzegawcza, praktyczna i sprytna od najchytrzejszego z homeryckich bohaterów. Triumfuje więc bez trudu nad nieufnością i dość naiwnymi podstępami swego partnera. Ale oto w pewnej chwili, rozdrażniona kłamliwymi przechwałkami Odysa o jego poprzednich przygodach (np. z Nauzykaą, Kalipso, Cyrce), Penelopa sama wyznaje Odysowi, że go zdradziła. Zwycięża potem częściowo zwątpienie przez siebie wywołane — ale Odys już nigdy nie odzyska pełnego, stuprocentowego zaufania. Mimo przewagi Penelopy, jej pojedynek z Odysem kończy się niemal nie-

rozegraną, wskutek — nadmiaru jej kobiecej wirtuozerii.

Widziałem kiedyś w jednym z muzeów francuskich stary obraz, przedstawiający wylądowanie Odysa na wyspie Feaków. Bohater homerycki ma wielką i dziką brodę, głowę nieproporcjonalną w stosunku do tułowia; Nauzykaa, raczej kobieca niż dziewczęca, mówi coś do niego nie bez przerażenia, z piersią odkrytą, resztą ciała zasłoniętą grubym jakimś kocem; dziewczęta grają w piłkę, nagie, jakby nie dostrzegały spotkania Odysa i ich pani. Zdaje mi się, że ten obrazek wcale nieźle odpowiada naszym wyobrażeniom o Helladzie klasycznej. Nie ma tu sztucznych upiększeń, dużo jest nieprzymuszonej naiwności i świeżości.

Morstin, ukazując Grecję w swej tetralogii postępuje podobnie. Anachronizm historyczny — jako świadomy element artystyczny — nie odgrywa u niego większej roli. Zastępuje go próba rekonstrukcji obyczajowej. Charakterystyczny jest motyw gry w piłkę — królowej ze służebnicami — powracający kilkakrotnie w sztukach Morstina (np. w *Kleopatrze*, w *Pantei*). Morstin żyje, bardzo intensywnie, wrażeniami zaczerpniętymi z oglądania słynnych waz greckich czy z lektury Homera.

Wojciech Natanson

PRZEMÓWIENIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA NA III ZJEŹDZIE PISARZY RADZIECKICH

Drodzy Przyjaciele!

Z ogromną radością staję na tym miejscu, aby zebranym na III Zjeździe pisarzom radzieckim przynieść pozdrowienie nie tylko w imieniu delegacji polskiej, ale także w imieniu wszystkich pisarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Chciałbym Was także pozdrowić od wszystkich polskich czytelników literatury radzieckiej — a to znaczy od całego polskiego narodu, od najmłodszych do najstarszych obywateli.

Drodzy Przyjaciele!

Literatura radziecka zarówno w imię swoich wspaniałych tradycji, jak też dzięki dzisiejszemu swemu rozmiarowi i znaczeniu, dzięki swemu płomiennemu umiłowaniu rzeczywistości i życia zajmuje wybitne miejsce wśród wszystkich literatur świata. Ma ona ogromne znaczenie dla wszystkich czytających ludzi na całym świecie. Cóż dopiero mówić o nas, pisarzach polskich, których nawet w ciężkich momentach naszej wspólnej historii łączyły niezmienne węzły przyjaźni z pisarzami rosyjskimi, ukraińskimi, białoruskimi, litewskimi i pisarzami innych narodów radzieckich. A przecież literatura obu naszych narodów — jak to określił wczoraj Konstanty Fiedin — jest nierozerwalnie związana z biegiem naszych dziejów. Nie będę tutaj powtarzał ogólników na temat tyle razy przytaczanych stosunków pomiędzy Waszymi poetami a naszymi, pomiędzy Waszymi prozaikami a naszymi. Częstokroć łączyły ich przyjazne stosunki, chociaż dzieliły wtedy nasze dwa narody nieszczęsne nieporozumienia.

Ale zatrzymam się chociażby chwilę na tych pisarzach, którzy wchodząc w skład naszej delegacji, goszczą teraz wśród Was. Wszyscy, jak jesteśmy, posiadamy wśród Was przyjaciół; drogich nam ludzi, z którymi znajdujemy wspólny język i porozumiewamy się przyjacielsko.

Nasze poglądy i różnice zdań na temat roli literatury w socjalistycznym społeczeństwie czy też, jak u nas, w społeczeństwie budującym socjalizm, staraliśmy się zawsze wyjaśnić w pełnych wzajemnego zrozumienia rozmowach. Mam nadzieję że i nadal ten ton przyjacielskiej poufności będzie panował we wszelkich naszych kontaktach.

Chociaż jesteśmy sąsiadami, chociaż los sprzęgnął nas na zawsze, a wspólne drogi łączą w tylu sprawach — trzeba przyznać, że nie wszystko jeszcze jest zrobione, abyśmy siebie jak najlepiej poznali. A poznać to znaczy zrozumieć. Myślę, że droga kontaktów osobistych, droga rozmów jednego pisarza z drugim, droga odwiedzin i przyjacielskich pogawędek, chociażby i przy flaszce dobrego wina — za mało została jeszcze przez nas wyzyskana dla wzajemnego poznania się.

Mówię to z własnego doświadczenia. Moja zeszłoroczna letnia podróż z żoną do Moskwy i do Kijowa niewątpliwie przyczyniła się — przynajmniej w moim sercu — do wzbudzenia tego rodzaju przyjaźni, której naruszyć nie mogą żadne zdarzenia ani bieg wszystko zamazującego czasu. Myślę, że radzieccy pisarze także powinni przyjeżdżać do nas, do Warszawy, do Krakowa — aby poznać nasz styl życia, nasz sposób myślenia, nasze reakcje na zagadnienia ar-

tystyczne i kulturalne — i oczywista także, aby bardziej pokochać nasze książki.

Chcielibyśmy się też niejednego nauczyć od Was. A przede wszystkim tej umiejętności rozpowszechniania książek i zdobywania mas czytelniczych, zainteresowania, a zwłaszcza wielkiego szacunku dla pracy pisarskiej, jaki jest powszechny w Związku Radzieckim.

Polska dążąc do podniesienia poziomu oświaty, budując tysiąc szkół dla uczczenia tysiąclecia naszego państwa chciałaby także postawić czytelnictwo książek na takim poziomie, na jakim jest ono u Was.

Będziemy się przysłuchiwać Waszym obradom z wielkim zainteresowaniem i wielką uwagą. Literatura polska — odmienna od Waszej w swych tradycjach — może z tych dysput wyciągnąć niejedną praktyczną wskazówkę, jak wyzyskać przełomy społeczne i narodowe dla stworzenia i kontynuowania rewolucji kulturalnej, od której zależy przyszłe szczęście Waszego i naszego narodu.

Literatura w naszym pojęciu to jest tarcza obronna w walce o wolność, o doskonalenie się, o humanistyczne ideały ludzkości. Życząc Wam owocnych obrad, życzę Wam także, aby przyniosły one dobry urodzaj dla piękna, dla prawdy, ważne uchwały dla socjalizmu, dla pokoju, aby sprzyjały wolności myśli twórczej — jednym słowem, aby odezwały się one głębokim echem w sercach wszystkich ludzi dobrej woli, których oczy w dniu dzisiejszym skierowane są ku tej sali.

PRZEGLĄD PRASY

Nowa Kultura i *Polityka* przedrukowały znaczne fragmenty odczytu Louis Aragona o realizmie socjalistycznym. Jakie są zasadnicze tezy odczytu? Przede wszystkim autor *Komunistów* określa intelektualno-moralną postawę pisarza, wypowiada się przeciwko — tak można powiedzieć — zasadzie niezłomnej konsekwencji, przeciwko zasadzie wierności, która jest obca sztuce, obca myśleniu: „Znam ludzi, którzy poznali prawdę już w kołysce, którzy nigdy się nie mylili, którzy przez całe swoje życie nie musieli uczynić ani jednego kroku naprzód... Wiedzą, co jest dobre, wiedzieli to zawsze. Wobec innych są surowi i nieufni, zabezpieczając w ten sposób swoje triumfalne posiadanie racji"... Postawie dogmatycznej przeciwstawia pisarz niepokój, pasję odkrywania, poszukiwania: „Interesuje mnie rozmaitość dróg ludzkich, etapy myśli zdążającej do światła szlakami mniej pewnymi i — co więcej — mam przeświadczenie, że moje światło zgasłoby we mnie, gdybym je miał posiadać sam jeden...".

Następnie Aragon rozważa stosunek ideologii do literatury. Nie uważa utworu literackiego za jednoznaczny wyraz ideologii. Utwór artystyczny jest dla niego dokumentem niepokoju, czułym sejsmografem, nie zaś deklaracją. Uznaje rozróżnienie między pewną koncepcją sztuki, która jest z góry podjęta, a utworem konkretnym, który jest zawsze czymś różnym od teorii, jaka go wyprzedza. Utwór konkretny zawsze, z natury swej niejako, nie dorasta do teorii a zarazem przerasta ją. Sprawia jednocześnie zawód i niespodziankę. Pozostawia niedosyt, ale jednocześnie olśniewa perspektywą, której nie mógł przewidzieć teoretyk. Pisze więc Aragon: „Opowiadam się za pewną koncepcją sztuki, która odpowiada mej ogólnej koncepcji świata — socjalizmowi. Ale realizm socjalistyczny — by nazwać koncepcję tę po imieniu — nie jest koncepcją sztuki ustaloną raz na zawsze, której się można nauczyć, na którą można układać recepty... Właśnie w książkach, które ani śnią o tym, by mogły uchodzić za prezentacje realizmu socjalistycznego, znajduję najczęściej elementy, które, zbadane w świetle tego właśnie realizmu, rozwijają mój zmysł krytyczny i zbliżają do sztuki, którą przekonania moje każą mi uważać za wiodącą naprzód... Żal mi tego, który nie może strawić w książce idei innych niż swoje własne...".

Przestrzega następnie przed kastowością literatury, która grozi w chwili, gdy dyscyplina ideologiczna wąskiej gru-

py staje się wyłączną regułą tworzenia. „Realizm socjalistyczny jest skrzydłem wiodącym do literatury, ale to suponuje (przekład *aw* z *Nowej Kultury!*), że literatura istnieje poza tym skrzydłem. Jeśli przeprowadzicie w literaturze cięcie pomiędzy was i »resztę«, odetniecie po prostu ciało od tego skrzydła i skrzydło nie będzie niczym więcej, jak amputowaną kończyną. A ponieważ już nie będzie styku między literaturą a nim, realizm socjalistyczny nie powita już w swych szeregach nowych pisarzy, którzy dotąd pisali inaczej... To nie literatura zniknie wtedy, ale realizm socjalistyczny."

Podkreślając, że realizm socjalistyczny jest koncepcją otwartą, że będzie „tym, czym go uczynimy", Aragon stwierdza następnie, że jest on właściwie w pewien sposób niezależny od woli i działania poszczególnych pisarzy czy grup. Nikt go nie może uratować i nikt go nie zdoła pogrzebać. Rodzi się razem z epoką, razem z historią, która jest nieodwracalna. „Jesteśmy pisarzami czasów socjalizmu, wszyscy, jacy byśmy nie byli, niezależnie od naszej świadomości. Do nas należy wybór metody pisania, stylu dzieła... Realizm socjalistyczny jest koncepcją organizowania faktów w literaturze."

To ostatnie stwierdzenie raczej dziwi. Z poprzednich wywodów wydawałoby się, że Aragon pojmuje realizm socjalistyczny jako pewną świadomość historyczną. Świadomość przemian historycznych, przekonanie o słuszności ich kierunku. W ostatnim fragmencie pojawia się jednak twierdzenie, że chodzi tu o określoną poetykę. Wydaje mi się, że istota nieporozumienia tkwi w tym, że dla pisarza francuskiego realizm socjalistyczny jest sprawą przede wszystkim artystyczną, sprawą metody ujmowania zjawisk. Pisarz francuski odczuwa potrzebę znalezienia się ze swą sztuką i ze swą ideologią przede wszystkim pośród literatury francuskiej, w gąszczu idei i teorii, w tłumie indywidualności i stylów. W odczycie tym chodzi mu właściwie o możność rozegrania równej walki z pisarzami, którzy mu są obcy, ale których podziwia. Broni się przed wytrącaniem mu oręża z ręki przez dogmatyków. Jest to więc odczyt przede wszystkim *pro domo sua*. Istotna problematyka realizmu socjalistycznego zaczyna się przecież w społeczeństwie socjalistycznym. Są to zagadnienia komunikatywności i aktualności dzieła literackiego. Sprawa jego funkcji wychowawczej. Sprawa trudnej do określenia granicy, jaka przebiega między realizmem a tendencją. Sprawa tradycji i nowatorstwa wygląda zupełnie inaczej, gdy rozpatrywać ją teoretycznie, inaczej, gdy ustawić ją na tle postulatu masowości sztuki. Sprawa stosunku do innych ideologii oraz do innych kierunków artystycznych jest prosta na terenie Francji, nie jest prosta w kraju, gdzie osiągnięcia literatury zachodniej są obce, nie wchłonięte przez kulturę publiczną, szokują, wywołują reakcje, których by się nikt nie spodziewał. Aragon rozpatruje zagadnienie realizmu socjalistycznego w aspekcie swej własnej sytuacji na terenie literatury francuskiej. Trzeba ją natomiast rozpatrywać w aspekcie sytuacji pisarzy w krajach Europy wschodniej — sytuacji, którą tworzy nowy czytelnik oraz nowy mecenas sztuki, jakim jest państwo socjalistyczne.

Mimo to jednak wypowiedź Aragona ma ogromne znaczenie dla sprawy, która w ciągu ostatnich lat nabrała dla literatury radzieckiej i dla literatur wschodnio-europejskich olbrzymiego znaczenia. Jest to po prostu sprawa koegzystencji literackiej i światopoglądowej. Koegzystencja na terenie polityki jest jedną z wielu możliwości. Koegzystencja na terenie kultury jest koniecznością. Bez niej kultura obumiera albo przynajmniej degeneruje się. Aragon rzuca propozycję, której formuła brzmi — powtórzmy: „Realizm socjalistyczny jest koncepcją otwartą... Będzie tym, czym go uczynimy".

I jeszcze jedno. O realizmie socjalistycznym przestano u nas mówić z chwilą, kiedy zgodzono się z tym, że nie stanowi on dogmatycznego zespołu nowej sztuki, której uprawianie daje nagrody państwowe oraz wysokie nakłady. Ale to nie znaczy, że nie istnieje problematyka sztuki w epoce socjalistycznych przemian. Problematyka ta istnieje, z pewnością w większym stopniu dla nas niż dla Aragona.

Andrzej Kijowski

ŚWIADOMOŚĆ ZREIFIKOWANA

Perypetie pojęcia alienacji od chwili jego pojawienia się w systemie heglowskim wydają się z wielu względów godnymi zainteresowania. Jest bowiem coś zastanawiającego w fakcie, że moneta wybita w mennicy berlińskiego myśliciela i przyjmowana pierwotnie tylko w obrębie jego królestwa idei, poza granicami którego odrzucano ją jako bezwartościową, ma dziś obieg niemal uniwersalny w sferze rozważań o człowieku. Posługują się nią egzystencjaliści i fenomenologowie, filozofowie katoliccy i psychoanalitycy, nie mówiąc już o marksistach, którzy walnie przyczynili się do tego, że zyskała ona pełne pokrycie i szerokie uznanie. Albowiem właśnie dzięki ich teoretycznej działalności w przeciągu stu pięćdziesięciu lat znaczenie pojęcia alienacji uległo metamorfozie wręcz zasadniczej: kategoria systemu spekulatywnego przekształciła się w termin opisujący realną sytuację ludzką.

Studium Lucien Goldmanna*, traktujące o teorii reifikacji Marksa i Lukácsa jest właśnie próbą wydobycia konkretnej, ludzkiej treści problematyki alienacyjnej poprzez ukazanie „psychicznych i intelektualnych konsekwencji istnienia produkcji rynkowej w czystym społeczeństwie kapitalistycznym — monopolistycznym lub liberalnym — przy słabej interwencji ekonomicznej państwa". Goldmann rozpatruje zatem pewien model, który nigdy nie zrealizował się całkowicie, dokonuje, jak sam uprzedza, analizy schematycznej, a przeto statycznej i abstrakcyjnej. Analiza ta wydaje się jednak tak ciekawa, że zasługuje na wnikliwą prezentację, zwłaszcza że pozwala ona na zorientowanie się w wartości dyrektyw metodologicznych marksizmu dla badań nad współczesnym społeczeństwem.

Doniosłość marksowskiej teorii reifikacji polega, zdaniem Goldmanna, na tym, że ona jedynie pozwala zrozumieć spójność wszystkich tekstów Marksa, dotyczących stosunków między „bazą" a „nadbudową", ponieważ umożliwia ustalenie stanowiska zajmowanego przezeń wobec kwestii od lat dyskutowanej przez marksistów: czy świadomość pełni rolę aktywną, czy też jest ona tylko odbiciem? Żadna ze stron tej alternatywy, twierdzi Goldmann, nie pokrywa się całkowicie z poglądem Marksa, który przedstawia się wedle niego następująco: „Zarówno indywidua, jak grupy społeczne, stanowią całości, w obrębie których można tylko arbitralnie izolować pewne sektory i czynić z nich realności autonomiczne. Nie ma tedy myśli niezależnej od zachowania się czy uczuciowości, podobnie jak nie ma zachowania się niezależnego od myśli... W ostatniej instancji myślenie, zachowanie się i uczuciowość osobnika stanowią jedność konkretną i znaczącą. Co najwyżej, gdy chodzi o indywiduum, dodać należy, że owa jedność strukturalna przechodzi przez wielką ilość mediacji, których podmiot na ogół nie jest świadomy i które z tej racji są trudne do wykrycia, podczas gdy niewątpliwie o wiele łatwiej jest ukazać koherencję rządzącą zachowaniem się, uczuciowością czy świadomością grupy społecznej, w łonie której niezliczone indywidualne odchylenia wzajemnie się anulują".

Tak pojmowana koncepcja Marksa implikuje pogląd, że nie istnieje autonomiczna historia gospodarki, myśli, religii, a nadto, że jeśli ujmuje się proces dziejowy w jego całokształcie, to nie można uznać żadnej poszczególnej sfery życia społecznego za wyznaczającą ten proces w sposób konieczny. Wynikałoby stąd z kolei, że twierdzenie o prymacie czynników ekonomicznych oznacza u Marksa tyle tylko, iż w historii minionej ludzie musieli poświęcać większą część swej działalności na rozwiązywanie problemów dotyczących wytwarzania i dystrybucji dóbr materialnych, co prowadziło do kształtowania się prymatu gospodarki jako dynamicznego czynnika postępu historycznego. „Chodzi tu jednak o prymat faktyczny, nie zaś wynikający z zasady, prymat, który zaniknie naturalnie w dniu, w którym zdobywanie bogactw materialnych, dzięki rozwojowi sił produkcyjnych

* Lucien Goldmann: *La Réification, Les Temps Modernes*, 156—157, luty—marzec 1959; str. 1433—1474.

i przemianie struktury społecznej przejdzie na drugi plan w działalności jednostek. Jest to słynny »skok« z królestwa konieczności do królestwa wolności."

Jest rzeczą oczywistą, że taka interpretacja marksowskiej tezy o szczególnej roli czynnika ekonomicznego pozwala na odrzucenie poglądu stwierdzającego pasywność świadomości i myśli teoretycznej wobec działalności gospodarczej. Zdaniem Goldmanna nie można jednak uznać na tej podstawie teorii świadomości-odbicia za całkowicie fałszywą, wyraża ona bowiem pewien typ relacji między infra- a super-strukturą, ten mianowicie, który jest właściwy klasycznemu społeczeństwu kapitalistycznemu. W społeczeństwie tym bowiem „świadomość zmierza coraz bardziej do stania się zwykłym odbiciem, do zatracenia wszelkiej funkcji aktywnej, w miarę jak proces reifikacji, nieuchronna konsekwencja gospodarki rynkowej, rozszerza się i przenika od wewnątrz wszystkie nieekonomiczne sektory myślenia i uczuciowości. Religia, moralność, sztuka, literatura nie są w zasadzie ani realnościami autonomicznymi, niezależnymi od życia gospodarczego, ani jego zwykłymi odbiciami. W świecie kapitalistycznym zmierzają one jednak do stania się nimi właśnie, w miarę jak są one od wewnątrz pozbawiane autentyczności, z powodu zjawienia się autonomicznej sfery gospodarki, która usiłuje zawładnąć w sposób wyłączny wszystkimi przejawami życia ludzkiego".

Opis tego procesu wyjaławiania świadomości i podporządkowywania jej sobie przez zautonomizowaną działalność ekonomiczną rozpoczyna Goldmann od przypomnienia istotnych cech gospodarki rynkowej, co — jako że sprawy te są nader szeroko znane — można spokojnie pominąć, ograniczając się jedynie do przytoczenia wniosków, które z tej charakterystyki wynikają.

„W wielu tekstach Marks podkreśla fakt, że tym, co w gospodarce towarowej charakteryzuje wartość wymienną, jest przekształcanie przez nią stosunku między pracą konieczną dla wytworzenia jakiegoś dobra a samym tym dobrem w obiektywną jakość przedmiotu. Jest to właśnie proces reifikacji.

Co znaczy ten termin? Na pewno nie to, że »wartość« może stać się jakością rzeczy analogiczną do jej barwy, twardości, zapachu itd. Chodzi naturalnie o proces społeczny, który sprawia, że w gospodarce rynkowej wartość przedstawia się świadomości ludzi jako obiektywna jakość towaru. (...)"

W gospodarce nietowarowej tym, co skłania ludzi do poświęcenia części ich wysiłku na wytwarzanie pewnych dóbr materialnych, są ich cechy naturalne — wartość użytkowa.

W świadomości członków społeczeństw przedkapitalistycznych praca abstrakcyjna nie daje się oddzielić od swych konkretnych przejawów, jest jakościowo czym innym godzina pracy feudała niż godzina pracy poddanego. Nikomu nie może przyjść tedy na myśl porównanie obu tych prac i stwierdzenie, że godzina jednej z nich „warta" jest więcej niż godzina drugiej. Z tejże racji nikt nie przedstawia sobie tego porównania w postaci stosunku abstrakcyjnej, jakościowo identycznej, a różniącej się jedynie ilościowo — wartości dwóch dóbr. W gospodarce towarowej natomiast, gdzie spożycie dóbr musi być poprzedzone przez wystawienie ich na rynku, dobra te są przyrównywane do innych pod kątem czysto ilościowym, jako wartości wymienne. Ulegają one przeto gwałtownemu rozdwojeniu i ukazują niejako dwa oblicza, pozornie od siebie niezależne: „wartość użytkową, która interesuje jedynie ostatniego spożywcę, gdy towar opuścił już rynek; i wartość wymienną, jakościowo identyczną dla wszystkich towarów i różniącą się tylko co do ilości", umożliwiającą dzięki temu ich porównanie i wymianę. Podobnemu rozdwojeniu ulega również praca niezbędna dla wytworzenia owych towarów, w której wyodrębniają się dwa składniki: konkretna praca szewca, krawca czy innego wytwórcy, tworząca wartości użytkowe, i praca abstrakcyjna, będąca tylko wydatkowaniem energii ludzkiej, która jest u wszystkich producentów jakościowo identyczna i tworzy wartości wymienne. Rozróżnienie tych dwóch aspektów pracy w gospodarce towarowej Marks uważał za jedno ze swych największych odkryć.

Wynikające z tego rozdwojenia, rzecz jasna, przy założeniu idealnego kapitalizmu wolnokonkurencyjnego, dwa zjawiska, mianowicie przeobrażenie się każdego indywiduum, występującego

bądź w roli sprzedawcy, bądź nabywcy w doskonałego egoistę, oraz pozbawienie towaru w czasie jego znajdowania się w sferze stosunków międzyludzkich na rynku wszelkich atrybutów konkretnych, które odzyskuje on dopiero, gdy trafia do właściwego konsumenta, te dwa zjawiska mają kapitalne znaczenie dla struktury psychicznej ludzi żyjących w świecie kapitalistycznym. Przede wszystkim muszą one doprowadzić do zerwania bezpośrednich stosunków pomiędzy ludźmi a naturą", z tej racji, że wartość wymienna abstrahuje od wszelkich jakości zmysłowych i uznaje jedynie ilościowe różnice między przedmiotami. Jakościowe aspekty przyrody wymykają się przeto coraz bardziej zrozumieniu ludzi, a wrażliwość na nie staje się przywilejem „poetów, dzieci i kobiet", czyli osobników z marginesu życia gospodarczego. Proces ten wszakże nie jest wyłącznie negatywny, sprzyjał on na przykład rozwojowi atomizmu i fizyki mechanistycznej, przeczącej realności jakości zmysłowych i redukującej świat fizykalny do elementów ilościowych i rozciągłych. Podobnie przemiany stosunków między ludźmi nie są wyłącznie negatywne. Stworzeniu fizyki naukowej odpowiada w płaszczyźnie stosunków społecznych afirmacja wolności indywidualnej jako wartości oraz pojęcie sprawiedliwości jako uznanego prawa osobnika do czynienia w sferze jego wolności wszystkiego, co nie narusza wolności innych. Niemniej przeto indywiduum, w szczególności robotnik, przestaje być odmienną od innych osobowością, przekształcając się w wytwórcę towarów, wartości wymiennych, a zatem w zamienny element racjonalnego rachunku. Praca jego traci znamiona indywidualne i przedstawia się jako działalność anonima, która kosztuje określoną kwotę i przynosi określony zysk. Zjawisko to rozciąga się na stosunki między przemysłowcami czy handlowcami, co sprawia, że wymiana między poszczególnymi członkami społeczeństwa, przejrzysta i jasna we wszystkich innych formach organizacji społecznej, przybiera tu formę atrybutu rzeczy martwych — ceny. „Zasadniczym zjawiskiem społecznym w społeczeństwie kapitalistycznym jest przekształcenie jakościowych stosunków ludzi w ilościowe atrybuty rzeczy bezwładnych, manifestowanie się niezbędnej dla wytworzenia pewnych dóbr pracy społecznej jako wartości, jako obiektywnej jakości tych dóbr, reifikacja, która z kolei rozszerza się progresywnie na całokształt życia psychicznego ludzi, w którym wytwarza przewagę elementów abstrakcyjnych i ilościowych nad konkretnymi i jakościowymi."

Obok tej reifikacji, badanej przez Marksa i wyrastającej z gospodarki towarowej, skonstatować można z pewnym prawdopodobieństwem wzmacnianie przez kapitalistyczną strukturę ekonomiki autonomii świata rzeczy wobec rzeczywistości ludzkiej. „W każdym społeczeństwie działalność społeczna jest ściśle powiązana z przedmiotami fizycznymi. Ludzie oddziaływują zespołowo na rzeczywistość nie-ludzką, a rzeczywistość ta zmienia się stale pod ich wpływem. Aby móc oddziałać na tę rzeczywistość, ludzie zmuszeni są w każdym społeczeństwie do oddzielania poznawczego aspektu rzeczywistości fizycznej od ich aktywnych lub afektywnych z nią stosunków, tworząc tedy pewien świat rzeczy, o którym można mówić w sposób teoretyczny, w sposób stwierdzający. Jest również prawdopodobne, że, aby to osiągnąć, byli oni zmuszeni do wiązania tych stale zmieniających się obrazów, którymi są bezpośrednie dane empiryczne, z pojęciowymi niezmiennikami, wśród których jednym z najważniejszych dla życia codziennego jest kategoria przedmiotu, rzeczy."

Jednakże stosunek między tymi niezmiennikami a ogólnym procesem stawania się ma odmienną strukturę w świadomości odmiennych społeczeństw i wydaje się, że w społeczeństwie kapitalistycznym autonomia rzeczy wobec działania ludzi i stawania się jest szczególnie daleko posunięta.

Pierwszą i najważniejszą konsekwencją reifikacji w nie-ekonomicznych dziedzinach życia jest zrodzenie się współczesnego państwa biurokratycznego. Rozwój produkcji kapitalistycznej powyżej pewnego poziomu staje się, jak to zauważył już Max Weber, niemożliwy bez zinstytucjonalizowanej administracji i sprawiedliwości, których decyzje, jako rządzone przez zasady abstrakcyjne i formalne, dałyby się przewidywać z góry, nie mogłyby natomiast być kwestionowane w każdym poszczególnym przypadku, nawet

w imię racji humanitarnych. Jakkolwiek ukształtowanie się formalnej sprawiedliwości miało niewątpliwe aspekty pozytywne, gdyż w poważnej mierze redukowało arbitralność władzy jednostkowej, wyeliminowało ono wszakże z działalności aparatu sądownictwa wszelkie względy ludzkie, zastępując je przez bezosobowe, abstrakcyjne i zreifikowane prawa.

Rzecz jasna, podstawowe stosunki międzyludzkie zachowały się pomimo reifikacji: piekarz piecze chleb, który będzie zjedzony przez szewca, ten zaś robi buty, w których chodzić będzie również i piekarz. Atoli funkcje te wykonywane są niejako potajemnie, albowiem bardzo często znikają one całkowicie ze świadomości ludzi, tracą bezpośredni kontakt z motywami ich codziennego postępowania. „W sposób bezpośredni sędzia stosuje prawo, piekarz piecze chleb, aby go sprzedać i otrzymać pieniądze. Dla sędziego oskarżony jest tylko bytem abstrakcyjnym; dla piekarza nabywca jest swego rodzaju automatem, który wchodzi do sklepu, bierze towar i kładzie pieniądze na kontuarze. A zresztą sam piekarz, w większej części swego życia i swej osobowości, jest tylko automatem, który robi coś przeciwnego."

Tak więc w sferze życia publicznego normalne stosunki międzyludzkie są stale przesłaniane przez ten podstawowy fakt, że jedna rzecz martwa — towar — ulega wymianie na inną rzecz martwą — pieniądz. „W prywatnej sferze stosunków rodzinnych i przyjacielskich — sferze bardziej odległej od wszelkiej działalności ekonomicznej, a nawet wszelkiej działalności publicznej — solidarnościowe wartości ludzkie są jednakże mniej zniekształcone, a władza reifikacji, jakkolwiek realna, mniej zaakcentowana. Rodzi to dualizm psychiczny, który staje się jedną z podstawowych struktur człowieka w kapitalistycznym świecie. Indywiduum może ostatecznie pozostawać ludzkie w swych stosunkach z żoną, dziećmi, przyjaciółmi. W swej pozostałej działalności społecznej musi ono jednak podporządkować się istniejącemu porządkowi z jego pisanymi lub niepisanymi prawami, porządkowi rynku, z jego racjonalnym egoizmem, jeśli jest przemysłowcem lub kupcem — rozkazom przedsiębiorcy, jeśli jest robotnikiem lub urzędnikiem — zaleceniom przełożonych — i zarządzeniom ogólnym jeśli jest funkcjonariuszem. I to pod karą ruiny i śmierci społecznej czy ekonomicznej."

Te następstwa reifikacji rozciągają się na wszystkie dziedziny życia społecznego i umysłowego, zbadanie ich w szczegółach wymagałoby analiz monograficznych. Goldmann ogranicza się przeto do ogólnego rozpatrzenia zmian wprowadzanych przez reifikację do natury stosunków między infra- a super-strukturą. W swej postaci generalnej kwestia ta, jego zdaniem, przedstawia się następująco: „Ponieważ tym, co określamy mianem reifikacji, jest przede wszystkim zjawienie się w życiu społecznym procesów ekonomicznych jako zjawisk autonomicznych, a przeto właśnie czysto ilościowych, jej pierwszą konsekwencją jest prawie całkowite wyłączenie tych zjawisk spod działania superstruktury, wzmocnienie natomiast ich oddziaływania na nią". Ta ogólna tendencja autonomizacji życia gospodarczego przybiera w każdej poszczególnej dziedzinie inną formę, jednakże, przyjmując za kryterium jej natężenie, wyróżnić można przynajmniej dwie struktury: dziedziny ściśle związane z gospodarką — polityka i prawo, oraz bardziej od niej odległe — życie umysłowe, moralne, religijne itp. W wypadku pierwszej z tych struktur „rozwój anarchicznej gospodarki kapitalistycznej zmierza do sprowadzenia zarówno prawa jak i państwa, jako realności politycznej, do wyrazu mniej lub bardziej pasywnego — albo, ściślej, dążącego ku całkowitej pasywności, nigdy jej nie osiągając — jedynej efektywnie i istotnie działającej rzeczywistości: życia ekonomicznego i interesów klasy panującej".

W wypadku drugim — filozofii, literatury, sztuki — proces ten, wbrew pozorom, jest jeszcze bardziej zaawansowany, są one bowiem stopniowo pozbawiane autentyczności, przy czym należy odróżniać „autentyczność subiektywną od obiektywnej", albowiem utrata wszelkiego wpływu na życie ekonomiczne i społeczne, „zasklepienie się w prywatnym sektorze indywidualnej świadomości", mogą dać w skutkach „nadmiar subiektywnej autentyczności, który jest tylko przeciwwagą radykalnej nieautentyczności obiektywnej".

Ta obiektywna i podstawowa nieautentyczność sfery ducha w świecie kapitalistycznym wynika równocześnie z utraty przez nią wpływu na życie ekonomiczne i społeczne oraz z ulegania jej oddziaływaniom ekonomiki, w szczególności reifikacji. Jest to, rzecz jasna, nie stan, lecz długotrwały proces sterylizacji sfery ducha przez gospodarkę, w miarę postępów której „zerwanie między rzeczywistością społeczną a poszukiwaniem tego, co ludzkie, zaostrzyło się do tego stopnia, że wyraz takich poszukiwań ustąpić musiał miejsca zwykłemu stwierdzeniu i opisowi rzeczywistości społecznej, zreifikowanej, nieludzkiej i pozbawionej znaczenia. (...) Czytelnik sam myśli o Kafce, o pierwszym stylu Camusa oraz, w literaturze współczesnej, o pisarzach takich, jak Robbe-Grillet, którego ostatnia powieść, *La Jalousie*, jest prawdziwym protokołem reifikacji, świata, w którym działają jedynie rzeczy, skąd znikł czas ludzki i gdzie sam człowiek staje się zwykłym widzem, sprowadzonym do stanu najbardziej abstrakcyjnego, stanu oka, które patrzy i rejestruje". Jest rzeczą godną odnotowania, że analiza reifikacji, która praktycznie została ukończona wraz z publikacją I tomu *Kapitału*, znajduje swój wyraz w literaturze z osiemdziesięcioletnim opóźnieniem, wtedy gdy samo zjawisko zaczyna być coraz bardziej przewyciężane w rzeczywistości gospodarczej.

W ten sposób Goldmann dochodzi do ostatniego z rozpatrywanych problemów, mianowicie do kwestii istotnych granic reifikacji w społeczeństwie kapitalistycznym. Są nimi kryzysy i opór klasy robotniczej. I znowu, pomijając te sprawy, jako znane, wypadnie ograniczyć się jedynie do przedstawienia wysnutej przez Goldmanna koncepcji stosunku klasowej świadomości proletariatu do reifikacji. Uprzednio wypada wszakże odnotować wprowadzone przez Goldmanna rozgraniczenie między świadomością możliwą, rozumianą jako „maksimum rzeczywistości, którą poznać może klasa społeczna nie zderzając się z ekonomicznymi i społecznymi interesami, wynikającymi z jej istnienia jako klasy", a świadomością realną, czyli „tym, co wie ona (klasa — *KP*) faktycznie o tej rzeczywistości podczas pewnego okresu, w pewnym kraju". Otóż, mówiąc o świadomości robotniczej, Goldmann traktuje o świadomości możliwej, rozpatruje zatem jej postać niejako doskonałą, abstrakcyjny model, nigdy nie realizujący się w pełni.

W ramach tego modelu reifikacja oddziaływa na klasę robotniczą tylko z zewnątrz, albowiem w warunkach istnienia proletariatu brak elementów, które powodowałyby jej immanentne powstawanie. Robotnik pracuje dla innego człowieka, a ponieważ wytwór jego pracy doń nie należy, jedynym jego motywem jest dążenie do uzyskania zapłaty; swą autentyczną osobowość odnajduje on dopiero w życiu prywatnym. Nadto, urzeczowione i antagonistyczne stosunki z przedsiębiorcą znajdują swą przeciwwagę w solidarności z towarzyszami pracy, „która dla życia społecznego i myśli robotników ma znaczenie równie poważne, co egoizm i konkurencja dla *bourgeois* i warstw pośrednich". Wreszcie, interesy robotnika nie są zreifikowane, nie ma on bowiem żadnej własności i dąży z reguły do celów bezpośrednio ludzkich, przeciwstawiając się pogarszaniu warunków pracy, które odbija się przecież nie na jego abstrakcyjnych możliwościach, lecz na codziennej, konkretnej egzystencji. „Tak oto, dzięki swej pozycji społecznej, chociaż o wiele mniej wykształcony i posiadający mniejszą wiedzę od mieszczańskiej inteligencji, proletariat, i tylko on, znajduje się w klasycznym społeczeństwie kapitalistycznym w globalnej sytuacji, umożliwiającej mu odrzucenie reifikacji i przywrócenie wszystkim problemom duchowym ich prawdziwie ludzkiego charakteru; oto dlaczego, w łonie klasy robotniczej, co prawda w czasach, gdy jej sytuacja ekonomiczna była szczególnie zła, zrodziła się najwyższa forma nowożytnego humanizmu: materializm dialektyczny."

Ale równocześnie, a uwaga ta tłumaczy wiele z historii ruchu robotniczego w ostatnich latach, „ponieważ proletariat jest w społeczeństwie kapitalistycznym klasą najmniej dotkniętą przez reifikację, jest on również klasą, w której ideologia liberalna ma charakter najbardziej powierzchowny. Formalna wolność indywidualna, prawo do błędu, swoboda wypowiedzi itd, nie są e n d o g e n i c z n y m i elementami ideologicznymi w świadomości klasy robotniczej, której myśl jest — jak to już zostało stwierdzone — konstytuowana wychodząc z idei s o l i-

darności, nie zaś z idei wolności".

Dążenie do maksymalnie zwięzłej prezentacji niezwykle treściwego tekstu, zawierającego w rozmiarach artykułu zasób myśli wystarczający na dobrą książkę, zmusiło do wydobycia w tym sprawozdaniu tylko niektórych spośród poruszonych przez Goldmanna spraw. Wydaje się jednak, że nawet to ograniczone i uproszczone przedstawienie głównych idei studium o reifikacji świadczy, jak daleko analiza marksistowska może odbiegać od znanych nam jałowych spekulacji, gdy traktuje się ją nie jako narzędzie uzyskiwania ustalonych z góry wniosków, lecz jako zespół dyrektyw, których wartość uzależniona jest od tego, czy i o ile stosowanie ich pozwala na zrozumienie historii przeszłej i teraźniejszej.

Krzysztof Pomian

PRZYGODA ARCHIWALNA

1

Są prace, które opanowują nas na całe życie.

Zaraz po wojnie wydrukowałem w prasie literackiej kilka esejów o Mickiewiczu w Rosji i z tego powstał zamiar opracowania kalendarium mickiewiczowskiego. Nie mogłem oczywiście porwać się na całość takiego dziennika życia i twórczości poety, ale cztery lata rosyjskiego okresu jego biografii!... Takie zadanie wydawało mi się osiągalne dla jednego człowieka. Nie przypuszczałem wtedy, na samym początku mego „opętania", jak obfite są w fakty, daty, imiona, dokumenty, publikacje te cztery lata, a głównie — w fakty zagadkowe, daty nieuściślone, imiona tajemnicze, dokumenty i publikacje niedostępne w kraju, rozrzucone po świecie. Obecnie, w czternastym roku mojej pracy, ostatecznie nabrałem szacunku do tych rebusów, zapaliłem się szlachetną namiętnością do ich rozwiązywania. Na tej drodze czyhają na badacza prawdziwe przygody. O jednej z nich, która przydarzyła mi się w grudniu ubiegłego roku, chcę tu opowiedzieć.

Miesiąc ten, a właściwie czas od połowy listopada do połowy grudnia spędziłem w Moskwie jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki, wysłany tam celem poszukiwania w archiwach materiałów mickiewiczowskich. Przed wyjazdem ułożyłem długą listę „zagadek", nie mając nadziei, że rozwiążę chociażby ich połowę. Niespodziewanie dla siebie rozwiązałem prawie wszystkie i jeszcze sporo nowych, które nasunęły mi się na miejscu, w trakcie poszukiwań.

Pamiętam rozmowy z opętańcem z obozu mickiewiczologów, Leonardem Podhorskim-Okołowem, który całe swoje życie marzył o rocznikach pisma *Odeśki Wiestnik* lub o rozkładzie jazdy pocztowymi końmi z czasów, gdy Mickiewicz przemierzał rosyjskie obszary. Doświadczyłem tej łaski przeglądając odeskie pismo i wertując karty *Podorożnika* w sali „białych kruków" moskiewskiej „Leninówki" Przeglądając pomyślałem sobie, że nigdy już nie podzielę się moimi odkryciami z autorem *Realiów mickiewiczowskich!*

Ale powróćmy do mojej przygody.

2

W Moskwie prawie dwa tygodnie czekałem na zezwolenie korzystania z archiwów. Tymczasem pracowałem codziennie od rana do nocy w słynnej Bibliotece imienia Lenina, zwanej popularnie przez studentów „Leninówką". Moskwy prawie nie widziałem. Hotel „Pekin", w którym mieszkałem, dzieli od stacji metra szerokość ulicy Sadowej, moja zaś końcowa stacja mieściła się w gmachu samej biblioteki. Od 9 rano do 11 wieczór (z godzinną przerwą obiadową) spędzałem w starym gmachu Rumiancowskim, w sali „profesorskiej", znajdującej się na antresoli, nad ogólną salą dla studentów. Na obiady jeździłem do tegoż „Pekinu", gdzie zamawiałem niezmiennie te same wypróbowane dania: *„supłapsza s kuricej"* (kura w rosole) i *„karakatica"* (ośmiornica) z ryżem — z ja-

dłospisu kuchni chińskiej. Jedno i drugie, mimo swej egzotyczności, przypominało mi Polskę, bo nawet pokrajana na cienkie plasterki i przyprawiona ostrym sosem chińska ośmiornica smakuje jak nasze narodowe flaki.

W bibliotece przeglądałem roczniki rosyjskich periodyków, a m. in. oczywiście tak bliski ongiś Mickiewiczowi Polewojowski *Moskowskij Tielegraf*, w naszych księgozbiorach niekompletny. I oto wertując rok 1829 natrafiłem na recenzję pośmiertnego wydania wierszy Dmitrija Wieniewitinowa. Czytam ten artykuł podpisany przez samego redaktora i wydawcę czasopisma, Nikołaja Polewoja, i wpadam na następującą, dotąd nieznaną mi dygresję:

„Puszkin i Mickiewicz szli za trumną Wieniewitinowa i płakali, jak inni. Tymczasem przyroda odradzała się, dzień był piękny, wiosenny — i nigdy nie zapomnę tego dnia..." *

Ta bezpośrednia refleksja nie mogła być wymyślona. Tym dziwniejsze wydało mi się, że nigdy nic nie słyszałem o fakcie udziału Puszkina i Mickiewicza w pogrzebie Wieniewitinowa. Że Mickiewicza — nie było w tym jeszcze nic dziwnego, ale biografia Puszkina, przebadana w szczegółach przez kilka pokoleń puszkinologów, czyżby mogła mieć tak poważną lukę!? Niemniej artykuł uczestnika pogrzebu, wydrukowany w niespełna dwa lata po fakcie, wykluczał jakąkolwiek wątpliwość. A wyglądało jednak tak, że został przeoczony!

Pierwsze, co zrobiłem, zajrzałem do puszkinowskiego starego kalendarium (z 1910 roku), znanej pracy Lernera, choć dobrze wiedziałem, że nic tam nie znajdę. Ale przynajmniej upewniłem się, że Puszkin w tym czasie przebywał w Moskwie i mógł być, a nawet na pewno był obecny na pogrzebie. Dmitrij Wieniewitinow, rokujący wielkie nadzieje młody poeta i teoretyk młodszego pokolenia romantyków, znajdował się w centrum życia literackiego Moskwy i jego przedwczesna, tragiczna śmierć zrobiła wówczas piorunujące wrażenie. Otrzymawszy pierwszą wiadomość o śmierci Wieniewitinowa Pogodin notował w swym dzienniku: „Przychodzi Rożalin i podaje list... czyżby to było możliwe! — Płakałem z rozpaczy. — Kogo straciliśmy!?...". I nazajutrz: „Sobolewski był u mnie — powtórzyłem mu (...) on załkał..." *

Wieniewitinowowie należeli do moskiewskiej elity. Młody poeta po ukończeniu uniwersytetu pracował w słynnym Archiwum Kolegium Spraw Zagranicznych, a więc był jednym z grona tak zwanych „młodzieńców archiwalnych", zwanych inaczej „łubomudrzy", czyli miłośnicy mądrości. Wiersze swoje i rozprawy pisał pod wpływem niemieckiej filozofii spekulatywnej. Przed rokiem wystąpił z inicjatywą założenia nowego czasopisma literackiego *Moskowskij Wiestnik*, w którego „chrzcinach" wzięli udział m. in. Puszkin i Mickiewicz.

Wszystko sprzyjało rozwojowi młodego poety, ale czasy „pogrudniowe" (po powstaniu dekabrystów) były brutalne i nie oszczędzały talentów. W listopadzie 1826 roku Wieniewitinow przeniósł się do Petersburga na nową posadę. Z Moskwy wyjechał pocztowymi końmi razem z bratem poety Michała Chomiakowa, Fiodorem, i z Francuzem Vauher, bibliotekarzem hr. de Laval. Francuz ten towarzyszył córce hrabiego a żonie skazanego na prace katorżnicze dekabrysty, pułkownika Siergieja Trubieckoja, w jej drodze do męża na Sybir. Wracał właśnie z tej dalekiej podróży do domu, nic nie wiedząc, że jest pilnie obserwowany przez policję. Na rogatkach stolicy został zatrzymany, a razem z nim i Wieniewitinow. Chomiakow uniknął aresztowania tylko dlatego, że nie zmieścił się w saniach i jechał w innym powozie. Poetę przetrzymano przeszło dobę w wilgotnym, nieopalanym pomieszczeniu odwachu żandarmskiego i przesłuchiwano w słynnym III Oddziale Kancelarii Carskiej. Nadwerężyło to zdrowie Wieniewitinowa, który poza tym dostał szoku nerwowego. Zaledwie objął nowy urząd, wszczął starania o przeniesienie go na placówkę dyplomatyczną do Persji. W marcu stan zdrowia gwałtownie się pogorszył. Wie-

---

* *Moskowskij Tielegraf*, 1829, cz. 25, nr 2, styczeń, s. 228. Tekst rosyjski brzmi: *„Puszkin i Mickiewicz prowożali grob Wieniewitinowa i płakali ob niom, kak i drugije. Priroda ożiwała togda nowoju wiesnoju, dień był priekrasnyj, wiesiennij, i — nikogda nie zabudu ja etogo dnia..."*

* Dział Rękopisów Państw. Bibl. im. Lenina w Moskwie, nr sygn. Pog/I, n. 31, M. 2491, L. 158/166 na odwr., s. 706.

niewitinow zapadł na ciężką chorobę, którą ówczesna medycyna określiła nazwą „gorączki tyfusoidalnej", i zmarł dnia 15 marca 1827 roku, mając zaledwie 22 lata życia. Przyjaciele zamówili metalową trumnę, złożyli do niej zwłoki i przewieźli do Moskwy. Tu przedwcześnie zmarłego poetę pochowano na cmentarzu Klasztoru Simonowego*.

Na pogrzeb przyszła cała Moskwa literacka. Na cmentarzu spotkali się „archiwalni młodzieńcy" z współpracownikami czasopism *Moskowskij Wiestnik* i *Moskowskij Tielegraf;* byli tam również liczni znajomi i krewni rodziny Wieniewitinowów. Tym dziwniejsze wydało mi się, że fakt ten poszedł w zapomnienie, że nikt z tych bliskich zmarłemu ludzi nie wspomniał wówczas ani później o jego pogrzebie, jeśli nie liczyć zacytowanych przeze mnie skąpych zdań Polewoja, zagubionych w zapomnianym artykule. I czyżby zaszczytne odgrzebanie tej znamiennej relacji przypadło w udziale mojej skromnej osobie!?

Wróciwszy z biblioteki o godzinie 11 wieczór zatelefonowałem do znanego radzieckiego polonisty, Marka Siemionowicza Żiwowa, z którym skontaktowałem się w Moskwie. Również nie pamiętał tego faktu, ale przyrzekł zadzwonić nazajutrz do Tatjany Grigorjewny Ciawłowskiej z prośbą o sprawdzenie w kartotece drugiego tomu *Kroniki życia i twórczości Puszkina.*

Tym, którzy nie znają tej kapitalnej pracy, należy wyjaśnić, że dzieło prof. Mstisława Ciawłowskiego jest najpełniejszym zbiorem wiedzy o życiu Puszkina. Tu nie może zabraknąć najmniejszego szczegółu, cóż mówić o tak ważnym fakcie z życia literackiej Moskwy! Prof. Ciawłowski zmarł w czasie przygotowywania do druku pierwszego tomu, doprowadzonego do września 1826 roku (ukazał się w r. 1951). Prace nad drugim tomem prowadzi obecnie wdowa po twórcy *Kroniki* i w jej to posiadaniu znajduje się najbardziej aktualna w danej chwili kartoteka puszkinowska.

Nic dziwnego, że cały następny dzień spędziłem w podnieceniu oczekując na odpowiedź tow. Żiwowa. Znów po jedenastej dzwonię do niego i słyszę głos tym razem mniej pewny siebie. Nie, Tatjana Grigorjewna nie znalazła w kartotece żadnej notki o fakcie obecności Puszkina na pogrzebie Wieniewitinowa. Ale sprawa jest prosta, zapewne w krytycznym wydaniu dzieł Wieniewitinowa znajdzie się wyczerpująca odpowiedź. Książka stoi tuż, przy telefonie. O! już ją mam! Zaraz, zaraz... No, oczywiście: zmarł w Petersburgu 15 marca... 15 marca... 19 marca wzmianka w dzienniku Pogodina o liście z wiadomością o śmierci, doręczonym przez Rożalina... Może na pomniku... Nie, tu znów tylko data śmierci. Data pogrzebu nie jest w ogóle notowana, bo to już nie należy do biografii. Zresztą znajdzie się we wspomnieniach, w artykułach biograficznych załączonych do innych, wcześniejszych edycji dzieł Wieniewitinowa. Trzeba tylko poszukać.

— Drogi Marku Siemonowiczu, nie trudźcie się: dziś przecież nic innego nie robiłem w „Leninówce". Sprawdziłem według bibliografii wszystkie wydania Wieniewitinowa, wszystkie wspomnienia o nim. Zajrzałem do słownika bibliograficznego. Ba, w dziale rękopisów przejrzałem listy z fundacji Pogodina, listy nieutulonej matki z datami bliskimi pogrzebu jej kochanego syna. I proszę sobie wyobrazić, że nigdzie nic, kompletnie nic...

Słuchawka powtarza ciężkie oddechy Marka Siemionowicza.

— W takim razie — mówi po chwili milczenia — nie pozostaje nam nic innego, jak szukać w archiwach Klasztoru Simonowego.

*

Oczywiście, wiem o tym. Właśnie dostaję wiadomość z Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy Radzieckich, że na skutek listu przewodniczącego Komisji, Borysa Nikołajewicza Polewoja (autora słynnej, dobrze znanej u nas książki *Opowieść o prawdziwym człowieku*), sprawa archiwów została dla mnie pomyślnie załatwiona. Notuję telefony dyrektora Centralnego Archiwum Literackiego, Głównego Urzędu Archiwów Dzielnicowych Moskwy. Właśnie tam należy szukać dokumentów klasztoru.

Nakręcam numer Urzędu, proszę o wewnętrzny „jeden zero osiem".

— Czy mogę mówić z towarzyszką

---

* Zob. wspomnienia o śmierci Wieniewi- i przez A. I. Koszelowa. Publ. w mies. *Russkij Archiw* 1885, I, 116 i 122.
tinowa opowiedziane przez jego siostrę

Czancew?... To wy, towarzyszko, przepraszam, nie znam waszego imienia...

— Warwara Iwanowna.

Warwara Iwanowna Czancew została już powiadomiona i wie, że chodzi mi o materiały mickiewiczowskie. Nawet poprosiła już, aby przygotowano dla mnie spis pozycji z kartoteki. Jestem oczywiście bardzo wdzięczny, ale właściwie zależy mi na dokumentach, których na pewno nie znajdzie się wśród rejestrowanych już papierów. Oto, na przykład, znany jest dopisek Mickiewicza na liście Malewskiego do Ksenofonta Polewoja. Malewski i Mickiewicz odpowiadali na zaproszenie, a kopista tego dokumentu dodał na jego odwrocie, że zaproszenie dotyczyło chrzcin drugiego syna Polewoja. Na liście brak daty. W naszych publikacjach korespondencji Mickiewicza znaczy się on pod prowizoryczną datą „1826—1827". Od lat marzę o tym, aby zajrzeć do ksiąg metrykalnych i odszukać datę chrzcin drugiego syna Polewoja. Oczywiście Nikołaja Polewoja, bo jego młodszy brat, Ksenofont, był jeszcze wtedy kawalerem. Nikołaj zaś ożenił się w październiku 1824 roku i mógł mieć drugie dziecko na jesieni 1826. Księga metrykalna to jedyne źródło, ponieważ w żadnych biografiach popularnego w swoim czasie literata i dziennikarza nie ma tak daleko posuniętych szczegółów z jego życia rodzinnego.

Wyczuwam przez telefon zmianę tonu: Warwara Iwanowna zastanawia się chwilę i z większą uwagą:

— Ale nie wiem, czy to się uda. Te księgi cerkiewne są rozrzucone po dzielnicowych archiwach i tak dawne roczniki chyba już nie istnieją. Można jednak spróbować. Ja spróbuję. Proszę tylko podać nazwę parafii. Przecież w Moskwie było wiecie ile cerkwi? — *sorok-sorokow* (czterdzieści razy czterdzieści).

W tonie brzmi już zdecydowane zaangażowanie się. Aby podtrzymać je, opowiadam o pogrzebie Wieniewitinowa. Głos w słuchawce ożywia się, tak jakby moja rozmówczyni nabrała ostatecznie przekonania do mojej pracy:

— O, to zupełnie proste. Akta klasztoru są. Mamy pełny inwentarz. Proszę zadzwonić jutro...

Jutro! Wszystko trzeba okupić długim oczekiwaniem. Tymczasem idę zwiedzić cmentarz, ale niestety — Klasztor Simonowy i jego cmentarz już od lat nie istnieją. Na ich miejscu został wybudowany pałac kultury. W 1936 roku grób Wieniewitinowa przeniesiono na inny cmentarz, Nowodziewiczy. Zresztą na pomniku nic ciekawego nie ma. Jak zwykle — data urodzenia, data śmierci, cytat z wierszy zmarłego i to wszystko. Znów jadę do Leninówki, szukam dawnych przewodników po Moskwie i znajduję coś dla nas nie bez znaczenia: *Ukazatiel żiliszcz i zdanij w Moskwie ili adriesnaja kniga* ułożona przez niejakiego W. Sokołowa, urzędnika kancelarii moskiewskiego generał-gubernatora, a więc przez kolegę biurowego Mickiewicza. Przewodnik ukazał się w Moskwie w roku 1826.

Bez trudu znajduję aktualną informację: „Kupcy pierwszej gildii Polewojowie: Ksenofont, Nikołaj i Jewsiej, dzielnica („*czast*") Mieszczanskaja, numer posesji hipotecznej 132, dom Lubowi Pohl, doktorowej, przy ulicy Pierwaja Mieszczanskaja". Adres ten jest znany z korespondencji Polewoja. Nowością jest brat Jewsiej, o którym dotąd nic nie wiedziałem. Ze spisu parceli i ulic dowiaduję się, że dom wdowy Lubowi Pohl należał do pierwszego kwartału. Zaś w pierwszym kwartale dzielnicy Mieszczańskiej były tylko dwie cerkwie: Św. Trójcy przy ulicy Troickiej i Filipa Metropolity przy ulicy Wtoraja (Druga) Mieszczanskaja. Tak, to powinna być z pewnością ta parafia — Filipa Metropolity.

Zaglądam, aby już niczego nie opuścić, do Nekropolu — przed pierwszą wojną światową w Rosji ukazywały się te zadziwiające publikacje napisów z pomników nagrobnych wszystkich cmentarzy Moskwy, Petersburga, okręgu moskiewskiego, Krymu. Ale z rodziny Polewojów zachował się pomnik tylko samego Nikołaja Polewoja. Za to dowiaduję się, że wdowa Lubow Pohl, w której kamienicy Polewojowie mieszkali, była wdową młodą: urodziła się w roku 1790 i w 1826 miała trzydzieści sześć lat. „*Otczestwo*" jej brzmiało — Christoforowna.

Nazajutrz rano znów tylko krótka rozmowa telefoniczna z Warwarą Iwanowną. Podaję nazwę parafii, do której prawdopodobnie należeli Polewojowie, i dowiaduję się, że towarzyszka Czancew przeglądała inwentarz Klasztoru Simonowego i stwierdziła, że tam nie ma żadnych akt dotyczących cmentarza.

— Zresztą towarzysz sam się przekona.

Co robić! Wiadomość niepocieszająca, ale mam w rezerwie jeden dokument, którego ciężar gatunkowy przeważa wszystkie akta i inwentarze archiwalne.

*

W Dziale Rękopisów Biblioteki Leninowskiej znajduje się manuskrypt niezwykłej wagi, niewyczerpalne źródło wiadomości o ówczesnym środowisku literackim Moskwy, istna skarbnica wiedzy, penetrowana od lat przez badaczy tej epoki. Jest nim dotąd w całości nieopublikowany słynny dziennik Michała Pietrowicza Pogodina.

Że też to od razu nie wpadł mi on do głowy! Przecież przyjaciel Mickiewicza, Pogodin, był najbliższym człowiekiem rodziny Wieniewitinowów. Pogodin ubóstwiał młodego „Dimę", dzielił z nim swoje myśli i plany. Razem projektowali i montowali redakcję pisma *Moskowskij Wiestnik*, omawiali każdy nowy artykuł. Nawet miłość Wieniewitinowa do dziewczyny, w której kochał się Pogodin, nie zmąciła tej przyjaźni. Było to wprawdzie uczucie nie odwzajemnione, ponieważ Dymitr był beznadziejnie zakochany w księżnej Zeneidzie Wołkońskiej i nawet śmierć jego łączono wówczas z tą miłością. W ciągu 20 lat Pogodin rokrocznie przychodził na grób Wieniewitinowa, w rocznicę śmierci, 15 marca. Czyżby w jego dzienniku nie było daty pogrzebu!?

I oto wchodzę do małej salki archiwum bibliotecznego i dostaję zamówiony wczoraj bezcenny dokument. Jest to wielka, oprawiona księga formatu sztambuchowego, w której na kartach papieru czerpanego Michał Pogodin z dnia na dzień prowadził swoje lakoniczne, treściwe notatki. Część ich, a właściwie nieliczne fragmenty dotyczące Puszkina, są znane: opublikował je w roku 1916 wymieniony już przeze mnie Mstisław Ciawłowski. Można tam spotkać także informacje dotyczące Mickiewicza, które zawdzięczamy jedynie jego rosyjskiemu przyjacielowi, Puszkinowi. Ale nikt jeszcze specjalnie nie szukał na tych nierównych, wyblakłych linijkach imienia naszego poety. Opanowując drżenie rąk, z namaszczeniem wertuję pożółkłe karty, wysilam wzrok, żeby odczytać niedokończone, urywane wyrazy, niezrozumiałe znaki charakteru pisma, do którego trzeba się przyzwyczaić, żeby cośkolwiek zrozumieć. Przecieram okulary, przymykam powieki i wreszcie ustępuję: wstaję i idę poprosić o szkło powiększające.

Tak, czytam. Powoli przyzwyczajam się do pisma Pogodina. Jest ono w niektórych fragmentach całkiem wyraźne, częściej jednak skaczące, niecierpliwe, mimo to daje się odcyfrować. Czytam całkiem już biegle i walczą we mnie dwa uczucia. Jedno nagli, by przerzucić kartki, odszukać marzec 1827 roku, lecz drugie, rozsądniejsze, radzi odłożyć na później to, co i tak czeka na mnie ukryte w kartach dziennika, a tymczasem każe uważnie przebadać kolejne lata, wyszukując miejsca z nazwiskiem Mickiewicza. Przecież pierwszy stanąłem na tym niezbadanym jeszcze przez mickiewiczologów lądzie, a tak łatwo przeoczyć, pomylić z innym nazwiskiem, tym bardziej że Pogodin często ogranicza się do inicjałów, nie wypisując do końca dobrze znanych mu imion.

Długo jednak nie znajduję nic. Do 24 października 1826 roku. Jest to znana notatka — oczywiście dzięki Puszkinowi, którego imię stoi tu obok nazwiska Mickiewicza — relacja z inauguracyjnej uczty *Moskiewskiego Wiestnika*. Wówczas to właśnie Pogodin poznał naszego poetę. Potem do końca roku nie widzę żadnej wzmianki o polskim poecie. Jestem już w roku 1827 — styczeń, luty... Uwaga, uwaga: marzec! W oczy rzuca się zestawienie liter, na które cały czas jestem nastawiony: „Mic". Mimo że jestem również nastawiony na pogrzeb Wieniewitinowa, uważnie wynotowuję: „21. Smutek. Spotkałem rano Mic(kiewicza). Z całego serca itp. Karcew. Drukowana wiadomość o Wieniewitinowie. Co straciła z nim nauka i ojczyzna! Co to był za niezwykły człowiek! Mój Boże, mój Boże, mój Boże..." *. A więc poszukiwane przeze mnie fakty skojarzyły się same. Mickiewicza Pogodin spotkał na drugi dzień po otrzymanej wiadomości o śmierci Wieniewitinowa, przed pogrzebem. I gdzież wreszcie notka o tym pogrzebie? Gdzieś tu bardzo blisko. Zaraz na nią natrafię. Robi mi się raz gorąco, raz zimno. Niecierpliwie przeszukuję lupą linijki rękopisu. Wielkie

---

[4] Dziennik Pogodina, jak wyżej.

szkło drży i oczy zasnuwa mgła podniecenia. Oto już 25-ty, 26-ty marca...

Czyżby mogła być taka różnica między dniem śmierci a dniem pogrzebu? Oczywiście. Nie wiemy, ile czasu było potrzeba na zrobienie metalowej trumny, ile mógł trwać transport na saniach w okresie wiosennej odwilży na drogach, o których czytamy w pamiętnikach bratanka poety, Antona Delwiga.

„Wówczas (jesień 1826) na trasie między Moskwą a Petersburgiem w kilku miejscach była zbudowana szosa. Część drogi była piaszczysta, część zabrukowana kocimi łbami, na największej natomiast przestrzeni wyłożona palami, które ze względu na projektowaną budowę szosy naprawiano byle jak, tak że pale tańczyły w rozmiękłym od opadów gruncie niby klawisze klawikordowe, a niektóre z nich, przełamane i złączone z sąsiednimi, podnosiły się do góry pionowo, zachlapując mnie i powóz błotem. Jazda po szosie była wyśmienita, po piachach żółwia, po palach połączona z wstrząsami a nawet niebezpieczna".*

Uspokojony tym wyjaśnieniem biegnę po datach dalej: 27-my... 29-ty... Czuję się, jakbym się ześlizgiwał po pochyłości i nagle zawisam nad stromym urwiskiem... pustej plamy! Tak jest, od dnia 30 marca do 2 kwietnia włącznie nie ma żadnych notatek. Pogodin w tych dniach nie utrwalił n i c na kartach swego dziennika! **

Jestem zbity z tropu. Tak pewna zdawałoby się droga zawiodła. Wprawdzie można to sobie łatwo wytłumaczyć: zapewne właśnie w tych dniach przybyła do Moskwy trumna i odbył się pogrzeb, w którym Pogodin wziął najbliższy udział. Rozpacz odebrała mu siły i ochotę do notatek.

Niepowodzenie nie pozbawia mnie jednak nadziei. Dobre i to: przynajmniej dowiedziałem się, że pogrzeb odbył się między 30 marca a 2 kwietnia. Fakt został umiejscowiony w czasie z dokładnością do czterech dni. Krąg się zawęża. Szukajmy dalej. A na razie zatapiam się w proces wyłapywania fragmentów dziennika z nazwiskiem Mickiewicza. I jestem sowicie wynagrodzony, bo znajduję kilkanaście nieznanych dotąd miejsc. M. in. 19 marca 1828 roku Pogodin notował: *Wallenrod* od Mickiewicza". 5 kwietnia: „Był u nas Mickiewicz, przeczytaliśmy z nim przekład *Wallenroda*" (prawdopodobnie chodziło o rosyjski przekład Szewyriowa i Skalskiego, wydrukowany w *Moskiewskim Wiestniku* — 1828, cz. 8—9, nry VII—X). Pogodin był pod dużym wpływem tej lektury. 21 kwietnia notował: „Ona (Aleksandra Trubieckaja, właśnie ta dziewczyna, w której się kochał Pogodin, a która kochała się w Wieniewitinowie), poszła z Jewgr. (prawdopodobnie z mężem siostry Wieniewitinowa), ja zaś w inną stronę i zatrzymałem się w miejscu, skąd była widoczna cała aleja. Stałem długo, jak Wallenrod. Ona często się obracała patrząc w moją stronę. Serce we mnie waliło"...*

Co za ciekawa reminiscencja!

5

Nie dając za wygraną postanowiłem zbadać stan pogody w dniach, w których Pogodin nic nie zanotował w swoim dzienniku. Nie wymagało to specjalnych poszukiwań. W oficjalnym piśmie *Moskowskije Wiedomosti* co kilka dni drukowano tablice stanu pogody z podaniem temperatury (trzy razy dziennie), ze szczególnym opisem zjawisk atmosferycznych. Polewoj wspomina w swym artykule, że był to pierwszy wiosenny dzień, więc może w ten sposób da się jeszcze bardziej zacieśnić krąg, określić datę z jeszcze większą dokładnością.

Znajduję ostatni tydzień marca i to, co odczytuję z tablicy stacji meteorologicznej, potwierdza dane Pogodinowskiego dziennika i artykułu Polewoja. Do 26 marca w Moskwie było pochmurno, padał śnieg, lecz 27-go nagle się wypogodziło i właśnie od 31 marca do 2 kwietnia ustaliła się słoneczna pogoda, nastąpiło znaczne ocieplenie. Tak że 2 kwietnia temperatura podskoczyła do plus 9 stopni w/g Réaumura (11 stop. w/g Celsjusza). Było to najwyższe nasilenie wiosennych powiewów: od 3-go znów się zaczęło chmurzyć.**

Osiągnięcie niewielkie, musiałem to, przyznać, lecz czekała na mnie jeszcze ostatnia szansza — w Urzędzie Archiwalnym.

---

* A. I. Delwig: *Moi wospominanija*, 1912, t. I, s. 38.

** Dziennik Pogodina, jak wyżej, L. 159/167.

* Ibid., L. 177/192, 181/196, 182/197.

** *Moskowskije Wiedomosti*, 1827, s. 1112, 1156, 1196 i 1228. Oto dane tablicy:

Głos Warwary Iwanowny Czancew poinformował, że księga metrykalna została sprawdzona i że mogę przyjechać do Urzędu.

— Przy tej okazji zobaczycie, towarzyszu, inwentarz dokumentów Klasztoru Simonowego. Zatrzymałam to, abyście sami się przekonali, że nic tam nie ma...

Nazajutrz o dziewiątej rano wyszedłem z „Pekinu" i zagłębiłem się w cudowne labirynty metra, w których wszystko jest urządzone tak mądrze i prosto, że każdy, kto tam się znajdzie nawet po raz pierwszy w swym życiu, z łatwością odszuka właściwą, dla siebie drogę.

W Głównym Urzędzie Archiwalnym zadzwoniłem z biura przepustek — „jeden zero osiem" — i z kwadrans czekałem.

Dotąd słyszałem tylko głos, ale do biura weszła młoda osoba w skromniutkim płaszczu narzuconym na ramiona i rozejrzawszy się, bez namysłu skierowała się w moją stronę. Nie było zresztą w tym nic niezwykłego: po prostu wygląd mój musiał zdradzać cudzoziemca. Pod płaszczem niosła olbrzymi foliant — jak wkrótce dowiedziałem się — oprawiony komplet ksiąg metrykalnych dzielnicy Srietienskiej *(Srietienskogo soroka)*. Zaofiarowałem moją pomoc w dźwiganiu foliantu, nie pozwoliła na to. Prowadząc mnie przez posterunki straży, przez wewnętrzne podwórze do innego skrzydła wielkiego gmachu Urzędu opowiedziała, że sama jeździła po mieście szukając tej księgi.

— Towarzyszka niezwykle uczynna — zauważyłem.

Wzruszyła ramionami.

— To głupstwo. Ważne, czy się przyda...

W sali czytelni pozostałem sam na sam z manuskryptem. Powiedziałem „sam na sam" — oczywiście było tam dużo ludzi, ale nic nie widziałem, zatopiony w pracy... Po jakimś czasie, którego nie potrafię określić, wyszedłem na korytarz, gdzie stał aparat telefoniczny. Podnoszę słuchawkę, żeby zadzwonić do Warwary Iwanowny, lecz byłem tak wytrącony z równowagi swoim odkryciem, że zapomniałem numeru i mówię: „Poproszę zero jeden osiem". Na szczęście głos mój poznano i połączono z towarzyszką Czancew.

— Towarzyszko — proszę — czy moglibyście zejść na dół. Muszę wam coś pokazać... Tak, owszem, są chrzciny u Polewojów, tylko że... wiecie, zamiast syna urodziła się nam córka...

Istotnie w księdze metrykalnej parafii — tak jak przypuszczałem — Filipa Metropolity pod datą 17 października 1826 roku znajduje się notatka w rubryce *U kogo kto się urodził:* „U moskiewskiego kupca Nikołaja Aleksiejewicza Polewoja urodziła się córka Jelisawieta (...) Chrztu udzielił 21 października ksiądz (prawosławny) Aleksiej Aleksiejew (...) ojcem chrzestnym był owego kupca Polewoja brat, także kupiec, Ksenofont Aleksiejew (syn) Polewoj; matką chrzestną była ich siostra, rotmistrzowa Jelisawieta Aleksiejewna Potaszewska".*

Pokazuję to i mówię:

Przejrzałem również inwentarz klasztornego archiwum i tam w uzupełnieniach są jakieś „księgi dochodów cerkiewnych" i akurat jest rok 1827. Może by to sprawdzić na wszelki wypadek? Rodzina Wieniewitinowów była zamożna i zapewne nie ograniczyła się do zwykłego nabożeństwa na cmentarzu. A jeśli zamówiono przed pogrzebem mszę żałobną w cerkwi, to musi to być wykazane wśród cerkiewnych dochodów. Zbadajmy i to, żeby już niczego nie zaniedbać.

— Cóż... Jutro sprowadzę, proszę przyjść.

A więc jutrzejszy dzień ma wszystko rozstrzygnąć. Rozumiałem to dobrze: jutro albo stanę przed ślepym murem... zresztą przesada, należy powiedzieć: albo zadowolnię się datą przybliżoną, albo...

Proszę sobie wyobrazić, co czułem udając się nazajutrz rano do Urzędu Archiwalnego. Spotkawszy się w biurze przepustek z Warwarą Iwanowną

Marzec	25 pt.	+2	+4	+3	Śnieg, pochmurno
	26 sb.	+3,5	+3	—1,5	Słońce
	27 nd.	—4	+4	+3	Mgła, słońce
	28 pn.	+0,5	+7	—1,5	Słońce
	29 wt.	—3,5	+7,3	—3,5	Słońce
	30 śr.	—2,7	+6,5	0	Słońce
	31 cz.	+3,5	+8	+5	Słońce
Kwiet.	1 pt.	+3,6	+8,2	+4,3	Słońce
	2 sb.	+5	+9	+4	Obłoki, słońce, jasno

* Archiwum Historyczne w Moskwie, sygn. nr 1, f. 203, zw. 178, d. 261, op. 745, k. 225 na odwrocie.

nie miałem odwagi zapytać. Ona również milczała. Dopiero prowadząc mnie przez wewnętrzne podwórze pokryte lodową warstwą, przyprószoną śniegiem, powiedziała, pokazując spod narzuconego płaszcza książkę w rodzaju dzienników biurowych:

— A przecież jest!

— Zajrzeliście!

— No, a jakże! Kto by to nie zajrzał! — I roześmiała się. — Ale proszę uważać, bo tu ślisko.

Tłumiłem ciekawość, póki nie dostałem do rąk księgi. Rzeczywiście, na jej karcie 7-ej mnich-buchalter zaksięgował dwa wpływy: pierwszy w dniu 1 kwietnia w sumie dwóch tysięcy rubli asygnacjami, otrzymanych za miejsce na cmentarzu klasztornym od Anny Nikołajewny Wieniewitinowej. Suma jak na tamte czasy wysoka, ale miejsce było przeznaczona na grób rodzinny — „chować ród jej nie więcej niż osiem osób", z tym, że pierwszy został pochowany jej syn, Dmitrij Władimirowicz. Druga wpłata została uiszczona przez „pana Wieniewitinowa", prawdopodobnie brata zmarłego, Aleksieja Wieniewitinowa, za mszę żałobną (*„sobornoje służenije"*) w wysokości 25 rubli. Ten dochód wpisano pod datą 2 kwietnia.*

Tak zamknął się krąg poszukiwań: pogrzeb odbył się 2 kwietnia, bo za miejsce na cmentarzu płaciło się z góry, za nabożeństwo natomiast po fakcie, zaraz po pogrzebie. Zamówiłem zdjęcie stronicy z tymi notatkami, które otrzymałem pocztą już po powrocie do kraju.

Sprawa ta nie była moją główną troską. Wynikła na miejscu, nieprzewidzianie. Miałem setki innych — zaspokojonych i niezaspokojonych. Między innymi nie wiedziałem, co robić z chrzcinami u Polewoja. Na kopii listu ktoś napisał: „chrzciny drugiego syna". Córka Jelisawieta, urodzona w roku 1826, była, owszem, drugim dzieckiem, d r u g i zaś syn mógł urodzić się w roku następnym, 1827. I chyba nie później, ponieważ w 1828 (a ściślej 1 grudnia 1827) Mickiewicz przenosi się do Petersburga. Trzeba było zajrzeć do ksiąg metrykalnych z datą 1827. Tymczasem już miałem wykupiony powrotny bilet do Warszawy. Poprosiłem więc towarzyszkę Czancew, aby zrobiła to sama. Godzinę przed wyjazdem na dworzec zatelefonowałem do niej z hotelu.

Otrzymałem odpowiedź zastanawiającą: nie, w roku 1827, w parafii Filipa Metropolity Polewojowie nikogo nie ochrzcili. Natomiast w następnym, 1828, urodził się syn kupca Jewsieja Polewoja, Aleksiej. Chrzestnym ojcem był Nikołaj Polewoj...

Tak, zagadki mickiewiczowskie są ponad siły i możliwości jednostki.

Leon Gomolicki

* Arch. Histor. w Moskwie, sygn. nr 1, f. 402, zw. 41, d. 1164, op. 1 — *Kniga Stawropigialnogo Moskowskogo Simonowa Monastyria (...) dla zapisi w prichodie połuczajemych za Sobornoje służenije, pominowienija i proczich Monastyrskich summ na siej tysiacza wosiemsot dwadcat siedmyj god.*

ODYSEJA NASZYCH CZASÓW

Walter Jens, urodzony 8 marca 1923 roku w Hamburgu, z wykształcenia filolog klasyczny, pracujący obecnie jako profesor na uniwersytecie w Tübingen, jest zarazem jednym z czołowych reprezentantów współczesnej prozy niemieckiej. Ma on w swoim dorobku pisarskim kilka prac naukowych poświęconych głównie tragedii greckiej (*Antigone-Interpretationen, Die Stychomythie in der frühen griechischen Tragödie*) oraz kilka książek beletrystycznych: *Nein — Die Welt der Angeklagten* (1950), *Der Blinde* (1951), *Vergessene Gesichter* (1952), *Der Mann der nicht alt werden wollte* (1955). W roku 1957 ukazała się najnowsza jego powieść *Der Testament des Odysseus*, której dokładniejszemu omówieniu poświęcone będą niniejsze rozważania. Zanim jednak przystąpię do właściwego tematu, pozwolę sobie jeszcze przypomnieć, że ostatnio Jens zadebiutował również

jako eseista i krytyk literacki, ogłaszając tom szkiców *Statt einer Literaturgeschichte*, w którym zajmuje się zagadnieniami współczesnej powieści (Proust, Joyce, Gide, Faulkner i in.), rozwojem niemieckiej prozy od Hofmannsthala i Rilkego do Musila i Kafki, osobne zaś prace poświęca twórczości Tomasza Manna, Hermanna Brocha, Gotfrieda Benna i Bertolta Brechta.

Już sama tematyka tych esejów świadczy, że powieściopisarstwo Jensa nie może być uważane za amatorską zabawę uprawianą przez ekscentrycznego cokolwiek naukowca na marginesie zajęć zawodowych, lecz traktowane jest jak najbardziej serio i wsparte solidnym przygotowaniem teoretycznym oraz historycznym. Ponieważ zaś Jensa cechuje rzadka nawet u twórców wielkiej miary równowaga sił między inteligencją a talentem pisarskim i wyobraźnią, zdołał on stworzyć dzieła, które zapewniły mu sławę i poczytność nie tylko w Niemczech. Książki jego tłumaczy się we Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych, Włoszech, a nawet w Argentynie i Japonii. Jest to więc już w chwili obecnej pisarz na miarę światową. Z tym większym zainteresowaniem sięgamy po jego *Testament Odyseusza*.

Książka ta stoi na pograniczu prozy beletrystycznej i eseju filozoficznego. Chociaż jednak pokazuje ona Odyseusza „odbrązowionego" w pewnym sensie, chociaż autor nicuje w niej gruntownie tematykę oraz problematykę *Odysei*, jakby podejmując polemikę ze stworzoną przez Homera heroiczno-baśniową koncepcją osoby i losów króla Itaki, pomimo to trudno byłoby zestawiać utwór Jensa z takiego rodzaju modernizacjami starych mitów, jak *Elektra* Giraudoux czy *Orfeusz* Cocteau. Dla Jensa mit nie jest jedynie kanwą, na której mógłby on tkać fantazyjne desenie własnych pomysłów i interpretacyj, nie jest pretekstem do popisów intelektualnej błyskotliwości i wirtuozerii stylu.

Autor stawia sobie za zadanie wyłuskać z bajkowo-legendowej osnowy homeryckiego eposu jądro rzeczywistego ludzkiego dramatu. Nie znaczy to bynajmniej, że chce oddzielić stały ląd historycznych faktów lub choćby prawdopodobnych hipotez od oceanu Homerowych fantazyj. Odyseusz jest dla niego również bohaterem mitu, ale mitu całkiem odmiennego treściowo, jest wręcz przeciwstawieniem tego militarno - artystokratycznego wzorca osobowości ludzkiej, który fascynuje greckiego poetę; jest upostaciowaniem rozumności człowieka, zmagającego się ze ślepym chaosem żywiołów i nie mniej ślepą grą ludzkich żądz, z mechanizmem nie poddanych kontroli intelektu odruchów i nawyków. Nie z wariacjami na tematy mitu mamy do czynienia u Jensa, ale raczej z budowanym z mitycznego materiału przez współczesnego artystę — jeśli tak rzec można — kontrmitem.

Powieść swą ujmuje Jens w formę autobiografii Odyseusza, spisywanej przez niego jako suma własnych doświadczeń i przemyśleń, a przeznaczonej dla jego wnuka, Prasidasa, syna Telemacha. Autobiografię tę pisze Odyseusz gdzieś na obczyźnie, w późnej starości, a kończy ją w ostatnim dniu swego życia, zapowiadając własną rychłą śmierć („Z dala dobiega cicha muzyka: Apollo dotyka kostką strun liry... a może jest to łuk, który dźwięczy? Nie potrafię już tego dobrze rozróżnić; ale wiem, że bóg się zbliża, wyczuwam łagodny nacisk jego dłoni — już odrywa się strzała od cięciwy; cichy świst i moje serce ustaje").

Z autobiografii tej dowiadujemy się, że młody Odyseusz, znudzony spokojem i monotonią życia w ojcowskim domu na Itace, ruszył w świat. Nie w poszukiwaniu przygód czy sławy. „Chciałem poznać ludzi, zrozumieć ich pragnienia, pojąć ich namiętności i odkryć popędy" — tak oto określa cel swojej wyprawy. Po dziesięcioletniej wędrówce wraca do ojczyzny i na żądanie ojca obejmuje władzę królewską. Rychło przekonuje się ku swemu zdumieniu, że chociaż chciał rządzić jak najbardziej łagodnie i rozumnie, wzbudza wśród poddanych trwogę. Przyczyną tego jest jego samotność, odsunięcie się od ludzi i ciągłe, jak w latach wędrówki, pozostawanie na stanowisku obserwatora.

Za radą ojca postanawia pojąć żonę. Wyrusza do Sparty, aby ubiegać się o rękę słynnej Heleny, później żony Menelaosa. Ma ona opinię osoby niesłychanie zarozumiałej i wybrednej: odrzuciła dotąd piętnastu zalotników,

wśród których znajdowali się przedstawiciele najznakomitszych rodów greckich. Odyseuszowi udaje się przejrzeć grę spartańskiej księżniczki, polegającą na tym, aby wszystkim wielbicielom pozostawić pewną nadzieję sukcesu, unikając jednak wiążącej wypowiedzi, i w ten sposób trzymać ich w niepewności. Dokonany wybór zmobilizuje wtedy przeciwko zwycięzcy wszystkich pozostałych. Z powodu Heleny rozpęta się wojna powszechna. Taki właśnie jest cel ambitnej Spartanki: poświęcić całą Grecję na ofiarę dla swojej piękności. Wydawać by się więc mogło, że Helena to jakiś kobiecy demon. Jens jednak nie demonizuje swojej bohaterki. Jego Helena jest po prostu chytra, głupia i zarozumiała. Ta właśnie niepokonalna żadnymi rozumowymi racjami głupota czyni ją tak niebezpieczną i silną.

Niemniej Odyseusz krzyżuje plany Heleny doprowadzając do zawarcia umowy, na mocy której wszyscy odrzuceni przez spartańską księżniczkę wodzowie greccy zobowiązują się do zawarcia przymierza z jej przyszłym mężem. Następnie zaś bohater udaje się z pielgrzymką do świątyni Apollina na wyspie Delos i tam spotyka Penelopę, która wkrótce zostaje jego małżonką a zarazem wiernym i najbardziej zaufanym przyjacielem.

Teraz zaczyna się najszczęśliwszy okres w życiu Odyseusza. Król zbliża się do swoich poddanych, zżywa się z nimi i zaprzyjaźnia. Żona i synek Telemach pełnią rolę jakby pośredników między władcą i ludem. Odyseusz zaczyna żyć życiem zwykłego obywatela swego kraju, staje się rzeczywiście synem swej ojczyzny, bratem jej mieszkańców.

Niedługo jednak trwa ta sielanka. Helena wykorzystuje okazję, jaką stanowi dla niej zjawienie się w Sparcie Parysa. Ucieka z nim do Troi. Wieść tę przywozi Odyseuszowi sam Menelaos. Teraz już przemyślność króla Itaki nie odwróci grożącej katastrofy. Helena dopięła swego: z jej powodu będą ginąć ludzie i walić się królestwa.

W dziesiątym roku wojny Odyseusz podejmuje próbę położenia kresu dalszemu rozlewowi krwi. W drewnianym koniu dostaje się do Troi, aby — jak umawia się z greckimi wodzami — otworzyć nocą bramy miasta. Właściwym jego celem jest jednak skłonienie Trojan do wydania Heleny i rozpoczęcie rokowań. Porozumienie z Priamem ma ułatwić mu kapłan Apollina, Laokoon. Niestety, Laokoona dusi olbrzymi wąż, który wypełzł z morza. Odyseusz usiłuje się dostać do Priama, ale zostaje uwięziony przez straż pałacową. W nocy powracają z Tenedos Grecy, którzy, nie mogąc się doczekać otwarcia bram, przypuszczają gwałtowny szturm i zdobywają miasto.

Odyseuszowi udaje się wyjednać łagodniejsze warunki pokoju i uchronić od zagłady resztki ocalałych z rzezi Trojan, a wśród nich nieszczęsnego króla Priama. Po odpłynięciu Greków Odyseusz pozostaje w mieście jako reprezentant władz okupacyjnych. Jego rozum i łagodność zyskują mu uznanie Trojan. Serdeczna przyjaźń łączy go z Priamem, coraz słabszym fizycznie i coraz bardziej dziecinniejącym, staremu królowi opowiada Odyseusz baśnie, które potem uznano za historię jego własnych przygód.

Po śmierci Priama, serdecznie żegnany przez mieszkańców Troi, wyrusza Odyseusz w drogę powrotną. Koło Ogigii jednak burza rozbije jego okręt, a Odyseusz dostaje się do Podziemia, gdzie staje przed sądem Radamantysa oskarżony przez cienie mieszkańców Itaki, którzy wyruszyli z nim na wojnę, by znaleźć na niej śmierć. Wysłuchawszy oskarżycieli sędzia umarłych wydaje wyrok: „W imieniu garbarzy i ogrodników, stolarzy i pisarzy, poetów i murarzy, rzemieślników i marynarzy: wojna minęła, nadeszła godzina sądu. Oskarżyciele stoją przed tobą, a ja wypowiadam wyrok. Zabijałeś, a więc umieraj. Milczałeś — unicestwiam ciebie".

Zaledwie przebrzmiały słowa wyroku, Odyseusz budzi się w rybackiej chacie na wybrzeżu Ogigii, ciężko chory wskutek ran odniesionych podczas rozbicia okrętu. Choruje bardzo długo. Przyszedłszy do sił wraca do Itaki i trafia akurat na wielką, radosną uroczystość, jaką obchodzi ludność wyspy, ponieważ właśnie minęła rocznica rzekomej śmierci Odyseusza, o której przynieśli wiadomość ocaleni marynarze z jego statku. W dniu zakończenia żałoby państwowej Penelopa poślubiła, namówiona przez swoich doradców, sędziwego, mądrego

Amfinomosa. Bezkrólewie skończyło się. W kraju zapanował znowu ład, wraca normalny, codzienny porządek rzeczy.

A samotny wędrowiec, który w dniu powrotu utracił tron, żonę, dom rodzinny, kroczy gwarnymi ulicami, mija rozbawione miasto i wspina się odludną drogą na opustoszałe górskie pustkowie. Spełnił się wyrok Radamantysa: Odyseusz umarł, a nawet więcej niż umarł: został unicestwiony.

Tak przedstawia się w pobieżnym zarysie wątek fabularny utworu. Jak w każdej jednak filozoficznej przypowieści, tak i w tej fabuła jest jedynie układem znaków i symboli. Bo też nie o opowiedzenie raz jeszcze historii Odyseusza chodzi Jensowi. Nie bawi się on samym tematem Odysei, jak np. Graves w *Córce Homera*. Podejmuje on polemikę z homerycką wizją losu i postaci Odyseusza, z tą wizją, która przez stulecia urzekała wyobraźnię Europejczyków. W jego Odyseuszu nie ma nic z wojownika, zdobywcy, bezlitosnego mściciela własnych krzywd; pozbawia go Jens tej wyrachowanej, cynicznej chytrości, w jaką wyposażył swego bohatera Homer. Odyseusz niemieckiego autora reprezentuje rozum zmagający się z szaleństwem, głupotą, myśleniem szablonami; reprezentuje nieustanną czujność sumienia i to, co określamy pojęciem „ludzkość", mówiąc o „ludzkim" postępowaniu, „ludzkim" charakterze. Gdybym szukał motta dla tej książki, sięgnąłbym po strofę z młodzieńczego hymnu Hölderlina:

Der Not ist jede Lust entsprossen,
Und unter Schmerzen nur gedeiht
Das Liebste, was mein Herz genossen,
Der holde Reiz der Menschlichkeit.

Nie dla retorycznego efektu pozwoliłem sobie na ten cytat. Chciałem nim zasygnalizować dogłębną, rdzenną niemieckość książki Jensa. Krótka to, bardzo zwięzła, nader ekonomicznie zbudowana powieść, ale o niesłychanie bogatym i skomplikowanym podtekście oraz bogatej i pięknej genealogii artystycznej i ideowej. Jest ona nader reprezentatywnym wyrazem tego nurtu kultury niemieckiej, którego przedstawicielami byli: Lessing, Herder, Goethe, Schiller, Hölderlin, a za naszych już czasów — Tomasz Mann.

Jako artysta Jens nie kroczy zresztą śladami autora *Czarodziejskiej góry*. Mann modyfikował i przystosowywał do swoich potrzeb poetykę dziewiętnastowiecznego realizmu rodzajowego, ale niemniej pozostał jej do końca wierny. Jens ją po prostu wymija. Ogranicza realia do minimum i traktuje je z dużą dozą konwencjonalizmu, nie jak elementy realistycznej, epickiej opowieści, ale jak rekwizyty sceniczne. Rezygnuje z ciągłości akcji, zbywając nieraz krótką wzmianką całe dziesięciolecia (jak np. przebieg kampanii trojańskiej) i rezygnuje tym samym z budowania na oczach czytelnika historii duchowego rozwoju swoich bohaterów, z konstruowania owego skomplikowanego systemu motywacyj, który czynił zrozumiałym i celowym działanie postaci dawnej powieści. Akcja *Testamentu Odyseusza* skupia się w kilku zwartych, pełnych dramatycznego napięia epizodach. Człony łączące owe epizody potraktowane są podobnie jak u Witkacego wprowadzane na początku rozdziałów „informacje" lub jak uwagi inscenizacyjne dramaturga w tekście sztuki.

Słowem: daleko utworowi Jensa do klasycznej powieści. Jest to raczej o p o w i e d z i a n y d r a m a t. I ta właśnie forma opowiedzianego dramatu nadaje *Testamentowi Odyseusza* piętno odrębności, czyni tę książkę dziełem na pewien swoisty sposób awangardowym. Na czym jednak awangardowość ta polega? Jens, jak już wspomniałem wyżej, napisał szkic o Brechcie. Jeszcze większym zainteresowaniem darzy on Hugona von Hofmannsthala, któremu poświęcił wydaną w roku 1955 rozprawę *Hofmannsthal und die Griechen*. Zainteresowanie to nie jest zainteresowaniem tylko badacza. Faktura powieści Jensa każe myśleć zarówno o stylizowanych dramatach Hofmannsthala (jak *Das alte Spiel von Jedermann* czy *Das Salzburger grosse Welttheater)* oraz zuchwałych fantazjach scenicznych Brechta. Jens nie poprzestaje na klasycyzującym, „konserwatywnym" i artystycznie, i myślowo stylizatorstwie pierwszego z tych pisarzy, ale za mocno działa na niego i wzór sztuki antyku, i metafizyczne tradycje literatury nie-

mieckiej, aby mógł zdecydować się na artystyczny i ideowy rewolucjonizm autora *Mutter Courage*.

Nie byłoby chyba zbyt sprawiedliwe mówić w tym wypadku o kompromisie. Jens nie jest epigonem ani Hofmannsthala, ani Brechta, ani też sprytnym kombinatorem literackich efektów, zapożyczającym się u obu tamtych autorów. Osiąga on to, co stało się niesłychanie trudne dla współczesnego artysty: pełne i jasne wypowiedzenie centralnego dla swojej twórczości zagadnienia przy zachowaniu harmonii kształtu artystycznego. A nie jest to w wypadku Jensa bynajmniej harmonia akademickiej stylizacji, pseudoklasycznej gładkości i poprawności.

Antyczna tematyka, surowa prostota fabularna mitu, oszczędny, wolny od emfazy i wyrafinowania styl wypowiedzi były najlepszymi środkami do wyrażenia tego, co autor powiedział swoim dziełem. Z jego opowieści o losach Odyseusza odpadło wszystko, co akcydentalne; pozostała tylko sprawa centralna: człowiek postawiony ze swoim rozumem i sumieniem wobec świata i innych ludzi. Jens zdołał stworzyć własną, antyhomerycką — jakby się chciało powiedzieć — wersję mitu Odysa, królatułacza. W tej wersji legendarny heros pozbawiony został nadludzkiej mocy i mądrości, upodobnił się do każdego z nas; i nie kaprysy bogów wyznaczają bieg jego losów, ale prawa życia społecznego i prawa moralne. Nie o koronę, nie o królestwo, nie o władzę, potęgę i bogactwo walczy Odyseusz Jensa, ale o pozytywny moralnie, humanistyczny ład własnego i zbiorowego życia. *Der holde Reiz der Menschlichkeit*, że przypomnę zacytowane wyżej słowa Hölderlina — oto kierująca jego myśleniem i działaniem dewiza.

Jensowi można zarzucić skłonność do metafizykowania, do budowania koncepcyj zbyt ogólnych i dlatego z konieczności ogólnikowych. Jest w tym pisarzu coś z kaznodziei wychowanego na najlepszych zresztą tradycjach niemieckiej humanistyki. Punktem dojścia nie jest przecież dla autora *Testamentu Odyseusza* jakakolwiek kapliczka wyznaniowa. Jego koncepcja człowieka i losu ludzkiego wchodzi do skarbca dorobku humanizmu ogólnoludzkiego, w którym łączą się i jednoczą nurty wypływające z najrozmaitszych źródeł.

Książka jego przypomina nam, że choć w skromnym stopniu, ale przecież uczestniczymy w rozgrywającym się od tysiącleci dramacie historii gatunku ludzkiego i że nasze moralne i intelektualne decyzje nie są bez znaczenia dla dalszego rozwoju tego dramatu. Człowiek współczesny jest tak uwikłany w drobne, pospolite kłopoty codzienności i tak małą wykazuje wobec nich odporność, że należy go od czasu do czasu wyrwać z dusznej, nasyconej małostkowością atmosfery dnia powszedniego, postawić w obliczu bogów i gwiazd.

Stefan Lichański

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

Anglia

LONDON MAGAZINE (maj). W interesującym szkicu *Sztuka, prawda i historia* C. W. Wedgwood podejmuje problem, czy historia jest sztuką, czy nauką. Z wdziękiem i swobodą przeprowadza swój akademicki wywód. Każda nauka dąży do odkrycia prawdy, prawda jednak nie może być zrozumiana ani przekazana bez pośrednictwa sztuki. Dotyczy to nawet historii nie mającej żadnych aspiracji typu estetycznego. Należy bowiem rozgraniczyć zakres praw i obowiązków historyka i beletrysty. Pisarz chcąc przekazać prawdę o życiu eksponuje ją i intensyfikuje. Prawda, jako taka, nie wystar-

cza jego celom. „Realizm sam w sobie jest fatalny" — powiedział Turgieniew. Historyk nie ma tej swobody, ponadto każdy nowoodkryty fakt wymaga zmiany wzajemnego stosunku komponentów, pisania historii na nowo. Stara whigowska teoria historii literatury, mimo że uproszczona i stronnicza, jest pełna uroku. Bardziej jeszcze niebezpieczna jest ekonomiczna interpretacja historii, zaleca bowiem stosowanie schematyzmu. Gigantyczna wizja świata, jaką dają, ma jednak niewątpliwie duży walor estetyczny. Arnold Toynbee jest wybitnym przykładem tego, że w dzisiejszych czasach historyk musi znaleźć własną formę. Nie mieszajmy pojęcia stylu i formy. Styl jest najbardziej powierzchowną warstwą materii słownej, forma — jej strukturą wewnętrzną, planem i koncepcją książki. Historyk może od biedy obejść się bez stylu, nigdy bez formy, gdyż wtedy książka jego przestaje być sztuką, przestaje być historią, a staje się zwykłym katalogiem stwierdzeń. Niezrozumienie funkcji stylu doprowadziło z końcem ubiegłego wieku do buntu akademików przeciw tzw. „*literary historiens*" i koncepcji historii jako dyscypliny czysto naukowej, nie mającej nic wspólnego ze sztuką. Wedgwood dowodzi w swym szkicu, że bez względu na to, czy materiał historyczny daje okazję do stylistycznego popisu, czy nie, nie może być inteligentnie przetrawiony bez pewnego poczucia estetycznego, które wyraża się w jego układzie i koncepcji. Gdyż — jak pisał Sir John Neale, łączący uzdolnienia historyczne z literackimi — „nie wszystkie fakty rodzą się wolne i równe". Ułożyć je prawidłowo, odróżnić ważne od błahych, odkryć wzajemne ich oddziaływanie — to zadanie wymagające niemal malarskich uzdolnień. Dobry historyk musi być artystą. Bez poczucia formy nie istnieje zdolność selekcjonowania faktów, analizowania ich, komponowania, wysnuwania argumentów. Nie ma historii, tylko kalendarze i kroniki.

John Lehman przypomina setną rocznicę urodzin poety A. E. Housmana, autora śpiewnych strof *Shropshire Lad (Chłopak z Shropshire)*. Długo nie można było dojść, jakie źródła emocjonalne zasilały tę poezję. Dopiero ostatnie lata przyniosły rewelację młodzieńczego zadurzenia w młodszym koledze, Mosesie Jacksonie.

Shaun McCarthy zamieszcza przekład siedmiu wierszy Juana Ramona Jimaneza i we wstępie podkreśla andaluzyjską tradycję tej poetyki. Numer zawiera prócz tego opowiadanie Stig Dagermana, jednego z wybijających się pisarzy powojennego pokolenia w Szwecji, *(Otwórz drzwi, Ryszardzie!)*, i makabryczną wizję z ery robotów Jamesa Charltona *(Poranna inspekcja)*. J. D. Fraser w *Dzienniku decyzji* sięga również do arsenału współczesnych obsesji, mianowicie: do fascynacji osobą dyktatora. Hilary Corke, Perry Organ, Samuel French Morse i Alan Ross reprezentują poezję.

TWENTIETH CENTURY (maj). Umieszczone pod wspólnym tytułem *Ekspansywne Imperia* artykuły Richarda Loventhala, Paula Ignotusa i G. F. Hudsona zajmują się polityką na najwyższym szczeblu i mają zapewne utwierdzić przekonanie, że Anglia stworzona jest do roli mediatora. Rayner Heppenstall jeszcze raz zapuszcza się w Proustowskie zakamarki odnalezionego czasu, przeprowadzając wywód rehabilitacyjny Charla Morela, postaci zresztą dość marginesowej. Misternie gromadząc skąpy materiał dowodowy buduje własną logiczną konstrukcję, według której przekazana w relacji Marcela sylwetka Morela, jako łajdaka, nie ma uzasadnienia. Richard Findlater pisze o alarmującym zjawisku kurczenia się placówek teatralnych i o innych ciemnych stronach polityki lokalowo-programowej. Ozdobą dość ubogiego pod względem literackim numeru jest fragment pism nie żyjącego już Simone Weil *Kłamstwo praw osobistych*, proces wytoczony cywilizacji współczesnej.

Również majowy numer ENCOUNTER na plan pierwszy wysuwa sprawy polityczne. Peregrine Worsthorne porusza jeden z najbardziej zakłamanych problemów, jakim jest stosunek Anglii do Ghany. Tworzenie się państwowości w Ghanie jest procesem niezwykle skomplikowanym. Brak wspólnej więzi interesów, języka i kultury między plemionami grozi przy lada wstrząsie kompletną dezyntegracją. Mit „*partnership*" podawany w filozoficznym sosie przez Barbarę Ward jest czystą fikcją. Zastąpienie mrzonek o utrzymaniu Ghany w ramach wspólnoty brytyjskiej rozsądnym aliansem, na wzór amerykański,

jest jedynym, jeżeli nie spóźnionym już wyjściem. Sidney Hook, profesor filozofii z Nowego Jorku, opisuje swoje spotkanie z Vinoba Bhave — kontynuatorem idei Gandhiego — który stoi dziś na czele masowego ruchu ludowego w Indiach. Zasady, które głosi, są proste: powstrzymanie się od gwałtu i oparcie życia na prawdzie, współczuciu i miłości. Jego „etyczny socjalizm" przyciąga ludzi ze wszystkich odłamów społeczeństwa. Czy jednak rozwiąże problem głodu, przeludnienia, analfabetyzmu? Wayland Young daje małe studium współczesnej angielskiej prostytucji (*Sitting on a Fortune*). Zainteresowanie tym tematem ostatnio wzrosło, czego dowodem dwie książki, które ukazały się niedawno: socjologiczne studium Rosalind Wilkinson *Kobiety na ulicy* i *Rzuć pierwszy kamieniem*, kilka historii zebranych przez sędziego Johna M. Murlagh i Sarę Harris. Young posłużył się metodą bezpośrednich wywiadów, z czego powstał niedaleko od *Balkonu* Geneta odbiegający obraz organizacji tego przemysłu od ulicznych ciem nocnych aż po *high-life* luksusowych kociaków. Wszystko to nie tylko nie utwierdza nas w przekonaniu, że prostytucja może być zwalczona środkami administracyjnymi, ale wręcz pozwala przewidywać unowocześnione formy, ku którym będzie ewoluować. Będzie to rodzaj pogotowia ratunkowego, punkty usługowe sexu, gotowe zawsze na wezwanie telefoniczne zadośćuczynić wymogom swych klientów. Simon Raven (*Od miecza zginie*) opowiada dzieje swej wojskowej kariery. Tytuł ma oznaczać, że od miecza zginie każdy człowiek, który stracił właściwe pojęcie o swym właściwym miejscu między ludźmi. Kiedy miecz, symbol honoru i przywództwa, staje się również symbolem kasty — zabija. W części beletrystycznej opowiadanie koreańskiego pisarza, Hwan Soon Won, odznaczone na konkursie zorganizowanym przez *Encounter* i międzynarodowy PEN-club. Manya Harari, tłumaczka *Doktora Żiwago* na angielski, dorzuca swoje uwagi do dyskusji nad wiernością przekładu, którą rozpoczął znany krytyk amerykański, Edmund Wilson.

Czechosłowacja

Niezmiernie interesująco prowadzony jest czechosłowacki miesięcznik SVETOVA LITERATURA. Już sama szata graficzna tego miesięcznika odznacza się smakiem i typograficzną umiejętnością.

Pismo to podaje teksty literackie pisarzy z całego świata oraz obfity dział recenzji. Z treści numeru drugiego odnotowujemy: proza Angusa Wilsona, Françoise Mallet-Joris, Jarosława Iwaszkiewicza oraz popularna teraz wszędzie nowela W. Bogomołowa *Iwan*. (Jakieś dziwne kłopoty są z imieniem radzieckiego pisarza: w Radio Polskim nazywa się on Wiktorem, w *Svetovej Literaturze* Włodzimierzem, a *Znamia* i nasza *Twórczość* podały tylko W., pierwszą literę tego imienia...)

Z poezji mamy współczesnych poetów Hiszpanii, szwedzkich poetów z Finlandii oraz poezje tadżyckie.

Najciekawszy jest jednak dział krytyczny, tak zwane „recenzje z wyimkami". Są to sprawozdania z książek pisarzy zagranicznych przeplatane bardzo obfitymi, sięgającymi kilku stron cytatami z omawianej książki. W ten sposób recenzje dają bardzo jasny „portret" omawianego dzieła, czego tak często brak krytykom polskim.

W najbliższych numerach *Svetova Literatura* ma zamiar drukować utwory Kostasa Varnalisa, Abderzahmana al-Chamisi i Michela Butora.

jot

Wojenne opowiadanie Szołochowa *Przeznaczenie* (czy też *Los*) otwiera kwietniowy numer TEMPS MODERNES. W interesującym, świetnie udokumentowanym eseju *Malarstwo i figuratywność* Jean Louis Ferrier dowodzi, że antynomia ta, lansowana przez współczesnych teoretyków abstrakcjonizmu, jest całkowicie sztuczna i nieprawdziwa, że nie figuratywność jest odwiecznym wrogiem malarstwa, ale z jednej strony nieudolne imitowanie przyrody, z drugiej — niezrozumiały, bełkoczący bazgroł. W krótkim artykule Uri Avnery, jeden z młodych działaczy politycznych Izraela, wykłada założenia nowego ruchu, który reprezentuje, semityzmu. Przezwyciężając ograniczenia i ślepy nacjonalizm (zresztą wschodnio-europejskiego, a nie izraelskiego pochodzenia) syjonizmu, ruch ten pragnie znaleźć jakiś możliwy do przyjęcia dla obu stron *modus vivendi* z Arabami i wyciąga do nich braterską dłoń. Pierwszą swą korespondencję z Kuby zamieszcza wrócony wreszcie swej ojczyźnie wielki poeta tego kraju (a częsty gość i przyjaciel naszego), Nicolas Guillen. Serge Mallet drukuje dalszy ciąg swojego pasjonującego studium o nowych aspektach francuskiego przemysłu. Lektura obowiązkowa dla wszystkich naszych ekonomistów.

Bardzo słaby jest majowy numer NOUVELLE REVUE FRANÇAISE. W pierwszej części zwracają uwagę jedynie zapiski André Massona, nadrealistycznego malarza i grafika, oraz interesujące, ale zupełnie aberacyjne we wnioskach rozważania Gaston Bouthoula nad sensem i istotą wojen, pt. *Przyczynek do przyszłej polemologii.* Bouthoul twierdzi — zupełnie serio — że wojna jest celem samym w sobie, który chce tylko uchodzić za środek, że ma przede wszystkim na względzie samounicestwienie narodu, który ją podejmuje, a dopiero na drugim planie unicestwienie przeciwnika, że jest, słowem, naturalnym mechanizmem biologicznym regulującym przyrost naturalny. Teoria nie nowa, niemniej głupia. Środki antykoncepcyjne dużo przyjemniejsze w użyciu. W części drugiej, kronikarskiej, brak tym razem Blanchota. Za to pani Dominique Aury ogłasza *Lolitę* Nabokova za arcydzieło dwudziestego wieku. Sąd ten może dziwić w ustach surowego krytyka, autora poważnej *Antologii francuskiej poezji religijnej,* ale dziwić przestaje, skoro się wie, że wszechstronnie uzdolniona pani Aury jest zarazem kryptonimowym autorem jawnie pornograficznej, choć nie pozbawionej literackiej urody *Histoire d'O,* która to książka wywołała taki skandal w Paryżu cztery lata temu.

W MERCURE DE FRANCE fragmenty z dziennika Paul Léautauda. Tom za rok 1927 jest właśnie przygotowywany do druku i wyjątki z niego pojawiają się jednocześnie w wielu pismach literackich. Poza tym średnie wiersze, dwa niedobre opowiadania i wspomnienie Charles Bissona o Leonie Bloy.

PREUVES przynosi w swym majowym numerze cenne polonicum — drugi już z kolei fragment z *Na wysokiej połoninie* Stanisława Vincenza. Pretensjonalny w swoim wieszczym tonie esej o *Złotym Wieku* E. M. Ciorana, jednego z dziesięciu genialnych Rumunów osiadłych na stałe w Paryżu, z którymi cała trudność polega na tym, że nie zawsze ich można od siebie odróżnić. Uczciwy i mądry artykuł François Fontaine'a, usiłujący wskazać jakąś drogę wyjścia z algerskiego impasu. Czytelnika polskiego zainteresuje omówienie wystaw Kantora i Dominika pióra K. A. Jeleńskiego.

Bardzo interesujący, przynajmniej na tle względnej szarości innych miesięczników, jest ostatni numer LA NEF. Maurice Duverger, François Mitterand i Natan Leites bilansują wydarzenia ostatniego roku (maj 58 — maj 59, pierwszego roku oświeconego absolutyzmu de Gaulle'a. André Philip, przywódca dysydentów z Partii Socjalistycznej, którzy w ubiegłym roku utworzyli Niezależną Partię Socjalistyczną (P.S.A.), ogłasza płomienny, choć, obawiam się, nieco idealistyczny, manifest *O odnowiony socjalizm. Enfant terrible* francuskiej krytyki literackiej, Henri Guillemin, dobiera się do sprawy Dreyfusa i ogłasza wyniki swoich pierwszych poszukiwań. Sądząc z rozgłosu, jaki mu zyskały ogłoszone niedawno prace o Beniaminie Constant i pani de

Staël dotykające przecież nierównie „spokojniejszego“ tematu, nowa książka Guillemina będzie przyczyną nie lada rozróby. Gilles Martinet ogłasza interesujące omówienie głośnej ostatnio we Francji *Samokrytyki* Edgara Morina, Claude Roy zaś esej o etnologach w ogóle, a o Claude Lévy Straussie w szczególności. Esej ten postaramy się w następnym numerze *Twórczości* udostępnić czytelnikowi polskiemu, już choćby po to tylko, aby uzmysłowić naszym wydawnictwom naglącą potrzebę przetłumaczenia na nasz język tego wielkiego dzieła, jakim są *Smutne tropiki*.

REVUE DE PARIS z maja przynosi tylko dość zabawną a nieznaną dotychczas korespondencję Mallarmé'go, dotyczącą okoliczności jego ślubu z Marią Christiną Gerhard. Młoda ta Niemeczka, którą poeta uwiódł i z którą mieszkał „na wiarę” w Londynie, nie chciała się zgodzić na ślub „z obowiązku”, co z kolei mocno irytowało Mallarmé'go. Pisał z Londynu do swojego przyjaciela i powiernika, Cazalisa: „Jestem zrozpaczony. Postanowiła uniemożliwić mi dokonanie jedynego szlachetnego czynu, na jaki mnie w życiu stać”.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy majowy numer LA TABLE RONDE nie jest numerem specjalnym, poświęconym w całości jednemu zagadnieniu. Nie jest jednak przez to ani lepszy, ani bardziej interesujący. Jacques Chevalier wspomina swe rozmowy z Bergsonem w ostatnich latach życia filozofa, całkowicie ześrodkowane wokół sprawy stosunku jego do religii. Dyskusja o nauczaniu łaciny i greki i przydatności nauk humanistycznych, zapoczątkowana w numerze marcowym *La Table Ronde* wzbogaca się (minimalnie) o trzy nowe głosy, dwa hiszpańskie i jeden angielski. Ciekawa recenzja — nie pierwsza już zresztą, jaką napotkałem — o wydanym wreszcie w całości jednym tomie *Dzienników* Amiela (za rok 1866). Ten najsławniejszy z pisarzy małej Szwajcarii zasłynął jako potężny myśliciel i głęboki filozof na poczet raczej niż na podstawie nigdy nie wydanych swych *Dzienników*, znanych tylko w niewielkich fragmentach (całość liczy sobie blisko 17.000 stron). Sądząc z przyjęcia zgotowanego tej „rewelacji sezonu“ przez francuską krytykę literacką, Amiel byłby jedną z najbardziej wydętych wielkości europejskiego Parnasu literackiego. Amiel zdaje się być pod każdym względem (także intelektualnym) po prostu impotentem, który jednakże potrafił tę swoją wrodzoną impotencję podnieść do rangi systemu filozoficznego, światopoglądu, i, jak wiadomo, nienajgorzej sprzedać. Nikt, zdziaławszy tak mało, nie znaczył nigdy tak wiele — konkluduje zgodnie francuska prasa literacka.

ESPRIT numer swój poświęca w całości zagadnieniu *Ubóstwo w świecie współczesnym* i stawia go pod znakiem Leona Bloy, tego najbardziej chyba wyczulonego na krzywdę społeczną mistyka katolickiego pierwszych lat tego wieku. (Myślę, *nota bene*, że słynne jego powiedzenie, iż pieniądz jest krwią Chrystusową, bo krwią — krwawicą — ubogich, nie jest, mimo całej mistyki, tak bardzo odległe od marksowskiej teorii nadwartości.) Czy ubóstwo zanika w świecie współczesnym, którego celem stała się masowa produkcja dóbr konsumcyjnych? Czy przybiera tylko inne — kto wie czy nie straszniejsze — formy? Jaką wartość i jaki sens może mieć dzisiaj — dla katolika, a może i nie tylko dla katolika — cnota ubóstwa? Autorzy artykułów zamieszczonych w tym numerze dają na te pytania nader interesujące odpowiedzi. W rocznicę śmierci przyjaciele wspominają pamięć przedwcześnie zmarłego w roku ubiegłym pisarza i krytyka, André Bazina, opętanego pasją kina, który stworzył we Francji nową szkołę krytyki filmowej i patronował wszystkim nowym eksperymentom i próbom. Jemu w dużej mierze film francuski zawdzięcza osiągnięcia swych ostatnich lat. André Bazin był redaktorem naczelnym *Cahiers du Cinéma*, sprawozdawcą filmowym *France- Observateur* i od lat wiernym współpracownikiem *Esprit*. (Gościliśmy go trzy lata temu w Polsce, a *Twórczość* drukowała w swym numerze francuskim jego szkic o współczesnym filmie francuskim.)

CRITIQUE nie dochodziła w ostatnich miesiącach, po czym zwaliły się na raz cztery numery: luty, marzec, kwiecień, maj. Trudno było przez to wszystko przebrnąć, tym bardziej że specjalna formuła tego pisma (tylko poważne eseje krytyczne) nie ułatwia bynajmniej

lektury. Ale po przewertowaniu ich z grubsza specjalnie interesujące się wydają eseje Roland Barthes'a *(Mowa i ubiór)* i Duvignauda *(Istnienie i Opętanie)* w numerze marcowym, Crastre'a (o nowowydanym przez Roger Caillois *Skarbcu poezji powszechnej*, dziele, do którego na tych łamach powrócimy) i Garniera o Miłoszu (Oskarze) w kwietniowym. Omówienie majowego zostawiam do następnego przeglądu.

Wreszcie LES LETTRES NOUVELLES. Stają się one tak ruchliwe i pomysłowe, przynoszą co tydzień tak wiele godnego uwagi materiału, że zdawanie sprawy z ich zawartości zmienia się w żmudne wyliczanie nazwisk i tytułów. Tak jak w innych pismach trudno nieraz wyszperać pozycję wartą zasygnalizowania, tu z konieczności pozycji takich muszę pomijać wiele. Więc z dziewiątego numeru wymienię zabawny (czy tylko?) wiersz Raymonda Queneau *Pieśń styrenu*, pierwszy hołd złożony przez poezję dumie naszego wieku, tworzywom sztucznym. Drugi akt sztuki irlandzkiego pisarza Brendan Behana *Poranny klient*, granej obecnie z niemałym powodzeniem w Paryżu. W dziesiątym fragmenty dziennika Léautauda (1927), piękna proza angielskiego poety Dylan Thomasa i dalszy ciąg kapitalnego eseju Etiemble'a, wykłócającego się z innymi sinologami o interpretację Buddy, Konfucjusza, Lao Sze i Bóg wie kogo tam jeszcze. Meritum sporu jest dość dla przeciętnego śmiertelnika niezrozumiałe, ale jak to jest zrobione! Nie rozumiesz zupełnie, o co chodzi, a czytasz jak kryminał z pałającymi policzkami. Etiemble — niedościgniony wzór dla naszych polemistów. U nich zawsze wiadomo z góry o co chodzi, tylko że czytać tego nie można. W jedenastym opowiadanie Nabokowa *Siostry Vane* i fragment prozy Cayrola. W dwunastym interesująca proza Pingeta (autora głośnej ostatnio powieści *Le fiston*) i po raz pierwszy przetłumaczony z arabskiego (przez wielkiego islamistę francuskiego, Louis Massignona, ludowy epos średniowieczny o świętej Wojnie Ostatecznej Islamu Arabskiego *(Qissa Husayn Al-Hallaj)*, pełen świeżej i bujnej poezji. W jedenastym jeszcze warto zasygnalizować wręcz entuzjastyczny artykuł o filmie polskim, jego realizacjach i perspektywach. Poza tym stałe kroniki — z tym, że brak ostatnio Roland Barthes'a, za to Bernard Pingaud wprowadził nową rubrykę *Pisane złym atramentem*. Dobiera się w niej do skóry współczesnym francuskim Mniszkównom (Trilby, Lise Blanchet), których bzdurne romanse, (ale jak bzdurne! *Trędowata* przy tym to Kant!) rozchodzą się ciągle w ponad stutysięcznych nakładach. Pingaud bierze po kolei te książki pod skalpel i usiłuje spenetrować tajemnice ich zawrotnego powodzenia. Aczkolwiek nie oceniam osobiście zbyt optymistycznie sytuacji czytelnictwa w naszym kraju, to jednak sądzę, że pod tym względem sytuacja u nas jest lepsza. Mimo że cena *Trędowatej* osiąga ponoć dwieście złotych na ciuchach i że rozlegają się tu i ówdzie wśród pisarzy nawet (!) „liberalne" głosy, żeby ją wydać, skoro ludzie chcą to czytać, sądzę, że u nas mimo wszystko nie znalazłaby się już tak szeroka publiczność dla tego typu literatury. Zmusiliśmy ludzi do przeczytania zbyt wielkiej ilości dobrych książek w ciągu tych piętnastu lat (do złych też zmuszaliśmy, ale ludzie nie głupi, nie czytali, na szczęście to była zła literatura n u d n a), żeby już mogli na ten poziom zerowy powrócić. We Francji, sądząc z relacji Pingauda, kryzys czytelniczy zdaje się natomiast pogłębiać, miast cofać, penetrując coraz szersze rzesze ludności przy pomocy współczesnych środków *mass-culture*. *(Ładna mi culture!)*

jl

Niemcy

NEUE DEUTSCHE LITERATUR, Nr. 4. Trzonem kwietniowego numeru miesięcznika są artykuły i wiersze poświęcone Chinom. Ten dział poprzedza wybór wierszy Mao Tse-tunga, potem następują dwa reportaże (Bruno Freia i Klary Blum) o życiu współczesnych Chin i dużych rozmiarów *Żółta oda* Hansa Cibulki. Na uwagę zasługuje kilka pieśni ludowych dających wyobra-

żenie o osobliwym folklorze chińskiej wsi.

Pismo publikuje fragmenty ludowego widowiska łużyckiego pisarza Jurij Brezana pt. *Matka Jantsch*, fragment autobiograficznej powieści Herberta Jobsta *Wychowanek* i wiersze młodych poetów. Z krytycznych prac czyta się z dużym zainteresowaniem szkic Günthera Cwojdraka, jednego z najciekawszych krytyków średniego pokolenia, który pisze o ostatnich książkach zachodnioniemieckich prozaików: Nossacka, Koeppena i Böllа (dwaj ostatni są znani z przekładów w Polsce). Autor stwierdza u tych pisarzy odwrót od realizmu, który cechował ich pierwsze utwory. Miłośników twórczości Gotfryda Kellera zainteresuje artykuł Goldammera, który analizuje styl i słownictwo szwajcarskiego klasyka. Numer zamykają glosy i recenzje bieżących nowości wydawniczych.

AKZENTE, Nr 2. Ten dwumiesięcznik uchodzi za najlepsze pismo literackie zachodnich Niemiec, co potwierdza również treść ostatniego numeru. Przede wszystkim należy wymienić piękną nowelę Alfreda Andersch — którego powieść *Sansibar* wywołała przed kilku laty duże wrażenie w Niemczech — pod tytułem *Potworne przeżycie weneckiego zduna*, oraz jednoaktową sztukę Wolfganga Hildesheimera *Krzywa wieża w Pizie*. *Akzente* prezentują w każdym numerze współczesną twórczość literacką innego kraju. Tym razem przyszła kolej na Jugosławię. Krótki wstęp charakteryzuje sytuację literacką w tym kraju i sylwetki najwybitniejszych pisarzy jugosłowiańskich, po czym idą wiersze i nowele pisarzy, o których mowa jest w słowie wstępnym. W dziale esejów znajdujemy szkic Anni Carlsson o tytułach książek, który wnika, jeśli tak można rzec, w psychologię i estetykę dotychczas mało zbadanego zjawiska, jakim jest tytuł powieści. Wreszcie T. W. Adorno pisze o funkcji i wartości użytkowej słów obcych w języku rodzimym.

NEUE DEUTSCHE HEFTE, Nr. 58. Majowy zeszyt rozpoczyna się dużą nowelą osnutą na fantastycznych motywach, *Tygrys w kuchni*, której autorem jest Villy Sörensen, jeden z najlepszych prozaików współczesnej Szwecji. Dwa zasadnicze eseje mają tym razem charakter historyczny: Ernst Topisch pisze o państwie i micie w archaicznych kulturach, a Julius Overhoff o aspektach XIII stulecia w Europie i Azji. Bogaty dział recenzyjny przynosi omówienia kilkunastu nowości wydawniczych, w tym duży artykuł o prozie Robbe-Grilleta, o którym się teraz w Niemczech wiele dyskutuje, ale nie z takim ferworem, jak u nas w ostatnich czasach. Przy końcu numeru znajdujemy bibliografię najważniejszych czasopism francuskich.

DER MONAT, Nr. 128. W części politycznej majowego zeszytu F. R. Allemann przedstawia w artykule *Czego chce Zachód* stanowisko mocarstw zachodnich i NRF w sprawie niemieckiej. Tezy tych wywodów wywołują w czytelniku polskim dużo zastrzeżeń. Klaus Harpprecht analizuje w szkicu *W piwnicy uczuć* problem antysemityzmu w Niemczech zachodnich. Miesięcznik publikuje interesującą nowelę Silonego *Lis*, szkic Jägera o sztuce robienia dywanów oraz ciekawe uwagi Hofmanna o rozwoju karykatury w naszym stuleciu. Erhard Hürsch opisuje w reportażu *Kraj trzech słońc* wrażenia z Japonii, rozważając szczegółowo przeobrażenia, którym ten kraj uległ po drugiej wojnie światowej.

rk

Stany Zjednoczone

KENION REVUE (*Winter* 1959) zamieszcza rozważania znanego krytyka R. P. Blackmura o roli intelektualistów amerykańskich w kraju i poza jego granicami. W kraju intelektualista jest figurą podejrzaną (*vide* wypadek Oppenheimera), za granicą zaś oczekuje się od nich propagandowych serwitutów. Gorzkich refleksji na ten temat dostarczył mu ostatnio wyjazd do Japonii, kiedy to dano mu niedwuznacznie do zrozumienia, że obowiązkiem je-

go, jako pisarza i obywatela, jest zwalczanie neutralizmu. Jedną z nielicznych wolnych trybun, gdzie intelektualista nie podlega żadnym ograniczeniom, jest trzeci program B.B.C. Nie uważa on swoich słuchaczy za półinteligentów i nie pragnie ich wychowywać, w przeciwieństwie do radiofonii amerykańskiej, która żywi nieufność zarówno do słuchaczy, jak i audycji niezwulgaryzowanych w taki czy inny sposób. Blackmur apeluje o przywrócenie godności intelektualisty, zmuszanego ciągle do popełniania zdrady w stosunku do spraw, które stanowią rację jego istnienia. Najbardziej ostrożny musi być pisarz, ponieważ w słowie zawarta jest wielka siła. Używanie prestiżu literatury na obcych jej terenach grozi przemienieniem jej w metodologię państwowości, jak to było w bizantynizmie czy w świętym imperium rzymskim. Zaangażowanie pisarza nie polega na braniu udziału w akcjach bezpośrednich. Sztuka odświeża nasze wyobrażenia, przypomina nam, że „życie ma twarz Meduzy", i to zapewne miał Arnold na myśli żądając, aby sztuka była krytyką życia. W przeciwnym wypadku — jak pisze Rebeka West — „synowie światła są zmuszani podejmować zadania, które zmieniają ich w towarzyszy ciemności". A. Alvarez pisze o szkicach z podróży Henry Jamesa, części wielkiej międzynarodowej dyskusji na temat moralności kosmopolityzmu, „tej niewygodnej konsekwencji oglądania wielu krajów i nie czucia się nigdzie w domu". James wychowany na moralnych i kulturalnych tradycjach Nowej Anglii, które zastąpiły nowe kryteria siły i bogactwa, poczuł się obcy i zatracił poczucie ojczyzny. Prof. Zabel, prezentując doskonały wybór jego szkiców z podróży *(Art of Travel)*, analizuje dwa bieguny, między którymi zamykała się jego twórczość, Amerykę i Anglię. James jest pisarzem obyczajowym w tym stopniu, w jakim pozwala mu to określić własny świat wartości. To, co nazwalibyśmy dzisiaj reportażem, podniósł do poziomu swego intelektu. W numerze ponadto dosyć jałowa dysertacja Lucii Dickerson na temat użytkowości terminologii Freuda i koncepcji Junga w twórczości H. Newby, polemika Morgana Bluma z Jamesem Wrightem o ocenie wierszy Roberta Penn Warrena, opowiadanie Priscilli Heath i wiersze Irvinga Feldmana.

THE VIRGINIA QUATERLY REVIEW *(Spring* 1959). W odczycie wygłoszonym w Instytucie Religijnym w Raleight *(Zdobycie wewnętrznej przestrzeni)* Gerald W. Johson wprowadza pojęcie dwu rzeczywistości, które określa jako przestrzeń zewnętrzną (zdobywanie przestrzeni planetarnych przez myśl ludzką) i wewnętrzną, odnoszącą się do świata wewnętrznych uczuć. Jeżeli zdobycze nauki, zamiast spodziewanego szczęścia dały tylko ludzkości złowrogą moc wyniszczenia gatunku, winę tego ponosi nie metoda naukowa, ale niedostateczna kontrola nad naszą przestrzenią wewnętrzną. Gdzie jest Einstein, który potrafi znaleźć formułę dla tego wewnętrznego świata? Cały wysiłek współczesnego wychowania powinien być skierowany na badanie tej dziedziny. Prawdy o konieczności harmonijnego rozwoju władz umysłowych i duchowych, nauki i etyki (jakże ubogi i nieprecyzyjny jest język!) nie są nowe, dziś nabierają jednak ostrości dzwonków alarmowych. Bernard Mayo, profesor historii na uniwersytecie w Wirginii, w szkicu *Tajemnica Henryka Henry* kreśli sylwetkę biograficzną człowieka, który obok George Washingtona i Thomasa Jeffersona był jednym z twórców wczesnej republiki. Joseph G. Whelan, pisząc o G. Kennanie i jego wpływie na amerykańską politykę zagraniczną, raczej zaciemnia i gmatwa wytyczne tej polityki. Jeszcze jeden wykładowca z uniwersytetu w Wirginii publikuje rozdział ze swojej książki pt. *Argument za realizmem.* W części literackiej ogłasza wynik konkursu poetyckiego *Emily Clarc Balch Prize Contest* oraz nagrodzone utwory Elisabeth Jackson Barker, Samuela French Morse i Roberta Penn Warrena. Judith Johson Shervin rozważa Brechta *Operę za trzy grosze* na tle Gaya *Opery żebraczej,* a pełną ferworu odprawę antyszekspirologom daje B. Wright, dyrektor Folger Shakespeare Library w Waszyngtonie. Obszerny dział dyskusji o książkach obejmuje m.in. rozważania o poezji (osiemnaście tomików) i omówienie nowej *Odysei* Nikosa Kazantzakisa.

at

NOWYJ MIR przynosi w ostatnim numerze interesujące wspomnienia E. Drabkiny — *Czarne suchary*. Drabkina była członkiem załogi pociągu z transportem żywności (mąka i suchary), który władza radziecka skierowała do Berlina na wieść o rewolucji w Niemczech. Pociąg po drodze zatrzymano, jednakże autorka okrężnymi drogami dotarła do Berlina, gdzie była świadkiem krwawej rozprawy z ruchem rewolucyjnym.

W dziale prozy znajdujemy także nie wydaną nowelę zmarłego niedawno Borysa Ławreniewa oraz autobiografię pisarza napisaną dla jednego z wydawnictw.

Współczesna poezja radziecka reprezentowana jest w miesięczniku przez nowe wiersze Stiepana Szczipaczowa oraz inedita Mikołaja Zabołockiego, który jak wiadomo zmarł przed paroma miesiącami.

Nowyj Mir poświęca sporo miejsca literaturze zagranicznej, publikując wybór współczesnych greckich poetów oraz opowiadania pisarza tureckiego, Aziza Nesina.

ZNAMIA opublikowała pierwszą część nowej powieści Konstantego Simonowa — *Żywi i martwi*, której akcja rozpoczyna się pamiętnego dnia czerwcowego, kiedy to „życie podzieliło się na dwie nie dające się w żaden sposób połączyć części — tę przedwojenną, która trwała jeszcze przed chwilą, i tę obecną". Powieść ukaże się w całości jeszcze w bieżącym roku. *Żywi i martwi* kontynuują niewątpliwie tradycje poprzednich wojennych powieści Simonowa, a zwłaszcza *Towarzyszy broni*, nowy utwór pisarza sprawia jednak wrażenie bardziej dojrzałego i napisanego z większym poczuciem dystansu.

Znamia podobnie jak *Nowyj Mir* zamieszcza pośmiertne wiersze Mikołaja Zabołockiego, którego poezja zdobywa sobie obecnie w Związku Radzieckim coraz większe uznanie i szerokie kręgi czytelników. Z innych utworów poetyckich na specjalne wyróżnienie zasługuje wiersz Andrieja Wozniesieńskiego *Goya*, który jest widomym znakiem nurtujących młodszą generację poetycką poszukiwań formalnych. Należy przypuszczać, że trafi on w przekładzie na łamy naszych pism literackich.

OKTIABR' drukuje nadal powieść Konstantego Paustowskiego *Czas wielkich oczekiwań*, którą sygnalizowaliśmy czytelnikom w poprzednim przeglądzie. Na szczególną uwagę zasługują partie powieści poświęcone Izaakowi Bablowi i Edwardowi Bagrickiemu, z którymi Paustowski przyjaźnił się w Odessie. *Oktiabr'* rozpoczął także druk nowej powieści o tematyce współczesnej pióra W. Sałtykowej — *Masza ma dwadzieścia siedem lat*.

Oktiabr' podobnie jak cała radziecka prasa literacka zamieszcza materiały związane ze 150-tą rocznicą urodzin Gogola. W ostatnim numerze znajdujemy rozprawę E. Smirnowej-Czikiny *Legenda o Gogolu*, komentującą szczegółowo historię II tomu *Martwych dusz*. Z innych prac zwraca uwagę szkic W. Kirpotina: *W Syberii, w miejscowościach, gdzie przebywał Dostojewski*.

Kwietniowy numer *NEWY* wypełniają w dużej mierze utwory poetyckie. Przeważają poeci leningradzcy, z nazwisk znanych polskiemu czytelnikowi spotykamy Michaiła Swietłowa i Mikołaja Uszakowa. Proza reprezentowana jest przez nowelę Wiery Czubakowej *Droga nie kończy się za horyzontem*, której akcja rozgrywa się współcześnie w tajdze w nowopowstającym ośrodku przemysłowym, oraz opowiadanie A. Tunickiego *Rywale* o tematyce wojennej.

zf

MAŁA ENCYKLOPEDIA

Jeden ze znajomych powiedział mi kiedyś, że nie rozumie, po co w ogóle istnieją na świecie encyklopedie. Wywołałbym powszechne zdziwienie, wyznając o kogo chodzi. O intelektualistę znanego w całym kraju, piszącego.

Skłonny jestem uważać to zwierzenie za objaw znamienny. Jakoś mi się ono kojarzy z tym, że nigdy nie zadziwiliśmy świata naszymi encyklopediami. A także z tym, że w polskiej publicystyce spekulacja (i to często dość jałowa) zdecydowanie przeważa nad informacją i dowodem z faktów. Do uogólnień i syntez rwą się ludzie nie znający tematu. W związku z tym bardzo łatwo zarobić u nas na zaszczytne miano „erudyty". Wystarczy odrobinę poszperać w literaturze naukowej lub w kronikach.

Czternaście lat czekaliśmy na pierwszą powojenną encyklopedię uniwersalną. Za to wcale, ale to wcale nie potrzebujemy się wstydzić dzieła, które nam nareszcie dało PWN.

Myśl opracowania tej encyklopedii powstała w początkach 1956 roku. Trzy lata to wcale nie za dużo na taką robotę, zwłaszcza jeśli się zważy, iż składanie i druk trwały około czternastu miesięcy (od dawna wiadomo, że w polskim ruchu wydawniczym jedyną instancją, która musi się śpieszyć i pilnować terminów, jest tylko i wyłącznie autor).

Ukazanie się *Małej Encyklopedii Powszechnej* dostarcza okazji do stwierdzenia, jak bardzo poszliśmy naprzód w przeciągu tych trzech lat. Biorę pewne wydawnictwo słownikowe, wydrukowane w roku 1955, i dla przykładu szukam słowa „mendelizm". Dwadzieścia cztery wiersze „informacji", z której naprawdę dowiadujemy się tylko dat urodzenia i śmierci Mendla. Brak tytułu jego dzieła, nawet imion uczonego, już nie mówiąc o rzeczowej charakterystyce teorii. Obszernie za to mówi się o wstecznictwie, wrogach, reakcyjności i metafizyce. W *Małej Encyklopedii* znajdujemy życiorys czeskiego augustianina, Johanna Gregora Mendla, a osobno zwięzłe omówienie jego *Praw*, zaopatrzone w tabelkę.

Autorzy dzieła powrócili po prostu do oczywiście słusznego przekonania, że nikt przytomny nie szuka w encyklopedii ideologii ani filozofii. Encyklopedia musi przecież operować niemal wyłącznie twierdzeniami, ponieważ zadanie jej polega na udzielaniu rzeczowej informacji o faktach. Jakaż filozofia tam, gdzie brak miejsca na dyskusję, a więc na kontrargumenty, oraz na dowód? Nie będę też pytał encyklopedii, kto miał rację — Iwan Groźny czy Stefan Batory. Ona ma mi tylko powiedzieć, kiedy żył i co zdziałał każdy z tych koronowanych mężów.

Mała Encyklopedia PWN bezsprzecznie sprostała zadaniom. Jej ton jest spokojny, niemal zawsze ściśle informacyjny, styl zwięzły.

Do napisania recenzji trzeba by właściwie powołać cały zespół specjalistów. Omawiane dzieło zawiera w jednym tomie czterdzieści tysięcy haseł. Istnieją encyklopedie kilkudziesię-

ciotomowe, nic więc łatwiejszego niż wytykać naszym autorom pominięcia. Ograniczę się do rzeczy, które uważam za niewątpliwe (i ostrzegę, że zza oceanu spadnie na redakcję wielka klątwa i oskarżenie o haniebny sarmatyzm: powieść p. W. Gombrowicza nie nazywa się gminnie *Transatlantyk*, lecz *Trans-Atlantyk)*. Zacznę zaś od błędu, który pojawił się chyba tylko przypadkiem.

W *Małej Encyklopedii* brak wzmianki o Tadeuszu Wojciechowskim, autorze słynnych *Szkiców historycznych jedenastego wieku*. Nie wierzę w umyślne skreślenie przez redakcję znakomitego historyka, który wywarł tak doniosły wpływ na sposób myślenia społeczeństwa. Co innego, że *lapsus* przykry.

Trudno mi natomiast wytłumaczyć sobie, czemu brakuje hasła „seroantropologia" (wskutek czego życiorys Ludwika Hirszfelda został zubożny, a o Hannie Hirszfeldowej nie ma ani słowa). Dyscypliny naukowe stworzone przez Polaków nie są znowu aż tak liczne, by wolno było beztrosko spychać je w cień. Zwłaszcza że chodzi o taką naukę, którą w ślad za Polską przyjął i rozwinął cały cywilizowany świat. Liczba osób zbadanych pod względem seroantropologicznym już dawno temu przekroczyła sto milionów.

Redakcja najniesłuszniej przyjęła zasadę przemilczania miejsc urodzenia opisywanych postaci. A przecież właśnie te informacje zaliczają się do typowo encyklopedycznych. Zwykle człowiek sięga do leksykonów przede wszystkim po wiedzę o datach, imionach i miejscu pochodzenia różnych osobistości. U młodzieży szkolnej stanowi to regułę.

Niedawno temu jeden z historyków wygłosił twierdzenie, że po III rozbiorze ustała polonizacja Litwy. Inny zaprzeczył temu, wskazując na olbrzymią rolę uniwersytetu wileńskiego w początkach XIX wieku. W takich sporach encyklopedie miewają wdzięczne pole do popisu. Powinny się w nich zawierać informacje, skąd przybyli najwybitniejsi profesorowie wszechnicy, bo dopiero ten konkret stanowić może rozstrzygający argument.

Jak skądinąd wiadomo, Joachim Lelewel pochodził z Warszawy, Jan i Jędrzej Śniadeccy — kształceni w Krakowie — z wielkopolskiego Żnina. Doliczyć jeszcze można Niemca z Gdańska — Gotfryda Ernesta Groddecka. A więc pod rządami cara Aleksandra I, za kuratorstwa Adama Czartoryskiego (urodzonego w Warszawie w Pałacu Błękitnym), katedry profesorskie w Wilnie służyły za trybuny najwybitniejszym umysłom z rdzennej Polski. Uczniowie bywali z Zaosia, Krzemieńca, Słucka i skądinąd także. Najważniejsze — pod czyj wpływ trafiali.

Niestety, *Mała Encyklopedia* przemilcza także miejsce urodzenia Wojciecha Kętrzyńskiego. A jest przecież ważne, że tak wybitny polski uczony, dyrektor lwowskiego „Ossolineum", ujrzał światło dzienne na Mazurach. Należało poinformować o tym czytelników, rezygnując w tym celu chociażby z wiadomości o „pięści pancernej" oraz z rysunku przedstawiającego ów przedmiot.

Niedawno obejrzałem sobie dwutomowy, wspaniale wydany *Dictionnaire des auteurs*. Nazwy tak dla Francuzów trudne, jak Krzemieniec i Wola Okrzejska, są podane bezbłędnie.

Skargi, które zgłosiłem, nie umniejszają moralnej satysfakcji, że przyszło mi pisać recenzyjną wzmiankę o dobrej polskiej encyklopedii.

Paweł Jasienica

JESZCZE O ENCYKLOPEDII

O *Małej Encyklopedii Powszechnej* pisano już w prasie wiele. Uznano ją za dużej miary wydarzenie kulturalne, chwalono za rzetelność i obiektywizm informacji, a jej redakcji, która w stosunkowo niedługim czasie potrafiła tak ogromną pracę skończyć, wyrażono uznanie. Te komplementy, których *Encyklopedii* nie szczędzi — w innym miejscu tego numeru — kolega Jasienica, są w pełni zasłużone. Jednakże wyrządzilibyśmy sprawie niedźwiedzią przysługę, gdybyśmy poprzestali tylko na zachwytach. *Encyklopedia* będzie zapewne miała nowe wydania, toteż jest rzeczą nieodzowną przyjrzeć się jej uważnie i poszczególne jej działy spokojnie rozważyć.

Chciałbym tutaj kilka słów powiedzieć o metodzie opracowania haseł z dziedziny literatury obcej. Wszyscy

wiemy, jak wiele trudności piętrzy się w tym przedmiocie. Określić twórczość pisarza w kilku krótkich zdaniach (*Encyklopedia* jest jednotomowa i nie może sobie pozwolić na rozwlekłość) to sztuka nie lada. Kleszcze lapidarnej formuły są zazwyczaj zbyt twarde dla tak kruchej materii. Toteż wskazana jest tutaj ostrożność, rozwaga, a w każdym razie jakaś konsekwencja. Niestety, w tym względzie *Encyklopedia* często zawodzi.

Pierwsze zastrzeżenia wzbudza kwestia oceny rangi pisarza. Encyklopedie ustalają zazwyczaj hierarchię literacką przy pomocy dwóch środków. Po pierwsze, już samo przyznanie pisarzowi prawa pobytu w encyklopedii jest pewnego rodzaju nobilitacją historyczno-literacką. Po drugie, wśród tych, którzy już się znaleźli w encyklopedii, zaznacza się gradację przez ilość wierszy. Im pisarz jest znakomitszy, tym obszerniejsze jego hasło. Znamy też encyklopedie, które ten problem rozwiązują przy pomocy przymiotników: wielki, sławny, genialny itp. Nie jest to rozwiązanie najszczęśliwsze.

Jaką metodę obrała *Mała Encyklopedia Powszechna*? Nie obrała żadnej. Niektórym pisarzom obcym zaoszczędzono przymiotnika, innym przylepiono etykietkę. Powstał kompletny chaos. Zola jest po prostu (i słusznie) „pisarzem, teoretykiem itp.", Musset „poetą i dramaturgiem fr.", Stendhal to „pisarz fr.", La Fontaine „poeta fr.", Lamartine „fr. poeta romantyczny", pochlebnych epitetów nie mają też Giraudoux, Sartre i Camus, ale Balzac jest już „znakomity", a Rolland „wybitny" (nie wiadomo, co lepsze: znakomity czy wybitny?) itd. itd.

Rzeczowo, bez przymiotników informuje *Encyklopedia* o Lessingu, Sokratesie, Strindbergu, Swifcie, Szewczence, Hauptmannie, Hemingwayu, Maeterlincku, Majakowskim, Gogolu, Gorkim, Czechowie, E. T. A. Hoffmannie, ale już Puszkin jest „wielki", tak samo Goethe, Tołstoj jest pisarzem „światowej sławy". Podobnie rzeczy mają się z pisarzami polskimi. Tak więc Krasicki jest tylko „poetą Oświecenia", ale pani Maria Dąbrowska (którą wszyscy tak szczerze podziwiamy) jest już „znakomitą" pisarką.

Las przymiotników jest nieprzejrzany. Oto niektóre z nich: wielki, znakomity, wybitny, największy, czołowy, jeden z czołowych, jeden z największych, świetny, światowej sławy, głośny, genialny. W haśle „Mann" kontrasty są wprost uderzające. Tak więc Mann Henryk jest „pisarzem niemieckim", natomiast Mann Tomasz to „głęboki myśliciel, wspaniały stylista" i na dodatek twórca powieści, która mu przyniosła „rozgłos światowy". A przecież różnica w ocenie wyraża się dobitnie w tym, że autor poświęcił Henrykowi cztery razy mniej miejsca niż Tomaszowi Mannowi. Ale to widocznie nie wystarczyło.

Przechodzę do metody opracowania haseł. Twórca każdej encyklopedii musi sobie na samym początku zadać pytanie: w jaki sposób będzie informował o pisarzach i zjawiskach literackich? Encyklopedie „małe" (jedno- lub dwutomowe) ograniczają się do tak zwanego „minimum encyklopedycznego", które w zasadzie podaje: imię i nazwisko autora, datę urodzenia i śmierci (jeśli nie żyje), miejsce urodzenia i zgonu, rodzaje twórczości uprawiane przez pisarza, kierunek literacki, do którego autor należy, najważniejsze jego dzieła. Tym wymaganiom *Mała Encyklopedia Powszechna* czyni zadość (nie informuje jedynie o miejscu urodzenia i śmierci). Poza tym nasza *Encyklopedia* kreśli krótką charakterystykę twórczą pisarza. Tutaj zaczynają się dziwy!

Przede wszystkim zaskakuje niejednolitość w sposobie charakteryzowania. Najpełniejsza jest taka charakterystyka, która opisuje zarówno walory formalne, jak i problematykę twórczości. Niektóre encyklopedie poprzestają na informacji o tematyce, inne ograniczają się do wzmianek o formie. W każdym razie możliwa jest jedna z tych trzech dróg. Którą obrała *MEP*? Nie obrała żadnej. Mamy wszystko, do wyboru i koloru.

Część haseł charakteryzuje pisarzy jedynie od strony formalnej (Hemingway, O'Neill), inne biorą pod uwagę tylko elementy treści (Strindberg, Szewczenko, Haszek, Camus, Kafka, Caldwell), inne znowu uwzględniają oba motywy (Faulkner, Tomasz Mann). Ale mniejsza z tym. Gorzej, o wiele gorzej przedstawia się treść wielu haseł, która razi naiwnością, wulgarnym socjologizmem i dziwactwami. Podaję kilka przykładów, wybranych na chybił trafił:

Thackeray... „pisarz ang., wybitny przedstawiciel powieści realistycznej epoki wiktoriańskiej; wyszydza burżuazję i jej moralność". Tyle i nic więcej o tym autorze.

Schiller... „początkowo pisarz rewol., pod wpływem Kanta przeszedł na pozycje idealistyczne". To sformułowanie nie tylko jest drętwe, ale nie odpowiada prawdzie. Schiller nigdy „nie przeszedł na pozycje idealistyczne", gdyż jako myśliciel był zawsze idealistą w sensie filozoficznym.

Kafka... „osią jego twórczości jest dramat losu ludzkiego, ukazuje samotność i bezradność człowieka w świecie, którym rządzi fatum...". Pierwsze zdanie jest frazesem, gdyż „dramat losu ludzkiego" jest „osią twórczości" niemal każdego pisarza. Drugie zdanie nie odpowiada rzeczywistości. O Kafce napisano już całe biblioteki, ale jeszcze nikt nie wpadł na myśl, że pisarz ten był fatalistą.

Baudelaire... „dał wyraz pesymizmowi i współczuciu dla nieszczęśliwych i poniżonych". Drętwa mowa.

Truman Capote... „jego twórczość, nasycona wyrafinowaniem intelektualnym, odbiega od charakteru współcz. literatury amer.". To jest treść całej charakterystyki.

Dickens... „w licznych powieściach ukazał codzienne życie Anglii, dając postacie pełne realizmu, choć potraktowane z głębokim humorem i liryzmem". Z tego zdania wynika, że humor i liryzm sprzeczają się z realizmem, ale Dickensowi udało się połączyć oba wrogie żywioły.

Dos Passos... „w swoich utworach zawarł radykalne akcenty społeczne". Te słowa wyczerpują całą charakterystykę.

Dostojewski... „D. cechuje wielka pasja poznania człowieka do dna psychiki". Drętwa mowa.

Gide... „w twórczości swojej dokonuje przewartościowania tradycyjnie uznanych wartości moralnych". Bądź tu z tego mądry!

Malraux... O twórczości literackiej czytamy li tylko: „utwory analizujące tragizm ludzkiego bytu". Podobny frazes jak o Kafce, z tą różnicą, że tam jest mowa o „dramacie ludzkiego losu".

Shaw... „Od 1893 twórczość sceniczna, błyskotliwa w formie, postępowa w treści". Dotychczas znaliśmy formułę: narodowa w formie, socjalistyczna w treści. Teraz pojawia się nowa: „błyskotliwa" w formie, „postępowa" w treści.

Wilde... Pełna charakterystyka brzmi: „przedstawiciel dekadenckich kierunków w sztuce końca XX w. (! chyba XIX w.), ekscentryczny mistrz paradoksu słownego". Temu to się dostało.

Na tym kończę postępowanie dowodowe. Przykładów takich można cytować setki. Oczywiście można je zrównoważyć setkami innych haseł, które są zredagowane rozsądnie, rzeczowo, czytelną i poprawną polszczyzną.

Idźmy dalej. W niektórych hasłach dominuje tendencja wulgarnego upolitycznienia zjawisk literackich, często zresztą niejednolita i chaotyczna. Na przykład autor hasła o Dostojewskim uważał za stosowne przejść do porządku dziennego nad społeczną treścią jego dzieł, ale tego progu już nie potrafił przekroczyć autor hasła o Kiplingu. Z tego, co o nim napisał, wynika, że uznał Kiplinga za imperialistę, ale z drugiej strony za pisarza dużej klasy, z czego wynikł następujący dziwoląg: „Jego (Kiplinga) książki o tematyce hinduskiej, zawierające ostre akcenty imperialistyczne, ukazują egzotyczny świat zwierząt i ludzi, pełen fantazji i poezji".

Jasną jest rzeczą, że encyklopedia ma dziesiątki współpracowników i każdy z nich pisze inaczej. Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że takie dzieło nie może redagować się samo i wymaga jakiegoś nadrzędnego ładu. Tego porządu brak w dziedzinie obcej literatury pięknej.

Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na brak niektórych haseł. Na próżno szukamy Dürrenmatta, Frischa, W. H. Audena - Dorgelès'a, Kazantzakisa, O'Flaherty'ego, Spendera, Wilsona, Stone'a, Vittoriniego itd., chociaż znajdujemy w *Encyklopedii* pisarzy o wiele mniejszego kalibru.

Coś niecoś dałoby się powiedzieć i o literaturze polskiej, ale o tym niech napiszą fachowcy.

Roman Karst

NOWE CZASOPISMO

Wśród prac łódzkiego Towarzystwa Naukowego ukazał się tom I nowego czasopisma pt. *Zagadnienia Rodzajów Literackich* pod redakcją Stefanii Skwarczyńskiej, Jana Trzynadlowskiego i Witolda Ostrowskiego. Czasopismo to — jak stwierdza przedmowa redakcyjna — pragnie „ukazać na swoich łamach problematykę genealogiczną zarówno w oświetleniu polskich, jak i zagranicznych badaczy, oraz przyczynić się do żywej wymiany zdań na ten temat — ważki dla badań historyczno-literackich, centralny dla badań teoretyczno-literackich".

W tomie pierwszym na czoło wybija się rozprawa Claude Backvisa *Autour du „Satyre" de Jan Kochanowski.* Belgijski znawca literatury polskiej bada na przykładzie niezbyt cenionego utworu wielkiego poety „swobodę, z jaką literatura staropolska przyswajała sobie tradycyjne gatunki literackie i w jaki sposób traktowała ich sztywne kształty". Zaznaczyć należy, że rozprawy badaczy zagranicznych czasopismo drukuje w języku oryginału, zaopatrując je w polskie streszczenie.

Pośród prac teoretycznych należy wymienić pracę Jean Hankissa *Les genres littéraires* oraz napisaną po niemiecku rozprawę Romana Ingardena *Von den Funktionen der Sprache im Theaterschauspiel.*

Tom zawiera ponadto recenzje i sprawozdania oraz „materiały do słownika rodzajów literackich". Wśród kilkunastu haseł szczególną uwagę zwracają świetne artykuły Witolda Ostrowskiego o utopii.

ak

NIE MA „ZA GROBEM ZWYCIĘSTWA"

Antologiści to ludzie leniwi. Jakże często zadowalają się pobieżnym rzutem oka na dorobek poety, z którego wybrać mają parę wierszy (zawsze tych samych), jeśli w ogóle nie odpisują ich z innych antologii. Jest taki szesnastowieczny poeta, Jan Smolik (ok. 1560 — ok. 1613), którego prześladuje po śmierci dziwny pech. Najpierw przez blisko trzysta lat nie odróżniano go w ogóle od Piotra Smolika, jego starszego brata, który też się parał pisaniem. Wreszcie po trzystu dwudziestu dwóch latach (takie rzeczy tylko w Polsce są możliwe!) doczekał się, że profesor Roman Pollak wydał z rękopisu całość jego puścizny poetyckiej, wiersze i przekłady. Nie najwyższego lotu, puścizna ta zapewniałaby mu jeszcze i tak dość przyzwoite miejsce wśród Grabowieckich, Pudłowskich, Miaskowskich, drugorzędnych poetów polskiego Renesansu, gdyby nie jeden jedyny wiersz, tak olśniewający i wspaniały, że i Szarzyńskiemu nie śniłoby się o takim, a Kochanowski z rozkoszą by się pod nim podpisał. Cóż, kiedy próżno go szukać w antologiach. Pech nadal prześladuje biednego Smolika. Ważyk i Kott, choć tak starannie i interesująco dobierali swoje *Wiersze które lubimy,* nie dotarli do Smolika. Grydzewski w swojej antologii wydanej w Londynie przedrukowuje *Pieśń* Smolika z antologii Borowego, której pierwsze wydanie ukazało się jeszcze przed ogłoszeniem przez Pollaka całego dorobku Smolika. (Ale i Borowy widać nie znał tego wspaniałego wiersza, bo gdy *Pieśń* przestała mu się podobać, po prostu i zwyczajnie wyrzucił Smolika z przygotowanego drugiego wydania swej antologii.)

Ostatnio ukazała się nakładem PIW-u antologia poetów polskiego Renesansu ułożona przez panią Jadwigę Sokołowską. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wiersz Smolika nie może w żadnym wypadku ujść uwagi badacza w tak przecież ograniczonym materiale naszej szesnastowiecznej poezji. Ale zapomniałem o pechu prześladującym biednego poetę. Wśród kilkunastu wierszy i przekładów, jakie przedrukowuje pani Sokołowska, daremnie byśmy szukali tego jednego, który właśnie stanowi o Smoliku jako poecie. Tak więc okazuje się, że w czterech antologiach poezji polskiej (w tym jednej specjalnie poezji Odrodzenia poświęconej), wydanych podczas ćwierćwiecza dzielącego nas od odnalezienia i ogłoszenia drukiem całej puścizny poetyckiej Smolika, nie można znaleźć najwspanialszego jego utworu. Jakże tu mówić o trwałości słowa drukowanego! Nie wystarczy, żeby coś było wydrukowane, musi być jeszcze przeczytane. Mamy wspaniałą poezję, to prawda, ale w końcu i w tej dziedzi-

nie nie jesteśmy aż tak bogaci, abyśmy mogli pozwolić sobie na luksus zasypywania na nowo kurzem zapomnienia raz już wydobytych na światło dnia skarbów. Żeby choć w części wynagrodzić Smolikowi krzywdę i udokumentować nasze pretensje, przedrukowujemy ten jego wiersz podług wydania Romana Pollaka, polecając go serdecznej trosce przyszłych antologistów, a także pani Jadwigi Sokołowskiej, gdyby jej piękna skądinąd antologia doczekała się wznowienia. (Traf chciał, że wiersz Smolika poświęcony jest jej imienniczce, z upływem wieków Smolik ma coraz mniej szczęścia do Jadwig.)

DO JADWIGI R.

Już Tytan wóz zaprząga świtoranej zorze
A śle nowym Japonom czarną noc za morze.
Już Febus warkocz złotych rozpuszcza [promieni,
Niebo się na pogodę w śliczne barwy mieni.
Lecz żeś ode mnie poszła a żem sam bez [ciebie,
Znowu sie u mnie zmierzcha, znowu noc [po niebie
Kruki swoje pogania. Gwiazdy się szykują,
A zorze złotobarwe nazad ustępują.
Jeśli tedy chcesz, żeby swym porządkiem [rzeczy
Szły drugi raz tak pilno, nie miej na swej [pieczy,
Co się dzieje na dworze: bądź że hejnał [grają,
Bądź że sie po ulicy ludzie przechadzają.
Poleż dłużej, nie kwap sie, a chocia dzień [wszędzie
Nic to! Okna zamknąwszy — wnet u nas [noc będzie.

jl

GORZKI CHLEB DRAMATOPISARZY

Kryzys dramatu — nie tylko my możemy coś na ten temat powiedzieć, narzekania na brak dobrych utworów scenicznych są powszechne i w innych krajach. W Niemczech zachodnich dyrektorzy teatrów raz po raz wołają o dobre sztuki współczesne, rozpisują konkursy, wyznaczają wysokie nagrody, ale daremnie. Owszem, rękopisy płyną strumieniami, ale większość z nich wędruje do kosza. „Z autorów dramatycznych — pisze *Die Welt* — żyje teatr, ale mało który z nich żyje z teatru. Pędzą oni niby ćmy do światła kinkietów, spalają sobie skrzydła i przeżywają swoje małe emocje. Tylko niewielu z nich wychodzi z tego zwycięsko. Historia niemieckiego teatru to olbrzymi cmentarz z niezliczoną ilością zapadających się krzyży i tylko z niewielu pomnikami."

Z dużą goryczą pisze o tych sprawach Claus Helmut Drese, dyrektor teatru w Mannheimie, jednej z najstarszych scen niemieckich, na której debiutował jeszcze Fryderyk Schiller. W ostatnim czasie teatr ten otrzymał ponad czterysta manuskryptów sztuk ze wszystkich stron kraju. „Na podstawie tych rękopisów — konstatuje Drese — można przeprowadzić socjologiczną analizę Niemców piszących dramaty. Są tu nie tylko autorzy na literackim poziomie, lecz jest także sporo dyletantów, którzy uprawiają dramatopisarstwo jako pewnego rodzaju *hobby*. W ich właśnie pracach przejawiają się symptomy pewnej kolektywnej świadomości."

Dramaty najczęściej piszą młodzi ludzie, pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Najwięcej autorów wywodzi się ze środowiska dziennikarzy i zawodowych literatów; zdumiewającą skłonność do sceny wykazują w Niemczech urzędnicy, bo aż 14% adeptów sztuki dramatycznej wywodzi się spośród biurokratów. Potem idą nauczyciele, rzemieślnicy, robotnicy, aktorzy, studenci i uczniowie szkół średnich.

Tematem numer 1 tych sztuk jest problem dyktatury oraz polityczne wydarzenia ostatnich piętnastu lat. Autorzy unikają z reguły konkretnych nazwisk i dokładnie określonego tła i chętnie mitologizują zagadnienie lub wprowadzają je w sferę symbolu. „W tych próbach — pisze Drese — wiele jest ślepego idealizmu, jeszcze więcej frazesów ograniczonych drobnomieszczańskim horyzontem." Drugim konikiem są epizody z życia badaczy atomowych. Uczeni stali się eksponentami stulecia. Akcja toczy się w laboratoriach i pracowniach naukowych i splata się często z motywami sabotażu lub szpiegostwa. Scenę zaludniają też roboty, przy tym technikę przedstawia się nierzadko jako dzieło szatana. Strach przed techniką prowadzi do apokaliptycznych wizji, wtargnięcie człowieka w kosmos zwiastuje z reguły zagładę świata.

Trzeci temat to konflikty pokoleń. Młodzież podejmuje walkę ze starszą

generacją, zamyka się w sobie i w końcu schodzi na bezdroża przestępstwa. Czwarty wreszcie problem, wypełniający nowe sztuki, czerpie wątki z „cudu gospodarczego", który nawiedził Niemcy zachodnie. Dobrobyt wywołuje lekceważenie duchowych wartości, staje się źródłem zobojętnienia i cynizmu, co z kolei rozluźnia więzy etyki, obyczajowości.

„Jeśli chodzi o styl — pisze Dresę — panuje na ogół realizm, ale i ekspresjonizm pozostawił swoje ślady. Oddzielny rozdział wypełniają tematy historyczno-problemowe, których w Niemczech nigdy nie brakowało. Aktualizuje się greckie mity, przerabia klasyczne utwory, przede wszystkim bardzo popularne są faustiady, w których Faust występuje jako badacz atomowy".

Ten bogaty ilościowo plon przynosi jednak niewiele pożytku. Dobrych sztuk jak nie było, tak nie ma.

rk

ODEZWA KONKURSOWA
Polskiego Towarzystwa Historycznego T-wa Wiedzy Powszechnej i Wydawnictwa „Wiedza Powszechna"

Zarząd Główny PTH w porozumieniu z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej i Wydawnictwem „Wiedza Powszechna", pragnąc uczynić zadość rosnącemu zainteresowaniu szerokich rzesz społeczeństwa dziejami ojczystymi w związku ze zbliżającą się rocznicą Tysiąclecia Państwa Polskiego, ogłasza dwa konkursy na napisanie zarysu historii Polski.

Poziom I

Pierwszy konkurs dotyczy dziejów Polski dla czytelników na poziomie wykształcenia szkoły podstawowej. Pracę konkursową, poza dobrą znajomością przedmiotu, powinny cechować wysokie walory literackie i atrakcyjne ujęcie zagadnień. Obejmować ma ona całe dzieje narodu od czasów najdawniejszych do najnowszych; objętość nie może przekraczać 20 arkuszy wydawniczych, czyli około 350 stron znormalizowanego maszynopisu.

Celem uniknięcia niejednolitości ujęcia, stylu itp. zgłaszana praca musi być napisana przez jedną osobę lub przez zespół najwyżej 3-osobowy.

Pierwsza faza konkursu obejmować będzie napisanie 2 rozdziałów dotyczących dowolnych zagadnień; jeden rozdział musi dotyczyć okresu do połowy XVIII w., drugi od poł. XVIII w. do czasów najnowszych.

Sąd konkursowy na podstawie nadesłanych dwóch wybranych rozdziałów przeprowadzi eliminację uczestników konkursu, dopuszczając do drugiej fazy tylko najlepszych. Druga faza konkursu dotyczyć będzie całości historii Polski. Najlepsze prace zostaną nagrodzone — I nagroda 30.000 zł, II nagroda 20.000 zł, III nagroda 10.000 zł. Niezależnie od tego najlepsza praca będzie wydana przez Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna" i honorowana według ustalonych przepisów.

Termin nadesłania dwóch wybranych rozdziałów do Polskiego T-wa Historycznego — Warszawa, Rynek St. Miasta 29/31 — upływa z dniem 31.XII.1959 r. Maszynopisy należy przysyłać w 2 egz. razem z zaklejoną kopertą oznaczoną godłem oraz numerem konkursu — I, w której będą zawarte nazwisko i adres.

Sąd konkursowy poda do wiadomości uczestników wyniki pierwszego etapu do dn. 15.III.1960 r. Termin złożenia całej pracy upływa z dniem 1.IV.1961 r.

Nadesłane prace oceniać będzie jury konkursu w składzie — M. Bogucka, J. Dutkiewicz, J. Garbacik, N. Gąsiorowska, K. Koźmiński, E. Krzywobłocka, W. Moszczeńska, F. Persowski, H. Pomorska, St. Tazbir. Sekretarzem sądu konkursowego jest Andrzej Zahorski.

Poziom II

Drugi konkurs dotyczy dziejów Polski dla czytelników na poziomie wykształcenia średniego. Mogą one odpowiadać potrzebom uczniów klas licealnych i licznych dorosłych miłośników historii różnych zawodów. Pracę konkursową powinno cechować rzetelne znawstwo przedmiotu, wysokie walory literackie i atrakcyjne ujęcie zagadnień.

Obejmować ona będzie dzieje narodu od czasów najdawniejszych do najnowszych: objętość nie może przekraczać 30 arkuszy wydawniczych, czyli około 500 stron znormalizowanego maszynopisu.

Celem uniknięcia niejednolitości ujęcia, stylu itp. zgłaszana praca musi być napisana przez jedną osobę lub przez zespół najwyżej 3-osobowy.

Pierwsza faza konkursu obejmować będzie napisanie 2 rozdziałów dotyczących dowolnych zagadnień; jeden rozdział musi dotyczyć okresu do połowy XVIII w., drugi od poł. XVIII w. do czasów najnowszych.

Sąd konkursowy, na podstawie nadesłanych dwóch wybranych rozdziałów, przeprowadzi eliminację uczestników konkursu, dopuszczając do drugiej fazy tylko najlepszych. Druga faza konkursu dotyczyć będzie całości historii Polski. Najlepsze prace zostaną nagrodzone — I nagroda 30.000 zł, II nagroda 20.000 zł, III nagroda 10.000 zł. Niezależnie od tego najlepsza praca będzie wydana przez Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna" i honorowana według ustalonych przepisów.

Termin nadesłania dwóch wybranych rozdziałów do Polskiego T-wa Historycznego — Warszawa, Rynek St. Miasta 29/31 — upływa z dniem 31.XII.1959 r. Maszynopisy należy przysyłać w 2 egz. razem z zaklejoną kopertą oznaczoną godłem oraz numerem konkursu — II, która będzie zawierała nazwisko i adres.

Sąd konkursowy poda do wiadomości uczestników wyniki pierwszego etapu do dnia 15.III.1960 r. Termin złożenia całej pracy upływa z dniem 1.IV.1961 r.

Nadesłane prace oceniać będzie jury konkursowe w składzie — St. Arnold, J. Bardach, N. Gąsiorowska, A. Gieysztor, St. Herbst, H. Jabłoński, W. Kula, B. Leśnodorski, T. Manteuffel, H. Pomorska, St. Tazbir, K. Tymieniecki.

Sekretarzem sądu konkursowego jest Henryk Samsonowicz.

KOMUNIKAT

Dyrekcji Teatru „Syrena" w Warszawie, dot. ogłoszonego konkursu otwartego na komedię muzyczną, wodewil satyryczny względnie aktualną farsę lub krotochwilę

Uwzględniając stale napływające prośby zainteresowanych tym konkursem w sprawie przesunięcia terminu nadsyłania prac oraz mając na uwadze umożliwienie jak najszerszym rzeszom piszących wzięcie udziału w tym konkursie — Dyrekcja Teatru „Syrena" ustala ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych do dnia 1 września 1959 r.

W związku z tym przesuwa się również termin ogłoszenia wyników konkursu do 1.I.1960 r.

WYJAŚNIENIE

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 154 *Kierunków* ukazał się dłuższy list p. J. E. Płomieńskiego, w całości dotyczący mojej osoby. Ponieważ sądzę, iż dobry obyczaj nakazuje odpowiadać w tym piśmie, w którym pojawia się atak — napisałem odpowiedź, prosząc redakcję *Kierunków* o zamieszczenie jej na łamach pisma, w dziale listów do redakcji. Redaktor naczelny *Kierunków*, który wydrukował obelżywą w tonie napaść p. Płomieńskiego na mnie, odmówił mi prawa do obrony na łamach swego tygodnika, motywując tym, że ponieważ p. Płomieński jest współpracownikiem „Paxu", *Kierunki* nie są zainteresowane w tym, aby mój list ukazał się na ich łamach. W tej sytuacji zmuszony jestem prosić redakcję *Twórczości* o umożliwienie mi wypowiedzenia się w sprawie listu p. Płomieńskiego.

P. Płomieński mija się z prawdą, kiedy w połowie maja, twierdzi, że to wskutek mojej „kompromitującej ignorancji" jako autor studium o Berencie drukowanego w nr. 1 *Twórczości* figurował L. Pomirowski, a nie J. Płomieński. Wiadomo mu od dawna — z ustnych wyjaśnień p. Marii Pomirowskiej — że nie ja temu zawiniłem. Pozwolę sobie zresztą przypomnieć, iż w dziesięciu bodaj listach protestacyjnych, drukowanych na łamach prasy polskiej w lutym br. (m. in. w nr. 144 *Kierunków*), p. Płomieński wcale mi tego grzechu nie zarzucał, wprost przeciwnie, przypisał go całkiem komu innemu, wymieniając nazwisko. Uderzył zresztą w człowieka niewinnego.

Sprawa w rzeczywistości przedstawia się tak: p. Maria Pomirowska, wdowa po Leonie Pomirowskim, rozpoznawszy w odnalezionej jednodniówce literackiej z lat okupacji dwa anonimowe teksty jako pochodzące z zaginionej książki jej męża o Berencie — książki, którą przed laty własnoręcznie przepisywała na maszynie — prosiła mnie, abym do jednego z tych tekstów, przeznaczonego dla *Twórczości* (drugi wydrukowała w *Kamenie*), napisał krótki wstęp. Wstęp taki sporządziłem, przyjmując opinię posiadaczki jednodniówki o autorstwie jej męża. W moim wstępie nie wypowiadałem żadnych sądów wartościujących. Dlatego po raz drugi mija się z prawdą p. Płomieński pisząc, iż potraktowałem studium „z pełną czołobitnością, wypaliwszy huczne salwy adoracji na cześć jego rzekomego autora". Mój artykulik dostępny jest w nr. 1 *Twórczości* (str. 95—97) i łatwo sprawdzić, iż nie zawiera on ani jednego słowa oceniającego w jakikolwiek sposób dorobek Leona Pomirowskiego, nie zawiera też żadnego określenia, które by wartościowało lub reklamowało przedrukowany przez redakcję *Twórczości* tekst. Poprzestałem na sprawozdawczym opisie jednodniówki i kilku uwagach o Wacławie Berencie.

Jeżeli chodzi o fundament, na którym p. Płomieński opiera konstrukcję swojej insynuacji — to komunikuję, że mój artykuł o powieści Chwistka został napisany i złożony w redakcji

Twórczości przed ukazaniem się w sprzedaży nr. 1 tego miesięcznika, tj. zanim p. Płomieński zgłosił swoje autorskie pretensje. Fakt ten mogą potwierdzić ci z redaktorów *Twórczości*, którzy artykuł o Chwistku u mnie zamówili i zakwalifikowali do druku. Oczywiście gdybym chciał, mógłbym wykreślić w korekcie ową wzmiankę o p. Płomieńskim, ale nie widziałem powodu, abym miał tuszować osąd literacki wypływający z mojego przekonania i ważny dla oceny postaci Chwistka, którą to postać p. Płomieński w swoich wspomnieniach stara się zdyskwalifikować i ośmieszyć.

Tak więc widać, że psychoanalityczny wywód p. Płomieńskiego dotyczący mojej osoby oparty jest wyłącznie na wróżeniu z fusów.

Powód nieprzytomnej w tonie napaści na mnie jest całkiem prosty. W moim artykule pt. *„Pałace Boga" — nie wydana powieść Leona Chwistka* (*Twórczość*, nr. 4) znalazło się zdanie wartościujące wspomnienie p. Płomieńskiego o Witkacym. Stwierdziłem, iż p. Płomieński niewiele rozumie z Witkiewicza, z Chwistka — nic. To moje dobre prawo jako publicysty. Każdy tekst literacki opublikowany drukiem podlega osądowi i nikt nikomu nie może bronić wyrażania opinii, tak pozytywnej, jak negatywnej. Każdy, kto decyduje się na druk, musi zdawać sobie sprawę, iż spotka się z oceną tych, którzy go przeczytają. Wolno mi więc napisać, iż wspomnienia p. Płomieńskiego o Witkiewiczu uważam za bezwartościowe, tak jak wolno p. Płomieńskiemu drukować opinię, że artykuły niżej podpisanego są „niezbyt dojrzałe" i „zagadnieniowo anemiczne".

Dziwna zaiste logika. Dlaczegóż to p. Płomieńskiemu wolno oceniać mój dorobek, a mnie nie wolno oceniać jego płodów? Dlaczegoż to wyrażenie negatywnej opinii o jego tekście ma być uznawane za szarganie „autorytetu kultury polskiej"?

Co innego wszakże oceny literackie, a co innego obelgi osobiste. P. Płomieński uznał za wskazane wyrazić w druku pod moim adresem kilkanaście określeń w rodzaju: wulgarny impertynent, cyniczny mentor. Stwierdza także, iż dostrzega u mnie objawy „infantylizmu umysłowego". Ładna wiązanka! No cóż, poziom tych wymysłów wydaje się znakomicie charakteryzować mentalność osobnika, który ich używa...

Powyższe uwagi napisałem wyłącznie w celu wyjaśnienia sprawy czytelnikom *Twórczości*. Z p. Płomieńskim dyskutować nie mam zamiaru, gdyż płaszczyzna, na którą usiłuje on ściągnąć wymianę zdań, jest dla mnie nie do przyjęcia. Pan ten jest z góry przekonany, że wszelki negatywny sąd literacki wypływa z osobistej nienawiści, chęci zemsty lub z dążenia do rozróby. Nie mieści się widocznie w jego głowie coś dla wielu ludzi oczywistego: że sąd literacki może być po prostu sądem literackim, to znaczy przekonaniem wynikającym z obcowania z tekstem, z wyłączeniem względów ubocznych.

Ludwik B. Grzeniewski

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Korzeniowski Józef — *Kollokacja.* Okładkę projektowała Maria Czajkowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 272, 4 nl.

Wyspiański Stanisław — *Klątwa.* Tragedia. Kraków. Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 116, 4 nl.

Żuławski Jerzy — *Zwycięzca.* Powieść. Okładkę projektował Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 391, 5 nl.

— *Stara ziemia.* Okładkę projektował Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 335, 5 nl.

Klasycy literatury obcej

Czechow Antoni — *DZIEŁA.* W jedenastu tomach pod redakcją i ze wstępem Natalii Modzelewskiej. Tom VIII. *Opowiadania i opowieści. 1893—1895.* Tłumaczyli: Irena Bajkowska, Jerzy Brzęczkowski, Natalia Gałczyńska, Maria Mongirdowa, Jerzy Wyszomirski. Obwoluta i tłoczenia: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 484, 4 nl.

Poezja

RZECZ POETYCKA. Młodzi. Projekt okładki i przerywniki z oryginalnych drzeworytów: Zdzisław Głowacki i Krystyn Zieliński. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1958, wydanie I; str. 137, 3 nl.

RZECZ POETYCKA. Sto wierszy. Projekt okładki i przerywniki z oryginalnych drzeworytów: Zdzisław Głowacki i Krystyn Zieliński. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 134, 2 nl.

Proza

Boruń Krzysztof i Trepka Andrzej — *Kosmiczni bracia.* Powieść fantastyczna. Okładka, ilustracje i opracowanie graficzne Bohdana Bocianowskiego. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 383, 5 nl.

Chądzyńska Zofia — *Ślepi bez lasek.* Obwolutę projektowała Irena Kuczborska. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 207, 1 nl.

France Anatol — *Bogowie łakną krwi.* Przełożył Jan Sten. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 311, 1 nl.

Gomolicki Leon — *Wieczory nad łódką.* Obwolutę projektował Stefan Wegner. Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1959, wydanie I; str. 165, 3 nl.

Hauch Carsten — *Rodzina polska.* Powieść. Tłumaczył Tadeusz Powidzki. Wiersze przełożył Eugeniusz Morski. Wstępem poprzedził Jarosław Maciejewski. Okładkę i obwolutę projektowała Maria Dolna. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 440, 2 nl.

Heyerdahl Thór — *Aku-Aku. Tajemnica Wyspy Wielkanocnej.* Z norweskiego tłumaczył Józef Giebułtowicz. Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 472, 4 nl, 2 knl.

Jackiewicz Aleksander — *Śmierć donżuana.* Powieść. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 230, 2 nl.

James Henry — *W kleszczach lęku.* Z angielskiego przetłumaczył Witold Pospieszała. Obwolutę projektował Antoni Rzyski. Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Jarochowska Maria — *Najgorsza chwila życia.* Opowiadania. Obwolutę projektował A. Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 249, 3 nl.

Kawierin Wieniamin — *Spełnione życzenia.* Tłumaczyła Maria Popowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 510, 2 nl.

Knittel John — *Abd-el-Kader.* Powieść z marokańskich gór Atlasu. Przełożyła Maria Kłos-Gwizdalska. Okładkę projektowała Maria Dolna. Poznań, Wy-

dawnictwo Poznańskie, 1959, wydanie I; str. 405, 3 nl.

Kubka František — *Rycerze i białogłowy*. Przełożyła Helena Gruszczyńska-Dubowa. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Ilustrował Mieczysław Piotrowski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 256, 4 nl.

Kurek Jalu — *Grypa szaleje w Naprawie*. Okładkę projektował Włodzimierz Buczek. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 258, 2 nl.

Paukszta Eugeniusz — *Czarownica z Zielonej Góry*. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1959, wydanie II; str. 377, 3 nl.

Rzezacz Wacław — *Krawędź*. Przekład z czeskiego Marii Erhardtowej. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie IV; str. 445, 3 nl.

Stýblová Valja — *Noc była moim sędzią*. Przełożyła Jadwiga Bułakowska. Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 190, 2 nl.

Uniłowski Zbigniew — *Człowiek w oknie*. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 164, 4 nl.

Wilson Colin — *Outsider*. Przełożyła Maria Traczewska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 476, 4 nl.

Woźnickie Ludwika i Zofia — *Dortmundzkie opowieści*. Obwolutę opracował Maciej Urbaniec. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; str. 156, 4 nl.

Zambrzycki Władysław — *Nasza Pani Radosna czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau*. Obwolutę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie II; str. 346, 2 nl.

Satyra

Fangrat Tadeusz — *Nas-troje*. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959; str. 40, 4 nl.

Wiech — *Helena w stroju niedbałem czyli królewskie opowieści pana Piecyka*. Ilustrował Antoni Uniechowski. Obwolutę projektował Antoni Uniechowski. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie III; str. 136, 4 nl.

Załucki Marian — *Oj-czyste kpiny*. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Tekst ilustrował Lech Zahorski. Warszawa, „Iskry", 1959, wydanie II; str. 213, 3 nl.

Listy, wspomnienia

Leśnodorski Zygmunt — *Wspomnienia i zapiski*. Obwolutę i winietki projektował Jerzy Napieracz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1959; str. 288, 4 nl.

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Encyklopedie

Kto, kiedy dlaczego? Tom II. Okładkę projektował Juliusz Puchalski. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 485, 3 nl.

RÓŻNE

Materiały z Krajowej Narady uczestników młodzieżowego współzawodnictwa pracy. Okładkę projektował Jerzy Zbijewski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 94, 2 nl.

LITERATURA DLA DZIECI

Bacci Baccio M. — *Niebo z kamienia*. Przekład Zofii Ernst. Ilustracje autora. Okładkę projektował Jerzy Treutler. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie I; str. 199, 5 nl.

Biskupski Stanisław — *ORP „Orzeł" zaginął*. Okładkę projektował Józef Wilkoń. Mapkę wykonał Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie II; str. 217, 3 nl, 1 knl.

Bobińska Helena — *Lipniacy*. Ilustrował Roman Owidzki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie IV; str. 128, 4 nl.

Boguszewska Helena — *Czerwone węże*. Ilustrował Tadeusz Gronowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie XVII; str. 205, 3 nl.

Brzechwa Jan — *Trzy wesołe krasnoludki*. Ilustrował Jerzy Desselberger. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie I; 22 knl.

Centkiewiczowie Alina i Czesław — *Odarpi syn Egigwy*. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1959, wydanie VI; str. 121, 3 nl.

Cooper James Fenimore — *Szpieg*. Opowieść o ziemi niczyjej. Przełożyła Hajota. Przekład przejrzała Natalia Bilii. Motta przełożył Włodzimierz Lewik. Okładkę i ilustracje projektował Bohdan Bocianowski. Warszawa, „Iskry", 1959; str. 351, 1 nl.

Daudet Alfons — *Tartaren z Taraskonu*. Ilustrował Jan Marcin Szancer. Przełożył z francuskiego Roman Kołoniecki. Część III przełożył oraz wstęp i objaśnienia: Zdzisław Ryłko. Mapki wykonał Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie III; str. 481, 3 nl.

Fiedler Arkady — *Zwierzęta z lasu dziewiczego*. Ilustrowali: Jan Wroniecki, Antonina Niemczewska, Regina Przybyszewska. Okładkę projektował Jerzy Karolak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1959, wydanie X; str. 118, 2 nl.

W poprzednim numerze:

Jerzy Zagórski: Erynie. Roland — *Wilhelm Mach:* Życie duże i małe (dokończenie) — *Julia Hartwig:* Codzień. Żartują z nas we śnie... Skruszona — *Artur Międzyrzecki:* Noc darowana. Cette dame — *Tadeusz Breza:* Z rzymskiego notatnika — *Barbara Sadowska:* Koń. Zamiast. Pożar — *Leszek Kołakowski:* Tadeusz Kroński — *Paweł Jasienica:* Znowu o grzesznicy — *Witold Billip:* Nad powieściami T. Parnickiego.

Książka miesiąca: *Andrzej Kijowski:* Jerzy Andrzejewski — szkic do portretu.

Wśród książek: *Michał Głowiński:* Metafora przestrzeni zamkniętej — *Janusz Sławiński:* Wieczór nad albumem starych fotografii — *Jan Wyka:* — Filozoficzny przewodnik po Oświęcimiu — *Stefania Podhorska-Okołów:* Młodość Tyrteusza — *Eustachy Czekalski:* „Historia jednego podwórza" — *Stefan Durski:* „Gwiazda spada" — *Jan Józef Lipski:* Gentleman niczemu się nie dziwi — *Wojciech Natanson:* Uniwersytet Jagielloński — *Lech Budrecki:* Początek „Ulissesa".

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* Gęsi język — *Andrzej Kijowski:* Przegląd prasy — *Piotr Grzegorczyk:* Dawne parantele — *Krzysztof Pomian:* Nowa fizyka i nowy światopogląd — *Louis Durey:* Grupa sześciu — *Roman Karst:* Listy Franza Kafki — *Jerzy R. Krzyżanowski:* Socjologia literatury czyli odkrycie Ameryki — *René Śliwowski:* Z radzieckiej prasy literackiej — Przegląd zagraniczny.

Noty

Książki nadesłane

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—.

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.
Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 2964/c z dnia 22.5.59 r.
Nakład 5068 egz. Druk ukończono w lipcu 1959 r. W-73.

Cena 10 zł

Zbigniew Bieńkowski — Wstęp do poetyki · Jerzy Kądziela — Żeromski w Rapperswilu · Listy Witkacego do Romana i Stanisławy Jaworskich · Przekłady z Williama Blake · Tadeusz Różewicz — Przerwany egzamin · Adam Grzymała-Siedlecki — Nasz baron · Stanisław Wygodzki — Koncert życzeń

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

THE UNIVERSITY OF ILLINOIS AT CHICAGO
3 8198 322 295 716

BOUND BY
HNM